ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXII.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 13½.

Druk ukończono dnia 13 marca 1891 r.



NOWE PRZYCZYNKI

DO DZIEŁ

Jana Kochanowskiego.

Ze świadectw spółczesnych wiedzieliśmy, że sława Jana Kochanowskiego, jako znakomitego wierszopisa polskiego, rozeszła się po całéj Polsce, o wiele rychléj, niżliby to z dat druku dzieł jego wynikało. I tak już: w roku 1562 słychać o „jego wiele pisma“, co znaczy, że poeta powróciwszy z Włoch, talent swój, którego początki już tam się bujnie rozwijały, gorliwie uprawiał; próby tego talentu, luzem i w całych zbiorkach, rozchodziły się w odpisach między znawcami i przyjaciołmi a przedostawały się późniéj i między innych. Jeszcze o psałterzu, nad którym tak długo pracował wiemy, że

„Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów
„Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
„Potym też przy dobréj myśli czasem się przydało,
„Że się też to, choć nie rychło, między gmin podało.

O fraszkach zaświadcza nieraz poeta sam, np. gdy żartobliwie Mikołaja (Firleja) przestrzega:

„Mało na tym, że moje fraszki masz pisane,
„Lecz je chcesz, Mikołaju, mieć i drukowane?

lub gdy opowiada, że „doktor“ do niego po fraszki śle, i o rychłe odesłanie prosi.

Można było przewidywać, że gdyby się udało podobny zbiorek wcześniejszy niż druki, w oryginale czy w odpisach odszukać, znalazłby się tam nie jeden ciekawy przyczynek, czy to cały utwór z jakich-

kolwiek powodów do druku nie oddany, czy téż tylko inna redakcya znanéj już rzeczy. Elegie, pieśni i fraszki łacińskie i polskie, przeleżały u poety często trzykroć dziewiętne lata, nim je wydał: czyżby on, pierwszy mistrz stylu w poezyi polskiéj i tém właśnie nad Rejem, Bielskim i tylu innymi „składaczami“ wyższy, mógł odrazu wylać swe wiersze w te formy, które i dziś podziwiamy? czy nie pozostały ślady łamania się z trudnościami stylu, poprawki i zmiany, wykazujące postęp, pewniejszy smak i śmielszą rękę?

I rzeczywiście, odnalazł się nareszcie taki odpis zbiorku, starszy o dwadzieścia kilka lat od druku, i wykazały się rażące różnice między wcześniejszą a późniejszą redakcyą, między odpisem z r. 1562, a drukiem z r. 1584. Chociaż się ten odpis niemal tylko do wierszy łacińskich, mianowicie do dwu ksiąg elegii odnosi, wykazuje on dostatecznie, jak niestrudzenie poeta piłował i gładził swe wiersze. Ale odkrywamy jeszcze coś więcéj.

Poeta nietylko swe fraszki, ale po części i elegie łacińskie jak i polskie pieśni, byłby mógł oznaczyć jako te,

„W które ia wszytki kładę taiemnice swoie“

i przestrzedz,

„Obrałli by się kiedy kto tak pracowity,
„Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty.
„ . . . . . niech próżno nie frasuje głowy.
„Bo się w dziwny Labirynt i błąd wda takowy,
„Zkąd żadna Aryadna, żadne kłębki tylne
„Wywieść go móc nie będą, tak tam ścieżki mylne.

Istotnie, widzieliśmy i widzimy, jak rozmaite wnioski, a nieraz fantazye, na podstawie własnych wierszy poety budowano, a im z mniejszém przygotowaniem kto przystępował, tém śmieléj słowa jego tak i owak naginał. Z latami bowiem, jak niebawem ujrzymy, zaciérał Kochanowski nieraz umyślnie ślady indywidualności w swych wierszach; przed ogłaszaniem w druku przepuszczał je przez cenzurę, która wyraźne aluzye do miejsc lub osób skreślała, a zmiany, które wprowadzał, nietylko formy lecz i ducha dotykały. Wiersz tak opiłowany, staje się wprawdzie piękniejszy, foremniejszy; ale z pierwotnéj, choć mniéj udolnéj formy, bije nieraz gorętsze tętno, błyszczy w niéj żywszy ogień, późniéj jakby popiołem lekko przysuty; z niéj też nam łatwiéj wyrozumieć, w jakich okolicznościach wiersz powstał. Pytanie, dlaczego zaszła ta lub owa zmiana, ciągle się nasuwa, a odpowiedź wskazuje nietylko postępy artysty, udoskonalenie formy, ale i zmianę samych zapatrywań, w człowieku dojrzalszym, świata się

mniéj zwierzającym, w katoliku wprawdzie nie gorliwszym, ale oględniejszym.

Rękopis, który wspomniany zbiorek elegii zawiéra, mieści tyle innych ważnych i nieznanych rzeczy, że chętnie wprzód nad nim się zastanowimy.

Pochodzi on z nieprzebranych skarbów Załuskiego, dziś petersburskiéj cesarskiéj biblioteki publicznéj, oznaczony jako rękopisów w różnych językach, działu siedmnastego Nr. 58, *folio*. Oprawny spółcześnie w skórkę, na któréj „Regestr“ wyciśniono, był przeznaczony dla użytku Jana Osmólskiego.

Jan Osmólski z Pobiednik, herbu Bończa, osiadłszy w Lubelskiém, należał do wybitniejszych akatolików małopolskich w siódmym dziesiątku wieku XVI; o jego stosunkach familijnych poucza inny rękopis petersburski (polskie IV, *folio*, Nr. 116), również z wieku XVI, podający (na karcie 97, b) radę panu t. j. kasztelanowi połanieckiemu [Z. Czyżowskiemu] przeciw Janowi Osmólskiemu „około paniej Anny z Czyżowa Osmólskiéj“, którą Jan o złamanie sobie wiary małżeńskiéj fałszywie posądza, dałoby się, twierdzi owa rada, to ułożyć, gdyby oboje katolikami byli, ale ponieważ nie są, należy przed króla o to pozywać; wedle Niesieckiego wyszła jego córka, Anna, również za akatolika, Gorajskiego. Ten zaś Jan Osmólski de Prawiedniki (!) Polonus, któremu wydawca mompelgartski Machiawela dedykował (r. 1591), musiał być synem lub młodszym krewnym, bo w dedykacyi zapewnia go tłómacz: ty z samego używania to wszystko poznasz. Wedle zapewnienia Księgi Chamów linia ta już w trzecim dziesiątku XVII wieku wygasła. Łatwo zrozumiéć skąd Osmólski, wybitniejszy działacz polityczny, przyjaciel Andrzeja Trzecieskiego, Reja i i., mógł Kochanowskiego znać, o jego dziełach wiedziéć, o odpisy się starać.

Na rękopis wspomniany składało się kilka rąk w rozmaitych latach. Pierwsza ręka zapisała karty od trzeciéj do sześćdziesiątéj, mieszczące, oprócz kilku dokumentów i listów z lat 1558 i 1559, dwa antykatolickie dyalogi po łacinie, zwrócone przeciw misyi Lipomana, dwie księgi elegii Jana (karta 32 b do 50 a) i trzy inne wiersze jego, nakoniec kilka wierszy polskich rozmaitych autorów, które gdzieindziéj ogłosimy.

Karty 70—173 zapisała odmienna ręka, podając najpierw instrukcyę polską (pod tytułem łacińskim) o obowiązkach panów seniorów ze stanu rycerskiego r. 1562 dla seniora lubelskiego JMP J. Osmólskiego, podpisał Krowicki. Jest to dowód, czyja to była książka, drugi znajdujemy na karcie pierwszéj, gdzie po polsku i niemiecku

kontrakt z kopaczem łąk z r. 1588 wypisano p. t. Naiem Osmolskiego na rowy. Na k. 72 i daléj czytamy rzecz protestanta o artykułach wolności polskiéj przeciw duchownym, na nią następującym, w imię przysięgi którą papieżowi składają; k. 98—161 podają ważny dyaryusz sejmu warszawskiego z r. 1556, wraz z konstytucyami sejmowemi, odpis tego dyaryusza znachodzi się już w rękach powołanych i zostanie niebawem ogłoszony. Następne karty, w których od k. 173 b, nieco młodsza ręka się pojawia, zawierają rozmaite listy, akta i mowy, tyczące się dziejów wewnętrznych tych lat, między niemi konstytucye sejmu r. 1563.

Rzeczy polityczne mieszają się w rękopisie z teologicznemi, z których kilka znacznie późniéj wpisano, np. na k. 65 b do 69 a „Anno 1582 gorąca i usilna prośba do Króla JM. przy radach i innych staniech koronnych, napisana o obronę od nieprzyjaciół dusznych i cielesnych, jestliby nas trapić przestać nie chcieli“, pełna jadu i żółci przeciw duchowieństwu katolickiemu, które nawet zwycięstwa Batorego przerwało, bojąc się o Włochy! (dla praw króla do Medyolanu, Baru, i jako Węgra, do Neapolu); dwa traktaty „o wieczerzy pańskiéj“ (k. 212 b i daléj) i końcowy (k. 235 b do 267, ostatniéj rękopisu) wskazują wyraźnie domieszkę nowinek lubelskich, aryańskich, wpływ Marcina Czechowica, gdyż mowa o ponurzaniu i t. d.

Tyle o rękopisie; wracamy do zawartych w nim elegii Kochanowskiego, do różnicy pierwszéj a ostatniéj redakcyi. Zaznaczamy z góry, że nie myślimy nużyć czytelnika szczegółowém wyliczaniem wszelkich, mianowicie stylowych drobnych odmianek, gdyż cały ten materyał zużytkuje się gdzieindziéj, mianowicie w czwartym tomie pomnikowego wydania warszawskiego; my zatrzymamy się tylko przy różnicach wybitniejszych. Równocześnie stronimy od wszelkiéj polemiki z dotychczasowemi poglądami na powstanie lub znaczenie pojedyńczych wierszy lub na daty niektóre z życia poety.

Stylowe różnice scharakteryzujemy zaraz tutaj, aby się nie powtarzać. Przedewszystkiém skraca poeta, więc opuszcza rozszerzenia, które nowego nic nie dodają; poświęca chętnie opisy i porównania, w których reminiscencye z klasyków, a więc praca pamięciowa, zbyt widoczne, lub gdzie w tyrady wpada, z rzeczywistością, z dobrym smakiem mało licujące. Zwroty przesadne, miarkując się, osłabia, ale o wiele częściéj bezbarwne energiczniejszemi zastępuje; łączy zdania ściśléj, uwydatnia myśl silniéj antytezą, przymiotnikiem lepiéj maluje. Często rozszerza, nieraz znacznie; dodaje rysy charakterystyczne i motywuje wszechstronniéj, opisuje obficiéj; usuwa zbyt suche wyliczania nazw, kreśli natomiast małe obrazki; nakoniec

wstawia ustępy treści dydaktycznéj. Szuka nakoniec trafniejszych uwag, szczęśliwszych przejść, osobliwszych zwrotów, mianowicie zaś unika prozaiczności, płaskości myśli i mowy.

Przypatrzmy się np. elegii, w któréj miłość Fedry ku pasierbowi opisał. Wstęp w obu redakcyach ten sam „wierz jak w przepowiednią, że nie zawsze cnym być warto“, ale zagajony trafniéj w drukowanéj przeróbce (gołębie Dodony ci prawią) niż w pierwotnym rękopiśmiennym tekście (tę odpowiedź daje ci Apolo z groty Klaryjskiéj), przejście do opowiadania znowu lepsze w *B* (tak druk oznaczamy) niźli w *A* (w rękopisie), bo tam pyta: opowiedział ci kto o miłości Fedry i losie nędznego Hipolita? a tutaj woła: któż nie słyszał o miłości Fedry, któż nie opłakał losu Hipolita! *B* szerzéj opisuje stan duszy Fedry, męki tajonéj miłości, szykuje lepiéj argumenta, dodaje w czterowierszu, dlaczego Fedra pośrednika nie szuka, lecz sama na odmowę się naraża. Jéj krok stanowczy znowu obszerniéj opisuje, malując chwiejność jéj myśli i ręki, bladość oblicza; co Hipolit począł, w *A* króciutko wyrażone, w *B* i o jéj łzach wspomniano i mowę jego przytoczono i jak Fedra to przyjęła. Daléj dodane w *B* porównanie z Menadą, bojaźń jéj przed oskarżeniem i gniewem męża, prośba Tezeusza do Neptuna o ukaranie syna i t. d.

Ten jeden przykład do uwidocznienia owych różnic stylowych niech starczy. Przejdziemy teraz kolejno elegie, bacząc głównie na ważniejsze szczegóły.

Jak wiadomo, zajmują Tarnowscy, hetman i syn, w pierwszéj fazie twórczości poetyckiéj Kochanowskiego to miejsce niemal, które późniéj Firleje objęli; niejeden wiersz lub poemat im poświęcony; można więc przypuścić, że większy zbiór swych poezyi, dwie księgi elegii łacińskich, poeta jako pierwociny talentu również Tarnowskim poświęcił. Stąd może w pierwszéj elegii owa wzmianka o Krzystofie Tarnowskim, o nadziei i ozdobie Północnéj ziemicy; elegia zaś sama na tle włoskiém powstała. Powtarza ona co elegia wcześniéj napisana, I, 13, w pierwszéj części wypowiada: miłość mnie poetą zrobiła; ja o tryumfy nie dbam, oddany służbie méj pani. Miłość w obu wspomniana może być tylko ta sama, padewska, do Lidyi; ale gdy elegią dwunastą poeta na refleksye swych towarzyszy odpowiada, w elegii pierwszéj zarazem ambicyi Krzysztofa wyższe cele oznacza. Wzmianka Krzysztofa zresztą dowolna, zewnętrzna, jakby późniéj doczepiona; że Kochanowski nieraz tak tworzył, dowodnie zobaczymy. Różnice między obu redakcyami miejscami znaczne, ale tylko stylowe.

Druga elegia w zbiorze Osmólskiego ta sama co i w druku; poświęcona Andrzejowi Barzemu, towarzyszowi padewskiemu, zawiera

opowiadanie, jakiém Kochanowski w pierwszych latach swéj twórczości nieraz może brak własnéj inwencyi nadstawiał, porównajmy np. elegią o Wandzie I, 15, elegią o Zaryadrze i Odacie III, 3, elegią o Ulisesie IV, 1, z polskich pieśń o Europie. O licznych, stylowych różnicach obu redakcyi mówiliśmy wyżéj. Poważne zresztą opowiadanie jakby ironicznie zagajone i zakończone: sztuczki podobne cechują zazwyczaj mniéj wytrawnych poetów. Elegia na tak wydatném miejscu może nie dla treści, ale raczéj dla adresata zostawiona.

Trzecia u Osmólskiego, w druku I, 4, zwraca się do Andrzeja, prawdopodobnie Nideckiego, gdy tenże ku końcowi 1556 roku, wyjeżdżając do Francyi, Włochy i kochankę opuszczał, niepewny swego szczęścia a jéj miłości. Ponieważ elegia ta jakby dopowiedzenie innéj, nieznanéj przedtém, elegii, którą poniżéj w całości umieścić musimy, więc i ją dla tego związku całą przetłómaczymy, chociaż myśli te same, co i w redakcyi drukowanéj, prawda, że wyrażenie inne, rozwleklejsze; zmienił także poeta kilka szczegółów. Tłómaczymy, jak wydawcy warszawszy, polską prozą, ale idziemy jak najściśléj za oryginałem.

„Przecież ty, Andrzeju, chociaż, ach biedna dziewczyna próżno błaga, daléj się w długą drogę wybierasz. Gdzie uciekasz, Andrzeju? niecny Amor szczyty Alp i Oceanu przestronne łona zwycięża. Ty odchodząc ani sobie co pomożesz a ją, ach biedną, ciągłemi łzami znędzisz. Tyż niecny możesz zapomnieć płowego włosu i błyszczących oczu i marmurowéj ręki? i ile ci razy jasna przychodziła śnieżną stopą, niosąc w pachnącém łonie pełne radości, których świadkami nie słońce, ale padające gwiazdy i owo światło, wierne twym rozkoszom.

„Biada! ileż razy leniwy sen tobie przerwie Dokalika, po imieniu wzywana ileż razy będziesz mniemał, że razem z tobą śpi, ale biedna ona daleko, ty téż sam będziesz. Wtedy będziesz chciał być Belerofontem, wtedy Perseuszem lub Tryptolemem, wtedy, lecz napróżno, Dedalem i gdy stroskany rzucisz wzrokiem! na przebyte Alpy: droga Italio! jakeś niestety daleko, wypowiesz. Losem szczęśliwszym żyją zgodne gołębie, których radości żaden dzień nie przerywa, ale zrywając błyszczącemi dziobami całusy, czas ciągle w łacnéj miłości trawią. Nie wzdycha nieszczęsna kobiéta dla łoża opuszczonego, ani skarży się na zamieszkanie nieobecnego małżonka, jedno obum łoże, pod jednym dachem się gnieżdżą i nie ma drogi bez prawowitego towarzysza.

„Ach, kamień to, ktokolwiek miłość na zysk zamieniał i nie ma mnie wspólnikiem swego czynu. Mógłżebym ja patrzéć na płaczącą dziewczynę albo zdołałżebym sam wstrzymać cne łzy, gdyby szalona me uszy skargami zarzucała i nieprzyjazną ręką w zranione lice biła i mnie okrutnikiem licem i ręką wołała i że na niebie żadnych bogów nie ma. By mi tylko Wenera sprzyjała, nie zaparłbym się ani byków paść ani żołędzią żywotu chronić. Bo cóż za zysk bogaczom, leżéć przy stołach i lutni pochlebne dźwięki uchem przejmować albo cóż, rozpatrywać sługi wieńczone, jak śnieżną ręką falern leją, jeźli ukryta miłość serce gryzie i troska mnie gniecie gorzéj niźli kamieniem Tantala“.

Zwróćmy uwagę na końcowy ustęp, w którym poeta siebie i Lidyę przeciwstawia Andrzejowi i Dokalice (raczéj Doralice), tu zjawia się wpierw motyw, którego Kochanowski nieraz późniéj użył: sielanka pasterska, miłością okraszona, miała mu niby wystarczać. Druk podaje tekst krótszy, nazywa kochankę Andrzeja Menofilą i wzmiankę o Italii zaciera.

Czwarta u Osmólskiego, w druku I, 5, do Jana Tarnowskiego; koniec jéj, rzeczywiście w luźnym związku z całością zostający, a z humanistycznych komunałów złożony, w druku opuszczony; brzmi:

„Boska Erato, gdyż nazwisko twe przeczy, byś była surowego serca, bądź, proszę, wyrozumiała na mój dowcip. Ty mi do wierszów dodawaj ciągłych sił, do wierszów, któreby Cypryda, któreby sama miłość chwaliła. Inni niech stawłają Piramidy i niech stawiają kolosy, niech wyrzynają nazwiska na twardych marmurach; upadną skały za laty, zniszczy marmury czas, Muz sława jedyna umierać nie umie.

[Ostatni czterowiersz kończy w druku elegią do Ossolińskiego, I, 7].

Poprzednio zmienił skromniejszy teraz poeta ustęp, w którym był o sobie twierdził, że w grocie Kastalijskiéj „daje się mnie miejsce najbliższe po dawnych Gallach [Korneliusz Gallus, liryk rzymski] i po Tybullach.“ Poeta, wspominając hetmana — dlaczego staraliśmy się wyżéj oznaczyć—usprawiedliwia się z tego, co pisze; teraz chce wytrwać w poezyi erotycznéj, łudząc siebie i hetmana nadzieją, że w przyszłości „bojom i mężom zdoła“, czego, jak wiemy, mimo gorącego pragnienia, nie ziścił. Wszelkie domysły, które z téj elegii wysnuto o jakiéjś replice, niby na kazanie hetmańskie o obowiązkach wojskowéj służby i o marnowaniu czasu, całkiem chybiły; w dawniejszéj redakcyi nie było nawet mowy o „pijanych znakach nocnéj ucieczki“; zamiast tego wiersza czytamy inny, (dozwól mi) „wieść drogę przez miejsca, które Mimnermus [poeta] udeptał“, ale w przeróbce zużył poeta ten zwrot już dla wiersza szóstego, nie mógł go więc w dwudziestym powtórzyć.

Piąta u Osmólskiego, w druku I, 7, do Mieleckiego, napisana—dla wyraźnéj wzmianki poety o wzięciu Sieny—w r. 1555, nie 1557, jak samowolnie twierdzą komentatorowie, w Padwie, gdy się w Lidyi kochał, nie w Polsce. Elegia tym razem w przeróbce na wielu miejscach znacznie rozszerzona; opis błogiego pokoju wydatniejszy; wyliczenie rozmaitych bogów, którzy po ciężkiéj pracy wczasu zażywali, jakie w rękopisie w dziesięciu wierszach poeta był objął, rozwiódł w druku niemal poczwórnie; pierwotnie brzmiał cały ustęp:

„Jowisz sam po zwojowaniu Olbrzymów, miał często żartami,

często lutnią się bawić; Febus, zabiwszy lotną strzałą Pitona, bezbronnéj liry dźwięczne struny poruszał; skoro bystry Gangies i Indus Bachus podbił, pijał słodki napój z pełnego szyszaku; sam nawet żelazny Mars, broń złożywszy, tyle razy leżał na twém łonie, boska Cytero! dziwotworów poskramiacz i poskramiacz zwierza, Alcyda, nie odmówił, twardą ręką przędziwa odrabiać."

Rozszerzając dla druku ustęp o Marsie, dopuścił się poeta iście humanistycznych sprośności. Koniec odmienny, zamiast czterech ostatnich wierszy druku czytamy w rękopisie:

„Wtedy niech cię twa dzielność, niech cię twe szczęście, o Mielecki, niech i Bóg wszędzie mi całym zachowa, abym widział, jak będziesz powracał zwycięzcą w najwyższéj chwale i wielkim bogom śluby pełnił. Opieszałym ja do walki, ani zdatnym dzielnéj broni, żebym to sam jeden nie próżnował, muszę ciągle miłować."

Szósta elegia u Osmólskiego, w druku I, 11, „Do Lidyi", a więc w Padwie pisana, gdy się poeta do Francyi wybierał; wszystkie inne kombinacye mylne; poeta zatarł starannie ślady, gdzie i do kogo to pisał, że nie pragnie niczego nad to, by umrzéć pod okiem kochanki, by ona grób jego nawiedzała. Namawiał więc poetę ów Andrzéj (Nidecki?) elegii trzeciéj (w druku, czwartéj), który do Francyi jesienią 1556 roku się wybierał, by mu towarzyszył; Andrzeja łzy i rozpacz kochanki nie ruszały, Jan tkliwszy łzom Lidyi uległ i wyrzekł się podróży. W pierwotnéj bowiem redakcyi czytamy „nie zależy mi tyle na tém, by widziéć Francyą (*Gallica regna*)", w druku zaś: Włochy (*Itala regna*); w druku brak téż dwuwiersza: „niech na ciebie, moja Lidyo, umierając patrzę mdłemi oczyma, płaczącéj usta niech mię ostatnie wołają" (por. „gdy przy kostniejących wargach ostatnie odbieramy pocałunki i od samych wód Styksu nas po nazwisku wołają", El. I, 8). Inne różnice pomijamy; zaznaczamy tylko, że w pierwotnéj redakcyi nie ma nagrobku i napisu.

Siódma u Osmólskiego, w druku I, 9, sielanka pasterska, w któréj Jan i Lidya za Likotę i Filidę przebrani. Różnice głównie stylowe, napisu „lubiałem fujarkę, póki mię Filis lubiła" i t. d. znowu brak w dawniejszéj redakcyi, brak téż owych dziesięciu wierszy druku, w których Likota swe daremne śledzenie kochanki po lasach kreśli; zamiast bardziéj sielankowego wiersza „nie cieszą go jego fujarki, nie cieszy go jego muza", czytamy w rękopisie prozaiczniejszy „mdlejących członków braniem pokarmu nie krzepi."

Ósma u Osmólskiego, w druku III, 2. Elegia nie najkrótsza, liczy sześćdziesiąt dwa wiersze, powtarza się bez wszelkich zmian w obu redakcyach, jednę tylko nazwę zastąpił Kochanowski inną

i zadrwił srodze z komentatorów. W operetce „Nanon“ i w innych utworach lekkiéj muzy pieśnią, złożoną pierwotnie w hołd bogdance, po zmianie nazwiska raczą poważne panie: podobnie i tutaj, wszyscyśmy dotąd myśleli, że wierszem tym zapraszał Jan biskupa płockiego, czy krakowskiego do Czarnolasu, gdzie zarumieniona Pasifile-Dorota dygnitarza kościoła przyjmować miała; czerpaliśmy z téj elegii szczegóły o Dorocie, o biskupie-myśliwym. Tymczasem czytamy w pierwszéj redakcyi zamiast „*Pasiphile in totum* i t. d.“ — „*Lydia et in totum* i t. d.“, i cała nasza budowa runęła; więc już nie o biskupie, o żonie, o Polsce tu mowa, tylko o innym Myszkowskim, o Lidyi, o Padwie. Że Lidya na wieś z Padwy wyjeżdżała, że Jan z miastem się żegnał, wiedzieliśmy z elegii I, 13 (Żegnaj mi nienawistne miasto, moja Lidya lotnym wozem jadąc w szerokie pola się udała i t. d.): obie elegie nawzajem się więc tłómaczą; w obu powtarzały się pierwotnie te same zwroty, które Kochanowski w druku odrzucał, np. *molliti sulci* (spulchnione brózdy), *Icarius canis* albo *aestivus canis* (o spiece letniéj). Koniec elegii, opis złotego wieku i zaraza od złota, przypomina Owidyusza, ubóstwo między zbójami bezpieczne znany wiersz Juwenala „*Cantabit vacuus coram latrone viator* (i przy zbóju pośpiewuje sobie nagi podróżny);“ zresztą wysnuwa autor w téj elegii (III, 2) daléj ten motyw, który w tamtéj (I, 13) rozpoczął. Początek zaś, obojętność na przyszłość zakrytą, na śmierć niespodzianą, która człowieka bez żądz i oczekiwań nie przeraża, powtarza się w elegii, o któréj nam teraz mówić wypada.

Następne dwie elegie zbiorku Osmólskiego, dziewiątą i dziesiątą, wyłączył poeta z druku; obie pisane w Padwie, jedna do Lidyi, druga w roku 1556 na 1557-my; obie dotykają jedynéj piekącéj kwestyi wieku, którą Kochanowski chętniéj omijał, kwestyi religijnéj; w obu wypowiada więc przekonania, do których się publicznie przyznawać późniéj nie pragnął. Pierwsza z nich przypomina nieco Makaron poety, który także o wyborze stanu radzi, ale nawiązuje ten temat inaczéj. Poeta najprzód dziękuje Lidyi za udział, który w jego mniemanym przypadku okazała: rozniosła się była pogłoska, że on nagle zginął— szczegółów, jak zawsze, poskąpił — pogłoska mylna, ale zabobonni wierzą w przepowiednię; jemu zaś nic po niéj, bo spokojny w sumieniu i życia się chętnie pozbędzie, gdy tak losy zechcą. Póki więc życia, używa go; zwłaszcza że cóż po miłości nawet, gdy się zestarzeją; do tego nakłania sama młodość, którą za klasykiem „złotém runem“ nazywa; (Rysiński w przypowieściach oddaje ten zwrot „mieszkiem Fortunata“, z którym się panu wszystko wedle myśli darzy). Teraz więc niech on i Lidya bawią się i miłują, śpiewają i włóczą się do

późnéj nocy po mieście. Przyjdzie czas, że trzeba będzie tryb zmienić; cóż wybierze? czy zostanie prawnikiem, czy filozofem uczonym, czy księdzem? jako ksiądz będzie się musiał rozprawiać z kwestyami, które wylicza: o kościele, o zbawieniu, o czyścu, postach, celibacie i o antychryście; ze sposobu, jak kwestye stawia, można wnioskować, co wtedy o nich myślał, o tém jeszcze pomówimy. Kończy dwuwierszem, jakby siebie samego i swą kochliwość przedrwiwając, co i w innych padewskich elegiach czyni: przypominam zakończenie elegii pierwszéj, pierwotne zakończenie elegii do Mieleckiego, i trzeciéj elegii drugiéj książki, o któréj niżéj; cóż po tych chwalebnych zamiarach, mówi, jeśli się miłości może aż do końca życia opędzić nie zdoła (por. I, 11, „wielum towarzyszył srogi Amor do saméj śmierci, niech ich liczbie i mój cień się przyłączy“; także koniec elegii, I, 13).

„Że twierdzisz Lidyo! jakobyś opłakiwała mój traf, gdy ci o mnie powiedziano, żem nagle zginął, luba mi twa miłość i zachowanie. Choć marny zabobon w to wierzy, by pogłoska przepowiednię kryła, ja jednak nie tak o to się troszczę, co o mnie Bóg postanowi; duszę tę, kiedy chce, niech zajmie on dzień; myśl szczera, żadnéj winy sobie nie świadoma, sprawia, żem bezpieczny na każdém miejscu. I wtedy, gdyby się było podobało Parkom i losowi, nie miałem niechętnie żywot złożyć a twe przyszłe łzy, życie moje, byłyby dosyć wielkim obchodem mojego pogrzebu [por. El. I, 11, „ani ma śmierć znaczniejszego (niż Lidyi wiernych łez) pragnie obchodu“].

„Póki więc oczom dopuszczają, na to światło niebieskie patrzeć — bo dzika Parka pilna swej roboty — byśmy godzinom nam gnuśnie umykać nie dopuścili, o to nas upomina młodość sama, złote runo. Choćbyś ty wieków Kumejskiej wróżki się spodziewała, a ja, wyrównać dniom Nestora, ale swywolna miłość zemdlonym latom źle odpowiada, ani taniec i pieszczoty zmarszczkom stosowne. Teraz należy się bawić, teraz, moja Lidyo, kochać, teraz pełną dłonią chwytać radości. Teraz stosowne lutnie i pieśni, teraz wolno po mieście się błąkać, że ledwie późną nocą do domu wrócisz.

„Ale gdy pocznie smutna zima śniegiem przyprószać żółte włosy, a zmarszczka gładkie jagody rysować, będzie trzeba zmienić sposób życia: ja albo wyuczę się jasnych praw i zakonów papieży, albo będę badał pierwsze zawiązki olbrzymiego nieba i zakrytych przyrody biegów dociekał, albo roztrząsał tajemnice naszéj wiary i nauki, rozrzucone po nieskończonych księgach: czy kościół po całéj ziemi rozproszony, czy nie, raczéj stoi i trwa na pewném miejscu; z zasług dzieł i z czysto spędzonego żywota, czy z dobroci swéj bogowie nas zbawią; czy lekki duch oczyszcza się ogniem w eterze i prócz drogi podwójnéj jest jaka inna: czém posty do wiecznego żywota się przykładają; czy kapłanowi żenić się nie ma być wolno; nakoniec czy przyszedł już groźny Antychryst i z jakich znaków może być poznany.

„Tę myśl mam teraz. Ale może aż do samego stosu niepoczciwa miłość towarzyszyć mi będzie.“

Nas zajmuje głównie końcowy ustęp, w którym akademik nad przyszłą karyeryą duma, przyczém o żołnierzu, dworaku, rolniku, ani

wspomina, bo tylko z padewskich nauk przyszły ów kierunek wytyka. Ale to wahanie się raczéj przejście stylowe; i on rzuci się utartym torem na chléb duchowny, lecz tu roztrąci się o nowe szkopuły. Bo co jeszcze do niedawna, niewzruszone, wieki przetrwać miało, dziś wszystko w wątpliwość podano; gdzie przed tém wyboru nie było, dziś długo a pilnie zastanawiać się należy. I wylicza poeta, rad, że je w kilku wierszach ujął, zagadnienia, które wiekiem najsilniéj trzęsły, nie wszystkie, ale najważniejsze; nie wspomina o czci świętych, o ceremoniach, o przyjmowaniu sakramentu pod dwiema postaciami, o języku kościoła, o życiu zakonném. Pierwsze pytanie, gdzie kościoła szukać należy, czy na pewném, widomém miejscu, czy rozproszony gdzieś, rozstrzyga wedle dogmatu katolickiego. Następnego pytania, od czego zbawienie zawisło, czy od łaski Bożéj, czy od zasług naszych, nie ujął tak, by odpowiedź sama wynikała: wahał się widocznie, trudności nie rozstrzygał. Nie wierzy zaś w czyściec, ani w skuteczność postów, nie uznaje też celibatu; za to na ostatnie pytanie, o przyjściu Antykrysta i o znakach jego, pytanie przez protestantów ciągle wznawiane, odnoszone przez nich do czasów teraźniejszych, do kościoła rzymskiego i głowy jego, byłby raczéj przecząco odpowiedział.

Stanowisko jego więc chwiejne, jak większości ówczesnéj świata katolickiego, chwiejne póty, póki Trydent pytań tych dla katolika ostatecznie nie zdecydował; stanowisko to dzielili w Polsce tacy Tarnowscy, Tęczyńscy, niektórzy duchowni, między nimi i Orzechowski, gdy „*Repudium Romae*“ pisał; z Polski też wyniósł Kochanowski te zapatrywania, zyskujące między małopolską szlachtą z dnia na dzień gorliwszych stronników, nie w Padwie dopiéro ich nabył, gdzie, choć nie srożyła się inkwizycya, jak w Rzymie Pawła IV, przecież strefa włoska takiéj roślinności wcale nie sprzyjała.

W elegii dziewiątéj dotknął Kochanowski tylko dogmatów; czego tu nie mógł poruszyć, życia i obyczajów duchowieństwa, w następnéj, dziesiątéj, jak najsrożéj schłostał. Poznajmy najprzód brzmienie elegii.

„Lud żydowski suchą nogą przeszedł morze Czerwone, gdy uchodził przed końmi napierającego Faraona i młodzieńca, który się odważył zawierzyć niewiernemu morzu, widział srogimi wirami pod otchłań piekielną gnanego. Wodzem był Bóg sam, który kroczył przed idącymi i dawał znaki nieznanéj drogi, za któremi iść mieli. Im skały, nie przywykłe do tego, wlały strumienie i nadmierna manna padała z niebieskiego stropu stada ptactw zleciały po szerokich polach, gdy gwałtowny wicher powietrze wyludnił. Ale ponieważ obcym bogom podarki przynieśli, głupio zapomniawszy na się i na Boga swego, nimby siedzib upragnionych dotknąć

byli mogli, zestarzeli wszyscy po długich drogach. Abyś nie zechciał przeciw niewdzięcznym coś ostrzéj postanowić, przemogły, ojcze najwyższy, prośby Mojżesza, który nie chciał być wpisany w księgę wieczności, chybaby mógł zmiękczyć gniéw twego serca."

„Więc wtedy oszczędziły litośne bóstwa lud dla wiernych łez jednego pasterza. Teraz te są zwyczaje, że lud zmuszony dla ich zbrodni gniéw bogów znosić. Z samych ołtarzy sprzedają świętości za podłą miedź nie wstydzą się, wiecznych bogów na targ puszczać. I dzień i całą noc przy puharach trawią: daremno kołacą we drzwi ubodzy. Małżeństwem i czystym Himeneem się brzydzą, nierządem cieszą się i niedozwolonemi łożami. Wolnoć prawami boskiemi, wolnoć samymi bogami pogardzać, byle tylko ich dochody całe ostały."

„Cóż zaś ów ojciec, całéj owczarni dozorca, nie widzisz-li, jak źle pasie nędzne owce! Wielkich królów wprawił w bezecne wojny i wbrew woli bogów rozwiązał przymierza. Sam, pobudzony od Megery, wściekły wznieca walki na dzikim koniu przez przeciwne pułki, a prawica, którą wiecznym bogom ofiary nie podano, ach, niestety! ludzką krwią ciepła. Krwią prawica ciepła, umysł zaś podżega wściekła żądza państwa twego, o Neapolu."

„Ojcze najwyższy, jeźli, oddalony od ołtarzów bogów, między zbrojnemi tłumami wysłuchać co możesz, temi słowy pobudza cię Piotr, najlepszy pasterzu Mnie ani o Chrysusa broni się chwycić nie godziło, ty zaś, który Piotra następcą chcesz być miany, jakże o państwa bezecne wojny prowadzisz?"

Streśćmy elegią: powszechne było to przekonanie w tych latach, że nic się nie sklei, póki relgijnéj kwestyi wprzód się nie załatwi. Pod wodzą zaś boską i morze suchą nogą przeszedłeś i skały ci zdroje wydały i z powietrza nakarm twój wziąłeś, o Izraelu! gdyś się zaś głupio od Boga twego odwrócił, nie doszedłeś obiecanéj ziemi i tylko prośby twego pasterza uchowały cię przed sroższemi karami. Dziś odwrotnie, za winy pasterzy cierpi lud gniew boży. Wylicza poeta te winy, dobiérając zwrotów tak dosadnych, że i protestant Osmólski, sam Rej nawet, nicby dodać nie mieli. Najpierw symonia: sprzedawanie i kupowanie sakramentów i beneficyów; daléj pijaństwo dniem i nocą, które żałosnych skarg ubóstwa wysłuchać nie daje; bezżenność księży i jéj skutki; chciwość na grosz, za który wszystko uchodzi, i rozwody i bluźnierstwa nawet. To o niższych, a cóż o głowie Kościoła? Oto wznieca Paweł IV-ty, nieprzebłagany wróg Habsburgów i Hiszpanów, nowe boje we Włoszech, zrywa przymierze, zawarte właśnie w Vaucelles na lat pięć, zwalniając z przysięgi króla Francyi, waśni Henryka II i Filipa, podejmuje wszystko, by tylko dochodzić praw zwierzchniczych stolicy rzymskiéj nad Neapolem, gdzie Alba rezyduje. Piotrowi za Chrystusem miecza się jąć nie godziło, a następca jego o dobra doczesne wojny prowadzi. Niektóre szczegóły z przesadą dodane: Paweł IV-ty, nie Juliusz II-gi, mnich,

nie wojownik, sam więc broni nie chwytał, ani właściwie w środek szeregów się wdawał, chyba wtedy, gdy na placu ś. Piotra sam przegląd jazdy odbywał; do pojęcia o prawicy, ciepłéj od krwi ludzkiéj, przyczyniły się może wiadomości o srogich ekscesach inkwizycyi rzymskiéj. Zupełnie nierówna walka między karnym i wyćwiczonym żołnierzem Alby a lichém, głodném i źle prowadzoném żołdactwem Pawła przeciągała się, z przerwami, od jesieni 1556 do lata 1557 roku; z tego czasu pochodzi téż elegia, może jeszcze przed zimą 1556 roku napisana, gdy pomocnicze hufy francuskie do Włoch nie były jeszcze wkroczyły.

Cóż wynika z obu elegii dla przekonań Kochanowskiego? Że go życie duchowieństwa i celibat zawsze gorszyły, złożył tego dowody i we fraszkach i w Makaronie; o władzy świeckiéj papieża pewnie téż przekonań nie zmienił. Co się zaś dogmatów tyczy, przestał na katolickiém ich pojmowaniu, jak je Trydent uformował; głębiéj w te spory wnikać, nie było nigdy rzeczą humanisty, który, jak np. Orzechowski, sam wyznaje, tylko niechętnie dawał się im porywać, któremu one zawsze średniowiecczyzną i barbarzyńską łaciną trąciły, który w rozwoju protestantyzmu, choć jego początkom, sam o reformy wołając, przyklaskiwał, widział zagrożenie duchowego postępu, wyrzeczenie się klasycznych ideałów, zwrot przeciw rozpieszczonemu humanizmowi.

Ale Kochanowski wyłączył te elegie z druku, a więc „nawrócił się“? Bynajmniéj; zmieniły się tylko czasy. Gdy je pisał, w Polsce o pogodzeniu obu prądów można było myśléć lub marzyć; gdy je miał drukować, stanowczy rozbrat już od lat dwudziestu był nastąpił: stali po jednéj stronie katolicy, olbrzymia większość narodu, po drugiéj topniały garstki protestantów. On był katolikiem, nawet gdy o reformy wołał, gdy to pisał — dowodzi tego już jego ówczesne ślepe uwielbienie największego katolickiego monarchy, Karola V-go; po Trydencie wołanie o reformy, wątpliwości co do dogmatów, nie mogły miéć daléj miejsca u katolika, którym pozostał. Wydrukować to, jak było, znaczyło szkodzić katolicyzmowi, jeśli jemu w Polsce wiersze szkodzić mogły; zmienić sens, zwrócić ostrze przeciw protestantyzmowi, wtórować np. zwykłéj piosnce, że roztargnienie w wierze nas niszczy, o tém i nie pomyślał nawet. Nie wypadało nic innego, jak elegie, czasowi już nieodpowiednie, skreślić.

Temi dwoma elegiami kończy się pierwsza księga w zbiorku Osmólskiego. Druga zaczyna się od dwóch, napisanych w Polsce, po powrocie z Padwy. Pierwsza, zwrócona do Jana Tęczyńskiego,

w druku III, 4, kreśli podróżującemu powaby włoskiéj ziemi; różni się od drukowanéj drobnemi zmianami stylowemi, ale brak jéj jeszcze drugiéj części, albo raczéj przypisku, opłakującego przedwczesny zgon młodzieńca; kończy się prozaicznym dwuwierszem: we Włoszech zobaczysz więcéj, niż moja nieudolna muza wymienić zdoła; pisana więc przed r. 1562.

Druga elegia, w druku II, 7, wita powracającego z wyprawy inflanckiéj króla; zmiany liczne, stylowe i rzeczowe. Dla stylowych przytoczymy owo porównanie, które pierwotnie brzmiało:

„Jak nieposkromiony byk, między bydłem leniwém niewinną ziemię gęsto nogą depce i dziki nieobecnego nieprzyjaciela na walkę wyzywa, i całe zarośle gwałtownym dźwiękiem wzrusza, gdy wtedy trafem, nieco ze swoich wyszedłszy kryjówek płowa lwica gęstą grzywę wstrzęsła, on do ucieczki się bierze, nie opóźnią go ani rzeki, wyrównywające swe brzegi, ani wysokiemi szczytami przeciwne skały. Tę dzielność miał Inflantczyk, gdy sam po otwartém polu zbiegał, gdy nieprzyjaciel w dalekiém oddaleniu. Gdy zaś trąby zagrzmiały i pierwszy szereg się zjawił, chwycił się natychmiast rączéj ucieczki. Ale ty, Auguście, mieczem jak błyskawicą zżynając szeroko, cokolwiek na wstręcie, spustoszyłeś nieprzyjacielską ziemię. Lecz, ile w tobie siły, tyle i łaskawości, królu najwyższy, umiesz powściągać zwycięską rękę.“

W dalszym ciągu, mówiąc o takiéjże łaskawości Zygmunta Starego, wspomina w tekście druku słusznie, że jéj ani Niemiec, ani kwitnące Prusy nie zaprzą; w rękopisie natomiast mniéj trafnie: „Wié o tym Wołoch i o tym Hiperborejczyk i sam nawet Tatarzyn.“ Ustępu o błogich skutkach pokoju nie ma w rękopisie, który elegią tak kończy:

„Twéj Sarmacyi długiego udziel wczasu, aby cię chwaliła na kartach, które po twém zejściu żyć będą i abyś miał poczesne miejsce między przodkami. A chociaż Muza północnych szronów się wzdryga, nie będzie ona najpośledniejszą chwałą twego wieku.“

Trzecia u Osmólskiego, w druku I, 13, do Lidyi, w przeróbce zupełnéj uległa zmianie. Lidya wyjechała na wieś; w tekście druku zachwala jéj poeta rozkosze myśliwskiéj sielanki, zapewnia, że wiara w miłość jéj ubogaca go aż nadto i do końca życia mu starczy, jednem słowem, miłośna to zdawkowa moneta. Treść elegii w rękopisie, mniéj górna a więcéj życiowa, dla Lidyi mniéj korzystna, którą poznajemy zalotnicą, ponętniejszą niż inne, ale i chciwszą.

„Bywaj zdrowe miasto nienawistne, uszła w szerokie pola złota Lidya, uniesiona bystrém kołem. Ty, Amorze, paś już byki przyszłemu rolnikowi, ty mnie zgrabną ręką wyrabiaj pługi, grace i motyki, ja wsparty o kozicę gleby tłustéj ziemi krzywym lemieszem przewracać będę i wierne nasiona zlecę bróździom zpulchnionym, nasiona, ręką Tryptolema najpierw rozsypane. Ja téż sprowadzę

z pobliskiéj rzeki strumyk, który pije pole letniém słońcem spalone i wpuszczę bydło, aby zboża trawę podstrzygło, by kłos swą bujnością sam nie opadał. I nadejdzie już czas, wyjąć sierp zębaty i ściąć żółte ziemi włosy, a członki me nie upadną pod niezwykłą pracą, chociaż pies Ikara błonia praży, gdyż obecność méj pani sił mi doda i bok i znużone ręce ona podniesie. Dla niéj ja przez gęste lasy szukać będę nowych darów, purpurowych malin i na ziemi zrodzonych poziomek i gniazda u drzewa wiszącego i wiernego gołębia i zająca, którego kolanka jeszcze nie dosyć mocne. Jéj będzie, cokolwiek sady na pełnych gałęziach, jéj będzie, cokolwiek uprawna winnica niesie."

„Mylimyż się? czyż, jakie w naszym wieku dziewczęta, Lidya nie wyśmieje mych wiejskich podarków? Póki świat był nowy, starzy tak może kochali i dary dzikiéj róży wiele znaczyły. Teraz złoto jest w cenie, złoto (wierzaj mi) trzeba przynieść ze sobą, kto kochać zechce. Pani ogromnym kroczy otoczona orszakiem i jedna zajmuje całe ludu ulice, ona nosi perły, wzięte z najdalszego wschodu i runa, barwione Sydońskiemi purpurami i cokolwiek z miękkiego drzewa czeszą Serowie, cokolwiek sierpem żną pachnący Arabowie. Któżby tuszył, z próżnemi rękami do niéj przystąpić, jakież tu może być miejsce dla ubóstwa!"

„Jak źle zasłużył się o was ów ojciec bogów, gdy tak kosztowny kochanek Danaę zwodził. Stąd od boga poczęły dziewczęta na zysk się oglądać i rzadka jest, którąby innym kunsztem złowić się dała. Tu nie znaczy szlachectwo ani rodziców starożytna chwała, tu ani cnota, ani dowcip. Kto da, zrówna się czynami z wielkim Achilesem, kto da, zwycięży twe wiersze, Homerze; ale kto będzie ubogi, wyśmieją go i o wilgotny próg często nadtrze szlachetnego boku i wytrwa silny mróz i nocne deszcze, inny zaś na łonie pani leżéć będzie."

„Abym tegoż ciągle nie cierpiał, niechżeż mi ona i plecy z téj sukni wyzuje, niech wyzuje i nawet niech domu mych dziadów nie szczędzi, a wtedy mi naprawdę motyki chwycić się przyjdzie."

Dodajmy jeszcze kilka uwag. W tekście druku wymieniał poeta prace i plony pola i ogrodu lub gaju, które w rękopisie opiewa, na trudy i rozkosze łowiectwa: uczynił to wyłącznie dla urozmaicenia, bo o owych pracach i plonach mówił już w elegii III, 2; żeby się więc zbyt nie powtarzał, o myślistwie wspomniał, prawdopodobnie dopiéro kiedy o Lidyi już zapomniał, kiedy w Polsce dawne rymy przetapiał. Druga część elegii tyle razy powtarzana skarga na złoto, które miłość popsowało, wieczne narzekanie ubogiego żaka, dlatego w druku zmieniona, ale z nią padł zarazem końcowy dwuwiersz, wyraz rezygnacyi gorzkiéj: niech ostatek porwie, byle nie odpychała, a potém ubóstwo mnie czeka; w łacińskiém brzmieniu gra słów: *mihi res ad rastros redit* (do motyk schodzi), ubożeję.

Czwarta u Osmólskiego, w druku I, 10, zgadzają się oprócz różnic stylowych, nieznacznych w pierwszych szesnastu wierszach, daléj rozchodzą się zupełnie. Poeta oczekuje Lidyi; niecierpliwi się; potém, w druku, prosi najpierw gwiazd, daléj księżyca, by rączym biegiem nocy nie skracały, wstawia przytém mitologiczne epizody, o Kalisto

i o Endymionie, dorobione w Polsce, przy wczasie; przeważa nakoniec bojaźń, że Lidya nie przyjdzie, kończy więc wyrzekaniami na niestałość kobiéty. W elegii rękopisu brak mitologii, za to wiele więcéj życiowych szczegółów:

„Ale któż to jest, kto teraz głośnemi ustami świszcze i bojaźliwą ręką progu mego próbuje? Jest-li jaka wiara, toć ona i przyobiecane rozkosze niesie, ona pomna swego przyrzeczenia."

„O ja biedny! jak mylne są ludzkie przeczucia, jak snadno uwierzysz. cobyś chciał by się ziściło. Powietrze trochę wzruszyło nocnych szelestów, ja głupi myślałem, że to jéj kroki. Niecna, dla ciebie całą noc nie śpię, i ptak już pełném gardłem dzień wywołuje. Pościel w nieładzie leży na łożu i płaszcz mój, nim z łóżka spadnie, ledwie mi końce nóg zatrzymują. Ty zaś tymczasem z włosami, przetkwionemi kwiatem, siedzisz między podanemi puharami pełnemi napoju albo przy dźwięku lutni wodzisz strojne tańce i za mnie teraz przy tobie może ktoś inny."

„Ach, niewierny rodzie! tylko zdrady stroić umiecie i drwić z biednych mężczyzn. Nieszczęsny, kto wam łatwe ucho udzieli, albo mniema, że słowa jakąś wagę mają. Ten może wierzyć, że deszcz suchy, a ogień mokry, kto wierzy, że wy bez zdrady mówicie."

Piąta u Osmólskiego, wyłączona z druku. Jéj Torkwatus i Likorys (nazwa kochanki owego liryka, Gallusa), to Andrzéj, prawdopodobnie Nidecki i kochanka, dawniéj Doralice zwana; Andrzéj-Torkwat opuszcza Włochy, przez Alpy ku Francyi się kierując, która właśnie hiszpańską wojną zawichrzona, ekspedycyą do Włoch na Piemont wysyła, co zimę roku 1556 wskazuje; do Torkwata jeszcze jeden wiersz posiadamy, we „Foricoeniach," pod którym pseudonymem znowu Andrzéj, Nidecki raczéj niż Dudycz, ukrywać się może; o Nideckiego kłopotach miłosnych, które z Janem dzielił, „Fraszki" świadczą. Torkwatus, przysiąg niepomny, kochankę opuszcza, która mu śle rozpaczliwe zaklinania, o niebezpieczeństwach drogi dla grasującego żołdactwa, dla szorstkości klimatu przestrzega, nakoniec pomstą Wenery grozi. Sama zaś na niego gniewać się nie umié, czém mniéj on o nię dba, tém więcéj go kocha, nadzieja jedyna przy życiu ją utrzymuje; nie wymaga być jego poślubioną, ani od ojczyzny oddala, jéj wystarczy, gdy ją jeszcze raz tylko odwiedzi; niech wtedy Parki jéj życia doprzędą. Temat ten obrobił był wyżéj, I, 4, chociaż ze zmianą ról; tam do Andrzeja w imię opuszczonéj sam się odzywał, kreślił żal i niepokój, jakie go kiedyś ogarną, zapewniał, że samby dla zysku miłości nie wydal; tu zaś — niby heroida Owidyusza, list kochanki, pełen próśb i przestróg, łez i rezygnacyi, do wiarołomnego. Że list ten z druku wyłączył, pewnéj przyczyny podać nie umiemy, chociaż rzecz widocznie jedna ze słabszych, żadną nową myślą, żadnym trafnym zwrotem nie

uderza; czy może dlatego tylko, że ta elegia z innemi się nie zgadza, w których wszystkich poeta od siebie lub od jakiegoś kochanka, nigdy już od kochanki nie mówi?

„Te zlecenia, o Torkwacie, śle tobie Likorys, jaka cię ziemia, jakiekolwiek okolice objęły. O piersi twarda, by mój taki ból znosić, cierpisz, że rozpływam się w takie łzy i życie moje tak niecenne się tobie wydało, bezecny, żeś ubiegł, a dusza moja omdlewa."

„Był przecież czas, gdyś ty zwykł był przysięgać, że w życiu niemasz nic droższego nademnie i że nie opuścisz, póki ci żywota stanie, albo do grobu nie włożysz nieznaczne me kości. Obietnice te porwały nieziszczone błędne wiatry, a o tobie nie wiem, jaki cię kraj świata dzierży."

„O gdybyż Jowisz niezmierzone Alpy wyżéj nasypał i śmiałym drogom przeszkodził. Czyż nie słyszysz, jakąż walką Gallia się nuży i wielkie siły cesarza jedna łamie. Dójścia wszystkie zamknięte, wszystko trzyma żołnierz barbarzyński i chwyta łup, gdziekolwiek może. Nic pobożnego, nic świętego nie znają żelazne wojny: wojny, błagam, unikaj, jeślim ci cośkolwiek miła."

„Niech cię też nie zwodzi łagodność pogodnego nieba: nie ten sam krąg w zimnych Alpach będzie. Tam nie zobaczysz, ani by Ceres na uprawionych polach żółciała, ani by nowa łoza winna bujała, ale twarde skały i źwierza dzikie nory, ale nagie lody i mróz nieustanny. Wstrzymaj krok, o Torkwacie, i cugle zgiąwszy nawracaj, pókić wolno; wbrew miłości droga cię wiedzie."

„Sama Wenera słyszy me westchnienia, sama skarg baczy i współczuje mym łzom sprawiedliwa, a twardości twéj, którą mię nikczemnie zdradzasz, wiarołomny! nie lubi i któżby tak żelazne serce pochwalił! Jedyna ja nie mogę się na cię gniewać, jakeś zasłużył, jedyna ja, chociażeś nie zasłużył, kocham cię i jak cię całkiem odeszła wszelka troska o mnie, tak mnie nędznéj ciągle miłość wzrasta."

„Wzrasta miłość, ze znużonego ciała siły uchodzą i zanikłabym, gdybym nadziei nie miała. Ta jedna jakkolwiekbądź wspomaga mą boleść, ta usypia troski i mój upad podnosi. Ani ty bądź tak bardzo dzikim, ani tak żelaznym, abyś mnie na zawsze twego widoku pozbawił, ale wraz z sobą me życie mi oddaj i nie dopuść, bym z tęsknoty za tobą umierała. Nie na to ja mówię, bym cię zazdrosna od ojczystych ziem zwracała, albo kiedyś twe łoże poślubiona przycisnęła, mnie biednéj dosyć niech będzie, gdy mię raz nawiedzisz, wprzód niźli zamierzysz ku szczęsnym państwom ojczystéj ziemi. I wtedy niechaj siostry prządki moje nici zerwą, żadna mi śmierć na twém łonie gorzką nie będzie."

Elegia szósta rękopisu, w druku II, 2, do Bacha, niech zagłuszy ból serca, jaki miłość ku nieużytéj, naturalnie Lidyi, sprawia. Różnice stylowe pomijamy; wtrętu dydaktycznego o krótkości życia naszego, wierszów 17 — 24, pierwotnie nie było; wedle tekstu druku twardéj dziewczyny zmóc nie mogły, „ani moja Muza, ani miłość, ani rzadka wierność", wedle rękopisu prozaicznéj, ale prawdziwiéj „nic ciebie nie wzruszyły me pieśni, nic podarki i usilne prośby."

Elegia siódma rękopisu, w druku II, 5, znowu do Lidyi, pełna skarg i melancholii, skarg też na tego, który zazdrościł jego miłości;

o zazdrośniku, który przed kochanką, a więc Lidyą, poetę oczernił, że inną kocha, jest mowa w elegii III b, tutaj na niego przekleństwa się sypią. Różnic między rękopisem a drukiem, który jeden obojętny dwuwiersz opuszcza, nie ma.

Elegia ósma rękopisu, w druku II, 6, do Lidyi, pełna wyrzutu i gniewu. Różnice głównie stylowe, ale zarazem dla tego, kto w bajkę przez p. Löwenfelda niezręcznie uklecona o Lidyi w Paryżu uwierzył, dowód z dokumentu, że romans z Lidyą w Padwie się rozegrał: uchodząc przed niegodną chce poeta, by jego oczy już nie widziały „n i e n a w i s t n y c h pagórków“ (*invisos... colles*), ale w rękopisie „e u g a n e j s k i c h pagórków“ (*euganeos... colles*), to znaczy padewskich wedle sposobu mówienia rzymskich poetów. Zamiast drastycznego zakończenia w druku (utopcie mię wiatry, gdybym miał zamiar powrócić), romantyczna przesada:

„Ale wy, żeglarze, żadnych wiatrów nie żądajcie ani nadcierajcie wiosłami rąk waszych, moje westchnienia popchną okręt, choć niechętny, do ostatniego wybrzeża morza i do Antypodów“.

Nadmieńmy mimochodem, że ciągiem dalszym téj elegii jest elegia II, 3 (druku): dlaczego mną tak wichrzysz, miłości, dopieroco rozgoryczony porzuciłem mą panią, teraz zaczynam nieprzyjacielowi miękcéj się stawiać; dwuwiersz (*devovique caput* i t. d.), w którym wspomina o klątwie, gdyby się wrócił, wywołał prawdopodobnie ów koniec elegii II, 6, jak go w druku czytamy, związek między niemi widoczny. Elegia II, 3 również do Lidyi się odnosi, jak z nielicznemi wyjątkami, wszystkie łacińskie elegie erotyczne.

Dziewiąta rękopisu elegia, w druku II, 4, zjawienie się Wenery we śnie, która umysł zawichrzony różnemi dręczącemi uczuciami (ku Lidyi) uspokaja. Różnice liczne i znaczne, ale głównie stylowe, w rękopisie szumniejszy opis błyskotliwego ubioru bogini; zapewnienie, że „ty może nigdy doświadczonym kochankiem nie będziesz“, ku końcowi prozaiczniejsze wyrażenie: „(chociaż nie dajesz sobie wmówić), że ona ciebie z duszy kocha, co tak często wyznaje, wiem przecież, że ci ona nie niechętnie użycza, czego i temuby niecna użyczała, któregoby nad żywot kochała“.

Dziesiąta elegia rękopisu, w druku II, 9. Poeta cieszy Liguryna, płaczącego nad uporem Neery, radzi bólu nie okazywać, wskazuje siebie, którego kilkuletnia, wierna służba (Lidyi) srogą niewdzięcznością odpłacona; polubiła Lidya innego, ale i temu nie zawsze w jéj sercu panować. Różnice stylowe, nieznaczne; wzmianka o miejscu romansu z Lidyą znowu zatarta, bo w tekście druku czytamy: „jeźli

mię widzisz chodzącego po samotnych miejscach“ a w rękopisie „chodzącego nad brzegami M e d u a k u“ (*Meduaci ripis me Ligurine vides*), Medoacus (*minor*), to Bacchiglione, nad którym Padwa leży.

Jedénasta i ostatnia elegia rękopisu, w druku II, 11, napisana ku końcowi 1556 r., różnica między drukiem a rękopisem tak znaczna, że brzmienie rękopisu w całości podamy. Druk zaczyna od zużytego poprzednio motywu, od snu, w którym się poecie zdawało, że do tego morza skakał, gdzie pamięć miłości ginąć zwykła— mylnie podsunięto człowiekowi szesnastego stulecia niebywałą wtedy myśl o samobójstwie z miłości i o Mickiewiczu wspomniano— dalej prosi poeta Wenerę, by rannego kochanka odpuściła nareszcie na zasłużony spoczynek, dokąd i Karol V się udał, złożywszy berło; kończy chwałą cesarza. W rękopisie zupełnie odmienny początek, bez snu romantycznego.

„Niech nie mam nic więcéj z tobą do czynienia, o Wenero! oto szaty, oto nocne pochodnie przyjmij, o bogini! I ja nie chcę, raz ze zgryźliwém obliczem, raz z pogodném czołem, to ze zmarszczonemi brwiami chodzić, i przywyknę sam na moim łożu spoczywać, a choćby i całą noc w domu zostawać.

„I ty też Lidyo! śpij sny spokojne ani roj sobie jakich nadziei, ani sobie jakich bojaźni: co do mnie, nie będziesz, światło me, płakać nad włamanemi drzwiami, ani groźb doświadczysz, z prośbami zmieszanych, ani ci się zazielenią progi zawieszonemi wieńcy ani przed twemi drzwiami ochrypły flet wzdychać będzie. Dosyćem już przejrzał zdrady, dosyć poznał waszę niecnotę; zdaje się, żem zasłużył już laskę (znak spoczynku żołnierza weterana).

„Teraz mówią, że i cesarz, długim wiekiem znużony, złożył berło ze starzejącéj ręki i wodze państwa bratu ku kierowaniu ustąpił, sam o swéj starości myśli, jak koń, który, gdy siła strudzonemi laty wygasła, powściąga się w ukrytéj stajni, aby nie stracił zyskanéj chwały i dawniejszych wawrzynów, które zasłużył, zwycięzca na polach olimpijskich.

„O ojcze, o wysoka podstawo upadających rzeczy, o ręko nigdy bronią nie zwątlona, właśnie w tym wieku najwięcéj należało ci się urodzić, jeźli bogowie światu poradzić chcieli. Bo któreż wieki słyszały o większych rozruchach, kiedyż piła ziemia więcéj krwi naszéj? Widzieliśmy, że królowie nieprzyjaznemi znaki się ścierali, a niewolnicy swym panom wojny wypowiadali: widzieliśmy gwałtowne w religii zaburzenia i że o nowe nabożeństwo niecnéj broni się chwytano. Dzikie pokolenie nawet bogów ołtarze zwaliło, zrównało ziemi świątynie i poderwało bogów. Cóż mam w pieśni wspomnieć, jakie klęski nanosi wprowadzony naszym buntem Geta, spustoszył pola, mieczem pułki poraził, rozdrapał miasta i poddał je jarzmu. Między te zaburzenia ty się zjawiasz jak bóstwo, często wzywane, gdy morze burzliwe. Tyś zjednoczył przymierzem niezgodnych obywateli, tyś był mścicielem starożytnego nabożeństwa, przed tobą uciekli, szyki zerwawszy, lękliwi Turcy, nie inaczéj jak owiec stado, gdy wilk nadchodzi. Ale ty sam silne floty przez morza poprowadziłeś i postawiłeś świetne trofea na ziemi Afrykańskiéj. Tyś w wojnie niezwyciężony, tyś samym nieprzyjaciołom łaskaw, czego ani dziki Sas, ani ty, mniemam, Francuzie, nie zapierasz. Teraz

syt życia i sławy, spokojnym oczekujesz duchem ostatnich losów i dnia twego, który cię nie mimo twéj chęci z tego śmiertelnego więzienia wybawi i postawi w błyszczącéj wieży najwyższego nieba, gdzie wielki Alcyd. gdzie Liber, gdzie sam Kwirinus wiecznie dzierżą władzę z niezmierzonym Jowiszem. Ale my nie będziemy opłakiwać ani twéj zgrzybiałości, ani kości twych, bo twemi zasługami będziesz żył po wszelki czas".

Wiersze te świadczą wyraźnie, jaki urok wywierała postać cesarza na młodego Polaka wtedy właśnie, w tych Włoszech, gdzie tyle żywych wspomnień o Pawii, Rzymie, dalekim Tunecie, fatalnym Algierze, ciągle się mu nasuwało. Po latach zaś dwudziestu lub dwudziestupięciu w dalekiéj Polsce, w oczach obywatela Polaka, zmalał już był znacznie ten urok; nie wypadało już, panegiryku, jaki przemijające wrażenia były wywołały, w całości powtarzać. W czterech dosyć skromnych wierszach ujął teraz poeta zasługi cesarza: tyś mógł twemi radami przywrócić starożytną powagę i ozdobę cesarstwa, tyś nadłamawszy rogów, poskromił Ren i Elbę, gdy oboje z brzegów wykraczały; wtedy zaś rozprawiał poeta w długim ustępie o osobliwszym posłannictwie cesarza, o zawichrzeniach chłopstwa, o zaburzeniu religijném, o pierzchających Turkach, o zwycięstwach jego i łasce.

Streśćmyż poszczególne wywody.

Co zyskaliśmy z zebranego materyału dla poznania poety samego? Jeśli o daty zewnętrzne, biograficzne, idzie, nie wiele w tak wczesnym zbiorze złożył poeta, niemal tylko te wrażenia, jakich we Włoszech doznał. Najsilniejsze między niemi wywarła Lidya i romans z nią kilkoletni, z najrozmaitszemi przejściami, z całą skalą uczuć od łatwego poznania, chwilowego zdobycia, od przemijających rozstań i łączeń do wzajemnych wyrzutów, nieufności, zdrady — bo i poeta, wedle własnego wyznania, u innych umyślnie pociechy szukał choć nie znajdował; z biegiem czasu częstsze, dotkliwsze upokorzenia miłości własnéj, na jakie się natrętny a ubogi kochanek narażał; zrywa się nieraz, dumny ze swego rodu i własnego dowcipu, wylewa swą gorycz w ucinki, sarkazmy, przekleństwa; ślubuje zapomnieć, nigdy nie wrócić, a wraca, usilnie kryjąc łzy i niepokój, by ich na domiar nie wyśmiano. Cały był uwiązł w téj nieszczęsnéj miłości i dopiéro obca ręka, któréj późniéj dziękował, przyśpieszyła zerwanie, na jakie sam nie umiał się zdobyć.

Pojedyńczych faz tego romansu, na podstawie elegii łacińskich, szczegółowo śledzić nie będziemy; kilka ważnych rysów dostarczył właśnie nasz materyał, dowodów mianowicie, że Padwa miejscem tego

romansu; że niektóre elegie jak te, gdzie nazwy bogdanki nie wyrażono a nawet ta, którą do Pazyfili później odniósł poeta, Lidyi pierwotnie tyczyły, że poeta niemal pięć lat w Padwie bawił (1552—1557).

Zaznaczmyż jeszcze, że miłość Lidyi stanowi treść i większéj części pieśni erotycznych polskich. Szukano w nich mylnie wszystkiego, tylko nie tego stosunku, gdy tymczasem na podstawie porównania elegii łacińskich z wszelką pewnością szereg tych pieśni do Lidyi odnieść się daje. A więc np. wiersze „Juno, porzuć swój gniew długi“ i „Złota to strzała i krom wszego jadu była, którą mię niepochybna miłość uderzyła“, te wiersze o „pannie wszech piękniejszéj i jéj świętych obyczajach“, o których bajano, że Dorocie ofiarowane, to są te wiersze właśnie „nowotnéj Muzy słowiańskiéj“, o których w eleg. I, 6 mowa; daléj wiersz o podróży z opisem przygody Europy, wiersz na rozstanie się z „panią wszech piękniejszą, co ich kolwiek przyniosła chwila teraźniejsza. Już mi z myśli wypadły te obecne twarzy i t. d.“ (porównajmy „zgładzam już z myśli wręcz wszystkie kształty, które na różnych miejscach podziwiałem“, eleg. I, 6) i wiersz do nieobecnéj, gdzie ją znowu zapewnia o swéj wierze i miłości, a twierdzi „nie tylkoś nad insze gładszą się urodziła, aleć i zwyczajmi twarzy nic nie zelżyła“. Oto kilka wierszy z epoki pierwszego niezamąconego większym żalem szczęścia, ale po jego użyciu gorycz została, a więc pierwsze otwarte wyznanie, że się zawiódł, we wierszu „Muszę wyznać, bo się już niemasz na co chować“, wymówki i przestrogi we wierszu „Nie za staraniem ani prze mą sprawę miła! po tobie znam taką postawę“, żale i wyrzuty we wierszach „Rozumie mój! próżno się masz frasować“ i „Nie źle czasem zamilczéć, co człowieka boli“, daremne wyczekiwanie pod fórtą „Ty śpisz, a ja sam na dworze... cierpię nocne niepogody i t. d.“ i skargi téj fórty „Użałuj się kto dobry a potłucz zawiasy i t. d.“ nakoniec sarkazmy i skargi przed przyjacielem Nideckim, w których otwarcie wyznaje, że zbyt schlebiał bogdance, że wstydzi się teraz téj przesady, bo ona ani tak piękną ani jéj obyczaje jakiéj chwały godne, więc téż jego nieprawdę fałszem mu oddaje: we wierszach „Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie“; „A cóż radzisz Jędrzeju?“; „Który mój nieprzyjaciel“; „Bogini, która miłością szafujesz“ i i. Porównanie tych pieśni między sobą i z elegiami łacińskiemi, w których te same motywa lub nawet zwroty się powtarzają, wykazuje dowodnie, do kogo się wszystkie odnoszą.

Tyle o Lidyi. Z innych obrazów i myśli, jakie młody umysł w to pięciolecie napełniały, uderza nas nieprzeparty urok, który wy-

warła postać owego cesarza, żegnającego się ze stanami i kreślącego własnemi usty, czego w życiu dokonal a czego dokonać zamierzał. Daléj przypuszczane tylko dawniéj, obecnie zaś zadokumentowane zajęcie, z jakiém poeta śledził spory religijne, krytykę dogmatów katolickich, oraz znane przejściowe skądinąd oburzenie, które go na widok rozwiązłości duchowieństwa a ześwieczczenia papiestwa przejmowało; ważny to dowód, że nic z ruchów ówczesnych umysłowych młodemu poecie obcém nie było, że się w jedném uczuciu nie zasklepiał. Więcéj zyskujemy dla poznania samych dzieł jego, bo z nowym materyałem tym, jako przewodnikiem wchodzimy niby w samę pracownię poety, widzimy, z jaką starannością o twory swe dbał, jak je piłował i gładził, by doskonałość formy osiągnąć.

Zbiór powstał wcześnie przed rokiem 1562, czego obok rękopisu samego, elegia o Tęczyńskim nie mająca jeszcze dodatku, jaki śmierć młodzieńca w roku 1562 wywołała, dowodzą! Może to właśnie pierwwsza redakcya, to znaczy pierwsza próba wyboru między elegiami, jakie się w ciągu lat około ośmiu na tle pobytu włoskiego i nowych wrażeń polskich wytworzyły. Zasadą główną przytém było, dbać o urozmaicenie, nie szeregować więc utworów, jak chronologicznie powstawały, ale je przetasowywać, choćby ze szkodą ciągłości myśli i związku; tą samą zasadą kierował się jeszcze poeta, gdy je w druku wydawał. Wtedy następstwo pojedyńczych elegii nowym poddał zmianom, przestawiał dawne, wsuwał nowe, ale dwom wyróżniająca je treść miejsce na początku i końcu ksiąg zapewniła. Pierwsza bowiem elegia pierwszéj księgi, jakby preludyum całego zbioru, wskazuje miłość, która poetę stworzyła; w ostatniéj drugiéj księgi żegna to pole, z którego jak stary żołnierz z niezatartą blizną powraca, i prosi o wczas zasłużony boginią, któréj niech młodzi służą. W trzeciéj księdze zacznie więc od utysku na tę boginię, która łamiąc przymierze do nowéj walki go wyzywa. Daléj w szczegóły następstwa wchodzić nie będziemy, zaznaczymy tylko, że w pierwszych dwóch księgach elegii przeważną większość utwory padewskie stanowią, które w dwóch drugich prawie zanikają; podobnie ma się rzecz z podziałem pieśni polskich.

W rękopisie Osmólskiego następuje po ostatniéj elegii drugiéj księgi (na karcie 50) „*Ode ad Venerem, conversa ex Graeca Sapphus*“, tłómaczenie rzeczywiste, nie przeróbka, jaką z druku znamy. W oryginale Safo od siebie się skarży, kochanka (pomijamy, że na kochankę) i to zachował poeta, a więc zwroty „czego bym smutna wołała“

lub „któż ci niesłuszny, powiedz o Safo“. W późniejszéj przeróbce włożył zaś poeta tę prośbę w usta kochanka-mężczyzny i dlatego tekst na kilku miejscach znaczniéj odmienił.

Na karcie 51 a, następuje „Piesn“, którą z fragmentów jako pieśń trzecią znamy; różnice między drukiem a rękopisem nieznaczne; przestawienie kilku wierszów, 7—10; po 32 dodane: „Niech się pijaństwem, ani grą nie bawią, Niech marnie czasu dobrego nie trawią“; w wierszu 28 „niepobożnie żyje“ zamiast „niepobożny żyje“ druku i inne. Wiemy więc teraz, że pieśń tę należy do najwcześniéjszych odnieść; opiewa w niéj moc boską; objaśnia, dlaczego źli nad dobrymi przewodzić się zdają i nakłania do cnego żywota; kończy naleciałościami z Horacego i mitologią.

Piękniéj moc boską wyśpiewał w spółczesnéj pieśni, którą na karcie 56 a, znajdziemy, w sławném „Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary“; w rękopisie pieśń zaopatrzona jeszcze w tytuł łaciński, który późniéj odrzucił, *Gratiarum actio pro victu*, t. j. dziękczynienie za żywot; różnice między tekstami drobne, przyczyna poprawek druku widoczna, np. jeśli przestawia wiersze, w których pierwotnie naprzód lato, potém wiosnę był wymienił i t. p. Nie wchodząc w to, przytoczymy natomiast dla porównania pieśń nieznaną Wacława Potockiego, z rękopisów petersburskich, w któréj pieśń Kochanowskiego nieraz dosłownie przejął:

Pieśń (dwudziesta druga) dziękczynienia.

Czego chcesz wieczny Boże za swoje dobroci,
Które każda godzina w człowieku stokroci?
Karmisz, poisz, odziewasz, wczasem opatrujesz,
A co większa, że wieczny żywot nam gotujesz.

Zgoła dusza i ciało każdodziennie znają
Niezmierne dary twoje, które nie ustają,
Tak, iż żywot człowieczy nic nie jest inszego,
Tylko regiestr obszerny dobrodziejstwa twego.

Choćbyś w kościele mieszkał ręką uczynionym,
I świat cię nie ogarnie, acz jest tak przestronym.
Złota nie chcesz i skarbów, twoje to są wszytki,
Które ziemia i morze daje nam pożytki;

Ani ofiar i z tłustych cielców krwie kurzawy
I człek i zwierz i bydło twoje to są sprawy,
Przetoż cię wdzięcznym sercem za twe hojne dary
Sławimy, inszéj przed cię nie mając ofiary.

Niebo twój czyn, na którém mierzą wszytkie czasy
Od ciebie nakręcone, ogniste kompasy.
I ziemia rąk twych dzieło i wody zamknione
Rozlicznemi towarami wszędy napełnione

Któż rzekom i krynicom przysparza ciekącéj
Wody? któż spuszcza rosy w letni znój gorący?
Któż chłodzi deszczem ziemię a zemdlone zioła
Obczerstwia, zali nie ty sam, o Panie, zgoła?
Tobie kwoli barwiste sieje wiosna kwiecie
I sowity urodzaj ziemia daje lecie
Tobie jesień owoce przynosi dożrzałe
A zima ziemię kryje w swoje płaszcze białe.
Niezliczone twe czyny wszechmocne zaiste,
Niepojęte roboty, o Panie, wieczyste!
Bądź że tedy na wieki od nas pochwalony,
Za wszytkie dobrodziejstwa, Boże nieskończony!
Żywże nas póki raczysz w téj ziemskiéj niskości,
Tylko niech w Twojéj będziem zawsze opatrzności.

Naśladowanie, mimo kilku szczęśliwych zwrotów, słabsze od zwięźlejszego i tém samém energiczniejszego pierwowzoru.

Tyle do Kochanowskiego z rękopisu Osmólskiego. W dwu innych rękopisach petersburskich znaleźliśmy inny, dotąd nieznany, łaciński utwór Kochanowskiego, bajkę satyryczną na „wybór, koronacyą, i ucieczkę kura“, poświęconą Mikołajowi Firlejowi, kasztelanowi bieckiemu, napisaną więc około r. 1577.

We wierszu „*Gallo crocitanti*“ rozprawił się był Kochanowski z dworakiem, poetą Henryka Walezyusza, ostrém szyderstwem odpłacił był za wycieczki przeciw Polsce; późniéj, gdy oburzenie minęło, gdy losy narodu w innych spoczęły już rękach, spokojny, z ironicznym chłodem wrócił do zaimprowizowanego panowania, do niedoszłego króla polskiego, do owego kogucika francuskiego, który się niewczesném pianiem skompromitowawszy, przy ogólnym śmiechu narodu chyżo umknął, by mu się nie przydarzyło, co psa we Węgrzech spotkało.

Tam bowiem niegdyś, gdy naród na wybór króla zgodzić się nie mógł, zdano wybór na los; będzie królem, kto pierwszy próg przestąpi. Pies przebiegł pierwszy, nie pogardzono tą wskazówką losu, psa obrano i czczono. Ale wyga narowów się nie pozbyła, na złocie i purpurze leżąc, od dostojników obsługiwana, przecież za wyrzuconą kością skoczyła: za ten psi obyczaj ukarał ją śmiercią dostojnik, który jako królobójca za trzy rzeki uciekać musiał, ale rodzina jego sławna na Węgrzech i w Polsce, należą do niéj np. Komorowscy i inni.

Od téj bajki, którą kronikarze i heraldycy szesnastego stulecia często powtarzają, bierze Kochanowski assumpt: jak tam w Węgrzech psa, tutaj kura obrali, jak go czcili, póki dzioba nie rozwarł i nie po-

kazał, czém jest, poczém uszedł, żywotu chroniąc. Z epiczną szczegółowością odmalowany każdy rys, jak się kur nadyma, jak się muska, jak pierze nastrzępia i wstrząsa się, nim wyda głos przeraźliwy, budzący bogi i ludzie; obrazek rodzajowy znakomity, wiersz bardzo udatny. Mimo to poeta go dla druku widocznie nie przeznaczał, nie wcielił np. do liryków, czy nie wstydził się może za rodaków, którzy tego kura obrali?

„Nie baśń to, co opowiadają, że w węgierskiéj ziemi psa królem obrano i że leżącego na Sydońskiéj purpurze, gdy mało miał na tym, pożerać pawie o pstrych ogonach, sterlety i ciasta, ale porzuciwszy stoły, obżarty rzucał się nawet za okruchami i spadłemi kośćmi, krajczy złotym mieczem zabił, bo, choć od pereł lśnił się i złota, przecież bezwstydny psie zwyczaje i zwierzęcy umysł zachowywał“.

„Temu się równa, o przyjacielu Firleju, co się niedawno przytrafiło pod zimną północą, gdy Augusta do domów Bogów zawołano. Bo przy nacisku ludu a wiedzy szeregów uzbrojonych rycerzy, ogłosił liczny senat ptaka kura królem Sarmacyi, w woły obfitéj“.

„Skoro ten więc przywdział koronę i w swój grzebień ryże złoto wprawił, uderzając często spuszczone skrzydło straszliwym pazurem i oglądając niespokojném okiem ogon złocisty, wchodził nadęty pod dworzec wspaniały“.

„Skoro zaś wśród senatu zasiadł, od pereł i lśniącego szarłatu błyszczący, gdy wiele rzeczy, jak to bywa, wniesiono i coby ojczyźnie służyło, to ci to tamci przedkładali, wezwano i króla, by wypowiedział zdanie i po wszystkich kątach wszystkim milczéć nakazano: ten się podnosi, odwrócony gładzi pierze i trze ogon cienkim dziobem, ale gdy mu się zdało, że dosyć nadobny i ozdobiony i strojny, nastroszył się cały, wciągnąwszy pierze i nastroszony wytrząsł odgięte puchy“.

„Nadchyliwszy uszy, dziwi się Polak i otworzywszy książeczki trzyma rysik, chcąc zapisywać, ale ten nagle poruszywszy pióra wleciał dziarsko na stół, i uderzył dwa i trzy razy o bok nieprzyjazném skrzydłem i zaśpiewał bardzo ostro, coby jutrzenkę i śpiące konie purpurowego słońca zbudzić mogło“.

„Na to ogromny śmiech powstał i cały dom rozbrzmiał szeroko nadmiernym, chichotem. Każe herold Kwirytom, sługom Marsa, drwin zaprzestać, i groźby wznieca i berłem rzuca. Napróżno: coraz więcéj się chichot zaostrza ani brakuje syku dworskiéj młodzieży; zamek królewski napełnia się niezwykłym hałasem: skrzydlaty władca lęka się i poczyna na ucieczkę baczyć i od drzwi odcięty okno zajmuje pośpiesznem skrzydłem, wnet bojąc się większego rozruchu ucieka w lekkie powietrze“.

W oryginale łacińskim, liczącym 58 wierszów, zachowana forma, jakiéj bajkopisarze klasyczni używają; różnice między obu rękopisami, które porównywaliśmy, tak nieznaczne, że oba wspólny odpis wskazują.

O stosunkach bliskich, jakie Kochanowskiego z Firlejami, w szczególności z Mikołajem łączyły, wiemy dobrze z innych pism jego.

Tyle znaleźliśmy do dzieł poety; drobne szczegóły, jak współczesne odpisy np. „Sobótki“, nieco późniejsze np. „Psałterza“, jak przeróbki fraszek polskich, zanotowane na brzegach egzemplarza berlińskiego, dalej wypiski z dzieł jego w XVII i XVIII stuleciu, świadczące, że pamięć o nim i jego dziełach nigdy nie wygasła, wszystko to jako mniéj ważne pomijamy. Ale o najwcześniejszéj próbie, tłómaczeń na polskie łacińskich niektórych utworów jego wspomnić nie wadzi.

Biblioteka cesarska petersburska posiada egzemplarz wydania dzieł łacińskich z r. 1612, kupiony 25 lipca 1612 za czterdzieści groszy w Lublinie; od Dominikanów lubelskich dostał się Załuskiemu. Na brzegach kart dopisywała ręka pierwszéj połowy tego wieku tłómaczenia niektórych foriceniów. „*Ad sodales*“ np. (*Hic o amici dum patiuntur fata, bibendum est etc.*) brzmi tak.

„Więc tu, bracia, coprędzy
I z wyroku i z nędzy
Wesoło pijmy sobie.
Nie będzie czasza w grobie:
Tam się wino nie rodzi,
Ani do beczki wchodzi,
Lecz rzeki, które słyną,
Te wszytkie siałką płyną,
A ciemnego jeziora
Brzegi pełne wieczora.
Tu, mówię, przyjaciele,
Pijmy, kochajmy śmiele.
Bo jak Kloto doścignie
Życia nić przestrzygnie,
Ciebie, Filis z Krokalem,
Opuściwszy wnet z żalem,
Na Stygijską łódź wsiędziem
I przewozić się będziem,
Do owéj mgły podobni,
Którą więc Eurus wschodni
Niszczy. Ta gdy wyniknie
Z morza, wnet z wiatrem zniknie“.

Kilka innych (Do Neery, Do Fausta, Anna i i.) opuszczamy; koniec dedykacyi Aratusa do Zamoyskiego brzmi:

„Nie dziw, że nie otrzyma ten co Boga prosi
O dar, którego siła jego nie ponosi.
Choć zaś jednym dadzą gęś a drugim téż jaje,
Każdy jednak na swoim szczęściu niech przestaje.“

A. Brückner.





WYCHODŹTWO DO BRAZYLII.

(NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ URZĘDOWYCH).

Gorączka emigracyjna jest niewątpliwie wielką klęską dla naszego kraju, a prawdopodobnie wielkiém nieszczęściem także dla tych, którzy jéj bezpośrednio podlegają, to jest dla wychodźców. Wynajdywanie i zastosowywanie, wedle możności, środków zaradczych, narzuca się przeto u nas każdemu z dbających o dobro ogólne, a nawet o własny interes. Ale niemniéj pożądanym jest oględny wybór tych antydotów. Bodaj zaś czy dotychczasowe nasze usiłowania w tym kierunku nie przeciwią się saméj dyagnozie choroby, jakkolwiek wyniesionéj w ogólném pojęciu ponad wszelką wątpliwość. Mamy do czynienia z gorączką umysłową; w téj zaś dziedzinie patologii zasada *similia similibus* nie zyskała dotąd wziętości. Szaleńców nie oblewa się ukropem. Kładzie się ich raczéj do zimnéj wanny. Jeden z najwybitniejszych mężów stanu brazylijskich, a najlepszy bezsprzecznie znawca ruchu emigracyjnego w tym kraju, p. Antonio da Silva-Prado, rozmawiając z piszącym tutaj o podróży pana Dygasińskiego, któréj wszystkie szczegóły były mu znane, mówił mu przed kilkoma dniami, co następuje: „Ten pan odbył w ciągu półtrzecia miesiąca podróż z Europy do Brazylii. Jadąc tam i z powrotem najkrótszą drogą, miał tedy pięć do sześciu tygodni na zwiedzenie kraju, którego przestrzeń równa się oniemal obszarowi całéj Europy. Nie widział chyba wszystkiego.“ Zdaje się, że i ci zrozpaczeni wychodźcy, których jeremiaszowe doniesienia pojawiają się na szpaltach naszych pism codziennych, nie widzieli dotąd wszystkiego. Żałosne te nawoływania zapłakanych Maćków i Wojtków wyglądają

tak, jak gdyby były reklamami agentów emigracyjnych przełożonemi na wspak.

Założeniem piszącego tutaj jest przeciwstawić tym niezupełnym informacyom, mającym wątpliwą wartość kuracyjną, czy profilaktyczną, — pewną liczbę danych, zaczerpniętych ze źródeł urzędowych. Przyczém, jak się zaraz pokaże, nie kieruje jego piórem ani chęć sprowadzenia wody na młyn emigracyjnéj propagandy, ani karygodna w tym przypadku naiwność. Zapewne bowiem absolutna wartość tych urzędowych danych może pozostawać problematyczną także; względnie natomiast do upatrywanego celu przedstawiają one tę zaletę, że z jednéj strony podejrzanemi być nie mogą dla tych, którzy wytrzeźwionymi być potrzebują z wabiącego ich za ocean obłędu, z drugiéj strony wystarczyć mogą zupełnie dla dokonania téj kuracyi. *Suum cuique:* język, którym mówi urzędowa Brazylia i Argentyna, a nawet urzędowa propaganda emigracyjna, nie jest wcale podobny do tego, którego słuchają po siołach naszych otumanieni Maćkowie i Wojtkowie.

A przytém nie chodzi tylko o samych Maćków i Wojtków. A nawet, nie o nich głównie chodzi w tego rodzaju przedsięwzięciu. Żaden Maciek, ani Wojtek żaden nie przeczyta kartek niniejszych. Wątpić można i o tém, czy same popularniejsze kuryerkowe doniesienia dostaną się do jego uszu, a jeżeli się dostaną, czy sprawią pożądany skutek. Chodzi więc o to, aby ci, którzy czytają i mają uszy do słuchania informacyi poważnych, nie zaś bajek, rozejrzeć się mogli jasno w sytuacyi, która jest krytyczną bezprzecznie, ale którą przyjąć trzeba jako fakt spełniony, i wiedzieli czego wyglądać mają po niéj, czego się obawiać, a w czém, być może, lepszéj nabyć otuchy. Przyczém i obmyślenie najskuteczniejszéj obrony zagrożonych wspólnych interesów stać się może łatwiejszém.

Wiadomości zebrane na niniejszych kartkach dotyczą jednego tylko z dwóch krajów, pociągających w téj chwili ku sobie ruch wychodźczy z naszych okolic, to jest Brazylii. Urzędowa propaganda i organizacya emigracyjna tego kraju posiada obecnie w Europie dwa główne biura: jedno w Paryżu, na którego czele stoi wspomniany wyżéj mąż stanu, były minister rolnictwa, handlu i komunikacyi, p. da Silva-Prado, drugie w Medyolanie. Wszedłszy w stosunki z biurem paryskiém, oraz z poselstwem brazylijskiém w témże mieście, autor odwołał się także do kilku osobistości, które, przed rewolucyą niedawno dokonaną w Rio-Janeiro, zajmowały w tamecznym rządzie wybitne stanowiska, i, zachowując świadomość miejscowych stosunków, zyskały przez swoje oddalenie od steru spraw krajowych i od kraju sa-

mego większą niezależność myśli i słowa. Ze wszystkich stron spotkała autora wielka uprzejmość i gotowość do udzielenia mu żądanéj pomocy. Między innymi, należy się od niego osobliwy wyraz wdzięczności baronowi d'Estrella, byłemu paryskiemu *chargé d'affaires*, oraz panu Vieira Monteiro, teraźniejszemu pierwszemu sekretarzowi tegoż poselstwa.

Wszystkie więc, streszczone wedle możności i ograniczone, ze względu na szczupłość wyznaczonego im miejsca, wskazówki, cyfry i wnioski, z któremi spotkają się czytelnicy w dalszym ciągu, pochodzą wyłącznie z dokumentów lub ustnych informacyi, osiągniętych tą drogą.

I.

W zbiorowém dziele, wydaném w r. 1889 z okazyi udziału wziętego przez Brazylię w międzynarodowéj wystawie paryskiéj, noszącém tytuł: „*Le Brésil en 1889*“, i, mimo rozmiarów swoich, przedstawiającém poniekąd charakter manifestu *de propaganda emigratione*, znajdujemy następującą uwagę: „W r. 1867 (w epoce pierwszéj wystawy paryskiéj, na któréj Brazylia stanęła do popisu), Europa znała z Brazylii całéj tylko operetkowego Brazylijczyka, febrę żółtą i węża grzechotnika.“ Bodaj czy — uwzględniając ogół publiczności europejskiéj,—przybyło wiele od owéj pory do tych przyswojonych śród niéj wiadomości o wielkiém państwie podzwrotnikowém. U nas, w szczególności, przybyły informacye, dostarczone przez agentów bremeńskich kompanii przewozowych, którzy sławią łatwość znalezienia na miejscu piasków złotodajnych, lub przez przewiezionych emigrantów, którzy dziwią się, że takowych nie znaleźli. Nie od rzeczy przeto będzie uzupełnić tutaj, przynajmniéj pobieżnie, ten zapas statystycznych—geograficznych, klimatologicznych, geologicznych i innych — danych, będących w powszechném posiadaniu.

Brazylia jest krajem położonym w południowéj części Ameryki, zajmującym więcéj niż połowę téj części, między 5° 10′ szerokości północnéj, a 53° 45′ szerokości południowéj i obejmującym w przybliżeniu 8,337,218 kilometrów kwadr. ogólnéj powierzchni. Ze względu na tę przestrzeń i na to położenie swoje, jest to kraj posiadający wielką rozmaitość klimatów, z wyjątkiem jednak klimatu chłodnego. Cechą najogólniejszą, jaka zaznaczyć się daje w tym przedmiocie, jest wysokość temperatury i obfitość wilgoci atmosferycznéj, spowodowana rozmiarami systematu wodnego, najbogatszego na całéj kuli ziemskiéj. Wielka siła wegetacyjna, ale też i obecność „febry żółtéj“ w towa-

rzystwie „węża grzechotnika“ są następstwami tego przyrodzonego ustroju. Pory roku, aczkolwiek uznawane w kalendarzu miejscowym, nie podlegają ścisłemu odznaczeniu w przemianach meteorologicznych. Dla zestawienia zaś z kalendarzem europejskim, kalendarz miejscowy potrzebuje być przewróconym na wspak. Jesień tamtejsza odpowiada tutejszéj wiośnie, i naodwrót. Badania meteorologiczne, dokonane dotąd w tych okolicach, nie są zresztą bynajmniéj wyczerpujące, ani nacechowane zupełną ścisłością. Stwierdzają one przedewszystkiém istnienie trzech głównych stref: zwrotnikowéj, podzwrotnikowéj i (względnie) umiarkowanéj. W pierwszéj strefie, któréj granica, czyli linia izotermiczna, przechodzi niżéj Pernambuco, być może przez Alagoas i Sergipe, i która tym sposobem obejmuje w całości prowinsye: Pernambuco, Parahyba-północną, Rio-Grande północną, Ceara, Piauhy, Maranhao, Para, Amazonas, temperatura średnia wynosi + 25 Cels. W strefie téj rok meteorologiczny podzielić się daje na dwa okresy: okres wielkich deszczów, trwający mniéj więcéj od marca do czerwca, i okres małych deszczów, trwający od października do grudnia. Między temi okresami zaś są peryody suszy zupełnéj. Kiedy pada, tedy pada przez miesiące całe i różnica poziomu wody w Amazonce wynosić może do 14 metrów. Kiedy zaś padać przestanie, tedy przez miesiące całe znowu nie widać kropli deszczu. A czasem taki peryod suchości przeciąga się nienormalnym sposobem przez rok cały, albo przez cały nawet szereg lat. W wieku bieżącym podobne anormalne przypadki trafiały się w latach 1808—1809, 1816—1817, 1824—1825, 1844—1845 i ostatecznie 1877—1879. Czyli że od 1877 do 1879 r. nie widziano wcale deszczu w okolicy, o któréj mowa. Kiedy nadchodzi peryod suchy, ludność miejscowa pospołu z dobytkiem swoim uchodzi w lasy, kędy bydło żyje karmiąc się nawpół zeschłemi liśćmi drzew. Kiedy zaś peryod ten przeciąga się ponad czas normalny swego trwania, ludzie i zwierzęta umierają gromadnie. Dodajmy, że, niezależnie od pory roku i odpowiadającego jéj okresu meteorologicznego, stan hygrometryczny powietrza jest stale taki, o jakim wspomnieliśmy wyżéj. Jeden z podróżników [1]) opowiada, że, sypiając pod grubym namiotem, znajdywał każdego rana ubranie swoje całkiem mokre, a z pokrycia namiotowego lala się woda, jak gdyby po całonocnéj ulewie. Nakoniec, przy schyłku wielko-deszczowego okresu, pojawia się stale kilkudniowe obniżenie temperatury tak silne, że podług niektórych świadectw, wielka liczba ryb

[1]) P. Pinkas, który długo przebywał w téj okolicy, jako inżynier naczelny przy projektowanéj budowie kolei żelaznéj z Madeira do Mamore.

w rzekach ginie z tego powodu każdego roku. Nie potrzebujemy zapewne kłaść nacisku na hygieniczne warunki takiego klimatu i na trudność, dla przeciętnego Europejczyka, oswojenia się z niemi.

Druga linia izotermiczna, przechodząca poniżéj prowincyi San-Paulo i przecinająca prowincyę Parana, waha się jakoby między + 25° a + 20°. Najgorętszym w téj strefie jest miesiąc luty, którego średnia temperatura wynosi + 28°; najchłodniejszym lipiec ze średnią temperaturą + 23,5. *Maximum* nie przenosi jakoby + 37°,3, podług obserwacyi zebranych w okolicy względnie najgorętszéj (Recife, Victoria i Colonia-Isabel); *minimum* absolutne obserwowane sięga tylko + 16°,3. Bodaj czy i tego nie za wiele, albo za mało dla naszego Maćka.

Południowa część prowincyi San-Paulo, oraz prowincye Parana, Santa-Catharina i Rio-Grande południowa, tworzą trzecią strefę, t. zw. umiarkowaną. Jest to Eldorado brazylijskie. „Piękniejszego klimatu nie masz na świecie“, piszą urzędowi sprawozdawcy. Jakoż, podług urzędowych spostrzeżeń, średnia temperatura utrzymuje się tutaj zawsze niżéj + 20°. Jednak zauważyć trzeba, że ten piękny i łagodny klimat mało ma wspólnego z właściwemi nam, pod naszą europejską szerokością i długością i geograficzną wyrobionemi pojęciami o piękności i łagodności w tym przedmiocie. Jest on tak piękny i tak łagodny ten klimat, że ludzie mieszkają w szałasach zaledwie zabezpieczonych od deszczu, a bynajmniéj nie zabezpieczonych od zimna. Zimno jest w rzeczy saméj rzadkim tutaj i nie długo bawiącym gościem. Ale zjawia się swoją drogą każdego roku, w lipcu, i zjawia się nagle, tak, że zasnąwszy śród pięknego letniego wieczoru, mieszkaniec widzi, budząc się nad ranem, pola okryte szronem i zamarzniętą wodą w stawach. Czasem także śnieg pada i czasem nie topnieje od razu, a wtedy (jak np. w lipcu 1858 r. w jednym okręgu Lages) 30,000 sztuk bydła pada od chłodu i od głodu [1]).

Czy jednak zaaklimatyzowanie się w téj strefie, a nawet w dwóch bliżéj zwrotnika położonych strefach brazylijskiego obszaru, jest dla europejskiéj ludności zgoła niemożliwém? Historya Brazylii odpowiada na to pytanie, i odpowiada przecząco. Podług spisu z 1872 r., jedynego dokonanego dotąd, choć niezupełnego w swoim czasie, a nieodpowiadającego zgoła dzisiejszemu stanowi rzeczy, kraj ten liczył 9,930,478 mieszkańców (8,419,672 wolnych obywateli i 1,510,806 niewolników). W téj liczbie zaś rachowano: 3,801,782 mulatów i me-

---

[1]) Ze spostrzeżeń d-ra Avé-Lallemant zarejestrowanych przez Obserwatoryum narodowe w Rio-Janeiro.

tysów, 1,959,422 mieszkańców rasy afrykańskiéj, 386,955 mieszkańców rasy indo-amerykańskiéj i 3,787,289 mieszkańców rasy kaukazkiéj. Czyli, że Europa właściwie zaludniła Brazylię, i wygnała z niéj nawet Amerykę; wytępiła albo pochłonęła rasę miejscową. Tylko nasuwa się tutaj uwaga następująca: sprawcami téj zdobywczéj i kolonizacyjnéj kampanii za oceanem byli europejczycy południowi, Hiszpanie, Portugalczycy, a częściowo Włosi. W ostatnich czasach dopiéro północny żywioł europejski zjawił się tutaj, za sprawą emigracyjnego ruchu, wytworzonego w Szwajcaryi najpierw, a późniéj w Niemczech. Ruch ten rozwinął się potężnie, tak że około 250,000 kolonistów pochodzenia germańskiego przebywa obecnie w prowincyach San-Paulo, Parana i innych. Ale kolonizacya tak świetnie rozpoczęta w tym kierunku, przy współudziale przemyślnych nadbałtyckich przedsiębiorców transportowych, zatrzymała się nagle. Napływ wychodźtwa niemieckiego ustał w latach 1886—1887. Niektóre z dopiéro co wspomnianych kompanii przewozowych zwinęły swoję czynność; inne zwróciły się w inną stronę. I właśnie dzisiejsza nasza emigracya jest następstwem tego zwrotu. Czém zaś tłómaczy się to zjawisko? Tém, że ta kolonizacya niemiecka nie okazała się wogóle pomyślną. W sprawozdaniu, które ogłoszone zostało drukiem i które uchodzić może za urzędowe, jako podpisane przez jednego z członków komisaryatu brazylijskiego na ostatniéj wystawie paryskiéj, czytamy co następuje:

„Liczba kolonii założonych w południowéj Brazylii przez Niemców jest bardzo wielka. Na nieszczęście mniejsza jest liczba tych, które doczekały się powodzenia.“ W tym samym dokumencie znajdujemy tablicę statystyczną ruchu emigracyjnego w porcie Rio-de-Janeiro, która sama przez się jest pouczająca:

Narodowość emigrantów, którzy wylądowali w Rio-de-Janeiro	Okres 1864—72 (9 lat)	Okres 1873—86 (14 lat)	Rok 1887
Portugalczyków	56,351	110,891	10,205
Włochów	9,307	112,279	17,115
Francuzów.	5,862	3,475	241
Anglików	5,252	2,215	72
Hiszpanów	3,229	15,684	1,766
Amerykanów północnych .	3.515	316	31
Niemców	3.119	23,469	717
Austryaków	—	9,022	274
Szwajcarów	—	479	—
Rosyan	—	417	889
Rozmaitych	2,188	26,549	—
Ogółem . .	88,823	304,796	31,310
Przeciętna każdoroczna .	9,869	21,771	

Widzimy między innemi z powyższego wykazu, że emigracya szwajcarska nie istnieje wcale między 1864—72 rokiem. Rezultat to próby, rozpoczętéj już w 1818-ym roku sprowadzeniem 2,000 kolonistów z kantonu Fryburskiego. Koloniści ci przybywali w takich warunkach, o jakich marzyć dziś nie może żaden emigrant europejski. Otrzymywali mianowicie: 1) przejazd bezpłatny, 2) ziemię na własność, z inwentarzem żywym i martwym; 3) 94 centymów dziennego żołdu przez pierwszy rok; 4) trzech księży, doktora, aptekarza i weterynarza, sprowadzonych razem z nimi na koszt rządu; 5) obietnicę szybkiego pobudowania kościoła kosztem monarszym; 6) uwolnienie na lat dziesięć od służby wojskowéj. I tam daléj. Był to tak zwany kontrakt Gachet, słynny w dziejach kolonizacyi brazylijskiéj. I kontrakt ten nie przyniósł oczekiwanych owoców. Założona przez przybyszów osada, Nowy-Fryburg, nie stała się, jak obiecywano sobie, środkowym punktem szybkiéj aglomeracyi nowych kolonistów, nie rozwinęła przyciągającéj siły. Dowiedziawszy się od swoich ziomków, jak im się powodzi za oceanem, reszta Szwajcarów została w domu. W okresie od 1873 do 1886 roku próba wyzyskania tego źródła zbyt nagle zatamowanego, ponawia się, ale z małym skutkiem. W roku 1887-ym zaś napływ ustaje zupełnie. Jednocześnie napływ niemieckiego kontyngensu, wynoszący 1,674 przybyszów każdorocznie w poprzednim okresie, schodzi do 717 i narzuca potrzebę odwołania się do naszych Maćków i Wojtków. Stałym jedynie i stale wzmagającym się z roku na rok jest ruch emigracyjny z portów włoskich. Jakoż jedynym przykładem kwitnącéj kolonizacyi europejskiéj, nawet w najbardziéj uprzywilejowanéj strefie brazylijskiego obszaru, są kolonie prowincyi San-Paulo, przeważnie założone i zaludnione do téj pory przez Włochów.

Oprócz większéj łatwości oswojenia się z miejscowym klimatem, składają się na to rozmaite przyczyny: pokrewność języka, podobieństwo temperamentu, a także, i może głównie nawet, podobieństwo zajęć, zabezpieczone przybyszom temiż samemi, albo analogicznemi warunkami pracy i eksploatacyi rolnéj. Strona to bowiem emigracyjnych stosunków w Brazylii, z którą nie rachuje się prawdopodobnie większa liczba naszych wychodźców. Nie rachuje się nasz przeciętny wychodziec z tą stroną, dlatego najpierw, że, słuchając złotodajnéj wymowy polujących na jego łatwowierność agentów, pozbywa się przekonania o potrzebie pracy jakiéjkolwiek dla zabezpieczenia sobie bytu, a nawet dla wzbogacenia się w owym obiecanym kraju. Owóż nawet w „Przewodniku dla emigranta do Bra-

zylii“ [1]), (tłómaczącym skądinąd bardzo wymownie także, dlaczego nie warto żyć w Europie i dlaczego wypada płynąć za ocean, osobliwie zaś w stronę Rio-de-Janeiro), nawet w tym emigracyjną agenturą pachnącym podręczniku znajdujemy następującą przestrogę:

„Myliłby się dziwnie ten z wychodźców, któryby przypuszczał, iż w takim kraju, jak Brazylia, można zyskać majątek, albo nawet dobrobyt, bez pracy...“

Z tego „Przewodnika“ dowiadujemy się, że „Brazylia jest krajem rolniczym, w którym kawa daje zbiór większy, niż w jakiéjkolwiek innéj stronie świata, w którym kukurydza daje 150 ziarn; groch do 100; ryż do 300 i 900... Kawa przynosi od 1,000 do 1,500 fr. z hektara (dwóch morgów); trzcina cukrowa 1,100 fr.; bawełna od 1,000 do 1,500 fr. Tak samo maniok i inne uprawy.“

Ale właśnie w tém obiecującém wyliczeniu słyszymy tylko o kawie, trzcinie cukrowéj, bawełnie, manioku i innych tym podobnych uprawach, o których nasz Maciek i Wojtek nie słyszał nigdy, o których nie ma pojęcia, do których nie łatwo przywyknie, jeżeli przywyknąć potrafi. Zanim zaś przywyknie i do pracowitego a delikatnego czyszczenia krzewów kawowych, lub zbiérania pojedyńczych ziarnek, i do języka miejscowego, i do miejscowego obyczaju i do miejscowego klimatu, najprawdopodobniéj założy ręce i zacznie narzekać na ciężką biédę, w którą się dostał, i zacznie umiérać z głodu obok tych wszystkich skarbów, które są niezaprzeczenie w obiecanéj ziemi za oceanem, ale nie są dla niego.

W rzeczywistości, Brazylia jest krajem rolniczym i krajem wyjątkowego pod tym względem bogactwa. Niemasz takiego gatunku uprawy, do którego nie nadawałyby się gleba i klimat miejscowy. Z wyjątkiem téż nadbrzeża Amazonki (prowincye Para i Amazone), gdzie, ze względu na klimat, szczupłość zaludnienia i obfitość płodów dostarczanych przez naturę samą, uprawa ziemi albo niemożliwa jest, albo zbyteczna, wszystkie rodzaje eksploatacyi rolnéj znajdują tu, albo znaleść mogą zastosowanie. Tylko, tak jak w dolinie Amazonki niedorzeczną byłoby rzeczą orać ziemię, nawet dla zbiérania trzciny cukrowéj, kawy lub bawełny, ponieważ wygodniéj zbiérać kauczuk, kakao lub wanilię z drzew i krzewów, które same rosną, tak samo, nawet w południowych prowincyach, uprawa naszych zbóż europejskich ustępować musi miejsca plantacyom kawowym lub winnicom. Nietylko dlatego że jest mniéj intratną, ale dlatego, że nie może bez-

[1]) „Guide de l'Emigrant au Brésil, publié par les soins du Syndicat du Comité Franco-Brésilien.“ Paryż, 1889.

warunkowo opłacać się. Nie może się opłacać dlatego, że jeżeli hektar ziemi zasiany kawą lub bawełną przynieść jest w stanie, przy dobrym roku, do 1,500 fr. czystego dochodu, to taki dochód, który nawet w Brazylii niemożliwym jest do osiągnięcia z uprawy pszenicy, nietylko pożądany jest, ale jest niezbędny — dla powetowania strat spowodowanych przez złe, czyli nieurodzajne lata, które tu są chronicznem, nieuniknionem zjawiskiem. I z tem tedy zjawiskiem rachować się musi kolonista, albo nawet prosty pracownik rolny, szukający zarobku w tym kraju. Przewidywać on musi to, że w pierwszym, a być może w drugim i w trzecim roku plantacya kawy, któréj powiodło mu się zostać właścicielem, albo przy któréj zdarzyło mu się znaleść zajęcie, nie da nic zgoła. Zwarzy ją, zniszczy całkowicie pierwszy lepszy kryzys meteorologiczny. W tym zaś razie, właścicielem będąc, podwoić mu wypadnie, albo potroić swój kapitał nakładowy i obrotowy; będąc zaś wyrobnikiem, przygotować się na to, że połowa co najmniéj spodziewanego zarobku ominie go. Zarobek bowiem, jak to jaśniéj wyłożone będzie w dalszym ciągu, jest tutaj, dla wszystkich klas rolnych, całkowicie bezwarunkowo zawisły od urodzaju, urodzaj zaś zawisły jest od warunków atmosferycznych, które nigdzie tak hazardownemi nie są, i których niepewność właśnie tamuje od wieków w tym kraju rozwój gospodarstwa rolnego. Dlatego olbrzymie obszary ziemi, najurodzajniejszéj w składzie swoim, jaka może być pod słońcem, leżą do téj pory odłogiem w tych okolicach; dlatego przeciętne ich zaludnienie nie przenosi 1,67 mieszkańców na kilometrze kwadratowym, i kraj, który, gdyby był zaludniony na podobieństwo Belgii, liczyłby 1,667,443,600 mieszkańców, to jest więcéj, niż cała kula ziemska w obecnéj chwili, kraj ten, jak widzieliśmy, posiada ich tyle prawie, co nasze dziesięć gubernii Królestwa Polskiego. Dlatego wzrost ludności już osiedlonéj na miejscu pozostaje niezmiernie powolnym. Podług najwięcéj optymistycznych przypuszczeń, wynosi on najwyżéj 2% każdorocznie. Dlatego nareszcie kwestya zasilenia miejscowego kontyngensu napływową ludnością europejską, zajmuje w zaprzątnieniach rządu tamtejszego, prowincyonalnych władz tamtejszych, a nawet pojedyńczych tamtejszych obywateli, jedno z głównych, jeżeli nawet nie pierwsze miejsce. „Jest to dla nas kwestya życia lub śmierci“, mówił piszącemu tutaj jeden ze wspomnionych wyżéj krajowców, posiadacz sam stu mil kwadratowych ziemi, niegdyś, przed zniesieniem niewolnictwa, częściowo przynajmniéj uprawianéj. Niewolnicy plantowali tam kawę. Po ich oswobodzeniu, właściciel zatrzymać ich pragnął jako kolonistów. Ofiarowywał ziemię na własność. Zastrzegał sobie

tylko drobny udział w zyskach. „Nie chcieli; rozbiegli się. Trzeba czekać na emigrantów.“ I dlatego jeszcze inny właściciel zaocenowych latyfundyów, piastowawszy w swéj ojczyźnie najwyższe urzędy i dostojeństwa, zadawalnia się dziś stanowiskiem szefa biurowego w paryskiéj agenturze emigracyjnéj.

II.

W komunikacie, udzielonym „Agencyi Hawas“ pod datą 19-go lutego, tenże naczelnik agentury paryskiéj protestuje przeciwko sprawozdaniom Dygasińskiego, które z „Kurjera Warszawskiego“ dostały się aż do *Times'u*, i podług których rząd brazylijski podpisał jakoby kontrakty na dostawę 10 milionów emigrantów, a bremeński „*Norddeutscher Lloyd*“ dostawił już 140,000 chłopów polskich za cenę 300 marek od głowy. P. Antonio da Silva Prado odwołuje się do statystyki ruchu przewozowego w portach niemieckich i do dekretu z 28-go czerwca 1890 r., określającego warunki rządowéj inicyatywy w sprawie wychodźtwa. Może wystarczającém było odwołanie się do rozsądku czytelników, biorących do ręki „Kurjera Warszawskiego“ albo „*Times'a.*“ Podług danych, które ogłosił p. Dygasiński, finansowa doniosłość kontraktów, podpisanych przez rząd brazylijski, równałaby się — trzem miliardom marek! Z budżetem rocznym wynoszącym zaledwie 400 milionów franków, taka operacya byłaby chyba za śmiałą, i trudno przypuścić, aby podejmujący ją rząd znalazł kontrahentów — chyba między naszymi Maćkami i Wojtkami. W rzeczywistości inicyatywa rządowa w téj materyi ogranicza się do rozmiarów daleko skromniejszych. Dekret z 28 czerwca, wyżéj wspomniany, nie odznacza się jasnością redakcyi. Można powiedzieć nawet, iż stanowi on niezbyt chlubny pomnik miejscowego prawodawstwa. Najłatwiéj zrozumiałym jednak jest właśnie artykuł 7 tegoż dekretu, w brzmieniu następującém:

„Art. 7-my. Rząd udzieli kompaniom przewozowym morskim, które zażądają tego, subwencyę w kwocie 120 fr. za przewóz każdego emigranta dorosłego, dostawionego przez nie do portów rzpltéj, i stosunkowo połowę téj sumy od każdéj głowy dziecka niżéj lat 12-tu, a ćwierć téj sumy od każdéj głowy dziecka liczącego 8 do 2 lat, pod warunkiem, aby rzeczone kompanie obowiązały się do wypełnienia wszystkich formalności, przepisanych niniejszym dekretem, i nie przyjmowania od emigrantów więcéj nad różnicę między kwotą wyżéj wskazaną, a ceną całkowitą przejazdów; z czego wylegitymować się

będą musiały za pomocą deklaracyi przez się podpisanych, które będą sprawdzone tutaj za przybyciem".

Nadto, artykuł 16 zapewnia premium w kwocie 100,000 fr. tym kompaniom przewozowym, które w ciągu roku dostawią co najmniéj 10,000 emigrantów, n i e ściągnąwszy na się żadnego zażalenia, bądź w przedmiocie pakunków, będących własnością emigrantów, bądź z powodu swojego sposobu obchodzenia się z tymi ostatnimi.

W rezultacie, wydatek skarbu nie przenosi przeciętnie 80 fr. od głowy emigranta. Przyczém rząd nie zawiéra umowy bezpośrednio z samemi kompaniami przewozowemi, ale odwołuje się do pośrednictwa miejscowych przedsiębiorców *ad hoc*, którzy naturalnie zabezpieczają sobie pewien zarobek. Cyfra 300 marek podana przez pana Dygasińskiego odpowiada normalnéj cenie przejazdu z Hamburga do portu Santos trzecią klasą (23 dni drogi). Przejazd do tegoż portu kosztuje: z Hawru 150 fr. (24 dni), z Bordeaux tyleż (22 dni), z Genui 250 fr. (18 dni), z Londynu albo Liwerpolu 300 fr. (26 dni), z Lizbony 187 fr. (16 dni). Że mimo różnicy tak znacznéj między tą normalną ceną, a tą, którą bonifikuje rząd brazylijski, kompanie wychodzą na swoje, zapewniając wychodźcom przejazd bezpłatny, to się tłómaczy ilością przejazdów tym sposobem uzyskiwaną przez nie. Przyczém o wygodzie przejeżdżających nie ma oczywiście mowy. Nadmienić jednak wypada, że niektóre prowincye zapewniają ze swojéj strony tymże kompaniom korzyści znaczniejsze. Wyszczególnimy je późniéj.

Ze swojéj strony rząd nie poprzestaje na subwencyonowaniu i premiowaniu transportowych przedsiębiorstw. Część druga dekretu z 28 czerwca 1890 r. zawiéra rozporządzenia dotyczące subwencyi obiecanych właścicielom gruntów, którzy przystąpić zechcą do osiedlenia u siebie (*collocar*) wychodźców europejskich. Przedewszystkiém grunta przeznaczone w ten sposób dla kolonizacyi europejskiéj winny być zapisane w osobnym rejestrze z dołączeniem ich opisu, zawierającego dokładne dane o jakości gleby, jéj przydatności do uprawy, obfitości wód na miejscu się znajdujących, zdrowotności klimatu, i t. d. Odległość ich od punktów targowych, albo od najbliższej stacyi kolei żelaznéj nie powinna przenosić 43,200 metrów, licząc od środka posiadłości. Przestrzeń gruntów obejmować powinna co najmniéj 300 hektarów ziemi już oddanéj pod uprawę, albo 500 hektarów ziemi jeszcze nie uprawianéj.

Ale jak o tém nadmieniliśmy już, urzędowego tego języka nie słuchają nasi Maćkowie i Wojtkowie. Nie słuchali go i dawniéj włoscy lub niemieccy koloniści, wabieni za Ocean. Nie wiadomo

nawet dla kogo przeznaczony jest ten język. Chyba dla dyplomacyi europejskiéj, wobec któréj nakazana jest postawa oględna. Agentury założone w Medyolanie i w Paryżu nie są też bynajmniéj biurami werbunkowemi. Ani włoski, ani francuski rząd nie ścierpiałby takich biur. Są to biura informacyjne. W Medyolanie nadano temu biuru charakter muzeum etnograficzno-przemysłowo-rolniczego. Ciekawi przyglądać się tam mogą okazom kawowych krzewów, rozgatunkowanym próbkom trzciny cukrowéj i bawełny, zestawionym planom, mapom i tablicom statystycznym. Późniéj założone, koczujące dotąd na antresolu pospolitéj *maison meublée*, biuro paryskie (*Boulevart Haussmann*, 29) rozwija się dopiéro pod biegłym kierunkiem pana de Prado. Nosi on urzędowy tytuł „specyalnego delegata ministeryum rolnictwa“. Właściwa propaganda, ta z którą mają do czynienia obecnie nasi kmiotkowie, i odpowiadająca jéj werbunkowa działalność chodzą innemi drogami. W tym względzie oświadczenia, zebrane przez nas z półurzędowych albo nawet z urzędowych źródeł, nacechowane są otwartością, która nic do życzenia nie zostawia i którą nazwaćby nawet można cyniczną, gdyby nie pamięć o tém, że Brazylia jest krajem amerykańskim. Rząd brazylijski nic nie wié nic o werbownikach, polujących nad Wisłą, czy gdzieindziéj, na polskiego czy innego chłopa czy wyrobnika. Nie chce o nich nic wiedzieć. Umywa sobie ręce od spraw ich i przedsięwzięć wszelakich. Rząd umawia się jedynie z przedsiębiorcami *en gros*, podejmującymi dostawę tylu, albo tylu par rąk zdolnych do pracy, którzy to przedsiębiorcy porozumiewają się z kompaniami przewozowemi, które to kompanie, dla zapełnienia swoich pokładów okrętowych, używają takich lub innych środków. Rząd nie ma, nie chce i nie może miéć żadnéj kontroli nad temi środkami. Przed kilkoma laty był podobno okólnik rozesłany konsulatom w portach włoskich i niemieckich, który udzielał im w tym względzie pewne atrybucye [1]). Wynikły stąd wszelako nieporozumienia dyplomatyczne, którym chcąc położyć koniec, cofnięto ów dokument. Obecnie bremeńskie i inne przedsiębiorstwa działają całkowicie na własną rękę i pod własną odpowiedzialnością. Oczywiście posługują się one ajentami, których jedyném zadaniem jest ściągnąć na pokład okrętowy jak najwięcéj „bydła ludzkiego“ (*sic*). I prawdopodobnie ci ostatni nie cofają się przed wyzyskiwaniem łatwowierności ciemnego gminu. Prawdopodobnie obiecują bałamuconym przez się kmiotkom złote góry i narażają ich na bolesne rozczarowania. Ale

---

[1]) Otrzymaliśmy tę wiadomość z półurzędowego źródła. Urzędownie zaś, jéj autentyczność zaprzeczoną nam została.

rząd położonego za oceanem kraju nie może odpowiadać za łatwowierność nadwiślańskiego kmiotka. Jego rzecz bronić się przed bałamuctwem. Albo tych, którzy naturalną nad nim mają opiekę. Każden dla siebie, nieprawdaż?

Oto polityka, na którój rezultaty patrzymy obecnie nad Wisłą.

Dla ocenienia wszelako właściwéj doniosłości tych rezultatów, dla określenia właściwych rozmiarów klęski, która za ich sprawą dotknęła albo dotknąć jeszcze może nasze stosunki ekonomiczne i społeczne, pamiętać o tém należy, że ta polityka nie jest bynajmniéj nową. Systemat werbunkowy, przeznaczony do zaludnienia brazylijskich obszarów osadnikami europejskiemi, zainaugurowany już był, jak widzieliśmy w r. 1818. W ostatnich latach nabrał on wprawdzie większego natężenia. Jakoż celem jego jest powetowanie uszczerbku, spowodowanego w tamecznéj organizacyi pracy, a osobliwie pracy rolnéj, przez wielką reformę, znoszącą niewolnictwo. Kilkoma zamachami pióra, Brazylia pozbyła się blisko półtrzecia miliona rąk na roli zatrudnionych. Oswobodzony bowiem niewolnik rzadko gdzie przygarnął się do uprawy ziemi na wolnéj stopie. Znikł jak kamfora z opustoszonych nagle plantacyi. Wywędrował, albo rzucił się do przemysłu.

I to samo wystarczyćby powinno dla ostrzeżenia naszych wychodźców. Tém Eldorado, do którego się wybierają, wzgardzili murzyni afrykańscy!

Rok 1888 był punktem kulminacyjnym całéj dotychczasowéj kampanii w tym kierunku. I wszystkie dane wskazywać się zdają, że przekroczony ten punkt nie będzie. W roku tym cyfra wychodźców, którzy wylądowali w dwóch południowych portach, ściągających ku sobie cały prawie ruch emigracyjny, wyniosła 131,268. Dwie przyczyny złożyły się na ten rezultat. Z jednéj strony energiczniejszy zwrot ku polityce kolonizacyjnéj, do którego skłonił się, po rozmaitych fluktuacyach, spowodowanych przesileniami ministeryalnemi, nowy gabinet, utworzony 10 marca tegoż roku. W r. 1881 minister rolnictwa, p. Buarque de Macedo, zniósł kredyty przeznaczone na subwencyonowanie emigracyi i udzielanie zapomóg przybywającym osadnikom, i rozgłosił to postanowienie w Europie. Zaczém liczba przybyszów wynosząca w roku poprzednim 29,726, spadła do 11,054 w następnym okresie. Gabinet z d. 10 marca 1888 r. wrócił do zaniechanego programu, i zajął się owszem jego rozwinięciem. Jednocześnie prowincya San-Paulo podjęła inicyatywę osobnego werbunku kolonistów europejskich, o któréj charakterze wspomnieliśmy wyżéj, i która posłużyła za przykład innym prowincyom. W 1887 niezależnie od środ-

ków obmyślanych przez zarząd miejscowy i zatwierdzonych prawem prowincyonalném 29 marca 1884 r., utworzyło się tam prywatne towarzystwo, którego prezydent p. Martinho Prado Junior przybył do Europy, z celem wyjednania niektórych ułatwień dla jego werbunkowéj działalności. Nakładem tego towarzystwa powstał w San-Paulo dom gościnny dla przybyszów, mogący dać pomieszczenie 4,000 osób.

Od r. 1884 głównym celem tych usiłowań stały się Włochy. Emigracya niemiecka straciła w tym czasie swoją wydajność. Niemieckie „bydło" poznało się już na złotych górach brazylijskich. Dowiedziało się co je za oceanem czeka. Werbunek obrócił się tedy w stronę południowego półwyspu. Dzięki przemyślności miejscowych kompanii przewozowych i dzięki swobodzie a nawet podobno opiece, udzielonéj ze strony rządu ich przedsięwzięciom (w czém osobiste sympatye pana Crispi, niegdyś a i dziś znowu adwokata jednéj z tych kompanii, nie obojętną jakoby odegrały rolę), kampania była tutaj świetną. Od 1855 do 1882 r. w ciągu dwudziestu ośmiu lat, liczba wychodźców włoskich, którzy zawitali do Brazylii wyniosła ogółem zaledwie 11,000. W następnym trzechletnim okresie jawić się już zaczyna w Rio-de-Janeiro i w Santos do 10,000 Włochów k a ż d o r o c z n i e. W r. 1886 przybywa ich 14,000; w r. 1887, 40,000; a w r. 1888 przeszło 100,000! Czyli prawie ³/₄ całego wychodźczego kontyngensu w tym roku, najobfitszym jaki był dotąd pod tym względem. Ale też był to kres powodzeń z jednéj a lekkomyślności, czy czegoś gorszego z drugiéj strony. Przeholowano tam, w Brazylii, i opamiętano się tu, we Włoszech. Sam gabinet p. Crispiego skłonił się do energicznych środków zaradczych. I wtedy właśnie daleka Brazylia rzuciła okiem na nas. Pomyślała o naszém bożém bydełku.

Jak dotąd, transbaltycki kontyngens z naszych siół i osad nie powetował jeszcze strat poniesionych nad Adryatykiem. Tak przynajmniéj wskazywać się zdają dane urzędowe, które tém więcéj zasługują na wiarę w tym przypadku, że chełpienie się rozmiarami przyciąganego przez się ruchu wychodźczego z europejskich krajów wszelakich należy do programu kolonizacyjnéj polityki brazylijskiéj; uchodzi w jéj oczach za najskuteczniejsze narzędzie urzędowéj propagandy w dozwolonych jéj granicach. Podług danych tych ogólna liczba emigrantów przybyłych do Brazylii w ostatnim trzechletnim okresie, wynosi około 300,000. Potrącając cyfrę 132,000 osiągniętą w wyjątkowym r. 1888, wypada na lata następne przeciętna 84,000. Jednocześnie, w komunikacie przesłanym agencyi Hawas, p. de Silva-Prado zapewnia, iż liczba wszystkich emigrantów, który w ciągu 1890 r. wyjechali z wszystkich portów niemieckich do w s z y s t k i c h k r a j ó w nie przenosi 92,000. Nakoniec, podług wskazówki udzielonéj nam z te-

goż źródła, polskich wychodźców nie byłoby dotąd w Brazylii więcéj nad 25,000, to jest tyle mniéj więcéj ile dostawił bremeński „*Norddeutscher Lloyd*". Wogóle ruch emigracyjny z Europy do Brazylii przedstawią się w ostatnim dziesięcioletnim okresie jak następuje:

rok		emigrantów
1880		29.729
1881		11.054
1882		27.197
1883		28.670
1884		20,087
1885		30.135
1886		25.741
1887		54.990
1888		132.000
1889	(przypuszczalnie)	84.000
1890	„	84,000

Wolno się zaś spodziéwać iż, niezależnie nawet od interwencyi władz miejscowych, jakkolwiek pożądanéj dla powstrzymania w naszych stronach tego morderczego ruchu, ulegnie on u nas działaniu tych samych czynników naturalnych, które mu tamę położyły w Szwajcaryi i w Niemczech. W tym względzie najskutecznieszém się okazało tam, i okaże się prawdopodobnie nad Wisłą naszą, doświadczenie nabyte, co prawda kosztem bolesnych ofiar. Z ust powracającego drugiego i trzeciego wędrowca przejęta żywcem opowieść o losie, który go spotkał w obiecanéj ziemi, starczy za najlepszą kontrpropagandę. Jakim zaś jest ten los, o tém powiedzieć jeszcze chcemy słów kilka, uzupełniając podane już wyżéj wskazówki.

III.

Ilha-das-Flores, w pobliżu Rio-de-Janeiro, jest uroczą wyspą, a gmachy pobudowane na niéj, dla ofiarowania gościny przybyszom z Europy, odznaczają się jakoby wzorowém urządzeniem, porządkiem i czystością. Gdzieindziéj, np. w prowincyi Minas, emigranci zamieszkują w pałacach wspaniałych, opuszczonych przez byłych właścicieli kopalni złota. Na banhofach ludność zbiega się dla powitania przybywających. Zapalają się jakoby ognie bengalskie i rozlegają się wiwaty. Przyjęcie jest wszędzie serdeczne. Może za serdeczne. Nie wita się w ten sposób ludzi, którzy przybywają dla zrobienia majątku i upomnienia się o udział w rozkoszach i bogactwach ziemi obiecanéj. Ale wróćmy do owych domów zajezdnych (*hotellerias*), w których wychodźcy odpoczywają po trudach podróży morskiéj i gotują się do nowych swoich przeznaczeń. Mają one jedną wspólną cechę. Są to domy gościnne i urzędowe biura stręczeń. Tu przyjmują się nadsyłane ze wszystkich okolic zamówienia robotników czy koloni-

stów, i oferty gruntów na sprzedaż, lub zarobków. Emigrant wybiérać między nimi może. Jest całkowicie swobodny. Prawodawstwo miejscowe zabezpiecza mu zupełną wolność sumienia, pracy i przenoszenia się z miejsca na miejsce. Przysługujący miejscowym obywatelom przywilej *habeas corpus* przysługuje mu także. Po dwóch latach pobytu na miejscu może on zresztą żądać indygenatu. „Nie można wyobrazić sobie nic więcéj liberalnego nad prawodawstwo brazylijskie“, napisał Ludwik Agassiz, obywatel Stanów-Zjednoczonych, urodzony w Szwajcaryi. Wszystko to jest prawdą. Wyobraźmy sobie jednak naszego Maćka lub Wojtka, wysadzonego z okrętu na uroczą „wyspę kwiatów“, i mającego radzić o tém co daléj zrobić z sobą. Oferty, które go spotykają, są może korzystne. Ale wypadałoby mu najpierw zrozumiéć je. To jest nauczyć się języka portugalskiego. Oczywiście, jeżeli przed opuszczeniem kraju, albo przed opuszczeniem pokładu okrętowego nie dostał się on już w ręce jakiegoś ajenta, stręczyciela czy pokątnego doradzcy, zakładającego sobie wyzyskanie jego sił i jego zdrowia, albo nawet jego zapasów pieniężnych, ewentualność ta nie minie go teraz. Nie zapominajmy o tém, że przybywa on z kraju, w którym pierwszém zadaniem władz wszelkich jest opiekować się jego losem, i przybywa do kraju, w którym nikt się nikim nie opiekuje. Bo to Ameryka, i liberalizm ma swoją odwrotną stronę.

Przypuśćmy jednak, że Bóg rozciągnął nad nim swoją opiekę i że zrobił on najlepszy wybór. Jakim może być ten wybór? Oferty gruntów do nabycia czynione przez rząd, przez prowincye lub przez prywatnych właścicieli nie zwabią go chyba, albo jeżeli go zwabią, tém gorzéj dla niego. Za 1,000 do 1,500 fr., czyli za 300 do 500 rs., może on nabyć wprawdzie dział obejmujący 15 do 30 hektarów, czyli 30 do 60 morgów ziemi. Ale będzie to ziemia pokryta dziewiczym lasem, domagająca się dopiéro wykarczowania i przygotowania pod uprawę, jeżeli będzie zdolną do uprawy. Mórg dobréj ziemi, już uprawnionéj, kosztuje w Brazylii do 250 rs. i więcéj. Wogóle nabycie własności w tym kraju, chociażby najmniejszéj, pociąga za sobą nakład daleko znaczniejszy niż u nas. I prawda, że obiecuje większe zyski, ale téż połączone z większém ryzyko. To samo powtarza się we wszystkich krajach poddawanych kolonizacyi. Broniąc się przed zarzutem niedostatecznego sprzyjania przedsięwzięciom kolonizacyjnym i ruchowi emigracyjnemu w Algieryi, gubernator miejscowy, p. Tirman, oświadczał niedawno, iż jego administracya nie życzy sobie wcale napływu kolonistów niedostatecznie zasobnych. Doświadczenie wskazało, że kolonista nie rozporządzający kapitałem 7 do 10,000 fr., nie może zapewnić sobie bytu na miejscu. „N i e c h c e-

my, aby przybywający do nas wychodźcy wracali z Algeryi, tak jak wracają z południowéj Ameryki, rozczarowani i z pustemi rękami.“

Najlepiéj więc zrobi nasz Maciek lub Wojtek, obierając zawód prostego wyrobnika. Jeżeli przywiózł on z sobą zapas pieniężny, nie będzie to dlań zbyteczne, jak się zaraz pokaże. Był on może, co prawda, właścicielem tam, nad Wisłą, i wybrał się dla poprawienia swojego losu. Ale trudno! Podróż do ziemi obiecanéj kosztuje. Przypuszczamy, iż poszuka on zajęcia na roli. Raz dlatego, że w największéj liczbie wypadków, zajęcie takie będzie dla niego najodpowiedniejszém, a powtóre i głównie dlatego, że przy bardzo mało rozwiniętym dotąd przemyśle, nie ma w Brazylii popytu na inną kategoryę pracowników. Opuszczać fabryczną Europę dla szukania fabryk w Ameryce południowéj jest prostą niedorzecznością. W urzędowym „Przewodniku dla emigrantów do Brazylii“ czytamy: „Ta klasa (pracowników rolnych) jest jedyną, którą zachęcamy do emigrowania.“

Z Rio-de-Janeiro tedy, czy z Santos, powędrował nasz Maciek wewnątrz kraju, za otrzymaném stamtąd zamówieniem, i oparł się na jakimś folwarku (*fazenda*), kędy zapoznać mu się wypadnie z uprawą kawy lub bawełny. Tam otrzymał dom mieszkalny, dla siebie i rodziny, a właściwiéj mówiąc prosty szałas ze zbitych na prędce desek trzciną pokrytych, parę prętów (4,000 metrów kwadr.) gruntu pod uprawę kukurydzy i manioku dla wyżywienia siebie i rodziny, jednorazową, dajmy na to, zapomogę z kasy prowincyonalnéj i — obietnicę udziału w zbiorze kawowych ziarnek. Nic inaczéj. Właściciele tutejsi rzadko kiedy są kapitalistami. Płacą tedy *in natura*. Jest to systemat najogólniéj przyjęty. Przyczynia się zaś do rozpowszechnienia tego systematu następująca okoliczność. Stosunek między pracownikiem a chlebodawcą nie jest zabezpieczony żadném prawem. Istnieje wprawdzie prawo o kontrakcie najmu. Ale prawo to sięgające 1837 r. i połowicznie tylko przekształcone w r. 1879 jest tak barbarzyńskiém, że w praktyce uchodzi za nieistniejące, nie podlegające zastosowaniu. Robotnik rolny korzysta przeto z zupełnéj swobody porzucenia w każdym czasie plantacyi, na któréj się osiedlił i szukania gdzieindziéj zarobku. Stąd potrzeba przywiązania go do téjże plantacyi jakimś węzłem. I węzła tego dostarcza właśnie zasada wynagradzania pracy podziałem zysków przez nią osiągniętych. W niektórych miejscowościach praca około sadzenia i czyszczenia krzewów kawowych wynagradzana bywa, sposobem wyjątkowym, niezależnie od sprzętu. Ale zarobek w ten sposób udzielany przez właściciela nie wystarcza nigdy dla wyżywienia pracującego. Wpływa

znowu na to druga okoliczność, dopominająca się uwzględnienia. Miejscowości te są nader oddalone zwykle od miast i punktów targowych wszelakich. Do zaopatrywania przeto ludności, na nich osiedlonéj, w niezbędne do jéj utrzymania przedmioty służą sklepy, których założenie podejmuje właściciel sam i w których przedmioty te sprzedają się po cenach dowolnie przezeń ustanawianych. W tych warunkach wysokość zarobku, przypaść mogącego pracownikowi, staje się obojętną. Jedyną decydującą normą jest stopień sumienności i względności dla jego potrzeb, jakiego spodziéwać się można po chlebodawcy, który rozporządza samowładnie jego losem.

Ale wróćmy do najpowszedniejszego stosunku między pracownikiem a chlebodawcą. Cóż się tedy dzieje z Maćkiem naszym, osadzonym na kawale ziemi, który żywić go ma, ale na którym kukurydza czy maniok, o których uprawianiu nie ma on zresztą pojęcia, urosnąć mają dopiéro? Zapomoga otrzymana wystarczyła zaledwie, jeżeli wystarczyła, na pierwsze zagospodarowanie się. Oczywiście, pozbywa się on w dalszym ciągu grosza przywiezionego z sobą, jeżeli wziął taki grosz, opuszczając domowe progi i potrafił go przywieźć. A jeżeli nie? Oczywiście, Maciek umiéra z głodu i pisze do rodziny, czy do znajomych, listy żałosne, które doczekują się sensacyjnéj publikacyi w kuryerkach. (Jest to zysk z jego wyprawy najpewniejszy). Co się zaś stanie z nim, jeżeli spodziéwany sprzęt ziarnek kawowych chybi, a trafia się to dwa razy na trzy lata?

Przypuśćmy jednak jeszcze ewentualność przeciwną. Przypuśćmy wszystkie najprzyjaźniejsze dla Maćka ewentualności. Kawa urodziła obficie, a Maciek nie umarł z głodu, czekając na sprzęt, podział i sprzedaż drogocennych ziarnek. Wydał tylko swoję gotówkę, albo jeżeli jéj nie miał, a trafił na litościwego lub własny interes dobrze rozumiejącego posiadacza *fazendy*, zadłużył się u niego, biorąc mąkę maniokową, słoninę, sól i t. d., na kredyt. Powetować ma to wszystko zapewniony jemu i jego rodzinie udział w osiągniętym zbiorze. Jakim może być ten udział, to jest *maximum* korzyści, których, przy sprzyjającém mu szczęściu, wyglądać ma prawo Maciek, w obiecanéj ziemi? Oto urzędowa tablica zysków i zarobków wszelakich, które przypadły pojedyńczym rodzinom, zatrudnionym na plantacyach kawy w prowincyi San-Paulo w r. 1885-ym przy średnim urodzaju:

Jedna rodzina: mąż i żona	1.020 fr.
„ „ „	1.148 „
„ „ „ z dziewczyną do pomocy . . .	1.152 „
Dwóch mężczyzn kawalerów, silnie zbudowanych	1.520 „
Jedna rodzina: ojciec, dwie córki i syn	1.585 „

Jedna rodzina:	mąż, żona i syn	1,677 „
„	troje pracujących	1,820 „
„	czworo pracujących (trzy kobiéty) . . .	1,965 „
„	pięcioro pracujących (dwie kobiéty) . . .	2,293 „
„	mąż, żona i pięcioro dzieci dorosłych . .	2,770 „
„	pięcioro pracujących (trzy kobiéty) . . .	2,815 „
„	„ „ „ . . .	3,180 „
„	mąż, żona, syn i córka	3,285 „
„	„ „ „ „	3,503 „

Godząc się z zupełną autentycznością tych danych, wynika z nich, iż średni maksymalny zysk i zarobek całoroczny pojedyńczego pracownika, w najprzyjaźniejszych okolicznościach, wynosi od 510 do 850 fr. Cyfra ta jednak potrzebowałaby być zestawioną z cenami głównych artykułów spożywczych, praktykowanemi na miejscu. Owóż w tym względzie brakuje nam w zupełności danych pewnych. Ceny targowe bowiem w Rio-de-Janeiro i innych głównych portowych lub kolejową komunikacyą obdarzonych miastach nic nie znaczą; nie dają żadnego wyobrażenia o stosunkach istniejących wewnątrz kraju. I to niezależnie nawet od specyalnego wyzysku, praktykowanego przez pewną liczbę właścicieli w odległych *fazendach*, o którym wspomnieliśmy wyżéj. Dodajmy, że zredagowane w celach propagandy „Przewodniki“ i „Podręczniki“, przeładowane skądinąd obfitością statystycznych wskazówek, zachowują osobliwą wstrzemięźliwość w tym przedmiocie. Jedyna wskazówka, z jaką spotkaliśmy się, pilnie je przeglądając, dotyczy ceny pszenicy w południowéj prowincyi Rio-Grande-do-Sul. Do pewnego stopnia ujść ona może za miarodajną. Uprawa tego zboża niegdyś, przed r. 1830, kwitnąca jakoby w téj okolicy, wznowiona została świéżo przez kolonistów włoskich i niemieckich. W Pelotas założony został młyn parowy, i ten kupuje pszenicę od plantatorów, płacąc 3,000 reisów za *alqueire* (*alqueire*=36 litr. i 27 centilitr.), co odpowiada cenie 9 rs. za nasz korzec. Wynikałoby stąd, iż wysokość zarobków miejscowych obniżona być powinna przynajmniéj o 1/3 dla zrównania z naszemi cenami. Czyli, że Maćkowie nasi wybierają się za morze dla zarabiania od 340 do 570 fr., czyli od 120 do 190 rubli rocznie, czyli od 33 do 53 kop. dziennie, w najlepszym przypadku.

Ze wszystkich zaś danych powyższych wynikać się zdaje to, że gorączka emigracyjna, opustoszająca w téj chwili sioła i miasta nasze, jest chorobą, że ta choroba jest przejściową, i że ukrócenie, wedle możności, jéj paroksyzmów narzuca się we wspólnym interesie wszystkich mieszkańców tych okolic.

K. W.



Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj. *)

Jeżeli najbardziéj czytywani przedstawiciele historycznego romansu ulegają ostrym zaczepkom, to przeciwnie wobec mistrza noweli historycznéj, panuje tylko jeden głos — bezwarunkowy podziw. Jeden z naszych najlepszych historyków odezwał się pewnego razu, że w pojmowaniu dziejów nauczył się najwięcéj od Leopolda Rankego i Konrada Ferdynanda Meyera. Mając lat czterdzieści (1864) Meyer wystąpił po raz pierwszy, jako poeta, z dwudziestu baladami; on sam oznacza krytyczny rok 1870, jako rok urodzin swéj poezyi. „Silnie teraz porwany dojrzałém niepostrzeżenie poczuciem szczepowém, wskutek téj powszechno-dziejowéj pobudki, zrzuciłem ze siebie francuszczyznę, a naglony wewnętrznie, ażeby dać wyraz téj zmianie usposobienia, utworzyłem „Ostatnie dni Huttena“ (*Huttens letzte Tage*). Wślad za tą epopeą ogłosił on w r. 1876 „*Jürg Jenatsch, eine Bündnergeschichte*“ (13-ste wyd. 1889), w r. 1880 nowelę „Święty“ (*Der Heilige*, 9-te wyd. 1889); po dwutomowym zbiorze drobniejszych „Noweli“ (3-cie wyd. 1889) nastąpiła „Pokusa Peskary“ (*Die Versuchung des Pescara*, 4-te wyd. 1888). Tym sposobem poeta, należący ze względu na swój wiek do generacyi starszéj, przez twórczość swoją wstępuje w szeregi poetów najnowszych. „*Jürga Jenatscha*“ nazywa on w swojéj autobiografii (nie na tytule samego dzieła) romansem. My, pomimo znaczniejszych rozmiarów, będziemy go musieli określić, podobnież jak i „Świętego“, jako nowelę historyczną, gdyż w obu dziełach przecie idzie o rozwiązanie zagadki psychologicznéj. Jakim sposobem protestancki przywódca związkowych stał

*) Patrz zeszyt za m. marzec r. b., str. 300.

się obrońcą katolików? jak się objaśnia niewyjaśniona dla wszystkich historyków postawa i zmiana w Tomaszu Beckecie, arcybiskupie-męczenniku z Canterbury? Wobec téj określonéj kwestyi psychologicznéj, akcya i wszystkie inne osoby ustępują na plan dalszy; podobnież ma się rzecz i z ostatniém większém dziełem Meyera. Mistrzowskie odmalowanie stosunków i osobistości włoskich w początku panowania Karola V-go stanowi tylko podkład dla kwestyi: jak się to stało, że tak szlachetny i wielki Włoch, a zarazem zwycięski wódz, jakim był Peskara, trzymał się despoty hiszpańskiego? Wszędzie jest utrzymana surowa jedność i ściślejsze granice noweli. Meyer z upodobaniem każe wygłaszać swoje nowele jakiemuś opowiadaczowi, i to nie w sposób obojętny, jak się dzieje zwykle w opowiadaniach ramkowych, lecz wybitnie zaznaczona indywidualność opowiadacza nadaje samemu opowiadaniu nowy wdzięk i szczególniejszy charakter. Tym sposobem Dante na dworze Com Grandego w Veronie z napisu na kamieniu grobowym rozwija „Wesele mnicha“. Czczony niemal jako święty zakonnik Astorre został przez umierającego ojca przymuszony, ażeby za pozwoleniem papieskiém poślubił dziewiczą wdowę swego brata, dla zachowania swego rodu. Otóż, kiedy Astorre powrócił do życia, którego się był wyrzekł, wtedy porywa go niepohamowana namiętność do innéj kobiéty, i chociaż potężny Ezzelin sam dąży do przyjacielskiego rozwiązania, to przecież kochankowie, wzgardzona oblubienica i jéj brat w trakcie tego giną. Nowelę tę uważam nietylko za najlepszy utwór Meyera, ale za jedną z najlepszych nowel, jakie wogóle kiedykolwiek napisano. Z powodu dziwnie trafnego przedstawienia Dantego o tém wspaniałém dziele wspomniałem już wyżéj. Utwór taki wystarcza do dowiedzenia, że nawet na schyłku wieku XIX literatura niemiecka nie stała się tak zgrzybiałą i zniedołężniałą, jak w nas chcą wmówić naturaliści. Jużciż gazety nasze mają tyle do czynienia z pochwałami dla dzieł naczelników partyi, jak Lindau, Franzos, Sacher-Masoch, Meissner i i., że o poetach, tworzących powoli a dzielnie, jak np. Meyer i W. Hertz, wśród publiczności mało może być mowy. Jak Dante „Wesele mnicha“, tak stary łucznik opowiada dzieje życia i śmierci Tomasza Becketa; lekarz zaś przyboczny Fagon opowiada Ludwikowi XIV-mu i pani Maintenon, jak jezuita Tellier powierzonego mu syna marszałka Boufflers'a zamęczył na śmierć, ponieważ marszałek przeszkodził Towarzystwu Jezusowemu w pewném oszustwie: „Cierpienie chłopca“ (*Das Leiden eines Knaben*); w gronie przyjaciół Kuźmy Medycyusza Poggio opowiada zdemaskowanie matactwa cudotwórczego, będące w związku z jego odkryciem i uwolnieniem „Plauta w klasztorze mniszek“ (*Plau-*

tus im Nonnenkloster). Zato „Amulet“ (*Das Amulet*), historya poświęcenia się pewnego katolickiego Szwajcara dla swego protestanckiego współziomka i jego narzeczonéj, synowicy Coligny'ego, podczas nocy św. Bartłomieja, przedstawia formę zwyczajniejszą: bohater historyi zapisuje dla własnéj pamięci to, co przeżył. Wezwanie do łączności współziomków pomimo odmiennych zapatrywań stronniczych, napomknięte jest w téj noweli pod artystyczną osłoną, gdy tymczasem kiedyindziéj protestancka tendencya Meyera przynosi częstokroć ujmę efektowi artystycznemu. Przeciwstawienie Frydlandczyka i króla szweckiego w powabnéj skądinąd noweli „Paź Gustawa Adolfa“ (*Gustav Adolfs Page*) — pewna dziewczyna z Norymbergi wskutek zapału dla protestanckiego bohatera, niepoznana, strzeże go przy życiu i przy śmierci w charakterze pazia — fatalnie się powiodło. „Strzał z kazalnicy“ (*Der Schuss von der Kanzel*) okazuje humor iście szwajcarski, występujący także u Kellera; większości jednak nieszwajcarów zbywa na zdolności całkowitego ocenienia tego humoru. Szwajcarską jest także ujawniająca się zarówno u Meyera, jak i u Kellera, rozumowość, pewnego rodzaju trzeźwość realistyczna. Nie chciałbym, aby to pojmowano jako naganę. Należy to właśnie do właściwości obu Szwajcarów, że nie łatwo robią oni użytek z światłocienia. Niech kto porówna przepyszną nowelę Storma p. t. „*Das Fest von Haderslevhuus*“ z nie ubogą, zaiste, w miłość i namiętność nowelą Meyera „*Die Richterin*“. Występuje tu dobitnie różnica pomiędzy wybujałością uczucia w autorze „*Immensee*“ a epicką rozwagą Meyera. Wszak w ostatnich latach niejednokrotnie porównywano ze sobą Storma i Meyera; ja jednakże nie sądzę, ażeby historya literatury przyznała kiedy obu jednakową wartość. Jużciż osiwiałego Storma nie powinniśmy oceniać podług „*Immensee*“, tego zamazanego, mizernego odbicia wzorów romantycznych; lecz nawet w najlepszych swoich utworach, jak „*Aquis submersus*“ (Pogrążony w wodach, 1875), „Milczenie“ (*Schweigen*, 1883), Storm nie osiąga tak wielkiego pojmowania życia i doli ludzkiéj, jakie sobie zdobył Meyer w swéj duchowo ruchliwéj samotności. Meyer sam uwydatnił, jak jedynie dla własnego oświecenia, bez myśli o twórczości poetyckiéj, wciągu całych dziesiątków lat oddawał się historycznym studyom źródłowym. To téż potrafi on prawie z nieomylną pewnością przedstawić naszym oczom ludzi rozmaitych stuleci, plastyczne figury, które nie są obliczone, jak się to często zdarza u naszych poetów historycznych, na malowniczy efekt chwilowy. Wszystko tu jest przeprowadzone pewną ręką, a losy jednego osobnika ukazują się zarazem jak symbol walk i cierpień stulecia. W kunsztownych ramach noweli poeta każe na nas oddzia-

ływać wielkiemu tragicznemu losowi, który, druzgocąc, wywyższa człowieka; postaci te, ich czyny i cierpienia, porywają czysto po ludzku nawet tego, kto wzdryga się przed wszelkiemi wspomnieniami historycznemi w poezyi, a jakaż obfitość podniet historycznych zawarta jest w tych nowelach, wolnych od wszelkich opisów i dydaktyki historycznéj! To, co się w poezyi nazywa „wytworzeniem szkoły“, może być dla poety, który wskutek zyskanego poklasku znajduje naśladowców, rzeczą jaknajprzykrzejszą. Jednakże na K. F. Meyerze wykształciła się poetka, która przynosi zaszczyt zarówno swemu wzorowi, jak i wyrobionemu imieniu, jakie nosi: Isolda Kurz, córka twórcy „Lat domowych Schillera“. Jéj „Nowele Florenckie“ (*Florentiner Novellen* 1890) zdradzają autorkę początkującą—szczególniéj wskutek niedbałości w motywowaniu, a nowe obrobienie tematu, znanego z opery Halévy'ego „*Guido et Ginevra*“, p. t. „Ślub umarłych“ (*Die Vermählung der Toten*) odstrasza od czytania książki. Po nieudatnych jednak nowelach idą trzy doskonałe sztuki gabinetowe, z których, coprawda, ostatnia „*Anno Pestis*“ (W roku zarazy) nie jest znowu należycie obrobiona. „Humanistów“ i „Świętego Sebastyana“ wypada bezwarunkowo pochwalić. Dwaj stryjeczni bracia: Bernardo Rucellai, który jako ceny za rękę swojéj córki domaga się odnalezienia kodeksu Cycerona i głośny Marcantonio, który ten sam właśnie kodeks wydał jako własne dzieło, a oryginał spalił, i żeby przeszkodzić odkryciu, dopuszcza się podstępnego morderstwa na osobie kochającego rycerza niemieckiego, są typami włoskiego Odrodzenia. Nieszczęśliwa miłość młodego malarza, który się przyłącza do Savonaroli, gdy jego brat przyrodni kardynał Orsini porwał mu kochankę, posiada zabarwienie romantyczne, któregoby K. F. Meyer nie nadał chyba swoim utworom; pomimo jednak pewnéj przesady, jestto nowela artystyczna, która niezbicie dowodzi, że Isolda Kurz ma powołanie do poezyi.

Mamy już przed sobą wszystkie dzieła holsztyńczyka Teodora Storma (zm. 4 lipca 1888), gdy tymczasem od Meyera wolno nam oczekiwać jeszcze dalszych utworów. Storm jeszcze za życia znalazł zasłużone uznanie jako nowelista i liryk. Właściwości charakteru północno-niemieckiego znalazły swój pełny wyraz poetyczny w jego tworach. Z głęboką powagą rezygnacyi łączy się często w jego dziełach pełny życia humor. Wpływali na niego Eichendorff, Heyse, Spielhagen, lecz krzepka własna natura uchroniła dla siebie swą samodzielność. Jużciż Storma nie wypadało podawać jako przedstawiciela nowoczesnego realizmu. Postaci jego są to prawdziwi holsztyńczycy, natury głębokie, milczące i nieugięte. „Morze i las bu-

kowy, trzęsawiska i gaje stanowią nietylko oprawę, lecz dają się spostrzegać wszędy i wśród samych utworów, wraz z szumem fal i wierzchołków drzewnych, błyszczeniem bagien w promieniach południowych, brzękiem pszczół i motyli i zapachem wrzosów wśród lata" (A. Biese). Można dodać pochwałę, że spostrzegawczość i malowniczość natury nigdy się u niego nie wyradza w nużącą rozwlekłość i malowanie drobnych obrazków, jak u Adalberta Stiftera, który zresztą w Niemczech i Austryi liczy niemałą gromadkę cichych wielbicieli. Zato pewien nowszy poeta austryacki nie znalazł jeszcze w Niemczech dobrze zasłużonego uznania. W historyi współczesnego romansu Mielke'go znajduje się nieraz imię Ferdynanda v. Saar'a. Jego „Nowele austryackie" (1876) i „Trzy nowe nowele" okazują pełnego temperamentu dramaturga i tutaj jako wysoce uzdolnionego poetę. Delikatność i serdeczność, połączone z prawdą życiową troskliwie obrobionych charakterów, wyróżniają te poezye w prozie. Możnaby nazwać Saara austryackim Wildenbruchem, przewyższającym sczęśliwszego w powodzeniu pruskiego poetę pod względem uczucia poetycznego. Tymczasem i Ernest v. Wildenbruch okazał się w swoich nowelach większym artystą, aniżeli w dramatach. Myślę, że to samo dałoby się powiedziéć o Sudermannie; jednakże lepiéj nam będzie rozpatrzéć całkowitą działalność obu przy dramacie. Do najulubieńszych nowelistów należy bliższy rodak Storma—Wilhelm Jensen, który niedawno przesiedlił się do Monachium, gdy tymczasem istotnie bawarski poeta Hans Hopfen powierzchownie stał się członkiem berlińskiego grona poetów (lepiejby było zapewne mówić o pisarzach berlińskich, aniżeli o poetach berlińskich). Nowele Jensena są przedewszystkiém znakomite wskutek zasadniczego nastroju lirycznego, który umié wywoływać poeta, odznaczaczający się wybornym liryzmem. Choć ustępuje on znacznie Stormowi, to przecież może być zaszczytnie wymieniony obok niego. Nowele, w których na podobieństwo Storma obrabia stosunki nowoczesne, udały mu się stanowczo lepiéj aniżeli nowele historyczne; ze względu na cały swój kierunek należy on do szkoły Heysego, a więc starszéj, gdy tymczasem Hopfen zbliża się do kierunku realistycznego. Gdyby Hopfen nie był napisał nic oprócz poematu epicznego „*Die Sendlinger Schlacht*", to i tak mógłby się domagać miejsca wpośród najlepszych żyjących poetów niemieckich; wykazał on przecież wszechstronny i nigdy nie zawodzący talent w dziedzinie romansu, noweli i liryki, ale rzecz osobliwa: każde z jego dzieł pozostawia po sobie wrażenie, że ze względu na swoje uzdolnienie poetyczne, autor mógłby był dokonać czegoś lepszego, bardziéj wykończonego. Ta silna, świéża natura, wyklaro-

wana za pomocą wykształcenia i bogatego doświadczenia artystycznego nie znalazła jeszcze swego pełnego, wyczerpującego wyrazu w żadném dziele Hopfena. Już w r. 1868 ogłosił on romans „Zepsuty w Paryżu“ (*Verdorben zu Paris*), którego zarodek upatruje w pewnéj ubocznéj akcyi „Natur zagadkowych“ Spielhagena. Zadziwiająco śmiałe na swój czas realistyczne odtworzenie rzeczywistości łączy się tu z głebokiém, miękkiém uczuciem, które dla nowszych realistów stało się obcém ze szkodą saméj poezyi. Od tego czasu Hopfen wydał cały szereg romansów i nowel, w których znajdują swoje ucieleśnienie tryskający, samorodny humor i gorzka powaga, namiętność i dojrzałe doświadczenie światowe. Z tém wszystkiém Hopfenowi nie udało się jakiémś wielkiém dziełem spełnić nadziei, które musieliśmy powziąć względem niego po jego pierwszém dziele i po jego „Bitwie pod Sendling.“ Do najudatniejszych kreacyi Hopfena należą jego „Bawarskie powieści wiejskie“ (*Bayrisische Dorfgeschichten*).

Jak w „Rozmowach niemieckich wychodźców“ (1795) Goethe dał wogóle początek niemieckiéj noweli kunsztownéj, tak w drugiém opracowaniu „Cierpień Werthera“ stworzył on pierwszą powieść wiejską, — w swéj krótkiéj zwięzłości wzór, który oddziałał jeszcze na najudatniejszą i prawdziwie wyborną powieść wiejską Auerbacha, mianowicie „*Diethelm von Buchenberg*.“ Następnie Immermann do swojego romansu „*Münchhausen*“ wcielił najgłośniejszą i zapewne najlepszą niemiecką powieść wiejską, mianowicie drukowany często i w osobnych wydaniach „*Oberhof*“ (por. Kürschnera „*Deutsche Nationallitteratur*“, tom 160, Stuttgart, 1887). W „*Oberhof*'ie“ Immermanna i w mistrzowskiém opowiadaniu Brentano „o dzielnym Kacperku i pięknéj Hanusi“ (*Von braven Kasperl und dem schönen Annerl*) Berthold Auerbach znalazł klasyczne wzory, kiedy tworzył swoje powieści wiejskie z Czarnego Lasu. Ani przedtém, ani potém żadna nowela niemiecka nie cieszyła się takiém powodzeniem, jak jego „Bosaczek“ (*Barfüssle*), „Wieś i miasto“ (*Dorf und Stadt*). Pomimo całéj wymuszoności, w opowiadaniach Auerbacha tkwi dzielne jądro. Jeżeli jednak „Bosaczek“ znajduje jeszcze wielki odbyt w wydaniach ilustrowanych, to przecież dzieła Auerbacha nie mają już wielu czytelników. Oba jego romanse: „Na wyżynie“ (*Auf der Höhe*) i „Willa nad Renem“ (*Das Landhaus am Rhein*) są zapomniane, patryotyczny dziwoląg „*Waldfried*“ nie zasługuje wogóle na wyszczególnienie obok obu pełnych treści romansów. Otóż właśnie nie mogę pojąć, dlaczegoby bawarskie powieści wiejskie Herrmanna Schmidta i Maksymiliana v. Schmidta miały swoją wartością artystyczną przewyższać powieści wiejskie z Czarnego Lasu. Oba romanse, przepełnione re-

fleksyami i raczéj dziwacznemi, aniżeli trafnemi sądami o sztuce, musiały w swéj czczości wewnętrznéj rozpaść się, jak domki z kart; „Powieści wiejskie z Czarnego Lasu“ bywają teraz zbyt stanowczo odsuwane na bok przez tę samą modę, która je przedtém zachwalała więcéj, niż na to zasługiwały. Coprawda, mogą one tylko w najmniejszéj części uczynić zadość wymaganiom realistycznym. Tymczasem jednak, oprócz Auerbachowskich, otrzymaliśmy inne powieści wiejskie: w r. 1869 wystąpił Karol Rosegger, w r. 1872 Ludwik Anzengruber. Stanowisko historyczne Anzengrubera ugruntowane jest na jego dramatach; jego powieści wiejskie, dostateczne, ażeby uczynić sławnym kogo innego, ledwie zasługują na uwzględnienie obok ugruntowanéj przezeń nanowo sztuki ludowéj. Rosegger zaś jest wyłącznie opowiadaczem, a jak umie on opowiadać o ludzie i dla ludu! Niedawno zmarł pewien pisarz alemański, któremu może jeszcze w wyższym stopniu był właściwy dar pisania w sposób ludowy; Alban Stolz jednak nie wystąpił nigdy z zaklętego koła tendencyjnych prac ultramontańskich; poeta zielonéj Styryi niemieckiéj należy, podobnież jak jego przyjaciel i ziomek Hamerling, do całego niemieckiego narodu bez względu na kierunek stronnictw i granice polityczne.

Roseggera zestawiłbym z innym poetą, to jest poetę górno-niemieckiego z dolno-niemieckim—Fritz'em Reuter'em. Poeta *Stromtid*'u i innych opowiadań p. n. *Olle Kamellen* umarł już w r. 1874-ym, zakończywszy w r. 1868-ym swoje ostatnie większe dzieło; jaki jednak poeta liczy dzisiaj i prawdopodobnie będzie liczył jeszcze w przyszłości w dolnych Niemczech tylu zapalonych czytelników, co Reuter? Trudność dyalektu stoi na zawadzie podobnéj popularności i w Niemczech południowych, z tém wszystkiém atoli czytują go zarówno w Monachium i Stuttgarcie, jak w Kolonii i w Królewcu. Dzieła Roseggera nie przedostały się jeszcze w takim stopniu do Niemiec północnych, jak wszystkie dzieła meklenburczyka na południe. Wogóle dla pisarza południowo-niemieckiego lub austryackiego jest daleko trudniéj znaleść uznanie powszechne, aniżeli dla pisarza północno-niemieckiego. Ma to związek nie tyle ze stosunkami politycznemi, ile raczéj ze skutkami tego faktu historycznego, że od czasów reformacyi literatura posiada swój punkt ciężkości nie na południo-wschodzie i południo-zachodzie, lecz w Niemczech środkowych. Takiego humorysty, jak Reuter, niemieccy czytelnicy mogli dotychczas widzieć tylko w Dickensie, którego wielkości zresztą Reuter bynajmniéj nie dosięga. Będąc prawdziwie realistycznym, a zarazem występując uprzedzająco względem ludzi tkliwych, podniecając wymagania narodowe bez służenia jakiéjkolwiek partyi, mieszając skutecznie żart i powagę, stawia

on przecież swe całkiem indywidualnie wyrobione charaktery, jako typy całego gatunku. Zalety Roseggera nie występują przed czytelnikiem tak odrazu, jak zalety Reutera. Rosegger pisał daleko więcéj, a może nawet zadużo i wyrobił się stopniowo dopiéro w czasie ogłaszanych przez siebie dzieł. Pierwszy szkic swojéj „*Stromtid*“ Reuter bardzo rozsądnie zatrzymał w biurku; Rosegger rozwinął się wobec czytelników, którzy jednak nie zawsze mają na to baczenie i przeoczają rzeczy udatne obok tego, co jest mniéj dobrém. Chyba żaden inny poeta niemiecki nie wyszedł z pośród ludu w takim stopniu, jak Rosegger. Syn ubogiego chłopa nauczył się z trudnością czytać i pisać od starego dymisyonowanego nauczyciela wiejskiego. We wspomnieniach „ze swego życia rzemieślniczego“ (*Aus meinem Handwerkerleben*, 1888) opowiedział sam, jak wskutek słabowitego zdrowia z pastucha został czeladnikiem krawieckim, na pamiątkę zaś starego nauczyciela jedno z najlepszych dzieł Roseggera zowie się: „Pisma bakałarza leśnego“ (*Die Schriften des Waldschulmeisters*, 1875). Dopiéro w 22-im roku poeta natury, na którego uzdolnienie zwrócili uwagę dr. Swoboda i Hamerling, mógł rozpocząć porządną naukę, następnie zaś swoim synem zaopiekowała się Styrya. Szczęśliwszy od Burnsa, zużytkował on pierwsze powodzenie na to, ażeby swoje uzdolnienie naturalne wesprzéć wykształceniem i sztuką. „Życie ludu w Styryi“ (*Das Volksleben in Steiermark*, 1875), swoję „Ojczyznę lesistą“ (*Waldheimat*, 1877) i „Powieści leśne“ (*Waldgeschichten*, 1883) wystawił on z taką, nigdy nie obrażającą prawdą naturalną, że chłopi Auerbacha i Schmidta musieli przed jego chłopami ustąpić, tak jak w wieku XVIII-ym pasterze Gessnera ustąpili przed palatyńczykami Malarza Müllera. Ganghofer ze skutkiem obrał sobie alpejczyków Roseggera za wzór, lecz właśnie przy tém porównaniu występuje prawdziwie niedościgła oryginalność Roseggera. Z własnego bowiem doświadczenia życiowego nikt inny nie zna ludu tak, jak on: nie potrzebuje on się dopiéro przenosić w duszę chłopów, jak inni twórcy powieści wiejskich, lecz może zdawać sprawę z tego, czego sam doznał. A od natury został mu udzielony taki dar spostrzegawczy, jaki jest właściwy tylko wielkim poetom. Do tego dołącza się zmysłowa wyrazistość dyalektu. We władaniu i szczęśliwém stosowaniu narzecza ludowego leży główny wdzięk pism Roseggera. Samotność milczącéj doliny górskiéj urabia jéj mieszkańców: wytwarza się tam zewnętrzna szorstkość i głębokie uczucie, humor rubaszny i śmiała odwaga. Obok idylli, która się znajduje wszędzie w utworach Roseggera, bucha tu płomieniem niepohamowana namiętność. A kwestya społeczna, którą nasi naturaliści śledzą tylko w miastach fabrycznych,

wdziera się także do życia górali. Romans Roseggera p. n. „Ostatni Jakób“ (*Jakob der letzte*), wystawia nam na oczy walkę pochłaniającego wszystko kapitału przeciwko właścicielowi mniejszéj posiadłości ziemskiéj. Jak w „*Au bonheur des dames*“ Zoli właściciel małego sklepiku z rozpaczliwą uporczywością broni się przeciwko przemocy wielkiego magazynu i ginie, tak pojedyńczy właściciel zagrody i cała gmina chłopska upada w walce z łudzącą narazie, następnie zaś druzgocącą potęgą wielkiego kapitału. Romans społeczny z całą swoją powagą tragiczną i w swojéj prawdzie ponuréj został stworzony tutaj przez poetę, który nie należy do żadnego stronnictwa literackiego, lecz jest przez wszystkich szanowany.

Pośrednie stanowisko pomiędzy starymi i młodymi zajmuje Richard Voss. W dramacie stoi on po stronie naturalistów; w zakresie noweli wypada go po prostu określić, jako ucznia Heysego. Co do ostatniego jego romansu p. t. „Zmartwychwstali“ (*Die Auferstandenen*, 1887), to lepiéj, gdyby był pozostał nie napisanym. Malowanie społeczeństwa rosyjskiego i nihilizmu niechby pozostawiono pisarzom ruskim, którzy znają kraj i ludzi. Takie studyum podług Turgeniewa, jak romans Vossa, jest błahą i niedojrzałą robotą szkolarską. Takiéj pomyłki żałuje się tém bardziéj, im gorętszego uznania domaga się poważna dążność i niezwykły talent formalny poety. Jak Heyse, tak i Voss obrał sobie z upodobaniem Włochy, jako widownią swoich opowiadań; specyalność jego stanowią „rzymskie powieści wiejskie“ (*Römische Dorfgeschichten*“, 1884). Jego romanse: „Syn wolszczanki“ (*Der Sohn der Volskerin*, 1886), „Michał Cibula“ (1887) poruszają się również w tym obrębie. Zna on kraj i tak często odmalowywane właściwości jego mieszkańców. Vischer, Gregorovius, Hehn w studyach i obrazach z podróży dali nam opisy, które są po części blisko spokrewnione ze sztuką poety. Większość poezyi italskich Vossa mogłaby mieć za autora także Heysego; Voss wszakże wysuwa bardziéj naprzód to, co jest charakterystyczne, zaokrąglenie i wycieniowanie artystyczne nie jest dla niego prawem najwyższém. Przy bogactwie noweli niemieckiéj sprawiedliwe odważenie zalet każdego poszczególnego poety w tym gatunku jest nie zawsze możliwe. Suchość cywilizacyjnych noweli Riehla, które zresztą w swojéj pedanteryi udały się wcale nie źle, orzeźwiającą (pomimo zadaleko posuniętéj drobiazgowości) świeżość „*Heiterelei*“ Ottona Ludwiga każdy uczuje natychmiast. Jednakże przy przeglądzie 48-miu tomów „skarbca noweli niemieckich“ (*Deutscher Novellenschatz*) i „nowego skarbca noweli niemieckich“, jakie w artystycznym wyborze ułożyli Heyse, Hermann Kurz i Laistner, obok indywidualności poetów występuje także forma kun-

sztowna, jako żywioł wyrównywający i zacierający indywidualność. Kunsztowną formę noweli wyrobił aż do mistrzowstwa Paweł Heyse. Nie przypominam sobie, ażebym gdziekolwiek czytał bezstronną, sięgającą do głębi charakterystykę Heysego. Zanim się przeciwko niemu oświadczyli naturaliści, absolutna wyśmienitość jego dzieł uchodziła za nie ulegający powątpiewaniu artykuł wiary. Wprawdzie dwa jego romanse: „Dzieci świata“ (*Die Kinder der Welt*) i „W raju“ (*Im Paradiese*), nie mówiąc o poronionéj „Przełożonéj“ (*Stiftsdame*), nie zaspokoiły nikogo, co zmiarkowano nawet po pochwale, w któréj odważono się radzić Heysemu, ażeby się zadowolił mistrzowstwém w noweli; jednakże to ledwo ukryte niepowodzenie nie zaszkodziło ogólnemu podziwowi. W tém Wolfgang Kirchbach ogłosił roku 1885 w czasopiśmie „*Gesellschaft*“ swój dramat satyryczny „Monachijski Parnas“ (*Münchener Parnass*). Wpleciona tutaj gwałtowna napaść na sztukę Heysego musiała zrobić tém większe wrażenie, że jednocześnie napastnik wspomniał zaszczytnie o rzeczywistych zasługach nowelisty. Zestawienie Heysego z Wielandem jest, naturalnie, nie zupełnie stosowne. Żaden poeta niemiecki wieku XIX-go nie może sobie rościć pretensyi do wielkiego stanowiska historycznego, jakie zajmuje Wieland, któremu, według znanego orzeczenia Goethego, niemiecki stan średni zawdzięczał swoje wykształcenie, i który po raz pierwszy pobudził szlachtę do czytania poezyi, pisanych po niemiecku. Pominąwszy jednak to, pomiędzy formalną zręcznością Wielanda a elegancką, gładką techniką Heysego, dadzą się istotnie odnaleść liczne punkta porównania. Sądzę, że i pod względem niewdzięczności czytelników obu autorów można będzie wymieniać razem. W historyi literatury Heyse będzie zawsze wspominany zaszczytnie za doprowadzenie do skończonéj doskonałości kunsztownéj formy noweli, a Wieland za wydoskonalenie epicznego opowiadania i romansu. Co do poczytności, to za pięćdziesiąt lat bodaj czy Heyse będzie czytywany więcéj, aniżeli za naszych czasów Wieland. Heyse jest wielkim artystą, pisał on zachwycające wiersze, jest uczonym, dowcipnym, naturą nawskroś estetyczną; lecz ludziom jego zbywa na wielkiéj namiętności. Jestto bardzo pięknie, że poeta hołduje umiarkowaniu, ale utwory jego nie powinnyby być koniecznie tak powściągliwemi, estetycznie poprawnemi. Trochę mniéj estetyki, a więcéj gorącéj krwi. Mieliżby malarze monachijscy być takimi, jakimi ich Heyse odmalował „W raju“? W romansach i znacznéj części nowel Heysego odzwierciedla się nie świat, lecz małe kółko estetyczne, w obrębie którego porusza się poeta w najlepszém znaczeniu arystokratyczny. W ostatnich latach utwory Heysego gonią z nerwowym pośpiechem

jeden za drugim; pomiędzy nowelami ukazują się jeszcze i teraz arcydzieła, jak np. zbiór, zatytułowany „Księgą przyjaźni“ (*Das Buch der Freundschaft*); nie oznacza to jednak braku zmysłu artystycznego, jeżeli naturaliści przypominają mistrzowi noweli kunsztownéj, że w r. 1885 czytelnik nie interesuje się już wyłącznie zagadkami, których skończone artystycznie rozwiązanie poeta przedsięwziął jeszcze w nowelach, datowanych z r. 1855.

Jak Heyse w dziedzinie noweli, tak Spielhagen w dziedzinie romansu dokonał rzeczy najlepszych pomiędzy rokiem 1848 a 1870-ym. Heyse obrał sobie za wzór mistrzów włosko-hiszpańskich i Goethego. Nowela Tiecka z jéj dyalogami dydaktycznemi zeszła razem z Tieckem do grobu. Natomiast we współczesnym romansie obyczajowym przed i obok Tiecka wystąpili poeci, którzy i w przeglądzie najnowszéj literatury muszą być jeszcze wymienieni. W r. 1836 Immermann po dwunastoletniéj pracy wydał swoich „Epigonów“, w których na wzór „Wilhelma Meistra“, którego się trzymał aż nazbyt wiernie, pragnął przedstawić o ile można najdokładniéj stan kultury swoich czasów: nie w wykonaniu, lecz ze względu na plan jestto romans społeczny w znaczeniu nowoczesném. Okrutna walka pomiędzy pracą ręczną a przemysłem fabrycznym, z któréj wyrósł ruch socyalno-demokratyczny, usposabiała już Goethego do zadumy; w „Latach wędrówki Wilhelma Meistra“ roztrząsał on tę kwestyę społeczną i dla jéj ulżenia proponował państwowo uorganizowaną kolonizacyę. W „Epigonach“ występują przeciwko sobie feudalizm i przemysł jako wrogowie śmiertelni; przy niektórych rozdziałach można sobie pomyśléć o wspanialszym bezwątpienia utworze Kraszewskiego—„Morituri.“ Immermann przemawia za utrzymaniem rolnictwa i przeciwko przemysłowi fabrycznemu. Temu samemu poglądowi zasadniczemu dał on znowu wyraz w „*Münchhausenie*“, tym razem napomykając o wszystkiém w typach symbolicznych. W r. 1850 Gutzkow ogłosił „Rycerzy z ducha“ (*Die Ritter vom Geiste*), w r. 1858 „Rzymskiego czarownika“ (*Der Zauberer von Rom*). Oba dzieła znajdują się dotąd jeszcze w rękach wielu czytelników, gdy „Nowi bracia Serapionowie“ (*Die neuen Serapionsbrüder*, 1871) przeszli bez śladu. Bystry i dowcipny spostrzegacz i krytyk poprzedniego okresu nie zdołał pochwycić i nadać kształtu zjawiskom czasów nowych, podobnież jak i w dziełach Spielhagena, traktujących o najnowszych kwestyach na czasie, mianowicie: „Co z tego ma być?“ (*Was will das werden?* 1886) i „Nowy Faraon“ (*Ein neuer Pharao*, 1889), nie można odszukać dawnéj pewności i zwykłego efektu. Symbolizm w „Rycerzach ducha“ stał się obcym dla nowszego romansu, pojedyncze jednak figury i sceny przypominają nowszy

realizm. Utwór Gustawa Freytaga p. t. „*Soll und Haben*“ (1855; 35-te wyd. 1889 r.) bywa i dziś, podobnie jak przed trzydziestu laty, sławiony jako romans wzorowy. Ogłoszono, że naród niemiecki został tutaj po raz pierwszy podpatrzony i przedstawiony przy swojéj pracy; pochwała jest trafną, jeżeli powiemy: po raz pierwszy tak obszernie i z tak określonym zamiarem; Freytag zauważył sam, że przy pracy téj fantazya okazywała się niekiedy dla niego krnąbrną, i stąd niejedna rzecz wypadła nędznie. Do „*Soll und Haben*“ stosuje się całkowicie to, co Goethe powiedział o Walter Skocie: „Dzieło, które wywarło wielki skutek, właściwie nie może już być oceniane.“ Istotnie, ma to jakieś znaczenie, jeżeli romans obyczajowy, ogłoszony w r. 1855, w r. 1890 nie jest jeszcze przestarzały w żadnym szczególe. Nie można tego powiedzieć nawet o „Naturach zagadkowych“ (1861) i „Młocie i kowadle“ (*Hammer und Amboss*, 1869) Spielhagena; są one wszystkie napisane zbyt tendencyjnie w myśl partyi liberalnéj. Mieszczanin zazdrości szlachetce, a środek, do jakiego się ucieka poeta, ażeby nienawidzącego bohatéra mieszczańskiego wyposażyć wszystkiemi zaletami napadanéj kasty, czyniąc go bękartem szlacheckim, środek ten może przecież łatwo podlegać zaprzeczeniu. I Freytag przeciwstawia szorstko szlachtę i mieszczaństwo; czyni to jednak nie jako stronnik demokracyi, lecz wskutek liczenia się z faktem historycznym: upomina on, ażeby każdy pozostał w swojéj sferze; wzajemny szacunek może lepiéj połączyć ze sobą obie sfery, aniżeli zazdrosne naśladowanie przymiotów kawalerskich. U Freytaga i Spielhagena stoją naprzeciw sobie spokojne historyczne rozważanie epika i podburzające niezadowolenie mieszkańca wielkich miast nowoczesnych. Może być, że do rozwoju naszego życia narodowego i naszéj literatury, i to i drugie jest potrzebne. Może w związku z tą różnicą stoi odmienny sposób przedstawienia, odmienny styl. Jednakże mogę zaznaczyć tylko jako indywidualną, ujawniającą się i gdzieindziéj u Freytaga wadę, że w „*Soll und Haben*“, podobnież jak i w stojącym daleko niżéj, a nawet wcale chybionym „Zgubionym rękopisie“ (*Die verlorne Handschrift*) panuje jakaś trzeźwa oschłość. Freytagowi zbywa na poetyczném uczuciu; może w związku z tém znajduje się okoliczność, że postaci kobiéce udają mu się o wiele gorzéj, aniżeli mężczyźni. Ulubiona jego postać Sabina, jest nieznośnie prozaiczna; ma ona uchodzić za przedstawicielkę poprostu ograniczonéj czynności domowéj. Lecz i Teresa Goethego w „Latach nauki Wilhelma Meistra“ reprezentuje ten typ, a przecież i ją otacza jeszcze pewien blask powabu kobiécego.

Jeżeli oba najnowsze romanse Spielhagena nazwałem chybione-

mi, to przecież obok obu dawniejszych, wymienionych już dzieł głównych i po roku 1870-ym zdobył on słusznie olbrzymie powodzenie swoją „Powodzią“ (*Die Sturmflut*, 1876 [1]). „Natury zagadkowe“, „Młot i kowadło“, „Powódź“ będą w przyszłości rozstrzygały o stanowisku Spielhagena w historyi romansu niemieckiego; i niech sobie kto słabe strony tych dzieł wytyka nie wiem jak surowo, wymienione trzy dzieła oznaczają punkt kulminacyjny niemieckiego romansu. Jużciż zapał, z jakim w młodości czytaliśmy „Natury zagadkowe“, ustępuje miejsca bardzo sceptycznéj ocenie, jeżeli romanse Spielhagena weźmie się do ręki w latach dojrzalszych. Moralności i prawdopodobieństwu tych charakterów da się bardzo wiele zarzucić. Jeżeli Godfryd Keller w noweli „Regina“ wypowiada tak ostre słowa o kulcie poważnego obrazu piękności Wenery z Milo, który ma pokrywać tyle wszelkich rzeczy pożądliwych, to mimowoli przypominam sobie scenę w „Naturach zagadkowych“, gdzie Melitta z Oswaldem marzy o naturze po to, ażeby mu się w tém marzycielstwie oddać. Zdrowego pokarmu duchowego dla młodzieży romanse Spielhagena w sobie nie zawierają. Wyprowadzać na scenę rozprawę sądową z powodu noweli „Angela“ było naturalnie rzeczą głupią i zarazem niesmaczną; artysta, jakim pozostaje zawsze Spielhagen, nie należy do zakresu téj literatury, któréj ustawy nasze użyczają, niestety, zbyt wiele przestronnego miejsca. A romanse Spielhagena i pod względem moralnym stoją na wyższym stopniu, aniżeli dzieła sensacyjne jego następców. Toć obrotność Pawła Lindau doprowadziła do tego, że jego dowcip i żargon berliński przyjęto w dobréj wierze za poezyę. Coprawda, płaskość jego pierwszego opowiadania „Państwo Bewerowie“ (*Herr und Frau Bewer*, 1882) nie dała się osłonić nawet pochwałą zaprzyjaźnionych literatów. W haśle, podług którego Paweł Lindau miał być założycielem romansu berlińskiego, okazało się więcéj siły przyciągającéj. Oba romanse: „Pochód na zachód“ (*Der Zug nach dem Westen*, 1886) i „Biédne dziewczyny“ (*Arme Mädchen*, 1887) zostały wyprawione pod flagą naturalistyczną. Przedtém Lindau walczył zapalczywie przeciwko niemoralnemu Zoli; tymczasem jednak wiatr mody wykręcił się, nikt zaś chyba nie będzie tyle naiwnym, ażeby u pana Lindau, czcigodnego przyjaciela i wroga panny Schabelsky, szukać własnego artystycznego przekonania. Otóż tedy Lindaua sławią, jako genialnego przedstawiciela berlińskiego romansu naturalistycznego. Jestto ciągle ta sama dawna historya, którą sam Zola przedstawił tak dra-

---

[1]) Powieść tę w przekładzie Wincenty Limanowskiéj podało „Ateneum“ r. 1878, t. I—III. (Przyp. Red.).

stycznie w *„l'Oeuvre"*: artysta, który nowe zasady estetyczne przeprowadza śmiało, coprawda i z pewną przesadą, bywa przez krytykę i publiczność odpychany. Jeżeli jednak ktoś do tego, co już weszło w zwyczaj, przymiesza w dawkach homeopatycznych trochę nowości, to taki wskutek zręcznego zużytkowania rzeczy, jakie inni zdobyli wśród walki i biédy, bywa wychwalany, jako szczęśliwy artysta. Lindau nauczył się stanowczo od Zoli; nawet od krytyków Zoli nauczył się łagodzić to, co jest naturalistycznie odrażającém i przyznać znowu w romansie zaszczytne miejsce pożądliwości, od któréj Zola trzyma się zdala. Zręczne lawirowanie, ażeby w mowie swojéj przypaść do smaku zarówno młodéj szkole naturalistycznéj, jak i czcicielom Spielhagena i Heysego, nie może zastąpić braku wartości artystycznéj tych partackich utworów. Romanse Pawła Lindau są godne jego własnéj krytyki i trzymającéj z nim kliki.

Pośrednie stanowisko pomiędzy kierunkiem dawniejszym a naturalistami zajmuje Wolfgang Kirchbach. Z początku jako współpracownika w piśmie Conrada „*Gesellschaft*" zaliczano go bez wszelkich zachodów do naturalistów, choć ani jego „Baśnie" (*Mährchen*), ani nowele: „Dzieci cesarstwa" (*Kinder des Reiches*), ani jego romans „Salvator Rosa" do tego nie upoważniały. Zuchowate świeże pochwycenie rzeczywistości, upodobanie w osobliwych zaplątanych zagadkach, własny sposób pojmowania rzeczy i bystre myślenie były cechami tych pierwszych, wiele obiecujących prób. Jako redaktor „Magazynu literatury krajowéj i zagranicznéj" (*Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes*) Kirchbach zwrócił swoją ostrą broń krytyczną przeciwko dotychczasowym swoim sprzymierzeńcom; wskazywał on Schillera i Lessinga, jako mistrzów po wsze czasy, zwrócił uwagę na słabe strony Ibsena, jednocześnie zaś wykrył braki w pozującéj na klasycyzm poezyi Heysego i Geibela. We wspomnionych już „zbiorowych pismach drobniejszych" krytyk okazał się dojrzalszym i znakomitszym aniżeli poeta. Nakoniec wydał on nowy romans p. t. „Podróżnik wkoło świata" (*Der Weltfahrer*, 1891), który, niestety, wcale nie odpowiada oczekiwaniom, jakie można było powziąć względem Kirchbacha. Przyswajając sobie pewien narów romansopisarzy naturalistycznych, Kirchbach zaszkodził sobie sam najbardziéj. W centrum romansu stawia on Conrada i jego stosunki osobiste. W podobny sposób walczyli już przeciwko sobie w romansach Bleibtreu, Walloth, Conradi. Dajmy na to, że w piśmie „*Die Gesellschaft*" po dobrych początkach nastąpił zwrot niebezpieczny, w każdym razie jednak sposób, jakiego Kirchbach używa w swoim romansie, ażeby postawić pod pręgierzem „*Die Gesellschaft*", jéj wy-

dawcę i tegoż kobiéty, nie da się usprawiedliwić. To też nie byłbym tutaj wymienił tego romansu, gdyby Kirchbach nie był się zajął w nim interesującą zagadką, którą coprawda opracował ze złym skutkiem. Przyrodnik Henryk Hochstein jest z marzycielską namiętnością oddany swéj nauce, która mu nawet najmniejszego chrabąszcza, najniepozorniejszy kwiatek ukazuje w związku z wielką całością wszechświata, może on patrzéć na wszystko tylko *sub specie aeterni* — on, który naturalnie, nie wierzy w żadną wieczność w znaczeniu kościelném. Otóż zakochał on się w rozsądnéj pięknéj dziewczynie, która okazuje mu także swoję skłonność, ale owa poezya przyrodnicza nie wydaje jéj się wcale powabną. Kiedy więc Henryk dowodzi jéj, że kwiaty są tylko narzędziami do rozmnażania roślin, i kiedy w ogrodzie zoologicznym wykłada jéj powinowactwo anatomiczne pomiędzy sobą a małpą, wtedy dziewczyna z obrzydzeniem odwraca się od swego przyjaciela, który jéj zburzył wszystko piękne w naturze. Kirchbach trafnie rozpoznał i przedstawił tę zupełnie naturalną odrazę kobiéty ku dokonywanemu w imię nauki rozczłonkowywaniu pięknego pozoru; rozwiązanie konfliktu przez zbłaźnienie się Henryka na pewném zgromadzeniu przyrodników jest dowcipne, ale pozbawione głębszego uzasadnienia psychologicznego. Naiwnie czujący człowiek nie pojmuje wcale piękności i poezyi, jaką uczuwa badacz właśnie przy odkryciu tajemniczéj organizacyi rzeczy. Własne wymaganie Kirchbacha, ażeby odkrycia przyrodnicze spożytkować w poezyi, okazało się właśnie w jego romansie bardzo trudném do spełnienia. Bądźcobądź romans ten, dla którego autor robił bardzo poważne i obszerne, dla zwyczajnego czytelnika zbyt uczone studya, staje się interesującym wskutek wymienionéj kwestyi; zresztą jest on całkowicie chybiony. Już to zdaje się, jak gdyby nad naszemi romansami, które darwinizm chcą obrabiać poetycznie, zawisła jakaś nieszczęsna gwiazda, gdyż zupełnie chybione są także oba romanse Jordana: „Seebaldowie“ (*Die Seebalds*) i „Dwie kolébki“ (*Zwei Wiegen*).

Jeżeli od tych prób nieudanych zwrócimy się do prac naturalistów niemieckich w dziedzinie romansu, to po większéj części mamy tutaj do czynienia z pełnemi talentu zapędami, lecz zarazem z mało pocieszającemi dziełami. Jużcić gdybyśmy chcieli pójść za zdaniem Steigera lub Meriana, to sąd nasz musiałby brzmiéć inaczéj. Romans Konrada Alberti'ego „Kto jest silniejszy?“ (*Wer ist der Stärkere?* 1888) przedstawia się tu jako dzieło bezwarunkowo genialne, torujące nowe drogi; „rycerski Hutten rewolucyi literackiéj“ M. G. Conrad, jako poeta-zbawiciel, który za pomocą „serca niemieckiego (*Gemüt*) łagodzi nieczułość poetycznego darwinizmu“. Frazes coprawda

zbyt nienaturalny w ustach naturalisty! Odwaga i szczerość Conrada jako krytyka jeszcze mniéj podlega zaprzeczeniu, aniżeli jego uzdolnienie poetyczne. Jeżeli jednak tego niewolniczego naśladowcę Zoli chcą wystawić jako przedstawiciela tego, co jest „specyficznie niemieckiém w nowéj poezyi“, to wobec tak ślepego przeceniania staje się rzeczą trudną uwydatnić bezstronnie to, co jest dobrego w romansach naturalistycznych. Nowele Conrada p. t. „Córki Lutecyi“ (*Lutetias Töchter*, 1883) są grzechem przeciwko dobremu smakowi, a zarazem przeciwko niezbędnemu dla każdego poety poszanowaniu samego siebie pod względem narodowym. Jeżeli Zola maluje i wymienia brudy, to przecież obok tego występuje w jego romansach i coś innego. Naprzeciwko temu, co jest obmierzłem w „*La terre*“, stoi wstrząsająca tragedye niewdzięczności dzieci, stary temat „Króla Leara“ odgrywa się w chacie wieśniaczéj. Jeżeli jednak poeta niemiecki sprawki nocne najpodlejszych dziéwek paryskich, bez wszelkiego widoku na coś wyższego, uważa za materyał dla poezyi, to już na jego obronę nie umiem powiedziéć nic. Nie dopnie zasług i artystycznéj wielkości Zoli ten, kto się sam tak poniewiéra. Autorowi „Śmiertelnego tańca miłości“ (*Der Totentanz der Liebe*, 1884), i romansu: „O czém szumi Izar“ (*Was die Isar rauscht*, 1887) nikt nie odmówi zdolności wywoływania silnych wrażeń, lecz zbogacenie poezyi niemieckiéj za pomocą tych dzieł nie nastąpiło. O Bleibtreua: nowelach realistycznych: „Złe towarzystwo“ (*Schlechte Gesellschaft*, 1885) i „*Kraftkuren*“ (1884) pewien krytyk wydał taki sąd, że treść usprawiedliwia tutaj bliższe oznaczenie „realistyczne“, ale po nad realizmem Zoli, Bleibtreu wznosi się o całe niebo. Wyrażenie podobne da się oznaczyć tylko tytułem, jaki Bleibtreu nadał swojemu romansowi, mianowicie „Przywidzenie wielkości“ (*Grössenwahn*, 1887). A jednak te obrazy z życia berlińskich kelnerek i mających być genialnymi nicponiów, prześcigają Zolę! brudne sceny z piwnic Lousoffs'a nadają się bardziéj do porównania, aniżeli, pomimo wszelkiego niepoetycznego skoncentrowania rzeczywistości, pełne artyzmu dzieła Zoli. Ani nowemi, ani zgodnemi z naturą nie są te wykrawki z pospolitéj rzeczywistości; nie są to wcale genialne zboczenia genialnego poety. Pomiędzy tymi niemieckimi zolistami najlepszych rzeczy dokonali dotychczas Heiberg i Max Kretzer. „Aptekarz Henryk“ (*Apotheker Heinrich*, 1885) Heiberga urabiał się podług Flauberta; jako jego wzór wymieniano Ottona Ludwiga; lecz nowela Ludwiga „Pomiędzy niebem a ziemią“ (*Zwischen Himmel und Erde*, 1856) stoi wogóle w naszéj literaturze jako coś jedynego i niedościgłego. Jeżeli kto chce wiedziéć, jak prawdziwy poeta odtwarza naturę i pozostaje

we wszystkiém prawdziwym, nie zanurzając się atoli w pospolitéj rzeczywistości, to niech weźmie do ręki wymienione dzieło, którego się nigdy nie można dostatecznie nachwalić. Każdy, który się zajmuje literaturą niemiecką, musiał czytać „Pomiędzy niebem a ziemią“. Lecz nawet najlepszy z pomiędzy młodszych poetów nie potrafi przypomnieć skończonego dzieła sztuki Ludwiga; jużcić nauczyć się z tego iście niemieckiego dzieła mogliby nasi poeci więcéj, aniżeli od Zoli i Dostojewskiego: ów majstrzyna ze swemi troskami w swojém rzemiośle — jakże go Ludwig odmalował, przedstawiając tę rodzinę dekarską! Jeżeli przez romans społeczny, którego się tylokrotnie domagano, rozumieć mamy obrazy z życia robotników, to w Kretzerze widzimy poetę, który dokonał rzeczy właściwych tylko sobie, nie tworzy on bowiem podług wzorów literackich. Były robotnik, który wśród wielkich mozołów wykształcił się na pisarza, opowiada to, co widział w czasie tych swoich zapasów i walk, podobnie jak Rosegger opowiada to, czego doznał w domu, u bakałarza leśnego i u wiejskiego krawca. Jak różnemi są wielkie miasto i kraj alpejski, takież przeciwieństwo istnieje zresztą pomiędzy Roseggerem i Kretzerem. Nie możemy u berlińczyka szukać miękkiéj, pełnéj humoru poezyi, ani téż giętkości i obrotności języka. U Kretzera wszystko jest ostre i kanciaste, wyrażenie niezgrabne; wszelako jestto rzeczywisty pracownik, który o życiu swoich towarzyszy opowiada poważnie i przejmująco. „Berlińskie nowele i obrazki obyczajowe“ (*Berliner Novellen und Sittenbilder*, 1883) tudzież „Szkice Berlińskie“ (*Berliner Skizzen*) zjednały Kretzerowi wybitne stanowisko; trzeba znać romans „*Meister Timpe*“ (1888), ażeby się zapoznać z berlińskim robotnikiem i drobnym rzemieślnikiem w jego walkach, jego złych i dobrych stronach. Obrazy te Kretzer malował, pozostając wiernym pod względem naturalistycznym i nigdy nie szukając rozmyślnie pospolitości, walcząc z wyrażeniami i uderzając trafnie dobraném słowem niby młotem; nie jest on sympatyczną postacią poetyczną, nie podobna dostrzedz w nim ani śladu burzy i zapędu Conradów i Bleibtreuów, jednakże sądzę, że Kretzer wywalczy sobie oporną dotychczas przychylność czytelników. Łatwiéj zdobył sobie takową inny poeta, który ma to wspólnego z Kretzerem, że się nie kształcił naumyślnie na literata, lecz zrządzenie życia zrobiło z niego prawie przypadkowo pisarza. Jak Kretzer robotnika, tak Detlev v. Liliencron umié odmalowywać oficera przy pracy. „Bitwa letnia“ (*Eine Sommerschlacht*, 1887), nowele „Pod trzepoczącemi chorągwiami“ (*Unter flatternden Fahnen*) nie są bynajmniéj tak znacznemi dziełami, za jakie bywają obecnie chwalone (Liliencron zaczyna stawać się modnym). Jednakże, dopóki świéżo i lekko żyją-

cy oficer po porzuceniu służby przedstawia to, czego sam doświadczył, jego impresyonistyczne odtworzenie rzeczywistości znajdzie czytelników i jak niegdyś na polu bitwy, tak teraz w obozie nieprzyjacielskim starych i młodych zdobędzie on sobie sławę.

Tylko mimochodem wymieniałem dotychczas Kellera. W ostatnich latach swego życia doczekał się jeszcze tego, że jego, na którego wciągu całych lat mało kto zwracał uwagę, zaczynano coraz bardziéj czcić jako głowę literatury współczesnéj. Mógł on jeszcze sam oddać dziesięć tomów swych dzieł zbiorowych (1889) rosnącemu zastępowi swoich wielbicieli. Po śmierci zaś wszedł zgoła do tego stopnia w modę, że uważano za potrzebne wystąpić już z ostrzeżeniami, ażeby Kellera nie przeceniać — po czém, naturalnie, nastąpiłoby znowu niesłuszne odwrócenie od poety. Główne dzieło Kellera, jego „Zielony Henryk“ wyszedł najprzód w r. 1854, następnie zaś w silnie przeinaczonéj przeróbce pod koniec ósmego dziesięciolecia. Przyjaciel poety Vischer, którego własny utwór „*Auch Einer*“ („Także jeden“, 1879) stanowi najoryginalniejszy i najbogatszy w myśli romans w całéj literaturze niemieckiéj, dzieło, w którego dziwaczności potrzeba się naprzód wczytać, które jednak późniéj chciałoby się ciągle nanowo studyować — otóż Vischer zmianę tę w gruncie rzeczy pochwalił, osądził atoli, że przejście humanistycznie usposobionéj natury bohatera do działalności politycznéj wydaje mu się ryzykownem. Jak „Zielony Henryk“ sam uwydatnia wpływ Goethego na swój rozwój, tak romans edukacyjny Kellera słusznie porównywano do „Lat nauki Wilhelma Meistra“. Chronologicznie jednak pomiędzy Goethem a „Zielonym Henrykiem“ leży jeszcze inny romans, który okazuje znaczne podobieństwo z „romansem jaźni“ Kellera i dziwna rzecz, dzieli z nim podobnyż los podwójnego opracowania; mówię tu o „Malarzu Noltenie“ (*Maler Nolten*, 1832) Mörike'go (drugie opracowanie po śmierci Mörikego r. 1878). Może być, że i dla tego romansu, podobnież jak dla „Zielonego Henryka“ przyjdzie jeszcze czas uznania. Wszak, jako liryk, Mörike zajął nareszcie przynależne mu stanowisko, uznano téż, że jego nowela „Mozart w drodze do Pragi“ (*Mozart auf der Reise nach Prag*) jest najgenialniejszym utworem, w jakim kiedykolwiek przedstawiono życie artysty. Tomy za tomami pisano o Mozarcie, jednakże żaden z uczonych estetyków oryginalności geniuszu Mozarta nie pojął tak całkowicie i nie sięgnął tak do samego wnętrza jego istoty, jak pokrewny duchem poeta szwabski. Może być, że uznaniu „Noltena“ stoi na zawadzie zbyt romantyczny odcień dzieła; brakuje tu, pomimo całéj wyrazistości, podstawy realistycznéj w szczegółach, którąby to właśnie podstawa

po trzydziestoletniém lekceważeniu zjednała „Zielonemu Henrykowi“ przychylność krytyki i czytelników. Przy pierwszém ukazaniu się krytyka i dzieło Kellera zaliczyła do rzędu nieudanych potwornych romansów. Lecz pomimo cudownéj sztuki obrazowania, pomimo niedościgłego rozwoju psychologicznego i wiejącego w całym romansie tchnienia poetycznego, nawet najłaskawsza ocena nie będzie mogła pominąć milczeniem stron zdumiewająco słabych. Oba pierwsze tomy aż do śmierci Anny, są tak wykończone, jak mało co w całéj niemieckiéj sztuce opowiadawczéj. Opis ludowego przedstawienia „Tella“ Schillera, zmysłowa miłość chłopięca do pięknéj Judyty i służba miłosna około bladéj Anny, wszystko to mógł stworzyć tylko pierwszorzędny poeta. Jednakże w monachijskiém życiu artystyczném nietylko bohatér traci z oczu swój cel, ale i sam poeta daje się sprowadzać na manowce. Sceny w zamku nie stoją na równi z dziejami młodości. W pierwszém opracowaniu Henryk wraca do swéj ojczyzny i umiéra ze złamaném sercem na grobie matki; w opracowaniu powtórném zastaje on matkę umierającą, żegna się ze wszystkiemi marzeniami artystycznemi i jako urzędnik na skromném stanowisku działa dla dobra materyalnego swoich rodaków, złączony w bratniéj przyjaźni z Judytą, która powróciła z Ameryki. Ponieważ Henryk ze swojéj niefortunnéj przejażdżki artystycznéj do Niemiec przywozi ze sobą do Szwajcaryi porządną sumę pieniędzy, więc zarówno on, jak i sam poeta są ze skutku zupełnie zadowoleni. Nie sprawia to przecież wielkiéj pociechy, że zmysł zarobku, za który chwalą Szwajcarów, wysunięty jest na pierwszy plan. Nawet w ostatniém dziele Kellera—„Martin Salander“—do romansu przedostało się zbyt dużo kantonowéj zaściankowości. Wprawdzie przy naganie Kellera potrzeba zawsze badać z niedowierzaniem siebie samego, czy złe zrozumienie ze strony czytelnika nie stanowi właśnie winy, którąby się chciało zwalić na poetę; sądzę atoli, że „Martin Salander“ wypadł rzeczywiście zanadto po szwajcarsku. Romans ten poprzedziło opowiadanie ramowe „Epigramat“ (*Das Sinngedicht*). Pomiędzy zawartemi tutaj nowelami „Biedna baronowa“ (*Die arme Baronin*) wydaje mi się najwyborniejszą. Admirał portugalski „Don Correa“, który, przekonawszy się o niewierności swojéj, zbyt szybko zaślubionéj małżonki, rozkazuje ją powiesić, wraz z jéj wspólnikami, a następnie po usunięciu niektórych przeszkód, zawiéra szczęśliwy związek małżeński z niewolnicą afrykańską — odstępuje daleko od koła, w którém się poruszają inne obrazy Kellera, należy jednak do jego najlepszych kreacyj. Natężenie dramatyczne w pierwszéj części wywołuje tém silniejszy efekt, że stoi ono w przeciwieństwie do zwyczajnego u Kellera

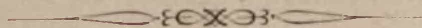
spokoju epicznego. Najgłośniejszą książką Kellera są „Ludzie z Seldwyla“ (*Die Leute von Seldwyla*), a pomiędzy nimi znowu nowela: „Romeo i Julia na wsi“. Natomiast najdojrzalszym i najdoskonalszym tworem Kellera są „Nowele zurychskie“ (*Züricher Novellen*), cywilizacyjne obrazy z przeszłości i teraźniejszości jego miasta rodzinnego, doprowadzone do takiego wykończenia, że o większém pomyśléć niepodobna. Natura Kellera jest bardzo odmienną od natury jego ziomka Meyera. Keller lubuje się wszędzie w malowaniu drobnych obrazków, które są antytezą ciągle rozwijającego się opowiadania u Meyera. Keller jest wszędzie humorystą i wszędzie pouczającym. Ma on upodobanie w mowach i rozmyślaniach; praktyczny pisarz państwowy lubi wplatać upomnienia do swoich kochanych związkowych. „W siedmiu legendach“ pozwala on swemu humorowi igrać swobodnie i bez wszelkich zamiarów ubocznych. Opowiadania Kellera i wzrastające uznanie, jakie od dziesięciu lat znajdują wszędzie w Niemczech, niech posłużą za miłe zakończenie tego pobieżnego przeglądu romansu i noweli; poeta realistyczny, którego jeżeli wolno nazwać czyim uczniem, to tylko uczniem Goethego, tworzy dzieła, jakich w literaturze niemieckiéj jeszcze nie posiadamy, i wszystkie stronnictwa łączą się w pochwale mistrza, który zespolił razem to, co jest nowe, i to, co jest dobre.

„Zielony Henryk“ Godfryda Kellera jest nawpół romansem, nawpół wyznaniem. W dodatku do romansu autobiograficznego chciałbym wymienić przynajmniéj najznakomitsze autobiografie poetów niemieckich, jakie się ukazały w ostatnich latach. Ryszard Wagner pozostawił autobiografię, obejmującą kilka tomów, która jednak doczeka się wydania dopiéro po upływie pewnéj liczby lat od jego zgonu. Znajdujący się na czele jego pism zbiorowych „Szkic autobiograficzny“ sięga tylko do roku 1842. Pożądane uzupełnienie stanowi brakująca w zbiorze „Wiadomość o życiu“ (*Lebens Bericht*, 1884), niemieckie oryginalne wydanie autobiografii, napisanéj dla „Przeglądu północno-amerykańskiego“ (*The North American Review*) p. t. „Dzieło i misya mojego życia“ (*The work and mission of my life*), Wagner stara się wykazać związek pomiędzy lichotą w stosunkach naszéj sztuki a losami politycznemi od r. 1813 do 1870; wobec ulubionych przekręcań wyłuszcza on przekonywająco, do czego dąży w sztuce i za pomocą przedstawień uroczystych w Bayreuth. Co do Grillparzera, to po jego śmierci w ostatnim tomie jego dzieł zbiorowych ukazała się r. 1879 „Autobiografia“, któréj uzupełnienie stanowią ogłoszone części dzienników. Przy Fr. Hebbel'u musimy się ograniczyć do dwóch tomów „Dziennika“ (*Tagebücher*, 1885), które zarówno dla psychologa,

jak i dla estetyka stanowią bodaj nigdy niewyczerpany skarbiec. W ostatnich latach hrabia Schack, Gustaw Freytag, Hamerling i Feliks Dahn wydali w krótkich przerwach wspomnienia życiowe, które właśnie nabrały niezmiernie wielkiéj wartości dla określenia charakteru czterech poetów. Freytag wydał „Wspomnienia z mego życia“ (*Erinnerungen aus meinem Leben*, 1887) jako wstęp do zbiorowego wydania pism swoich. Autobiografia pod wielu względami jest odbiciem ostatniego i najsłabszego romansu „Przodków“: „Z małego miasta“ (*Aus einer kleinen Stadt*). Szczególnie interesującą jest przytém obrona, jaką Freytag wypowiada na korzyść romansu, tego nowoczesnego zastępcy epopei. Naukowa książka Freytaga p. t. „Technika dramatu“ (*Die Technik des Dramas*) cieszy się oddawna w Niemczech prawie kanoniczną powagą i nie pozostała bez wpływu nawet na produkcyę. Autobiografia w szczupłych granicach podaje przynajmniéj wskazówki, tyczące się techniki romansu. Już w 1883 r. Spielhagen ogłosił swoje „Przyczynki do teoryi i techniki romansu“ (*Beiträge zur Theorie und Technik des Romans*). W prosty, nieco suchy sposób Freytag opowiada stronę zewnętrzną swego żywota i omawia swe dzieła, wszędzie pouczając i strofując. Kiedy mówi o innych poetach, to popełnia dziwne błędy. Ze szczególném upodobaniem wspomina o swojéj działalności w piśmie „*Grenzboten*“ i w „*Nationalverein*“. Prawdziwy kontrast z trzeźwém samoodzwierciedleniem się Freytaga stanowią trzy tomy wspomnień i notatek hrabiego Schack'a p. t. „Pół wieku“ (*Ein halbes Jahrhundert*, 1888): własne ja kryje się tu za tém, czego się autor uczył i co widział. Niestety, o jego własnych utworach poetycznych nie ma tu prawie wcale mowy. Jednakże w sądach i wizerunkach otwiera się niezmiernie szeroki widnokrąg duchowy, na który z samotnéj wyżyny spogląda najszlachetniejszy szlachcic niemiecki. Jako uzupełnienie tych wspomnień potrzeba jeszcze wymienić dwie inne książki, mianowicie: „Mój zbiór obrazów“ (*Meine Gemäldesammlung*, 1881) i „Pandora. Pisma mieszane“ (*Pandora. Vermischte Schriften*, 1890). Oprócz królów bawarskich Ludwika I-go i II-go żaden książę ani żaden człowiek prywatny nie zrobił nawet w przybliżeniu tyle dla sztuki plastycznéj, co Adolf Fryderyk von Schack. Odkrył on uzdolnienie Lembacha i czuwał nad jego wykształceniem, Genelli doznawał poparcia tylko od niego, podobnież jak Preller znalazł u niego pierwszą czynną pomoc. U Schacka znaleźli naprzód uznanie Feuerbach i Böcklin. Nie dawszy się uwieść ani modzie, ani własnemu upodobaniu w wiekach minionych, popierał on najlepszych artystów swego czasu za pomocą bogatych środków, jakiemi rozporządzał. W kołach dyplomatyczno-arystokratycznych, do jakich należał, było dla niego rzeczą nie łatwą zdobyć sobie wol-

ność ducha, któréj dał wyraz w mowie wiązanéj i niewiązanéj. Potrzeba było zarówno żelaznéj wytrwałości, jak i ognistego zapału, ażeby doprowadzić do skutku studya, które go postawiły w możności przetłómaczenia narodowego epika perskiego Firdusi'ego i napisania historyi dramatu hiszpańskiego. Odziedziczone środki umożliwiły mu kilkakrotne zwiedzenie Europy i Azyi; że to uczynił z takim skutkiem dla swego wykształcenia, to było możliwe tylko dzięki językowym i historycznym studyom, którym się przedtém oddawał. Trzeba czytać jego „Dziennik z Odenwaldu“ („*Tagebuch aus dem Odenwald*“), takie artykuły jak: „Pierwsze i drugie odrodzenie“, „Jezioro genewskie“, ażeby powziąć wyobrażenie o takiém ukształceniu umysłu, tym wspaniałym poglądzie na świat, jaki spoczywa na dnie jego utworów poetycznych. Zacny w myślach i działaniu, szlachcic w każdym calu, hrabia Schack stoi przed narodem jako wzór dla szlachty niemieckiéj, nie mający zarówno poprzedników jak i następców. I ten-to właśnie mąż musiał doświadczyć tylu przykrości; mało kto był mu wdzięczny za jego pracę, poświęconą służbie dla dobra i piękna. Jestto może jedna z przyczyn, dla któréj, o ile tylko można, unika on we swych wspomnieniach mówienia o sobie i swoim rozwoju wewnętrznym. Całkiem inaczéj jest u Feliksa Dahna. W pierwszym, dotychczas jedynym tomie swoich „Wspomnień“ (*Erinnerungen*, 1890) rozkoszuje on się pamiątką swych hałaśliwych zabaw chłopięcych, podczas których wbił sobie po dziecinnemu do głowy te same przygody i walki, jakie poeta kazał późniéj przebywać swoim bohaterom. Wesołe bójki i wczesne wysługiwanie się miłości możnaby położyć jako godło nad tą idyllą życia chłopięcego; w pełni świeżéj siły wspomnienia te zostały napisane dla przyjaciół poety i nie były pierwotnie przeznaczone dla szerszych kół. Natomiast Hamerling, wyczerpany długą chorobą i stojąc wobec śmierci, skreślił „Stacye swojéj pielgrzymki życiowéj“ (*Stationen meiner Lebenspilgerschaft*, 1889). Mając tak dużo jeszcze planów w umyśle, a tak mało znając radości, chory rozejrzał się w swém życiu i swych utworach: jak biédny uczeń klasztorny pracował rzetelnie dla wybicia się do góry, jak studentowi wiedeńskiemu wśród poważnych studyów nad starożytnością zabłysnął ideał piękności, i jak wewnętrzny popęd serca kazał mu wypowiedzieć w pieśni i poezyi epicznéj to, na co patrzał, co czuł, o czém myślał. A obserwując ze swego odosobnienia walkę i zamęt czasu, poczytał sobie za obowiązek zwrócić do współczesnych ostrzegające słowo poety i po tchnącym pięknością obrazie Peryklesowéj Hellady — romansie „Aspasia“, wyprawił satyrę: „Homunculus“.

Dr. Max Koch.





IRMA.*)

(Dokończenie).

Odtąd spotykali się stale w odstępach dwu lub trzech miesięcy w Warszawie lub nawet w mieście N., gdzie Irma, jak przedtém, mieszkała, a dokąd on czasem przyjeżdżał za interesami.

Sposobności widzenia jéj Edward nie przysparzał umyślnie, ale nadarzającéj się nie pomijał, to pewna.

Ani razu tylko nie złożyło się tak, aby byli sami. Obecność zaś krewnych, znajomych, albo ojca pobudzała ich témbardziéj do gorliwego zachowywania pozorów obojętności i swobody, po za któremi tak dalece niepodobna nic było przeniknąć, że sami nie wiedzieli, coby w sobie znaleźli naprawdę.

Zdaje się jednak, że i nie badali. I najpewniéj postępowali jak ludzie, którzy znają prawdę, lecz, nie chcąc otwarcie przyznawać jéj przed sobą, milczą, bo właściwie już tak mają chorą wolę, że nie czują sił do walki, albo i rozkosz znajdują w samym stanie niepewności.

Wydawało się tedy, że oboje pogodzeni są z losem i istniejącym porządkiem rzeczy. Wymawiali nawet niekiedy imiona jego żony i córeczki, czego nie robili z początku i poruszali sprawy rodzinne na mocy dawnych stosunków i wspomnień, które ich łączyły z jednemi miejscami i ludźmi.

Podczas tych rozmów pokazywało się, że Edward pamiętał najdrobniejsze szczegóły z dziecięctwa i lat młodocianych; ale do epoki

---

*) Ob. „Ateneum“, marzec, str. 489.

téj zwracał się, jak człowiek z po za grobu do minionego życia — to jest, jak człowiek odcięty od tego, co czuł, działał i pragnął, przełomem tak absolutnym, jak śmierć.

— Tak — tak! To było niegdyś, ale bardzo dawno — mówił o rzeczach z przed lat ośmiu i dziewięciu. — Wiele wody i czasu odtąd upłynęło — dodawał, machając ręką z wyraźném: nie warto poruszać przeszłości.

Wrażenie, jakie wywarł na Irmie przy pierwszém spotkaniu, nie zatarło się przy następnych. Wydawał się w saméj rzeczy zupełnie wyzutym ze złudzeń, z zapału, z możności odczuwania piękna i potrzeb ducha; obojętnym na rozwój nauki, na kwestye społeczne, nawet na troskę choćby najbliższych; a zajętym jedynie swoją wygodą, dobrobytem, jakiego używał — tak, iż Irma nie dziwiła się, że miał ustaloną opinię wyrachowanego samoluba i wysoce niesympatycznego człowieka.

Ale ona nie przestawała wierzyć, że w głębi duszy jest innym. Nigdy też nie potępiała go. Bo jeśli zresztą wzięła za prawdę jakiś egoistyczny paradoks, który wygłosił, to natychmiast dodawała: ja zmarnowałam go—jam winna.

Tylko w jego obecności nigdy się z tém nie zdradzała; i zachowywała taktykę, jaką on przyjął: niedotykania niczém wzajemnego między nimi stosunku, ani wpływu, jaki na siebie kiedykolwiek wywierali.

Nie przeszkadzało to wszakże, aby w rozmowach obojętnych nie odkrywała swego sposobu myślenia wogóle. Ponieważ zaś zachowała dawny zapał, świeżość uczuć, chęć do życia i wiarę w ludzi, więc powstawały między nimi utarczki tém żywsze, iż on usiłował zaznaczać krańcową zmianę swoich przekonań.

Rozprawy takie, pełne powabu, stawiały ich wszakże na zaczepno-odpornéj stopie, mniéj bezpiecznéj, bo drażniącéj i podniecającéj.

Czasem też rzucili jakieś oderwane spojrzenie lub słowo, które przypominało te błyskawice przed burzą, co zlekka migają na krańcach horyzontu, gdy wkoło jeszcze zupełna cisza.

Irmę prawdziwie niecierpliwił jego chłód i pesymizm. I niecierpliwość ta, powstająca nietylko z pożądań a ucisku serca, ale i z gorącéj krwi, coraz bardziéj wzbiérała.

Dlatego nieraz zaledwie powstrzymywała się od wypowiedzenia, że tych komedyi w słowach i obejściu znosić nie chce i nie będzie; albo przeciwnie: od drażnienia go przekorą tak uparcie, aby koniecznie wyrwać z apatyi.

W końcu też drobnostka wywołała między nimi starcie.

Oglądali fotografie.

Irmie nagle przyszła ochota pokazać mu swoję dużą i świetną.

W balowéj sukni, z obnażonemi ramionami, osypana mnóstwem spadających traw i drobnych kwiatów, z błyskiem w oczach, a smutnym uśmiechem na ustach, wyglądała na wizerunku tym w saméj rzeczy, jak uosobienie ponęty, jak rusałka pociągająca nieprzepartym urokiem w otchłań.

— A tę znasz? — zapytała pół żartem, podając Edwardowi ten cudny swój portret, i utkwiła w twarzy jego wzrok ciekawy.

— Znam—odparł głucho, na pierwszy rzut.

Podszedł z fotografią do światła i patrzył w nią długo, oczu nie mogąc oderwać — aż zaczęły mu drgać w twarzy nerwy od skroni.

W końcu zwrócił się do Irmy.

— Daj mi ją!—rzekł cicho i prosząco—Daj!...

Ona pobladła.

Dźwięk jego głosu, w którym bez zaprzeczenia brzmiała miłość, przeniknął ją. Ale czy zlękła się tego odkrycia, którego jednak pragnęła, czy bała się zdradzić własne wzruszenie, czy wprost wzbiła się w niéj dotknięta duma, która jednak na dnie serca szczepiła urazę i chęć odwetu—dość, że wyrwała fotografią z jego ręki i patrząc mu prosto w oczy, a każde słowo wymawiając oddzielnie i z naciskiem rzekła:

— Co? — Ja — miałabym—tobie—dać fotografię?... Aż nadto, że wspomnienie moje cię prześladowało — i w domu twym przebywa! — dokończyła porywczo i wizerunek swój pod klucz zamknęła w biurku.

Płomień oblał czoło Edwarda.

Nie otworzył ust, tylko spojrzał na nią z wyrazem tak głębokiego bólu, że w jednéj chwili byłaby chciała cofnąć rzucone słowa, przeprosić go—pocałunkami okryć smutne jego oczy.

Ale czyny i chęci były w niéj przecie tak często w sprzeczności, nietylko z powodu niejednolitego usposobienia, ale i z musu.

Zaczęła chodzić po pokoju, aby się opanować. Chciała zatrzéć w sobie ślad wzruszenia, a jemu rzec cośkolwiek na ułagodzenie.

— Widzisz, — zaczęła zupełnie odmiennym, spokojnym tonem na pozór, — nie mogę jéj dać, mam jednę, a więcéj nie odbiją, klisza zniszczona.

Edward wszakże już nie słuchał.

Stał, jak przedtém, oparty o ścianę, z głową spuszczoną i smutkiem na twarzy; myślał snadź nad znaczeniem jéj słów.

Po chwili pożegnał ją, — a ona nie zatrzymywała dla téj saméj przyczyny, dla któréj nie przeprosiła za przykrość wyrządzoną.

Za to gdy zniknął za drzwiami, zaczęła żywo chodzić po pokoju; rumieniec coraz silniejszy na lica jéj występował.

Była wzburzona, niezadowolona ze siebie, rozstrojona, jak gdyby każda struna w jéj sercu grała z innego tonu.

Lecz odpowiedzialność za swój postępek zrzucała na niego.

— Po co bywa tu?—mówiła. — Po co dobrowolnie naraża się na nieprzyjemności? Dlaczego mnie i siebie zmusza do odgrywania komedyi, których możnaby uniknąć? Czyż jesteśmy figurami z drzewa, bez serc i duszy... A może sam nie czuje nic, o mnie zaś nie myśli?... Ale nie! to nieprawda! niepodobna!... A więc nie ma dla nas innego wyjścia: najlepiéj nie widywać się wcale, nigdy! -- wypowiadała oderwanemi zdaniami.

I długo, długo chodziła po pokoju, uciszając bezwiednie nerwy miarowym ruchem.

Zwolna też wzburzenie opadało w niéj, jak piana, a zostawała czystość serca i myśli.

To „nie widywać się“ wypowiedziane przez prędkość, brała teraz pod rozwagą.

— Tak należałoby postąpić—myślała — i jam powinna odezwać się z tém pierwsza... On spokój niejako całego życia oddawał w moje ręce, wyznając, że sam oprzéć się mnie nie zdolny. A więc ja użyję moralnego wpływu, jaki mi nad sobą pozostawił i powiem mu, że nie chcę... że nie trzeba, aby bywał... Zapytam go, co daje kobiécie, któréj los związał ze swoim, któréj majątku używa, która zaufała mu? Przecież to oburzające, aby miał tam żonę, dziecko, dom — a przyjeżdżał tutaj... Tak! wszystko mu powiem—wszystko! — postanawiała pod wpływem szlachetności swéj natury i zasad, jakie w nią wpojono; niemniéj podniecona myślą, że na dobre użyje swojéj przewagi.

Lecz zwolna, gdy zapał dziewiczéj uczciwości ostygał, a myśl przedstawiała jéj obraz życia, jakie wiodła poprzednio, nie widując Edwarda, ogarniać ją zaczął spokojny, ale niewymowny smutek.

— A więc znów czeka ją ta czczość mimo zajęcia? Te szeregi dni podobnych do siebie, bezbarwnych, bez interesu mimo ludzi i rozrywek? I dokąd tak—i dlaczego?

Podeszła do otwartego okna i wyjrzała.

Na niebie świeciło mnóstwo gwiazd, jak najczęściéj w noc sierp-

niową—mnóstwo tak wielkie, jak krople rosy w sierpniowy poranek na łąkach.

— Ach, jak życie mogłoby wspaniale być pięknem, gdyby się nie marnowało!—z westchnieniem szepnęła.

I długo czarnemi gwiazdami patrzyła ku złotym, z których jedne do brzasku dnia drgały świetlistym płomykiem — inne szybko gasły.

Blisko pięć miesięcy upływało od tamtéj chwili — Edward się nie pokazywał.

Ojciec Irmy tymczasem zachorował nagle i śmiertelnie. Paraliż ubezwładnił go przez pół ciała tak silny, że życie od razu zawisło na włosku, i niebezpieczeństwo trwało dni kilka.

Irma nie pamiętała choroby i śmierci matki, bo była wtedy zaledwie pięcioletniem dzieckiem. Właściwie zatém pierwszy raz przechodziła jeden z najcięższych bólów, to jest trwogę o życie bliskiéj i drogiéj istoty.

Dni i nocy na krok nie odstępowała ojca. Zwoływała pomoc lekarską, na jaką tylko zdobyć się było można i sama pilnowała wypełniania poleceń.

Ale też tydzień bezustannego niepokoju i trudu odbił się na niéj moralnie i fizycznie, jak miesiące zmartwień.

Blada była, wyczerpana, a przez ciągłe natężenie nerwów doszła do takiego roztroju, że zamiast cieszyć się, gdy stan chorego się polepszył, płakała jak dziecko, nie mogąc się utulić.

Dziewiątego dnia choroby doktorzy upewnili nareszcie, że złe nie powróci.

Tegoż samego dnia przed wieczorem zjawił się Edward.

Irma siedziała przy łóżku ojca, gdy służący oznajmił jéj gościa.

Na dźwięk jego nazwiska zadrżała.

— Prosić do salonu—odpowiedziała cicho.—Zaraz wyjdę.

Ale nie podnosiła się tak prędko.

Od ostatnich odwiedzin, po których postanawiała przekładać mu, aby zaprzestał bywać, sumienie nie utrzymało w niéj pierwszeństwa głosu. Z każdym dniem upływającym coraz trudniejszém do wykonania wydawało jéj się to zadanie postawione dobrowolnie przez poczucie obowiązku, aż w końcu wydało jéj się bezzasadném i na fałszywych podstawach opartém.

— Jak ja mogłam nawet coś podobnego przedsiębrać?—myślała.

gdy miesiąc drugi i trzeci przemijał, a Edward nie przyjeżdżał.—Dlaczego mam wyrządzać mu zawsze tylko przykrości?... Nigdy! Za nic nie wypowiem domu. Wolę sama znieść najcięższy przymus, byle jego już nie zranić!... Zresztą, co zarzucać można postępowaniu jego? Nic zgoła! Tylko więc uchybiałabym jemu i sobie podobném żądaniem,—dowodziła, nie wiedząc, że właściwie miłość i tęsknota pokonywa jéj opór i podsuwa rozumowanie, zagłuszające zwolna wszelkie skrupuły.

Co prawda, jednak w chwili, gdy Edward się pojawił, nie myślała wcale, w jaki sposób przyjmować go będzie, ze wszystkiém pochłonięta myślą o ojcu.

Ale też tém więcéj potrzebowała choć kilku minut, by opanować wzruszenie. Imię bowiem jego niespodzianie wypowiedziane, jak uderzenie młotka w dzwon, poruszyło drżeniem wszystkie cząsteczki jéj serca.

I ostatecznie szła witać Edwarda raczéj z pewną obawą o to, jakie obejście z jego strony znajdzie, niż ze świadomością, co sama powié i uczyni.

Lecz od pierwszego wejrzenia uspokoiła się. I w nim zwyciężyło serce.

Gdyby nie choroba jéj ojca, byłby zapewne nie przyjechał jeszcze, jak nie przyjeżdżał przez kilka miesięcy, może przez urazę, a może i przez zastanowienie, że jednak niebezpiecznie rozdmuchiwać ogień, który płonąć nie ma prawa. Ale wobec okoliczności, jakie zaszły, uważał za nieszlachetność nie podążyć i nie okazać jéj życzliwości. Zresztą—nie mógł poprostu pokonać chęci, która go popychała, jak nie umiał ukryć tkliwości, wybijającéj się na twarz.

Od samego progu objął Irmę ciepłém wejrzeniem współczucia, i bez cienia sztywności uścisnął jéj rękę po bratersku. A potém pomijając konwencyonalne powitania, wypytywać zaczął o chorego z żywym niepokojem i zainteresowaniem.

— Co się dzieje?... Czy minęło niebezpieczeństwo? Co mówią doktorzy? Czy przytomny?...—rzucał śpiesznie jedno pytanie za drugiém, zapomniawszy zwykłéj maski chłodu.

Irma objaśniała zwięźle i treściwie, jak zwykle, gdy się chce w paru minutach wypowiedziéć wiele. I dopiéro po chwili spostrzegła, że rozmawiają stojący.

Poprowadziła tedy Edwarda w bok salonu ku małéj kanapce, sama siadła na niéj, jemu wskazała miejsce obok na taborecie — i na żądanie raz drugi opowiadała wszystko od początku do końca z naj-

drobniejszemi szczegółami, nie tając bolesnych wstrząśnień, jakich doświadczyła.

On słuchał w milczeniu i oczu z niéj nie spuszczał.

— Cóż, ty drżysz?... Febrę masz? — zapytał nagle po cichu, a z nieudającém się ukryć wzruszeniem.

— To nerwowe tylko, — odparła ona. — Za mało spałam, a za wiele przeszłam wśród tych dni — i nie mogę jeszcze mówić spokojnie.

On patrzył na nią, patrzył, nieco pochylony ku niéj, bo rozmawiali przyciszonemi głosami—patrzył, prześlizgując się oczyma po całéj jéj postaci...

Zdawało się, że najchętniéj zesunąłby się z taboretu na kolana, i pocałunkami okrywając jéj nogi i ręce, przepraszał za to, że cierpiała.

Ją opanowywała jakaś rozkoszna bezwładność.

Siedziała wtulona w róg kanapki, wbrew zwyczajowi nieśmiała, cicha, rozbrojona ze swéj woli, z odporno-zaczepnego dowcipu i śmiechu.

Bezsenność, ból, trwoga ostatnich dni, a może i targające nią chwilami przedtém obawy o to, czy Edward jeszcze kiedy przyjedzie—pokonały ją. Była sobą; nie wzdragała się wypowiadać otwarcie tego, co czuła; nie usiłowała wesołością zacierać łez płynących z powodu choroby ojca, i wogóle pierwszy raz w obecności tego, który serce jéj przepełniał, nie próbowała walczyć z sercem.

Ale milczała, gdy skończyła opowiadania o chorym. Mogła nie stawiać sobie saméj oporu, skoro już nie miała na to sił—lecz zdradzić się przed nim ze słabością—nigdy!

Prawie téż ciągle oczy miała spuszczone.

I siedzieli tak długą chwilę w ciszy i sami, zatopieni w odgłosy własnych dusz.

— Jesteś bardzo mizerna, widocznie bardzo wyczerpana — zaczął on w końcu zwolna, miarkując, że mówić wypada.—Musisz... trzeba, abyś pamiętała o sobie.

Irma uśmiechnęła się łagodnie.

— Trudno przecież, abym dla oszczędzenia siebie poświęcała ojca—odparła.

I znów zamilkli.

Byli tak blisko i naprzeciw siebie, że niepodobném prawie wydawało się, aby spojrzeń co chwila nie krzyżowali; a przecież oczy ich rzadko się spotykały; ona tego unikała.

— Niebezpieczeństwa zatém stanowczo nie ma? — powiedział Edward jakby dla upewnienia.

— Ja dopiéro wczoraj dowiedziałem się o wszystkiém, — dorzucił.—Przed paru dniami i u mnie dziecko chorowało.

Irma spojrzała jakby ze snu obudzona.

— Tak?—zapytała.—Ale zdrowsze?

— Zupełnie dobrze — odparł krótko. Wstał i chodzić zaczął po pokoju.

— No, pożegnam cię już... Pewnie jesteś ojcu potrzebna —mówił po chwili, stając przed nią.

— Obecnie jadę do wuja, tu w okolicę. Za dwa tygodnie będę powracał. Zajrzę dowiedzieć się, co słychać.

I objął jéj rękę tym powtarzanym uściskiem, który bez słów aż nadto mówił, że odejść mu żal i ciężko.

We dwa tygodnie przyszedł, jak zapowiedział.

Ojca Irmy zastał prawie zupełnie zdrowym, ją samą rozweseloną i ucieszoną polepszeniem.

Doktorzy zapowiadali, że chory odzyska w krótkim czasie zupełną możność zajmowania się dawnemi obowiązkami, Irma téż wobec pocieszającéj nadziei, zapominała świeżych dni troski i niepokoju, i jak dziecko się radowała.

Usposobienie zaś jéj widocznie oddziaływało na wszystkich.

Edward nie przywdziewał już sztywnego pancerza, choć prawie na chwilę nie zostawali sami, za świadka mając stryjenkę z Warszawy, która przyjechała dopomagać w pielęgnowaniu chorego.

Ale co dla nich znaczyła obecność osoby trzeciéj, lub nawet kilku? Skoro przełamali raz chłód pozorny, już nie powracali do niego równie wobec siebie, jak innych. Zresztą, czy oni wiedzieli tak dokładnie, co z nimi się dzieje? Czy mogli śledzić temperaturę swych serc i kierować jéj stopniem? Zmiany, jakie w nich zachodziły, działy się właściwie bez ich woli, bez jasnéj świadomości, że następują—zapanowywały wprost nad nimi—i koniec.

I tak w powierzchownem ich zachowaniu względem siebie było przedziwnie utrzymane umiarkowanie, które przeciętnemu widzowi nic nie dawało pochwycić. Oni bowiem latami przymusu wyćwiczeni w panowaniu nad sobą, już przez nałóg zastosowywali się do potrzeby. Zresztą przecież tłumili wzajemnie dla siebie uczucie, wpierając niemal w siebie, że istnieć przestało; świadomie nie pozwalali sercom dopominać się o swe prawa, i nie szukali wyłącznych warunków życia,

w których byliby mogli łatwiéj puszczać wodze chęciom i pragnieniom. W swojém tedy przekonaniu nie popełniali nic złego, nic, co potrzebowałoby oczu ludzkich unikać.

Ale właśnie to przekonanie było największém zaślepieniem miłości i wzrastało w miarę, jak miłość opanowywała ich bezwzględnie. Skrupuły w sumieniu Irmy zerwały się raz—i opadły; w nim może nie powstawały wcale. Na wszystko znajdowali usprawiedliwienie — bo sądem ich zaczynało wyłącznie rządzić serce. Oszukiwali tedy samych siebie coraz bardziéj, a potężna siła, pociągająca ich ku sobie od tak dawna, działała coraz wyraźniéj i natarczywiéj. I zaczęła nawiązywać się między nimi zdolność wzajemnego rozumienia uczuć i myśli bez wyłącznych słów, któreby je malowały.

I tego oto wieczora wśród rozmowy potocznéj, jeszcze o chorym i o nowinach z dzienników i Warszawy, raz po raz słowa jakieś oderwane, frazes stosowany do innych, nabierały dla nich odrębnego znaczenia, które w lot chwytali oboje; głosy ich przybierały dźwięki, których zmianę sami tylko poznawali — i tym sposobem ogień w ich sercach i krwi rozgrzéwał się coraz bardziéj własną siłą nawet wówczas, gdy obojętny świadek nie postrzegał nic zgoła.

Ale-bo téż wieczór ten wyjątkowo może ich usposobił, jedném przypomnieniem z lat dawnych, zupełnie przerzucając w przeszłość.

Siedzieli tym razem nie ceremonialnie w salonie, jak zwykle, ale w jadalni, bliżéj pokoju rekonwalescenta, oboje ze stryjenką przy stole, nad którym wisiała jak dawnemi czasy duża lampa.

Edward pierwszy raz został u nich dłużéj, na herbacie; dotąd wizyty odbywał w takiéj porze, iż nie proponowano mu żadnego posiłku. Pierwszy raz więc po tylu latach miał znów przełamać chléb w domu, gdzie jadał go tak często — i z tą, która jeśli była najdroższém jego ukochaniem, to była zarazem i najdotkliwszym bólem jego serca. Pierwszy téż raz po tak długiéj przerwie był obecny obrazom, które powtarzały się koło niego niegdyś codziennie.

Przygotowywano oto przy nim wieczerzę, nakrywano stół, przynoszono samowar, filiżanki, zastawę — wszystko jak dawniéj; i Irma po chwili krzątać się zaczęła koło kredensu cichutko, a z wdziękiem, téż jak wówczas, gdy była podlotkiem, a on niedorosłym chłopcem.

To téż okoliczności te wraz z otoczeniem sprzętów przechowanych zdawna, oddziałały na niego rozgrzewająco, jak ciepło ogniska na człowieka, który przeziąbł i długo odrętwienie uczuwał w ciele.

Żadna błahostka nie uchodziła jego uwagi. Z ciekawością śle-

dził najmniejszy drobiazg i chciwie chwytał w duszę każdy szczegół z tego życia, w którém niegdyś brał tak żywy udział.

Co chwila też umilkał, zagłębiając się we własnych myślach, i w końcu zupełnie przeniesiony w przeszłość, zapomniał zwykłych ostrożności, lecz po prostu wypytywać zaczął:

— Czy to ten sam stół, przy którym siadaliśmy i bawili się w dzieciństwie?

— Tak, ten sam—odparła Irma.

— Poznaję go—dodał Edward zcicha do siebie.

— Jak dziś, pamiętam, gdzie siadałaś ty,—podjął znów głośno—gdzie ciocia, która cię wychowywała... O, tu było zwykłe miejsce twego ojca, z téj strony kuzynek, tam braci stryjecznych, a tutaj moje—wykładał z ożywieniem, wszystko pokazując ręką.

— A czy jest jeszcze ta mahoniowa szafka z lustrem, przed którą mierzyliśmy zawsze, kto wyższy, dopókąd...

— Nie przestaliśmy rosnąć — podchwyciła Irma. Ale wejrzenie, które zamienili z sobą obojgu powiedziało, że co innego mieli na myśli.

— A ten fotel na biegunach, w którym tak lubiłaś siedziéć, gdy cię kołysano?... Udawałaś śpiącą, ale pozwalałaś się budzić—dodał ze znaczącym uśmiechem.

Irma spłonęła. I pod pozorem szukania zasłony na lampę przez troskliwość niby dla stryjenki, wstała i odeszła.

Dopiéro po chwili, gdy poczuła, że rumieńce spadły, powróciła, zawiesiła na kloszu wielkiego motyla z bibułki, i w cieniu jego skrzydeł sama znów przy stole siadła.

Fotel na biegunach łączył się dla nich z niebezpiecznemi wspomnieniami. Gdy byli mali, oboje wtłaczali się w jego wgłębienie i bujali razem. Gdy byli starsi, ale jeszcze dzieci, w podróż poślubną jako małżonkowie jeździli fotelem. On właściwie siadał wtedy najczęściéj na krzesełku, jak na koniu, a ją kołysał w fotelu, naśladując tém huśtanie karety po złéj drodze, i namawiając, aby spała, budził ją pocałunkiem na każdym przystanku. Późniéj zaś, gdy podrośli oboje, gdy ona była podlotkiem, on uczniem „klas wyższych“ — wtedy z kolei on o szaréj godzinie udawał w fotelu śpiącego akademika, a ona jako dobra wróżka przez dotknięcie paluszkiem w czoło budziła go—niby do nauki... i pozwalała, aby na dzień dobry rękę jéj do ust pociągał.

Nie dała też zniszczyć starego fotela i świeżo wysłany postawiła w swoim pokoju.

— Jest—jest—wszystko!—żywo powiedziała teraz Irma, wido-

cznie poruszona, ale i niespokojna o to, aby wspomnienia zadaleko ich nie zaprowadziły.

W téj bowiem chwili stryjenka już zauważyła, że z „dziwną dokładnością pamiętają drobnostki“ — poczém zaczęła opowiadać jakąś historyę ze swéj młodości.

Szczęście, że nie mieli obowiązku pamiętać faktów, z przed swego urodzenia, i mogli przez to słuchać i nie słuchać.

Właściwie bowiem nie słuchali wcale i nie rozumieli nic zgoła z długiéj i zapewne nieciekawéj przygody.

Oczy ich nie unikały już spotkania. Przeciwnie, mknęły raz po raz ku sobie przez stół, który ich dzielił, i spajały się wejrzeniem gorącém, a pełném smutku i zapytań.

„Drobnostki z dzieciństwa“ rozbudziły w nich cały szereg uczuć przebrzmiałych, a żywych; poruszyły wszystkie przytłumione struny w ich sercach, które naraz drgnęły życiem i bólem i wprost wołały: po co, po co daliście się rozłączyć, kiedy wam było tak dobrze razem?!...

I pytania jedne za drugiemi stawały, nie dając się odeprzéć — wszystko bowiem było między nimi zapytaniem: przeszłość i walki — nieszczęście, jakie sobie zgotowali i przyszłość...

Cóż ich rozdzieliło? Dlaczego w saméj rzeczy rozeszli się, czy rozerwać dali? Czemu skazali na wieczną tęsknotę niezaspokojonych pożądań i pragnień?... Co ich czeka? I co uczynią — jeśli wypadek powróci im wolność, lub namiętność pchnie do zerwania więzów?

Irma była odurzona. Wzrok jego głębokich oczu, padając na nią co chwila, jak słońce przenikał ją ciepłem i rozkoszą, wprost ubezwładniał.

Siedziała z głową przechyloną na wysokie oparcie krzesła, przyczém profil jéj twarzy nieco podniesionéj w górę cudnie się rysował czystością klasycznych linii.

Edward naprzeciw niéj ku stołowi zlekka pochylony, pierś podawał naprzód, a głowę w tył odrzucał dumnie, jak wówczas, gdy chciał ją zdobyć i wierzył, że zdobędzie... Zdawało się też, że tylko otworzyć mu usta, a wypowie, jak dziś gotów stargać kajdany, zdeptać prawa, byle zabrać ją na własność...

W tém pani stryjenka opowiadanie skończyła i rozśmiała się głośno z epizodu, który miał ich zabawić, a przeszedł niepostrzeżenie mimo uszu—niesłyszany.

Dobrze przynajmniéj, iż ta dama była równie pracowita, jak mało bystra, i cały czas oczy trzymała utkwione w szydełkowéj robocie.

Tym bowiem sposobem nie spostrzegła płomieni, które jawnie pierwszy raz po twarzach dwojga młodych przepływały.

Śmiech jéj przerzucił ich w rzeczywistość. Irma drgnęła, jak gdyby zahypnotyzowanéj w twarz dmuchnięto.

Podniosła się zwolna i nie mówiąc słowa poszła do ojca.

A gdy powróciła, Edward pożegnał je i wyszedł.

Irma téj nocy prawie nie spała.

Teraz wiedziała jasno, że Edward nie przestał jéj kochać, albo raz drugi pokochał, nie zadowolniwszy i nie zasyciwszy swych uczuć raz pierwszy. I wiedziała niemniéj co ma we własnem sercu.

Na potwierdzenie jego miłości nie posiadała żadnych nowych wyznań, nic prócz błahostek, prócz dźwięków głosu dla niéj zrozumiałych i spojrzeń palących, przez które tryskał ogień z piersi. A przecież dość tego było, aby nieprzezwyciężona tęsknota za wyraźniejszemi dowodami jego przywiązania ogarniała ją, przenikając pragnieniem nietylko duszę, ale członki wszystkie i krew w żyłach.

Minęły lata pierwszéj młodości, ledwo wykluwającéj się z dziecięctwa, w których wystarczały im sny, marzenia, sceny przeżywane w wyobraźni zamiast w rzeczywistości. Pragnęli teraz czynu, życia z życiem spojonego w jedną siłę. Miłość ich złożona dotąd z idei, ze szlachetnych porywów, z dążeń do udoskonalenia i dobra, z podrażnień ambicyi, nawet z przekornéj wytrwałości wobec przeszkód — ale zawsze tylko miłość czysto dusz i serc, stawała się teraz miłością więcéj realną, żądającą zadowolenia, dopełnień, uścisku, pocałunku — poprostu ciepła piersi przywartéj do piersi, rozkoszy ust z ust pijących życie — miłością, na dnie któréj mogła być dla nich tylko przepaść, ale która rozpętywała się z więzów, naturalnem prawem podniecając w ogniu.

Irma czuła, że tak jest z nią, więc mówiła, że z nim tak być musi. Czuła też, że gdy otworzą usta, namiętność porwie ich jak potok, który z tém większą siłą niesie, im dłużéj hamowany czeka. Wiedziała, że gdy rozejdą się jeszcze raz, szczęścia bez siebie nie znajdą na świecie, jak nie znaleźli dotąd; a przecież rozumiała niemniéj jasno, że nie są dziećmi, że każdy krok pociąga następstwa i odpowiedzialność, że *on* nie jest wolny, i w losy ich wplątana dola drugiéj kobiéty: żony i matki. Dla tego w duszy jéj powstawały walki.

Grzechu względem żony Edwarda właściwie ze swéj strony nie przyznawała żadnego, bo nie okradała jéj przecież ze skarbów, które nigdy własnością jéj nie były.

— Co począć, że słońce w południowe okna zagląda codzień, a w północne nigdy? — mawiała, za rzecz naturalną uważając wierność Edwarda dla dawnych uczuć. Za wiele jednak miała wrodzonéj sprawiedliwości i uczciwych zasad, aby nie uznawać, że krzywda dzieje się rywalce. Tylko rdzeń jéj rozumowań tkwił w tém, iż przyznawała, „że krzywda się dzieje“, ale skutkiem zbiegu okoliczności; nie mówiła zaś nigdy, że „wyrządza“ ją sama.

— Nie kochał tamtéj, nie łudził jéj, pocóż była tak nędzna, że mimo to zgodziła się żoną jego zostać?—mówiła porywczo.

I bunt przeciwko własnym uczuciom, które ubezwładniały w niéj siłę woli, szybko opadał; a gdy pomyślała natomiast, czém mógł być ukochany człowiek w jéj ręku, czém życie ich połączone razem, które marnowało się każdemu z osobna — podnosiła bunt stokroć zapamiętalszy i pełen pogardy przeciw kłamstwu, jakie popełniali oboje, wypierając się wzajemnéj miłości i tchórzostwu, które nie dawało im występować do otwartéj walki ze światem i prawami ludzkiemi, zadającemi gwałt ich sercom i naturze.

Żywa bowiem i pełna sił jéj natura mściła się teraz prawdziwie za narzucany tak długo hamulec. Po każdém odejściu Edwarda, Irma zrzuciwszy z siebie mus panowania, drżała wewnętrznym dreszczem. *On* napełniał całą przestrzeń wkoło niéj. Widziała go i słyszała bezustannie, choć był daleko; a gdy zamknęła oczy, wydawało jéj się nawet, że usta jego na powiekach czuje, oddech ciepły na licach, i pragnienie pieszczoty jego nie zaznanéj nigdy, ogniem przepływało po jéj ciele i wiedziała wówczas, że raczéj umrze, niż bez téj pieszczoty żyć daléj będzie.

A jednak wśród najbardziéj rozgorączkowanych myśli stawało przed nią pytanie, jak zmora nieodegnane: Czy Edward chciałby jéj, czy uwierzyłby w miłość, w którą wierzyć nie chciał?

Ośm lat najpiękniejszych życia przeminęło. Czy więc powróciłby do przeszłości za cenę tego, co posiadał? Czy zechciałby rzucić dziecko, wyrzec się majątku, do korzyści którego przywykł, i który snadź cenił, skoro poślubił kobietę przedewszystkiém bogatą? Czy wreszcie uwierzyłby teraz w szczęście z nią, które uważał za niepodobieństwo?

I cóż znajdowała za odpowiedź? Oto wydawało jéj się, że z niezaciemnioną nigdy logiką umysłu mówi jéj ostro:

— Jeśli kochałaś mnie, to trzeba było przyznać to wyraźnie jak ja, abym nie domysły i obietnice, lecz prawdę brał za prawdę! Jeśli

kochałaś, to czego było mi łamać życie, czemu tyle sił moich targać i marnować. Teraz za późno!...

I mróz ścinał krew w jéj żyłach.

Wszystkie rozkoszne złudzenia opadały, gorycz zalewała serce.

— W godzinę śmierci wezwę go — mówiła, sięgając myślą do chwili, w któréj nikt o kłamstwo posądzanym nie bywa — wezwę i powiem, że brakiem ufności zamknął mi usta od początku do końca i zabił tém moje i swoje szczęście!...

.....Po takiéj nocy Irma wstawała jak chora. Zaledwie rozumem pokonywała ociężałość członków i moralne lenistwo, i zmuszała się do podejmowania zwykłych zajęć i obowiązków.

Dobrze jeszcze gdy ożywiała ją nadzieja prędkiego widzenia, albo jakiéjkolwiek zmiany; wtedy myśl stęskniona zahaczała się na oznaczonym terminie, jak na wytkniętym punkcie, i czas oczekiwania wydawał się krótszym.

Ale po ostatnich odwiedzinach Edwarda i po tém, co następnie przemyślała w nocy, nic jéj nie pozostawało. Z jednéj strony powiedziała sobie jeszcze raz, że próżno łudzić się nadzieją, aby nawet ocenił kiedykolwiek to, co dla niégo przecierpiała; z drugiéj nie miała pojęcia kiedy znowu się zobaczą.

Nigdy nie zadawała mu pytań w tym względzie, nie chcąc upoważniać ani zobowiązywać do bywania. Mógł był po każdém rozejściu już się nie pokazać, a ona przyznawała, że czynić mu wymówek nie miałaby prawa.

Takie zachowywanie się było jeszcze jednym z ich strony dowodem chęci sumiennego wyjścia—bezskutecznym i bez znaczenia w gruncie, jak inne.

Irma nie wiedziała tedy nawet przypuszczalnie kiedy Edward znowu się pojawi, i nie spodziewała się tak prędko.

Ale jego poprostu coś gnało do niéj, czemu wszakże doskonale nadawał pozory. Przyjechał w bardzo krótkim czasie.

Ona w pierwszéj chwili przestraszyła się tych odwiedzin, których sobie wytłómaczyć nie umiała. Sama czuła, że traci moralną równowagę, siły i skłonność do oporu; obawiała się tedy każdego kroku z jego strony.

Chciała jednak ukryć zachwianą pewność siebie; postanawiała więc trzymać się ostro i witała Edwarda w milczeniu, nie okazując bynajmniéj ani zdziwienia, ani ciekawości z powodu raptownego przyjazdu.

On też w obejściu nie zdradzał nic szczególnego. Na wstępie wypytywał jak zwykle o zdrowie jéj ojca, który nie odzyskiwał w zu-

pełności sił umysłowych, jak zapowiadali doktorzy, a potém rzekł otwarcie:

— Ośmieliłem się przyjechać dziś w twoim interesie. Proszę, niechaj cię to nie obrazi. Nie byłbym się narzucał, gdyby nie to, że ojciec twój chory, a z obcych, wiem, że nikt nad waszemi sprawami nie czuwa. Chyba nie mylę się, że macie sumę na hypotece Zalesia?

Irma, przy pierwszych słowach jego, przemknęła w myśli Bóg wié jakie przypuszczenia, i zmieszała się. Poznawszy jednak o co chodzi, z całą przytomnością rzecz objęła i odparła:

— Tak, mamy sumę pięciu tysięcy rubli.

— Otóż więc muszę cię objaśnić, że na jutro naznaczona pierwsza licytacya tego majątku przez Towarzystwo Kredytowe; a za dwa miesiące będzie licytacya druga i ostatnia. Termin jutrzejszy nic właściwie nie znaczy; mogłaś tylko przestraszyć się, gdybyś była o tém posłyszała, a nie wiedziała jak sobie radzić. Drugi dopiéro termin ważny dla was i trzeba zapobiedz, aby suma nie spadła.

Irma była zdumiona dowodem jego życzliwości i pamięci.

— Jakżeż mogłabym obrażać się o dobroć twoją — rzekła serdecznie jak nigdy. — Przeciwnie: bardzo ci dziękuję!—dorzuciła i wyciągnęła do niego rękę.

Wielkie zadowolenie odbiło się na jego twarzy.

Zaproponował po chwili, że wytłómaczy jéj dokładnie manipulacyą sprzedaży publicznych i w saméj rzeczy dokonał tego treściwie a jasno. Po skończeniu zaś powiedział z wyraźną nieśmiałością:

— Gdybyś więc do drugiéj licytacyi nie miała pieniędzy na wadyum i nikogo, ktoby w waszém imieniu stawał, to pozwól, abym ja mógł w tém ci dopomódz. Mnie nie sprawisz tém najmniejszéj różnicy. Parę tysięcy rubli na jeden dzień podnieść, błahostka. A tobie saméj prawie niepodobna jest w takich okolicznościach i radzić sobie i występować. Z krewnych zaś, zdaje mi się, nie masz tu nikogo?

— W samém mieście nikogo — potwierdziła Irma.

— Więc zgoda? — zapytał.

— Owszém... dobrze — odparła z pewnym namysłem. Ważyła, czy może przyjąć jego usługę, czy nie. Ale ofiarowywał jéj tak prosto i przyjacielsko, że nie śmiała odmówić; zresztą nie widziała słusznych do tego powodów. Mimo wszystkiego, co było między nimi, byłaby nie inaczéj postąpiła, gdyby on pomocy jéj potrzebował.

— Pamiętaj zatém uprzedzić mnie, gdyby ojciec twój nie zajmował się jeszcze interesami i gdybyś nie miała ani pieniędzy, ani nikogo w zastępstwie. Termin ostateczny 28 marca—powtórzył, jak gdyby chcąc w pamięć jéj wbić każde słowo.

Irma wysłuchała i przyrzekła zastosować się do jego życzenia.

Na tém zakończyli rozmowę o interesach, i w tym punkcie skończyła się też swoboda ich rozmowy, jak gdyby odrazu zdmuchnięta.

Byli sami, mogli nie uczuwać żadnego skrępowania; nikt na nich nie patrzył, nikt ich nie wołał i nie czekał; stryjenka, świadek ostatnich odwiedzin, powróciła już do Warszawy; ojciec Irmy wieczorami stawiał pasyanse i drzémał, zupełną wolność zostawiając córce; wreszcie mieszkanie na dwie strony przedzielone przedpokojem, pozwalało im rozmawiać i śmiać się choćby najgłośniéj bez zawadzania choremu — mimo to umilkali co chwila, nie mogąc znaleźć tematu, któryby ich dłużéj zajął.

Tym razem siedzieli oboje na niskiéj kanapce w rogu salonu. Siedzieli tak blisko, że rozdzielała ich tylko miękka poduszka, którą Irma przygniatała ramieniem z jednéj strony, on z drugiéj.

Piękna lampa mleczna w bronz oprawna, stojąca z boku na konsoli marmurowéj, rzucała wkoło łagodne światło, przy którém uwydatniała się artystyczna harmonia, z jaką były porozmieszczane tu i owdzie rzeźby, malowidła; kwiaty świéże w wielkiéj obfitości i różne wykwintne drobiazgi, świadczące o fantazyi i zamiłowaniu piękna właścicielki tego przybytku.

Ale i to ujmujące otoczenie w dusze ich nie wlewało swobody.

Może bowiem warunki, które w inném położeniu były zdolne nastroić serca na ton zgodny i tkliwy — ich serca uciśnione przymusem, gorzéj niż kiedykolwiek rozstrajały tém właśnie, że przy pozorach wolności, nie mogli otworzyć przed sobą ani ust, ani dusz; przy gotowych ramach do szczęścia, nie mogli ani kropli szczęścia zakosztować.

Przeszli na herbatę do jadalni, ale i tam nie znajdowali szczerości przyjaciół.

Bo też ta herbata we dwoje była czystą ironią losu!

Obojgu musiało przychodzić na myśl, że oto tak mogli byli siedziéć naprzeciw siebie codzień, co rano, co wieczór, że mogli byli dzielić z sobą całe życie, i czarny i biały kęs chleba, i słodki i gorzki, zawsze dobry we dwoje, zawsze umilony wzajemném rozumieniem i ofiarnością serc.

Irma przez wrodzoną gościnność podsuwała mu i sér i owoce i ciasta, które lubił, jak pamiętała z lat dawnych. Odzywała się w niéj czysto kobiéca natura: tkliwość ją rozmarzała. Słodko było jéj usługiwać mu i dogadzać. Byłaby chciała wszystko postawić przed nim, co w dzieciństwie jadał, aby dać poznać, że nie zapomniała jego upodobań.

Ale on prawie nic nie tknął. Ciasto nadłamał i zostawił; owo-

cu nawet nie ruszył. Miał jeść, kiedy przychodziła mu chęć cały stół poderwać, wywrócić — i uciec?

— Widzisz! Odwykłeś od naszych wieczerzy i nic ci teraz nie smakuje—powiedziała Irma w końcu, choć sama do ust mało co brała.

— Ależ nie! Tylko wieczorem zwykle nie jadam — tłómaczył Edward by ją uspokoić. — Za to proszę cię jeszcze o herbatę — dodał i pozwolił, aby mu trzecią z kolei filiżankę nalewała.

Pił, bo sama czynność picia dawała mu zajęcie, którego z rozstroju nerwów potrzebował. I pił, bo byłby chciał, aby ona bez końca napełniając filiżankę, przesuwała koło jego ramienia drobne swoje ręce. O! bo jak pragnął drogie te białe ręce ująć i do ust ponieść, a za rękoma pociągnąć ją całą i do piersi jéj przycisnąć głowę!...

Przeszli nakoniec z powrotem do salonu, i usiedli jak poprzednio na kanapce w rogu. Ale z rozmową jeszcze było gorzéj.

Irma zaczęła plątać się; wygłaszała sprzeczne zdania, zdradzając tém, że mówi bez związku myśli i zapomina tego, co przed chwilą rzekła; on zaś podchwytywał ją jakby z satysfakcyą i zbijał nawet dosyć ostro.

Wkońcu wstał i zaczął chodzić po pokoju. Rozejrzał się po ścianach i sprzętach, zarzuconych drobiazgami i rzekł:

— Ja nie mógłbym wytrzymać wśród tylu cacek! potłukłbym to jednego wieczora.

— Chyba przez nieuwagę, bo przecież nie z gniewu? — podjęła ona.

— Kto to wié!

— A ja znów lubię wszystko, co upiększa życie.

— O! to wiem.

— A że sama jestem gotowa podjąć pewien trud, byle zadowolić swe upodobania...

— Piękne mi umilenie życia trudem! — przerwał jéj.

— Czy grywasz? — zapytał nagle stając przed otwartym fortepianem.

— Grywam, ale mniéj niż kiedyś.

— Kiedyś!...—powtórzył i pokiwał głową.

Zapewne z równą wyrazistością jak sceny z bujającym fotelem związane, przypomniał sobie inne obrazy, z epoki klasy siódméj i ósméj. Mianowicie, jak podczas jéj „godzin muzyki“, gdy po całéj klawiaturze przesuwała rękami, grając gamy i pasaże, siadał na krzesełku tuż blisko przy fortepianie, i oczy biegnąc za ruchem jéj palców, ustami te cienkie paluszki muskał, gdy zbliżyły się ku niemu.

— Kiedyś!... — powtórzył jeszcze raz, i zamyślony daléj chodził.

— A te biédne dzieci uczysz? — zapytał po chwili.

— Ma się rozumiéć, że uczę. Cóżbym robiła po całych dniach? Życie zapełniać zabawą i uprawianiem talentów dla przyjemności a bez pożytku dla drugich, uważam za niedorzeczność.

Stanął przed nią i znów potrząsnął głową.

— I cóż ty myślisz, że szczęście im dajesz, ucząc tego, czegoby nie znali bez ciebie? I myślisz, że sama szczęście posiadasz, zapełniając życie oderwanemi ideami, lub ślęczeniem nad książką i fortepianem? To kłamstwo, mówię ci! Oszukujesz sama siebie. Ale naturalnie z góry powiedziałaś sobie, że ci tak dobrze i przez upór wmawiasz, że istotnie dobrze. Naginasz do tego własne przekonania, a to jest kłamstwo!

Irma poczerwieniała.

— Jakto? — zaczęła żywo. — Chcesz mnie przekonać, że nauka i sztuka nie sprawia rozkoszy, pożyteczna praca nie daje moralnego zadowolenia?

Edward ciągle chodził. Przystawał tylko, gdy do niéj mówił; i teraz więc się zatrzymał.

— Gdzie widziałaś człowieka, któryby szczęście znalazł przez naukę, przez rozbudzenie umysłu, potrzeb i żądań? — pytał. — Wy kobiéty stawiacie zwykle jakieś pewniki bez zastanowienia, i kierujecie się niemi, same nie umiejąc wytłómaczyć dla czego. Nie myślicie dokąd was i innych prowadzi to, co bierzecie za prawdę. A rozejrzyj się, proszę, po świecie i powiédz, kto szczęśliwszy: czy ten co wstaje rano, idzie orać dzień cały, wieczór zjada misę prostego żuru, kładzie się spać znużony i znów nazajutrz wstaje do tego samego trudu, téj saméj pracy i wié, że tak przepędzi całe życie, czy ten, co mózg wysila i zdrowie traci nad studyowaniem ksiąg, nad przetrawianiem kwestyi ogólnych, powymyślanych przez ludzi a czczych, niedoprowadzających do niczego tak dalece, że doprawdy wolałbym kijem tłuc w ścianę, niż raz drugi łamać sobie głowę nad sprawami, które i mnie zajmowały niegdyś, gdy mniemałem i ja, że świat przebuduję! Mnie gdyby dziś zapytano czém być chcę, powiedziałbym: nieukiem, dzikim, indyaninem, kretynem niedołężnym, aby nie czuć, że może być coś w życiu po za zaspokojeniem pierwszych zwierzęcych potrzeb — aby głowa nie pękała mi od myśli, które tylko błędne koło bez wyjścia stwarzają.

— Nauka — mówił daléj po chwili przerwy — nauka, dobro ludzkości, owe cele spółczesne, idee wyższe i szlachetne, to wszystko są szumnie brzmiące brednie. Ludzie od wieków nad temi kwestyami przepalali umysły i dusze, i nie wynaleźli nic dla szczęścia człowieka,

i nie zmniejszyli w niczém moralnéj nędzy jednostki; nie dali człowiekowi nic zgoła, za wszystko co zabrali wraz z prostotą obyczajów i rządem praw tylko przyrodzonych. Społeczeństwo bezrozumnie, na ślepo działa, dążąc do oświaty i tak zwanego postępu, który jest tylko wytworem i nagromadzeniem coraz sztuczniejszych kłamstw i fałszów. Nic nie wiedzieć, nic nie chcieć, o niczém nie myśléć i nic nie pragnąć, to ideał, to jedyny stan, w jakim żyć można. Inaczéj trzeba zwaryować!... Tak, ja zwaryowałbym od tych myśli, gdybym często pozwalał im obsiadać głowę.

W miarę jak mówił, unosił się; coraz żywiéj chodził i ręce przyciskał do skroni. Ostatnie słowa wypowiedział jakby do siebie, oczy topiąc w przestrzeni.

— Jedynie ambicya znaczy coś jako czynnik w ludzkiém życiu i postępkach—dorzucił — zresztą nic! Gdyby nie ambicya, nie wiem cobym z sobą zrobił, nie wiem!...

Irma słuchając go, bladła i płonęła. W głowie jéj i sercu przewracał się kłęb myśli i uczuć. Wzruszenie dławiło ją za gardło. Chciała mówić, nie mogła; w końcu zebrała siły, powstała.

— Słuchaj! — rzekła, podchodząc do niego. — Sporów uczonych prowadzić z tobą nie będę i nie mogę. Powiem ci tylko, że tém, co wygłaszasz przeciw cywilizacyi i postępowi, idziesz wstecz dążeń całéj ludzkości i wstecz własnych przekonań, jakie masz w chwilach spokoju. Zastanów się tylko: wolałżebyś zwierzęciem być niż człowiekiem?

— Ma się rozumiéć! Przynajmniéj miałbym wtedy spokój.

— A, to teraz ja ci powiem, że oszukujesz samego siebie! Ale ja wiem, co wywołuje z twoich ust te zapatrywania. Gdyby...

Przerwała.

— Gdyby co? — podjął brwi marszcząc.

— Gdybyś nie był moralnie zrujnowanym człowiekiem; gdybym poprostu ja nie była ci odebrała wiary w ludzi i dobro, nie była ci wyrządziła krzywdy i tyle złego — mówiła cichnącym ze wzruszenia głosem.

— Krzywdy?! — zapytał, obejmując ją wzrokiem od stóp do głów. — Ty mnie krzywdy?!... Ależ przeciwnie! Ja zawdzięczam ci wiele dobrego, wszystko dobre, jakie miałem w życiu — mówił nagle zmienionym, złagodniałym głosem, jakby nie ten sam człowiek, który dopiéro co burzył się i ciskał. — Ty wywierałaś na mnie tylko wpływ dodatni. Choć powstawałem przeciw cywilizacyi i kształceniu, wiem, że świat ceni je, że w obecnym stanie rzeczy trzeba coś umieć, a sam

pracowałem tylko przez ciebie. Gdyby nie ty, nie byłbym się uczył; nie byłbym wyrabiał w sobie szerszych pojęć, nie był starał się rozwijać umysłu na wszystko, co człowiek zrozumiéć zdolny. Całe nocy ślęczałem nad książką, gdy inni trawili czas na zabawie; chyba więc o to jedno mógłbym żal miéć do ciebie, żem nie użył życia — dodał z uśmiechem szczerym, czy wywołanym na usta dla zamaskowania wzruszenia, któremu uległ.

Ale Irma nie dała się tak łatwo uspokoić i odwrócić od wypowiedzenia tego, co za długo w niéj wzbiérało, przepełniając serce.

Drżała; nie była w możności stać dłużéj; usiadła napowrót na kanapce i jego pociągnęła za sobą.

— Nie—zaczęła.—To tylko dobroć twoja podsuwa takie tłómaczenie rzeczy, ale mnie tém nie złudzisz. Wiem, że bardzo zawiniłam względem ciebie. Gdybyś był z natury człowiekiem zimnym, oschłym, mniejsza z tém. Aleś ty miał wiele serca; stwarzałeś z zapałem ideały pracy i uczuć, ja zburzyłam je; zniweczyłam w tobie wiarę w cel godzien życia i trudu; wywróciłam tak przekonania twoje, że stałeś się samolubem, pesymistą, człowiekiem jak dzień do nocy niepodobnym, do dawnego. Nieraz robię obrachunki między nami, i zawsze znajduję wiele zarzutów względem siebie—mówiła już zupełnie cicho, pomieszana, z oczyma spuszczonemi, przerywając co słów parę.

On siedział całą postacią ku niéj zwrócony i patrzył w nią ze zdumieniem i nie mniejszém pomieszaniem, czy tkliwością. Milczał, ale przecząco poruszał głową. Snadź nie przeczuwał takiego obrotu rozmowy i nieprzygotowany, nie mógł się odrazu opanować.

— Jeśliś cierpiał przez kogo, to tylko przezemnie — jeszcze dorzuciła ona.

— Ależ proszę cię—zaczął w końcu zwolna.—To wszystko zbytek drażliwości z twojéj strony. Gdybym nie był stawiał celów i zadań niemożliwych do zdobycia, nie byłbym się zawodził. Moja wina. Ty postąpiłaś, jak ci wskazywały twoje pojęcia i zasady. Byłbym nie rozumnym, gdybym miał żal do ciebie o to, że mnie kochać nie mogłaś. Niepodobna przecież, abyś odpłacała wzajemnością wszystkim, którzy się starali o twą rękę. Gorzéj, gdybyś była zawiodła mnie, przyrzekłszy — dokończył głucho i spojrzał na nią z błyskiem w oczach.

Powiedział tak dużo, iż wstrząsnął się widocznie z wysiłku; wstał i po pokoju przeszedł.

Irma nie podnosiła oczu.

Przyszli więc do tego punktu, co zawsze: nie rozumiał jéj, nie

wierzył, aby kochać go mogła. A! doprawdy ledwo łzy powstrzymywała. Serce jéj skurczyło się jak delitany kwiat pod wrażeniem mrozu.

— Przy ścisłém nawet rozpatrzeniu rzeczy — podjął Edward po chwili siadając napowrót — ja prędzéj mógłbym przypuszczać, żem szkodę ci wielką wyrządził, stając na drodze.

— Ty? — z kolei zapytała ona. — Czém? W jaki sposób? Zresztą dajmy temu pokój — dorzuciła i przestali wbrew prawdzie zapewniać się przez delikatność uczuć, że nie mają do siebie urazy.

Ale każde oddało się własnym myślom, i siedzieli w milczeniu minut kilka.

— Dla czego odebrałaś mi listy? — zapytał w końcu Edward przyciszonym głosem.

— Bo mojém zdaniem powinny były do mnie powrócić, skoro się żeniłeś. Ale czemu nie odesłałeś mi najpierwszego?

— Bo to moja własność! — odparł z powstającą na nowo szorstkością.— Odbierzesz go po mojéj śmierci!

— W takim razie ty — zaczęła Irma, ledwo zdobywając się na głos i słowa — ty przyrzeknij znów, że gdy ja umiérać będę i wezwę cię, przyjedziesz.

Edward zerwał się i spojrzał na nią, jak człowiek nagłym błyskiem uderzony. Lecz po chwili westchnął tylko i ciężko usiadł napowrót.

— Dobrze — mówił zwolna, widocznie jeszcze szukając rozjaśnienia — dobrze... ale jeśli ja pierwéj umrę, to co?... Bo ty, ręczę, nie przyjedziesz do mnie.

— Dla czego? Że nie wypada?— rzekła Irma z budzącą się nagle niezależnością swéj natury.—Taki wzgląd dla mnie nie istnieje!

— Nie. Ale pomyśl, jak wielkie są między nami różnice.

— Ja nie widzę żadnych! Zupełnie nawet tego nie rozumiem.

— To ja widocznie jestem dziś tak ciemny, tak ograniczony, jak nigdy w życiu—wybuchnął, powstając z miejsca. — Nie, nic pojąć nie mogę. W umyśle mam zamęt, jak gdyby ktoś czaszkę mi otworzył i mózg w niéj przewrócił, albo zasypał piaskiem. Jeśli zwaryuję, tak, to będzie twoja wina, tylko twoja wina, — mówił, chodząc po pokoju.

Irma pobladła i spojrzała na niego z przejmującym smutkiem.

Spostrzegł to i pożałował słów rzuconych.

— Nie! żartuję tylko!—powiedział łagodnąc.— Jeśli wytrzymałem dotąd, nie zwaryuję prędko. Organizm ludzki więcéj przenieść może, niż się wydaje.

W głosie jego brzmiała posępna gorycz i żal.

— Tymczasem jednak powinienem odejść — rzekł mimowoli mięknącym tonem. — Tak, trzeba cię pożegnać, północ blisko. Przesiedziałem za długo... No... powiedz mi, żebym sobie poszedł.

I patrzył w nią.

— Tego nie powiem ci! Rób jak chcesz — odparła cicho.

Wstała i usiadła bokiem przy fortepianie.

— To powiedz, ile czasu mam jeszcze pozostać? Trzy na dwunastą.

— Zostań pięć minut, nie! Kwadrans cały!

On stanął przed nią z zegarkiem w ręku, drugą założoną za surdut trzymał na piersi.

Minut pięć, dziesięć upłynęło, nie odezwało się żadne.

Ona oczy miała spuszczone, jak gdyby obawiała się patrzyć w twarz jego i pragnęła sama ukryć, co w niéj się dzieje.

Wreszcie obróciła się ku klawiaturze i uderzyła akordy Szopenowskiego marsza żałobnego.

Za pierwszemi stłumionemi tonami popłynęły coraz głośniejsze, coraz wyraźniéj grzmiące dźwięki, prawdziwe echo pogrzebowych dzwonów... potém skarga nieśmiała, cicha, a rozdzierająca, jak pieśń fujarki, rolegającéj się po wiejskim cmentarzu wśród rosy porannego słońca, jak łkanie dusz z tęsknotą rzucających ziemię. Potém znów dzwony groźne, smętne, pogrzebowe dzwony, nieubłagane jak prawo śmierci, brzęczały i biły, pod palcami jéj na wskroś przenikającym jękiem bólu...

Tak grać prócz pierwszorzędnych artystów mogła tylko istota, któréj krew sączyła się równocześnie z serca, a łzy hamowane w oczach padały na duszę.

Nie podnosiła źrenic choć ogień w nich błyskał, i usta drżące miała zaciśnięte.

On stał o dwa kroki, oparty bokiem o fortepian; stał jak pierwéj z ręką jedną na piersi, z zegarkiem w drugiéj.

Zrazu na dźwięk muzyki wstrząsnął się całém ciałem po dwakroć, potém spokojny był i nieruchomy.

Tony pod jéj palcami cichły coraz łagodniejsze, głuchsze, aż zamilkły.

Wtedy spojrzeli na siebie, i zobaczyli wzajemnie okropną bladość na swych twarzach. Ona widziała przytém oczy jego rozżarzone jak dwie pochodnie, sama patrzyła z bezmiarem smutku i tkliwości.

Zdawało jéj się, że niepodobna by nie rozumiał, że mówi mu:

Weź mnie! bo bez ciebie dusza moja rozpłynie się z tęsknoty jak oto dźwięk téj pogrzebowéj pieśni, jak mgła po nad mogiłą siéroty...

Ale rysy jego przybrały nagle ostry wyraz. Namarszczył czoło, głowę dumnie odrzucił, odsunął się i machinalnie spojrzał na zegarek.

— Trzeba iść! — powiedział szeptem. — Bądź zdrowa.

Zawahał się jednak, ujął jéj rękę i, od lat dziewięciu raz pierwszy poniósł do ust i pocałował ze spokojem człowieka, który nie wié jasno, co z nim się dzieje, prócz tego jednego, że czuje, iż cierpi.

Potém zawrócił i prędko szedł do przedpokoju, w którym snadź z powodu późnéj pory światło zgasło.

Irma zerwała się i biegła za nim.

Gdy zobaczyła ciemność przez drzwi otwarte, chwyciła lampę z konsoli czysto bezwiednym odruchem i z nią dążyła.

Lecz w samym progu piękna mleczna podstawa w bronz oprawna z rąk jéj się wyślizgnęła i uderzając o posadzkę, rozbiła na drobne kawałki.

Rozlana nafta zapłonęła w momencie na całéj przestrzeni, grożąc pożarem.

Edward błyskawicami wzroku ją obrzucił...

Czyżby zgadł, jakie uczucie wytrąciło jéj z dłoni sprzęt kosztowny?

Ona w cały głos się roześmiała.

I ani jedno ani drugie nie uczyniło najmniejszego ruchu w celu gaszenia ognia.

Dopiéro w minutę ona szarpnęła za dzwonek i kazała służbie zająć się pożarem. Sama zaś zapaliła świécę z absolutną obojętnością dla wypadku.

Co jéj znaczyła drogocenna lampa, co pożar obejmujący choćby dom cały, nietylko część posadzki?!

I w dalszym ciągu oboje poruszali się, jak nakręcone bez wiedzy machiny.

Przeszli do przedpokoju, tam ona postawiła świécę na stole, a sama plecami o piec się oparła; on zaś o kroków parę sięgał do wieszadeł po palto.

— A!—rzekł, otrząsając się po dwa razy, jak koń, który w upał wyskoczył z rzeki — A!... a!...

Ona milczała. Bezwiednie spojrzała ku salonowi na uwijającą się służbę, ale żadnym członkiem nawet nie drgnęła. Wydawało jéj się, że gdyby ogień tu był się podsunął i pełzać zaczął po jéj sukni, jeszcze nie byłaby ust otworzyła.

On leniwie, z widoczném ociąganiem zakładał jedwabną chustkę na szyję.

— Teraz już nieprędko się zobaczymy — powiedział zwolna. — Więc bądź zdrowa.

— Tylko na ślub swój nie wzywaj mnie... bo nie przyjadę! — dodał z naciskiem.

— Na ślub?!...

Irma drgnęła i zwróciła na niego wielkie, przenikające oczy.

— Co?! Nie śmiejesz się?— zapytał zdziwiony z odcieniem rozdrażnienia w głosie. I spojrzał na nią badawczo. Ale na twarzy jéj zobaczył zamiast częstéj wesołości, którą snadź miał jéj za złe, bladość kredową, jak przed chwilą przy fortepianie, i wyraz bólu, którego nie znał.

Zastanowił się téż i zatrzymał, a w wzroku zadrgał mu nagle cały ogrom miłości dawnéj i niezagasłéj mimo zagłuszania.

Ona tak prosto patrzyła mu w oczy szeroko rozwartemi, płonącemi źrenicami, patrzyła z takim żalem, a oczekiwaniem, że zdawało się, poruszyłaby skałę.

Ale w nim widać w miarę wyłamującego się coraz zuchwaléj z pod ucisku uczucia, wzrastała i siła woli, która chciała je napowrót zdusić.

Oderwał wzrok od jéj twarzy i podszedł ku drzwiom.

Przy samym jednak progu zwyciężył go żal, czy zdjęła obawa o nią. Już palce kładąc na klamkę, zawrócił; zbliżył się i rękę jéj na dół zwiśniętą bezwładnie, ujął.

— Dobranoc — rzekł, po krótkim uścisku, puszczając palce jéj z dłoni. I znów się odsunął.

Irma nie odpowiadała.

— Dobranoc— powtórzył raz jeszcze w drzwiach już otwartych; i patrzył na nią z niepokojem.

Widać koniecznie chciał słowo z ust jéj wyrwać.

— Dobranoc!

— Dobranoc — szepnęła wtedy bez dźwięku pod naciskiem jego oczekiwania i tonu, ale się nie poruszyła.

Wyszedł, i drzwi za nim się zamknęły.

Odgłos jego kroków rozległ się w sieni, potém na podwórzu, wreszcie w ulicy zginął.

Ona stała jak przedtém przywarta do pieca.

Służba uprzątała tymczasem szczątki szkła, piasek, derki, któremi ogień tłumiono. Irma nie drgnęła z miejsca i byłaby może tak przestała godzin kilka, całą noc, gdyby nie to, że służący patrząc

na nią ciekawie, podszedł i zapytał, czy ma inną lampę zapalić w salonie.

Oprzytomniała i zawstydziła się swego zapomnienia. Ruszyła z miejsca, przeszła do jadalni.

Tam zaczęła zbiérać klucze, pieniądze zostawione na biurku, dzienniki porozkładane po stolikach, ale wszystko czyniła bez wiedzy, jak lunatyczka.

Podążyła wkońcu do swojéj sypialni, chciała się rozbiérać, zrzuciła suknię, rozpuściła włosy, co chwila jednak przystawała bez świadomości na środku pokoju i myślała, myślała, ręce przyciskając do piersi, gdzie czuła okropny ból, sprowadzający odrętwiałość ciała, przy całém naprężeniu i rozstroju myśli.

— A więc tak było! tak!... prawdziwie nie przypuszczał nigdy, aby go kochała i dziś tego nie przyznawał! Mało próby lat tylu! Nie rozumiał, że jego jednego pragnęła, jemu serce oddawała!... Próżno cierpiała. Próżno marnowała życie, odrzucając ludzi, którzy nie byliby może dali jéj wyjątkowego upojenia miłości, ale byliby zapewnili spokojne szczęście. Wszystko było próżne i daremne!... Zgodnie z tém, co napisał, nie chciał wierzyć w jéj miłość nigdy, nigdy! Przez ośm lat pracował, by w sobie uczucie stłumić, by zatrzéć ślad wszelki dawnych porywów i dążeń, a za jedyny niezawodzący ideał postawić pieniądz i zasycenie ambicyi. Po co więc było poruszać popioły? i żelazem wiercić w źle zagojonych ranach? Ale po co przychodził tutaj? Jeśli tylko dla zadowolenia przyjemności, to nikczemna słabość! Jeśli przez zobowiązania proponowanéj przyjaźni, to gra niebezpieczna. Jeśli przez miłość, dawną potężną miłość, to gdzież zwykła logika jego postępowania?... Chyba, że w końcu da się przekonać, zaufa jéj sercu, starga sam wszystkie więzy, i nic już, nic ich wówczas nie rozłączy!... A jeśli przychodzi tylko przez ambicyę, aby ludzie nie powiedzieli, że odtrącony progu ich przekroczyć nie śmié, czy nie może—o, to przekleństwo!... A w tém właśnie tkwić może prawda! Wszak mówił, że tylko ambicyą, jako sprężynę ludzkich czynności uznaje... Wszak rzucił jéj wzmiankę o ślubie.

— Ślub?! — wzdrygnęła się. — Czyżby tém powiedzeniem nie wskazywał jéj umyślnie, co uczynić powinna? Ślub!... Ona nie przysięgnie bez miłości w sercu. Ale on snadź do szczętu kochać ją przestał, kiedy radzić może, aby innemu się oddała! Tak miłość jego zdeptana i starta, musiała zagasnąć. Iskry padające mu z oczu, to gniéw, bunt, oburzenie, to ogień niezużytéj natury, tryskającéj siłą. W sercu jego nie ma źdźbła tkliwości, a więc przed nią nie ma nic! Nie pokona jego uprzedzeń do siebie, i nie wskrzesi tego, co zamarło.

Próżno będzie wskazywać mu obowiązek względem żony i dziecka, względem społeczeństwa i kraju. Roześmieje się, ramionami wzruszy i odpowie: że „nie czuć i nie chcieć“ jedynem szczęściem jakie osięgnąć można, ciemność umysłu — ideałem. A więc nie ma dla niéj żadnéj drogi wyjścia z nim, ani żadnego czynu, któryby zadowolenie dał choćby przez ofiarę. Nic, jedno nic!...

Chaos powstawał w jéj głowie. Myśli tłoczyły się, plątały, a rozwikłując, streszczały w jednym zawsze wyrazie: „ból“.

Febra ją porwała i zmusiła do położenia się. Zrzuciła zatém resztę ubrania i weszła do łóżka. Doznawała potrzeby wyciągnięcia członków, jak po wielkiém utrudzeniu. Snu nie oczekiwała wcale; zgasiła jednak światło i w zupełnéj ciemności leżała z otwartemi oczyma.

Noc była tak ponura, bez gwiazd i księżyca, że nawet okna nie odznaczały się na ścianie światlejszemi plamami.

Wzrok jéj zatapiał się tedy w zupełną bezdeń czarną, gdziekolwiek go zwróciła. To jeszcze bardziéj rozstrajało jéj nerwy, przywodząc mimowoli na myśl porównanie z jéj losem ciemnym i posępnym.

Prawie też głośno jęknęła z bólu, i instynktowym ruchem zaczęła dla ulgi rękę przyciskać do serca, które chwilami tak zamierało, że doznawała wrażenia, iż ma pod dłonią przestrzeń dętą i pustą, zamiast żyjącéj piersi; a chwilami znów tak jéj ciężyło, jak żelazna kula, ociągało się niejako na dół pod żebrami, i dotkliwie gniotło, drżąc drobnym ruchem, który drżenie po całém ciele roznosił.

Przewracała się, szukała miejsca na posłaniu; zamknęła oczy, bo już patrzenia w ciemność dłużéj znosić nie mogła — i nareszcie widać ze znużenia zasnęła po czwartéj.

Lecz w godzinę niespełna obudziła się z gorączkową trzeźwością cierpiących, których troska odrazu chwyta z całéj mocy za otworzeniem oczu; i potém już nie spała do białego rana.

Siadała na łóżku, zapalała światło, wstała nawet, aby ochłonąć z gorączki, która snadź po dreszczach przyszła. W bieliźnie, z płaszczem złotych włosów rozrzuconych na ramionach, przesuwała się jak cień tam i napowrót.

Zimno było w pokoju. Podeszła do pieca, przyłożyła rękę: nie napalili; zapomnieli, a ona też nie pamiętała z wieczora, nie czuła.

Powróciła do łóżka i znów się na niém wyciągnęła. Ale próżno: sen nie zstępował na powieki. Myśli nie przestawały nurtować w jéj mózgu, a serce też same przechodziło fazy, co przed kilku godzinami.

Wtém doleciał ją gwizd kolei. Zerwała się.

— Szósta! — pomyślała. — Godzina odejścia pociągu, którym zwykł był wyjeżdżać.

Nic dziwnego, że nie spała o téj porze dziś, bo jeszcze nigdy nie zaspała sygnałów kolei w dniach, gdy miasto opuszczał.

Ale za to pierwszy raz przyszło jéj nagle do głowy, że Edward może nie pojedzie.

— Jednak on kocha mnie! — szepnęła. — O, kocha mnie... czuję to!—powtórzyła uprzytomniając sobie miękki dźwięk jego głosu, zdradzające się w nim walki i spojrzenia pełne uczucia; a gorąca fala krwi napłynęła jéj natychmiast do lic.

— Kocha mnie!... więc może umyślnie zaśpi, sam przed sobą szukając wymówki, i zostanie?!

— Ale nie! — dodała po chwili. — Wypadkowo nie zostałby po wczorajszéj rozmowie; zresztą nigdy nie pozwala wypadkom sobą rządzić. Jeśli nie pojedzie, to rozmyślnie, przez trwogę o mnie, przez zwycięstwo uczucia nad siłą woli! A wtedy?...

Myśli jéj nie śmiały sięgać daléj i tworzyć obrazów szczęścia. Cofały się przed tym światem, znanym tylko z fantazyi, i krążyć napowrót zaczęły jedynie około przypuszczeń i wniosków: czyby chciał zostać—czy nie pojechał?

W południe jednak przegwizdał drugi pociąg, odchodzący w jego strony—a on ani przedtém, ani potém się nie pokazał.

Dwudziesty ósmy marca zbliżał się.

Irma czekała tego dnia, jak zabobonni końca świata, lub ukazania się komety.

W jaki sposób przeżyła te miesiące, nie umiała powiedzieć. W głębi duszy dochodziła do uczucia, jakie musi mieć człowiek, który stoi na niewielkiéj przestrzeni i z jednéj strony widzi wzbierającą falę, z drugiéj ogień, czyli śmierć i śmierć, i wié, że zginie niechybnie, tylko jeszcze nie wié jak, co pierwéj go dosięgnie i pochłonie.

Przeszła przez ten czas tyle wstrząśnień, obaw, przypuszczeń, tyle wahań i walk, że choć nie powzięła żadnego jasnego postanowienia, bo nie wiedziała co ostatecznie ze strony Edwarda ją spotka — doszła wszakże do zupełnéj świadomości, iż istniejący stan rzeczy trwać daléj nie może, i że sama zburzy go, byle się skończył.

Wszystkie nerwy jéj, władze myślenia i czucia, cała wprost moralna i fizyczna istota podlegała zbyt wielkiemu natężeniu, aby znosić mogła nadal spokojnie warunki, w jakich żyła.

Zasady, przekonania jéj wskutek tego przetwarzały się z dniem

każdym. Skrupuły wszelkie wydawały się dzieciństwem, obawa upokorzenia przestała dla niéj istniéć. Gdy poznała przez koleje tych lat kilku, przekonywające ją własnemi jéj czynami, że nie jest w stanie nikogo już kochać z równą siłą, gdy zarazem widziała, że on nie znalazł szczęścia, tylko gorycz i zniechęcenie, odsunęła wszelkie więzy i prawa na bok, a miała przed oczyma tylko życia ich zwichnięte i pełne bólu do końca.

— Człowiek z sercem i charakterem, to skarb społeczeństwa. A więc bezprawiem warunki, które człowieka takiego niweczą! — mówiła, i umysł jéj zaczął jasno i otwarcie stawiać pytania, stanowiące rdzeń kwestyi.

— Gdzie słuszność najsprawiedliwsza i najmędrsza? Czy po stronie prawdy i dobra, czy téż suchéj litery prawa? Które wreszcie prawo najświętsze: czy ludzkie, czy prawo saméj natury i Boga? Któraż z nich dwu zatém powinna była go posiadać: czy tamta, która była mu sprzętem obojętnym i natrętnym, ale któréj wolność zaprzedał, czy ona, która duszę jego i serce posiadała pierwéj, zawsze, niezmiennie—i posiadać miała aż do śmierci?

Czyż byli winni, że żyło w nich uczucie, z pierwszych drgnień serca powstałe, młodością całą odżywiane, które stłumić się nie dało? Wszakże nie widywali się, unikali, ono i tak wzrosło i wchłonęło w siebie wszystkie ich siły i pragnienia... Obowiązek, dziecko— prawda! Tamta kobiéta była matką jego dziecka. Ale wobec zguby moralnéj w jaką sam brnął, ustępowało wszystko. Czyż on dawał nawet temu dziecku przywiązanie, jakie był powinien?

— Nie! Bóg nie chce, aby ludzie przeklinali, chciéć tego nie może! — mówiła.

— Jednėm słowem, niech *on* okaże dawną miłość i pokonane do niéj uprzedzenia, a zabierze go, wskrzesi, wleje tyle ciepła w jego piersi, tyle pogody w duszę, miłości i wiary do ludzi w serce, że siać będzie wkoło samo dobro i szczęście i umierając jeszcze za krótkiem, za pięknėm poczytywać życie, aby je chciéć porzucać!... Ale co w nim jest naprawdę, czy ona wié?

— Czy przyjedzie? Czy jeszcze się zobaczą?

Może poznał sam, że niebezpiecznie daléj grę prowadzić? A może zrozumiał nareszcie jéj serce, ale nie chcąc poświęcać dziecka lub dobrobytu i wygód, odsunie się, aby unikać pokusy?

Im bardziéj wszakże zbliżał się dzień dwudziestego ósmego marca, tém więcéj odpadały wszystkie pytania uboczne, a zostawało jedno: Jak Edward postąpi, czy przyjedzie, czy nie? I ono rozstrzygało wszystkie.

Jeśli nie pokaże się i cofnie sam dobrowolnie ofiarowywaną pomoc, to znaczyć będzie, że zrywa z nią wszelkie stosunki raz na zawsze. Jeżeli zaś przyjedzie—da tém niezaprzeczony dowód co najmniéj przyjaźni. Ale wtedy — wtedy ona przetnie zbyt przeciągniętą strunę! Dość téj komedyi i męczarni!

Nie donosiła Edwardowi wcale, czy potrzebuje wyręczenia przy licytacyi, ponieważ po ostatniém rozejściu niepodobna jéj było odzywać się pierwszéj. Wiedziała jednak, że on wcale wymówki szukać nie będzie w jéj milczeniu, jeśli przyjechać postanowi i zechce. Wiedziała niemniéj, że wiadomości o nich mógł zbiérać postronnie, i niezawodnie postarał się przekonać, jak zdrowie jéj ojca, który stale niczém zajmować się nie był zdolny.

A więc tylko należało doczekać się dnia i godziny.

Los tych kilku tysięcy rubli wcale jéj nie obchodził, choć była to trzecia część ich mienia. Wogóle mało wartości przywiązywała do pieniędzy. A zresztą, co zależy człowiekowi skaczącemu do przepaści, czy ma kieszenie puste, czy pełne? Nie podejmowała też żadnych starań w celu zapewnienia sobie potrzebnéj sumy na wadyum; z jednéj bowiem strony żywiła nadzieję pewną, że Edward jéj nie opuści,—z drugiéj zaś, doświadczała absolutnéj obojętności na straty materyalne i wszystko na myśl, że może zawieźć jéj oczekiwania.

Już był 26 marca. Według jéj obliczeń Edward powinien był pokazać się nazajutrz, w przeddzień licytacyi, jeśli zamierzał stawać w jéj imieniu.

Całą noc nie spała, powtarzając te słowa: „a jeśli nie przyjedzie? nie przyjedzie?...“

Wniosków jednak nie wyprowadzała żadnych.

Rozstrojony jéj umysł stawiał tylko pytania. W odpowiedzi widziała przed sobą czarny potok, którego nurty raz pociągały ją w głąb, przypomnieniem gorącéj miłości, jaką zachować jéj przyrzekał do śmierci, a która wypryskiwała mu z oczu chwilami, — to znów ten potok spieniony biało i wyrzucający na wierzch z pogardą jéj ciało bez duszy.

Wstała z gorączkowemi wypiekami i szklistym wzrokiem, który czarnym wielkim jéj oczom nadawał istotnie charakter ciemnych gwiazd z piekła.

W duszy miała uczucie jakiéjś posępnéj rezygnacyi. I mimo że dłonie paliły ją, a w skroniach biły tętna — była zupełnie spokojna i ubierała się starannie.

Włosy złote zaczesała prosto i spuściła nisko na szyję w splotach; suknię włożyła niebieskawo-stalową, od któréj przejrzystością

alabastru odbijała delikatna jéj cera,—a suknię tak skromną i gładką, że największym jéj przymiotem było to, że przylegała ściśle do jéj ciała, uwydatniając smukłą kibić i jak w posągu harmonijne kształty.

Potém zarządziła tak wszystko w domu, aby im nikt w widzeniu nie przeszkodził—i usiadła z robotą naprzeciw zégara.

Roboty, rzecz prosta, nie przybywało, oczy prawie ciągle miała utkwione w przeciwległą ścianę.

— Jeżeli przyjedzie o jedénastéj, to przyjdzie o pierwszéj. Jeśli zaś dopiéro pociągiem o piątéj, to pokaże się ledwo między szóstą a siódmą, — wyliczała, opiérając wnioski na danych z poprzednich bytności.

Wskazówki już obie podsuwały się ku jedenastéj na cyferblacie, gdy nagle przyszło jéj do głowy, że najlepiej wyjść na miasto w téj porze przybycia pociągu, bo tym sposobem mogła go zobaczyć w przejeździe z dworca kolejowego, lub spotkać na ulicy, gdyż miał zwyczaj natychmiast załatwiać interesy i sprawunki.

Bez namysłu tedy ubrała się i wyszła, sama dla siebie za pretekst podając kupno jakichś drobiazgów.

Napróżno jednak.

Widziała wiele dorożek, wszystkie omnibusy hotelowe, spotkała nawet kilku znajomych—jego nigdzie.

Powracała zwątpiała.

Mimo to nie przestawała oczyma śledzić zégara; mógł był przecież inną stroną przejechać wcześniéj lub późniéj.

Wytężonym słuchem ścigała każdy szmer najdrobniejszy w domu. A jak na przekór niezwykle kręcono się w sieni wchodowéj, przenosząc jakieś graty innych lokatorów na górę. Ciągły więc był hałas, ciągle stukanie butami, — a każdy odgłos kroków stanowił dla niéj nowe złudzenie—i nowy zawód.

W końcu ruch okolicznościowy ustał. Zapanowała cisza. Ale cisza ta wydała jéj się po chwili bez miary głucha, długa i bardziéj milcząca, bo nic nie obiecywała.

Natężone oczekiwanie po bezsennéj nocy doprowadzało ją do anormalnego stanu, w którym czuła albo podniecenie gorączki, albo zupełną bezwładność.

O trzeciéj podano obiad, jak zwykle.

Irma prawie jedzenia nie tknęła, czego jéj ojciec wszakże nie zauważył, od czasu choroby sobą wyłącznie zajęty.

Potém przeszła napowrót do swego pokoju, a poczuła się tak dalece bez sił, że wprost padła na fotel i w pół leżała.

Była to czwarta.

— A więc jeszcze godzina! — pomyślała i nie poruszała się z miejsca.

W tém za zbliżeniem się piątéj godziny powstała w niéj nagle taka otucha, jak gdyby ktoś natchnął ją, na najpoważniejszych podstawach opartém moralném przekonaniem, że Edward przyjedzie, że inaczéj postąpić nie może i nie postąpi.

— Jednak jest coś, na czém człowiek polega, coś, w czego istnienie wierzy niezbicie, więcéj niż w istnienie własne, choć dotyka ciała, a tamtego nawet określić nie zdoła! — mówiła w duchu. — On przyjedzie i przyjdzie! Może okazać się zimny, ostrożny, nawet wyniosły—ale się stawi!

Nie wiedząc jaką siłą popchnięta, zerwała się, wyjęła kapelusz, napowrót włożyła go na głowę, zarzuciła okrycie i już stała w przedpokoju gotowa do powtórnego wyjścia, gdy nagle to miejsce pamiętne uprzytomniło jéj ostatnią scenę pożegnania z taką wyrazistością, jak gdyby echo słów rzuconych przez Edwarda żywe zabrzmiało równocześnie.

I dzika gorycz zalała raptem jéj serce.

— A nuż wzmianka o ślubie była delikatną odprawą, pożegnaniem jéj na zawsze?—podsunęła myśl, jak błyskawica szybka.

— Ona wyjść za innego, po tylu latach czekania i cierpień! Ona sprzedać się, zhańbić małżeństwem bez miłości. Nie — to raczéj tu głowę o mur roztrzaskać!...

Porwała się z miejsca i wyszła, drżąc ze wzburzenia.

Ostre powietrze ochłodziło ją i ruch uspokoił. Szła prędko. Z oddali dolatywało już głuche warczenie odchodzącego ze stacyi pociągu i świst pary; dorożki przestawały kursować po mieście—spóźniła się—większość przybyłych już przejechała.

Za to po chwili ruch pieszy zwiększał się na ulicy; przyjezdni zaczęli wypływać na miasto.

Irma została więc w dzielnicy najwięcéj uczęszczanéj, kręcąc się dla pozoru koło sklepów; bacznie przytém patrzyła dokoła.

Po chwili jakaś znajoma zaczepiła ją przez zwykłą uprzejmość. Był to traf pomyślny na razie, bo zyskiwała czas, a stały w dobrym punkcie obserwacyjnym, na zbiegu trzech ulic. W momencie jednak towarzystwo obcéj stało się nieznośném.

O kroków najwyżéj trzydzieści zobaczyła Edwarda — jego niezawodnie!

Zrazu nie wierzyła; w oczach jéj się ćmiło. Lecz w minutę gro-

gromadka ludzi zasłaniających go w perspektywie rozsunęła się—i wysoka jego postać wyjrzała z za nich w całości.

Ale cóż to? Rękę lewą miał na temblaku, a w prawéj trzymał grubą laskę, którą snadź nie dla parady wziął do podparcia?

W oka mgnieniu pożegnała znajomą, nie bacząc na wszelkie względy grzeczności; i zapominając, że powinna była, jak nigdy, panować nad sobą, chciała podbiedz ku niemu targana niepokojem i obawą—i już kroków kilka postąpiła.

Lecz on nie widział jéj wcale i zawrócił tak nagle z przed drzwi kantoru bankierskiego, skąd wychodził, i tak szybko mimo kulenia puścił się naprzód, iż niepodobieństwem było dogonić go.

Irma przyspieszała kroku ile sił starczyło; ale oddech zapierał jéj piersi, nie mogła biedz; wytężała więc wzrok, aby z oczu go nie stracić; sądziła, że może wstąpi do sklepu i da jéj możność doścignięcia. Lecz nie—szedł prosto i coraz prędzéj, aż skręcił w ulicę, która tylko do jéj mieszkania prowadzić go mogła.

Rumieniec twarz jéj oblał.

Teraz chciała wołać na niego, bo już ledwie nadążała; ale głos jéj nie miał siły z gardła się wydobyć, a przestrzeń dzieląca ich coraz się zwiększała. W téj bowiem bezludnéj prawie dzielnicy pędził po prostu, jak gnany burzą, choć nogę lewą powłóczył i na lasce opierał się ciężko, pochylając na bok całém ciałem.

Czy obojętny człowiek gnałby, jak szaleniec.

— Nie! On kocha, jak dawniéj! Kocha mnie — wołał w sercu Irmy głos tajemny—i oczy jéj błyskały radością tryumfu, usta rozchylały się uśmiechem.

— Byle tylko dogonić go!—pomyślała.

— Jeśli nie zdołam dopaść do drzwi domu zanim odejdzie, służba odprawi go tém, że mnie nie ma—i zminiemy się.

Zapomniała uprzedzić, że zaraz powróci i nie spodziéwała się, by tak wcześnie przyszedł.

Spróbowała więc biegiem się puścić i ona. Potrąciła dziecko jakieś po drodze; śmiéch wzbudziła w dwu uczniach, którzy nie omieszkali uwag wesołych rzucić za nią, a i tak zyskała niewiele; za ciężko była ubrana, długie okrycie każdy jéj ruch krępowało, a obawa i wzruszenie utrudniały oddech.

Wreszcie jednak zdołała dopaść do drzwi w chwili, gdy on z przed nich zawracał.

— Jestem! — rzuciła mu dla powstrzymania — i dając znak, by zadzwonił raz drugi, sama wpadła przez kuchnię.

Zadyszana, zmęczona, musiała minutę odpocząć. Krew try-

skała jéj z lic, serce biło młotem. On nie powinien był jéj zobaczyć w takim stanie. Spokój!... przecież na to choć należało jéj się zdobyć.

Zrzuciła kapelusz, okrycie, rękawiczki; przyczesała włosy, skronie przycisnęła raz i drugi do ściany, chcąc chłodem uśmierzyć gwałtowne uderzenie pulsu; ale czekać, by pobladły rumieńce krwią nabiegłych policzków już nie miała cierpliwości. Poszła witać Edwarda.

— Przyjechałeś!—wyrwało się z jéj ust, gdy stanęła w drzwiach, na pierwsze słowo to, co radością ją przepełniało.

I zmierzyli się wzrokiem. W jéj oczach był blask i pytanie; on zaś patrzył trochę z ukosa, jak człowiek, który nie ufa lub zdradzić się boi.

— Przyjechałem — odparł chłodno, jak nie ten, co przed chwilą pędził w gorączce.

— Cóż jesteś taka zgrzana? — zapytał sucho po krótkiéj przerwie.

— Bo szłam za prędko. Byłam w mieście...

— Szłaś za mną? — przerwał z wybuchającém niezadowoleniem.

— Tak. Zobaczyłam cię zdaleka — i bałam się, abyś nie zastawszy mnie, nie odszedł.

— Byłbym w takim razie wrócił raz drugi — mówił z zimną logiką.—Ja przez pół nigdy nic nie robię. Jutro licytacya Zalesia — zapomniałaś o tém?

— Nie... A więc przyjechałeś dlatego umyślnie?!

— Ma się rozumiéć.

— Przyjechałeś chory?!... Co ci się stało w rękę i w nogę naraz? — pytała, ledwo dochodząc do miarkowania niepokoju i radości wstrząsających nią równocześnie.

— Spadłem z konia przed kilku tygodniami. Wywichnąłem rękę, a nogę potłukłem — i jakoś nie mogę przyjść do siebie.

— Ty, z konia!... Przecież nie jeździłeś od lat kilku.

— I nie powinienem był zaczynać na nowo. Ale czasem wracają młodzieńcze upodobania i porywy, które pokonać trudno.

Zamilkł i spojrzał na nią, jakby żałując słów rzeczonych, które go zdradzić mogły. Wówczas bowiem, gdy najwięcéj cierpiał i walczył z sobą, godziny całe i dni przepędzał na koniu, w tém szukając zagłuszenia.

Ale Irma zanadto była oszołomiona, aby kombinować.

— I bardzo się potłukłeś? — pytała z trwogą i współczuciem.

— Tak — dosyć. Przed dwoma dniami zaledwie wstałem z łóżka.

— Więc pocóżeś przyjeżdżał? Możesz sobie zaszkodzić.

Edward spojrzał na nią wzrokiem, w którym nie wiedzieć, czy wyrzut był o to, że nigdy go nie rozumié i nie ceni — czy zdumienie nad jéj niezamąconym spokojem; słowa bowiem, które przez miłość i obawę o jego zdrowie rzekła, wziął poprostu za obojętność.

— No—a ty, cóż byłabyś zrobiła ze swą sumą jutro? — zapytał, jasno stawiając kwestyę. — Myślałaś o tém? Jesteś przygotowana?... Masz pieniądze na wadyum?

— Nie... nic nie mam—odparła, płonąc z zawstydzenia.

— A więc zbyteczny mój przyjazd?

— Tego przecież nie mówię, — rzekła nieśmiało, jak skarcone dziecko.

— A! myślałem, że i to usłyszę—powiedział z urazą, która ją dotknęła tak dalece, że łzy zakręciły się w jéj oczach.

Ale naturalnie spuściła powieki, by łez nie pokazać, i nic na obronę swoją nie rzekła.

Między nimi zawsze musiały powstawać i istniéć nieporozumienia, wynikające z fałszywego ich stosunku względem siebie w samėj zasadzie, z chęci i potrzeby ukrywania prawdziwych uczuć, z właściwości wreszcie skomplikowanych ich charakterów skrytych, ambitnych i do uległości nienawykłych.

Oni oboje uważani poprostu, jako dwie siły oddzielne, mieli zanadto w sobie podobieństwa, rzec-by jednogatunkowości, aby się nie roztrącać, jak dwie twarde skały.

Milczeli dosyć długo, siedząc naprzeciw siebie. Każde zatonęło we własnych myślach, niewyczerpanych nigdy.

— Przywiozłem ci pieniądze. Masz tu całe pięć tysięcy rubli— rzekł on w końcu, pierwszy ciszę przerywając.

Irma spojrzała z zastanowieniem. Nagle błysnęła jéj myśl, że pieniądze te należą do jego żony. Wiedziała, że część posagu téjże była w jakichś papierach akcyjnych. W jednéj chwili zatém zmiarkowała, że Edward po zmianę wstępował do bankiera i taka ją przykrość ścisnęła za ręce i gardło, i taki bunt poderwał całą jéj istotą, że poczuła, iż za żadną cenę ofiarowywanéj przysługi nie przyjmie.

— Pieniądze...—zaczęła pomieszana—pieniądze... ale przyznaj: to nie są twoje, lecz twojéj żony?—dokończyła nagle.

Edward poczerwieniał.

— To niech cię nie obchodzi—rzekł mimo to spokojnie po chwili namysłu.

— Masz je z moich rąk, więc nie pytaj czyje. Ja za nie odpowiadam.

— Nie! ja ich nie wezmę, nie użyję, za nic, za nic! — zawołała ona.—Ja nie chcę, abyś stawał w mojém imieniu!

Odsunęła zwój banknotów z przed siebie i wstała.

On zżymnął się i również zerwał z miejsca, w płomieniu cały.

Zaczął chodzić po pokoju żywo, mimo potłuczonéj nogi — i chodził tak dopóki ogień z czoła mu nie spadł.

Ona przesunąwszy się raz i drugi po salonie, usiadła, jak poprzednio, na kanapce i tylko śledziła go wzrokiem.

Po kilku minutach Edward stanął przed nią.

— Słuchaj, — zaczął, już zupełnie panując nad sobą — jeśli odrzucisz tę przysługę, która jest drobnostką, głupstwem, nie wartém wspomnienia, bo przecież te pieniądze wrócą do mnie, — jeśli jednak odrzucisz je i stracisz przez to tak znaczny kapitał ojca, który dziś pracować nie może, to pomijając złe, jakie wyrządzisz jemu i sobie, mnie sprawisz niesłychaną przykrość, taką, któréj ci nigdy, nigdy nie zapomnę!

— Więc?...

Zapytał i patrzył w jéj czarne, gorejące gwiazdy takim wzrokiem, że musiała obezwładnieć i ustąpić.

— Więc... przyjmę! — odparła szeptem przełamana, i spuściła oczy.

Nerwy w jego twarzy drgnęły. Ujął jéj rękę w ten sposób, że całą schował w dłoni—i uścisnął zlekka, a serdecznie.

— Dziękuję ci—powiedział zcicha i siadł obok.

Na nią to zwycięstwo nad samą sobą odniesione i cała wogóle scena, podziałały jak ciepło słońca. Roztopniała ze skrzepnięcia, jakiemu uległa pod wpływem chłodu jego na początku odwiedzin; i w saméj rzeczy, jak zmartwiały motyl pod działaniem gorących promieni, odzyskała elastyczność, swobodę i ten czar pociągający, właściwy sobie, a tém wyraźniejszy teraz, że sama była upojona i pozwalała się unosić uczuciom i marzeniom bez żadnych rozumowań, zastrzeżeń, bez pamięci.

Po tylu latach walki i tęsknoty, po ostatnich miesiącach zwątpień, niepokoju, prawie rozpaczy, a namiętnych pragnień serca, — gdy nareszcie znalazła się znów obok ukochanego człowieka, gdy poczuła w piersi jego niezagasły ogień—zapomniała o wszystkiém, co ją z nim dzieliło, zapomniała o całym świecie i śmiała się i rozmawiała, jak

w latach siedmnastu, gdy byli wolni, bardzo młodzi, gdy bezwiednie pociągani ku sobie siłą saméj natury czuli się szczęśliwi tém, że siedzieli blisko, patrzyli sobie w oczy i głosów swoich słuchali wzajem.

W głowie jéj nie powstawały żadne pytania i wątpliwości, jak również nie powstawał zamiar czynienia jakichkolwiek wyznań. Wprost nie myślała, co będzie za chwilę, za godzinę, za dwie, gdy przyjdzie im się rozłączyć; nie pytała nawet, czy rozstaną się jak dawniéj, czy też połączą tym pocałunkiem, którego pragnęły jéj usta, jak kropli rosy — nic, nic zgoła nie pytała, oddawała się całkowicie chwili obecnéj i kaprysom saméj fali, jak żeglarz, który ster puszcza i z założonemi rękoma pozwala nurtom łódź unosić, gdzie chcą.

Opowiadała rzeczy zwyczajne, drobne, dawniejsze i świéże, ale wysnuwała jeden temat z drugiego z niezmierną żywością myśli i urokiem, który ją przypominał rzeczywiście z lat najmłodszych.

On za to niemal ucichł. Zrzadka rzucał pojedyńcze słowo pytania lub potwierdzenia; oczy tylko szare, głębokie błyskały mu chwilami topazowym ogniem.

Irma zrazu na to nie zwracała uwagi. Zresztą zachowanie takie było niemniéj przypomnieniem przeszłości. Dawniéj siadywał nieraz przy niéj cichy—i snadź widokiem i dźwiękiem głosu jéj napawając się, powtarzał tylko: „co daléj—co daléj?“—by ją do opowiadań pobudzać, przez które sam wnikał w jéj duszę i przy których tém rozkoszniéj o niéj marzył.

I teraz więc milczenie jego brała za zachętę i mówić nie przestawała.

W końcu myśl jéj zwróciła się jakoś do ostatniéj jego bytności, do odjazdu i rozstania, i zapytała wprost:

— A skąd przyszło ci mówić wtedy o moim ślubie?

— Skąd?... Tak sobie—rzekł wymijająco.—Zresztą, przecie za mąż zapewne wyjdziesz?

Irma zbladła, jak gdyby zimny wicher ją objął.

Zawahała się chwilę i wyraźnie odparła:

— Nie.

Spojrzał na nią badawczo, a z niedowierzaniem.

— Dlaczego?—zapytał.—Ach, prawda! pewno sama nie wiesz!—dodał niby z ironicznem lekceważeniem, a właściwie ze źle podtrzymywanym spokojem.

Lecz w niéj wezbrała nagle wielka śmiałość i odwaga.

— Owszem — powiedziała, nie spuszczając oczu. — Długo nie wiedziałam; ale od trzech lat—wiem!

Był to termin, w którym zaczął u nich bywać po ożenieniu.

— Wiész?!...—powtórzył i urwał raptem.

Żyła na czole nabrzmiewać mu zaczęła.

Spojrzał na nią raz drugi już z wyrazem oburzenia, jakby mówiąc: Drwisz! ale się nie oszukam.

I znów zaczął chodzić po pokoju, choć trudno było mu bez laski.

Dlaczego nie spaliłaś tych listów... tych moich listów?—zapytał nagle, stając przed nią.

— A dlaczego ty nie palisz tego najpierwszego, co ci pozostał?

— Cóż ja?! Ja—to co innego!—mówił, wzruszając ramionami.—My staliśmy i stoimy na dwu przeciwnych biegunach.

— Chyba dlatego, że na obydwu temperatura jednakowa.

— Ale równik nas rozdziela, cały pas skwaru i spiekoty, nie obojgu znany!

— To nic nie znaczy! Z pod równika rozeszliśmy się wprawdzie na przeciwne krańce—lecz cierpimy zimno, — mówiła cicho, z gorączkowym pośpiechem.—Chcąc się ogrzać, musimy powracać pod równik. Do tego potrzebuję twoich listów—gdym skostniała, czytam je.

Głos jéj drżał, oczy gorejące z upragnieniem w twarz jego patrzyły.

Ale on był jak pijany, nic nie widział i nie postrzegał. Płomień znowu oblał mu czoło, którego środek przecinała już w pełni krwią nabrana żyła.

— Ostrożnie! igraszkę słów posuwasz za daleko — powiedział szorstko.—Strzeż się, nie wywołuj złego, bo niebezpiecznie.

I obsypał ją iskrzącym wzrokiem.

Ona głośno się rozśmiała.

Było w niéj takie naprężenie nerwów skutkiem wszystkich wstrząśnień poprzednich i rozkosznego rozmarzenia z przed chwili, że pod ukłuciem bólu prysnęła resztka mocy, utrzymującéj jakąkolwiek równowagę.

Mogła była równie dobrze wybuchnąć płaczem, albo spazmami. Śmiała się, bo przez lata przywykła wesołością pokrywać cierpienie, więc nerwy jéj znalazły znany sobie upust. I śmiała się, bo nagle w jéj oczach wszystko stało się taką drwiną, ironią, szyderstwem—że nie śmiać się nie mogła.

— Ty wiesz, że ja lubię burzę!—mówiła téż, jak dla igraszki. — Nie boję się huku, ani gromów — lubię, jak pioruny sypią!... Wolę, niech tu we mnie w téj chwili ugodzi, a niech się między nami wszystko już raz skończy! Raz—raz.

On zatrząsł się cały i śmiertelnie blady, a z oczyma jarzącemi podszedł tuż blisko.

— Słuchaj!—rzekł zdławionym głosem. — Widzę, że chcesz wypróbować, czy władza twoja ma jeszcze dawną moc nademną... Chcesz wypróbować, aby mnie raz trzeci od siebie odepchnąć! Ale ja już szaleńcem nie będę—i zanim gruzy zobaczę z tego, co mi jeszcze pozostało—pożegnam cię pierwéj!

Trzasnął drzwiami—i chwiejąc się wyszedł.

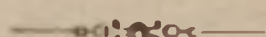
Nazajutrz wstrząsająca wiadomość rozeszła się po mieście N.:— Piękna, uwielbiana Irma nagle zmarła.

St. Ariel.





DYMISYA MINISTRA I WYBORY.



Dr. Julian Dunajewski, jego powodzenie, zasługi, upadek. — Co się na to złożyło?—Wybory do rady państwa. — Układ z rusinami. — Klęska opozycyi na całej linii.—*Ote toi que je m'y mette!*— Klęska konserwatystów w Krakowie.—Poseł Stanisław Szczepanowski i jego list otwarty.

I.

I stało się, na co nikt nie był przygotowany.

Kiedy miesiąc temu siedziałem raz z mymi sąsiadami najspokojniéj przy zielonym stoliku i przykładnie, jak na „przeciętnego“ galicyanina przystało, w wista z nimi grałem, przynieśli mi dzienniki z poczty. Ponieważ przy gościach nie wypadało ich czytać, przeto zerknąłem tylko ukradkiem do rubryki telegramów. I oto znalazłem tam wydrukowane tłustemi czcionkami co następuje:

„Wiedeń d. 3-go lutego. Minister finansów, dr. Julian Dunajewski, podał się do dymisyi, którą cesarz przyjął, przenosząc go równocześnie do izby panów“.

Cud prawdziwy, żem się wtedy na krześle utrzymał. Bo zaiste niespodziewana ta wiadomość stokroć większe wywarła w Austryi wrażenie, niż gdyby odrazu wszystkie pomniki spiżowe, z których Wiedeń jest dumny, zwaliły się ze swoich podstaw granitowych. W gabinecie Taafego wyglądał i on niby ze spiżu odlany, a jednak padł, jakby dla stwierdzenia słów przez Andrassego ongi wypowiedzianych, że w Austryi trzeba prowadzić politykę tylko *vom Fall zum Fall*.

Na moje szczęście, przestrach onego dnia skończył się dla mnie tylko na małym „szlemie“. Takiego samego „szlema“, może nawet wielkiego, gdyż ogromu klęski dziś jeszcze nie można należycie wzrokiem ogarnąć, dostało z upadkiem Dunajewskiego konserwatywne

stronnictwo krakowskie. Chociaż może nie we wszystkich sprawach szedł on z niém ręka w rękę, bo jako mąż zdolności niepospolitych, a silnego charakteru, ilekroć chciał, umiał także własną wolę zachować, mimo to, nie da się zaprzeczyć, że należał on do wybitnych filarów tegoż stronnictwa, gdyż nie różnił się z niém w rzeczach zasadniczych, a stosunkami towarzyskiemi z liczném gronem jego członków był ściśle związany.

Jeżeli, zwykły śmiertelniku, chcesz się dowiedziéć, jak świat cię ocenia, umrzéj i daj się pochować, lub téż ogłoś bankructwo; jeżeli jaki wielki minister radby o sobie sprawiedliwy sąd usłyszéć, niech się poda do dymisyi, a potém niech się znajdzie w izbie panów, która jest spokojném schroniskiem dla dobrze zasłużonych emerytów. Świat zdobywa się na sprawiedliwość tylko dla tych, którzy nie są ani groźni, ani mu nie zawadzają. Wiedzą dziś o tém Bismarck i Crispi; na ten temat ciekawy, dr. Dunajewski mógłby dziś także coś powiedziéć.

Zdobądźmy się tedy na sąd bezstronny i naszkicujmy sylwetkę człowieka, który długie lata był niepospolitym profesorem uniwersytetu Jagielońskiego, późniéj wybitnym acz może idealnym politykiem, i najtęższym ministrem finansów, jakiego Austrya miała kiedykolwiek.

Zacznijmy od krótkiéj jego biografii.

Julian Dunajewski urodził się d. 4 czerwca 1822 r., a nauki pobierał najpierw w Nowym Sączu, późniéj w uniwersytetach lwowskim i wiedeńskim. Mając lat 30 objął docenturę umiejętności politycznych w uniwersytecie Jagielońskim. Wkrótce jednak, gdy system germanizacyjny przybrał charakter ostrzejszy, musiał wraz z Helclem, Polem i Antonim Małeckim opuścić katedrę, przenosząc się do Presburga, skąd po niejakim czasie udało mu się dostać na uniwersytet lwowski. Do Krakowa, w charakterze, zwyczajnego profesora ekonomii politycznéj wrócił w r. 1861, i na tém stanowisku pozostał aż do r. 1880. Od utworzenia Akademii umiejętności był jéj czynnym członkiem, po śmierci zaś hr. Alfreda Potockiego, cesarz nadał mu godność wiceprotektora téj najwyższéj u nas instytucyi naukowéj.

Do sejmu krajowego wszedł Dunajewski pierwszy raz w r. 1869 jako rektor uniwersytetu Jagielońskiego, a już w następnym r. 1870 wybrał go Nowy Sącz swoim posłem. W r. 1873 powiaty: Wieliczka, Nowy Sącz i Biała wysłały go do rady państwa. Od téj chwili zaczyna się właściwa polityczna działalność Juliana Dunajewskiego. Wkrótce nietylko w kraju ale i w Wiedniu zwrócono na niego uwagę. Niepospolite wrażenie wywołała w radzie państwa pierwsza jego mowa w r. 1873 podczas rozpraw nad adresem; niemniéj głośném

echem odbiły się następne jego mowy: budżetowe, o reformie administracyjnéj, o organizacyi banku i ugodzie z Węgrami, o traktacie berlińskim i o sprawie wschodniéj. Tę ostatnią wypowiedział w delegacyach wspólnych.

Dnia 22 czerwca 1880 r. cesarz powołał go do gabinetu Taafego, gdzie mu oddano tekę ministra skarbu. Odtąd działalność jego objawia się w dwóch kierunkach: finansowym i politycznym.

Austrya, jako cesarstwo, nie miała nigdy uregulowanych finansów. Jéj skarbowość znajdowała się zawsze w stanie opłakanym, niedobory pokrywano wciąż nowemi pożyczkami, a ilekroć zło przybrało takie rozmiary, że katastrofy w żaden sposób nie można już było uniknąć, ratowano się częściowemi bankructwami. Tak było w r. 1811, 1816, 1868. Po dacie ostatniéj „generalna ta operacya finansowa“ byłaby niewątpliwie jeszcze nie raz nastąpiła, gdyby nie dr. Julian Dunajewski. Stały niedobór w budżecie austryackim wynosił rocznie kilkadziesiąt milionów. Dzięki Dunajewskiemu znikł on zupełnie. W r. 1889 ukazała się w bilansie zwyżka w formie niespełna 15 milionów, w r. 1890, o ile z dotychczasowych wykazów można wnosić, zwyżka będzie jeszcze większa. Prócz tego z końcem marca 1890 r. w kasach państwowych tak zwanych reszt kasowych było w gotówce 142,651,179 guldenów, o czém dawniéj w Austryi nikt nie słyszał. Wypada tu dodać, że podczas urzędowania Dunajewskiego, wydatki państwowe, nietylko się nie zmniejszyły, ale przeciwnie znacznie urosły, zwłaszcza na cele wojskowe i koleje, a mimo to pieniądze na wszystko się znalazły. Sam kapitał nakładowy, użyty przez państwo na budowę kolei żelaznych, wynosi dzisiaj sumę 761,434,468 guldenów.

Trudno to zataić, że gdy Dunajewski wstępował do gabinetu, nietylko Niemcy centraliści, którzy zdawien dawna z politowaniem spoglądali na naszą gospodarkę, nazywając ją *polnische Wirthschaft*, ale także jego właśni przyjaciele polityczni nie byli wolni od obaw. Tymczasem nowy minister skarbu wszystkich zdumiał. To, czego nie mogli dokonać najtężsi finansiści niemieccy, osiągnął polak. Z dumą téż może on teraz powiedzieć: Patrzcie jak wygląda prawdziwa *polnische Wirtschaft*.

Aby mnie kto nie posądził o chęć pisania panegiryków na cześć byłego ministra, wyręczę się słowami Niemca, dra G. J. Guttmanna, który w „*Kritische Revue aus Oesterreich*“, zeszyt 8, z 15 lutego 1891 r. między innemi tak się o nim wyraża:

„Nie pragniemy dzisiaj poświęcać krytycznego wspomnienia „politykowi“ Dunajewskiemu, mężowi, o którym mówiono, że był

„tarczą i mieczem“ ministerstwa. Jego ustąpienie może bardziéj wikła i plącze sytuacyę, która i tak była już niejasną i zawikłaną. Ocenienie tego usunięcia się i tego zawodu, możliwém będzie dopiéro wtedy, gdy chwilowy zamęt polityczny ustąpi przed światłem. *Ai posteri l'ardua sentenza.* Zachowuje się następcom trudny sąd. W każdym atoli razie traci rada państwa wiele z ustępującym. Był on mówcą dobrym, bojownikiem wyśmienitym. Bywał często cięty, częstokroć bezwzględny, zawsze jednak ścisły i światły, zawsze zrozumiały i wytworny. Czasami zarywał na profesora, ale umiał zawsze czegoś nauczyć, a że sam był nawskroś siebie świadom, umiał on także to, co chciał powiedzieć, drugim jasno przedstawić. Mówił akcentem polskim, ale z ust jego wybiegała niemczyzna lepsza, niż w mowie tych wielu, którzy szczycą się swoją dziedzicznością niemczyzny. Nawet wówczas, ilekroć zbłądził, pomyłki jego były pomyłkami wykwintnego umysłu. Był on dobrym słuchaczem, nie zatracił najmniejszego szczegółu przeciwnika, ale też w lot chwytał słabe strony w argumentacyi wroga. Wówczas go nie oszczędzał, ale go zawsze walił gołym mieczem. Nigdy innéj broni nie używał. Rada państwa pozostanie duchowo uboższa, przestanie być interesującą, bo jego nie dostaje“.

„Za Dunajewskim, jako politykiem finansowym, przemawia logika liczb, która jest zarówno nieubłagana, jak logika czynów. Włoski minister skarbu, Grimaldi, który runął niedawno wraz z przyjacielem swoim, Crispim, wyraził się, że arytmetyka to nie przekonanie. Goethe powiedział, że cyfry wskazują, jak bywa świat rządzonym. Otóż cyframi Dunajewski zwyciężył“. Tu autor przytacza cyfry dawniejszych budżetów i porównywa je z dzisiejszemi, na co wyżéj zwróciliśmy już uwagę, poczém tak daléj pisze: „Powyższe cyfry mówią wiele, ale mojém zdaniem, nie wszystko. Wymagają one pewnych uzupełnień W ciągu dziesięciu lat swego ministerstwa, Dunajewski nie „wygłodził“ (*nicht ausgehungert*) żadnéj gałęzi służby; wszelkim wymaganiom służby państwowéj uczyniono obficie zadość. Na inwestycye i wyjątkowe wydatki obrócono niemal 260 milionów. Mimo to kasy były zawsze pełne, tak pełne, że część gotówki można było użyć na korzyść finansów i targu pieniężnego. Renta nasza znakomicie się podniosła na rynkach europejskich, a nie byłoby to możliwe, gdyby targ nie miał przekonania, że to, co przeprowadzono w Austryi podczas ery Dunajewskiego, jest procesem odrodzenia ekonomicznego. Już to jedno, że Dunajewski nie prowadził daléj finansowéj polityki swego poprzednika, która polegała na emisyi złotéj renty, przemawia za nim głośno i znamionuje jego bystry pogląd“.

„Dunajewski nie oszczędzał podatkujących austryackich, to jest zupełną prawdą. Nie oszczędzał jednak tak samo Włochów ich znakomity minister finansów, Quintino Sella, którego mimo to nazwano drugim twórcą jedności włoskiéj. Płacić musi ten, kto jest dłużny. nie ten, kto chce! — takie było jego hasło. Ale Sella podatki ściągając, ocalił swoją ojczyznę od bankructwa, a dziś głoszą wszystkie dzienniki w Europie jego sławę; lecz te same dzienniki wiedeńskie, które nie umiały dobrać słów pochwał dla żelaznego Włocha, ganią „polskiego ministra finansów“ za to, że chociaż w formie o wiele łagodniejszéj i o wiele mniéj gwałtownemi środkami, stworzył porządek w finansach austryackich, a to pomimo wielkich politycznych przełomów, przez które nasza część świata w czasie jego urzędowania przechodziła. Co do tego historya będzie kiedyś sprawiedliwsza względem Dunajewskiego niż są współcześni. Nazwie go ona austryackim Sellą: *cunctando nobis restituit rem*“.

„Namiętności stronnictw przemijają nawet w Austryi, lecz pozostają rezultaty materyalne, uzyskane przez ustępującego ministra. A dopóki tabliczka mnożenia, logika i ekonomia polityczna nie opuszczą téj kuli ziemskiéj, aby się schronić na Saturna i Marsa, dopóty niech nam będzie wolno głosić, że Dunajewski był najdzielniejszym ministrem skarbu, jakiego kiedykolwiek miała Austrya; dzielniejszym od Stadiona i Kübecka, dzielniejszym niżeli Bruck i Plener, bo ci obadwa u portu utonęli, dzielniejszym od Brestla, bo ten urzędował zbyt krótko, by mógł cokolwiek zdziałać. My możemy następcy Dunajewskiego tylko życzyć, by na polu finansowém uzyskał te same rezultaty, co jego poprzednik. On sam, jako uczciwy i sprawiedliwy, przyzna, że jeśli dalsze rezultaty uzyskać zdoła, osiągnie je dzięki jedynie Dunajewskiemu, który mu drogę wskazał“.

Czy do słów powyższych, wypowiedzianych przez Niemca, potrzeba jeszcze wiele dodać? Chyba to jedno, że Dunajewski szukał głównie źródeł dochodu w cłach i opłatach konsumcyjnych. Kazał tedy płacić od rozmaitych przedmiotów sprowadzanych z zagranicy, od nafty, wódki i tytoniu. Wprawdzie wielce niepopularne były te podatki, w każdym atoli razie są one sprawiedliwsze niż te, które np. ziemię obciążają. Możnaby mu w tym kierunku zrobić tylko jeden zarzut, mianowicie ten, że nie sięgnął do kieszeni bogaczów, że nie ustanowił ani podatków od zbytku, ani téż opłat od operacyj giełdowych. Tu jednak należy wziąć w rachubę tę niezmiernie ważną okoliczność, iż może w żadném innem państwie tak bardzo, jak w Austryi, milionerzy, z Rothschildami na czele, nie wywierają wpływu na tok spraw publicznych.

Ale co Galicya zawdzięcza Julianowi Dunajewskiemu na polu finansowém? Nie bardzo wiele, lecz zawsze coś. Minister austryacki, bez względu jakiéj jest narodowości, musi przedewszystkiém pamiętać o Austryi. Tego wymagają od niego obowiązek i honor. Dunajewski był tedy przedewszystkiém ministrem austryackim, ale mimo to, o ile mógł, pamiętał o Galicyi. Przy ustanawianiu nowego podatku gruntowego nie obciążył zbytecznie naszéj ziemi; przyczynił się w znacznéj mierze do przeprowadzenia ugody indemnizacyjnéj, co nam zdjęło wielki ciężar z piersi; popierał nasze koleje; dał milion na gmach uniwersytecki w Krakowie; a co, zdaniem mojém, najważniejsze, przeprowadził wykupno propinacyi, czém przyczynił się w znacznéj mierze do poprawienia naszych stosunków ekonomicznych, a polepszenia społecznych. Już za to jedno należy mu się od nas dank.

Mówią niektórzy: mógł przecie dla swojéj prowincyi więcéj uczynić. Być może, lecz w każdym razie jeszcze nie teraz. Skarb państwowy ledwie wyszedł z niedoboru, z próżnego nie naleje, dopóki więc minister nie miał znacznéj nadwyżki, nie mógł marzyć o zagospodarowywaniu zaniedbanéj Galicyi. Sądzimy, że byłoby to nastąpiło później, ale téj chwili szczęśliwéj nie dali mu doczekać.

Zapytajmy teraz: dlaczego Dunajewskiego, mimo iż Austryę z bagna wydobył, Niemcy-centraliści od początku do końca jego urzędowania z całą szczerością nienawidzili, i czemu cesarz przyjął jego dymisyę?

Tu wchodzimy już w sferę istotnéj polityki.

II.

Ktokolwiek zna Austryę, sposób, w jaki się tworzyła, wzrastała, żyła i dziś żyje, ten chyba musi przyznać, że jak słuszną była zawsze jéj dewiza: *Alii bella gerant, tu felix Austria nube*, tak również niezmiernie trafną była charakterystyka jéj polityki, zawarta niegdyś w słowach kanclerza Andrassego: „*vom Fall, zum Fall.*“ Znaczyło to, że Austrya nie może chwycić się polityki szerokiéj, zasadniczéj, bo ani jéj finanse, ani położenie prawie środkowo-kontynentalne, ani nareszcie mnogość różnorodnych narodowości, z których każda ma inne aspiracye, na to nie pozwalają, lecz musi zastosowywać się do okoliczności i prowadzić politykę oportunistyczną, lub jak Andrassy powiedział: „od wypadku do wypadku.“ Tak było zawsze, tak jest i tak będzie.

Przypomnijmy sobie teraz, jaka mniéj więcéj była sytuacya przed dziesięciu laty, gdy Dunajewski wszedł do gabinetu.

Eksperymenta z systemem federalistycznym zostały na długo pogrzebane; cesarz był rozgoryczony na Niemców-centralistów, że sprzeciwiali się zajęciu Bośnii i Hercogowiny, których on pragnął dla swéj dynastyi, jako kompensaty za utracone prowincye włoskie — powrót tedy téj partyi do rządów był wręcz niemożliwy; zresztą okazało się już dawniéj, że centraliści spokoju w Austryi nie umieją zaprowadzić; nakoniec trzeba tu wziąć w rachubę świéżo wówczas zawarte przymierze z Niemcami, które, jak to się dziś okazuje, nie wypłynęło, że tak się wyrażę, z konieczności państwowéj, lecz zostało Austryi przez wszechpotężnego Bismarcka narzucone. Na ten fakt ostatni zwracam szczególniejszą uwagę, bo jakkolwiek żaden z publicystów dotąd go nie poruszył, sądzę, że w tém, co się teraz stało, odegrał on bardzo ważną rolę, kto wié nawet, czy nie stanowczą. Tuż za sojuszem austro-niemieckim poczęło rozbrzmiewać hasło: „Austrya z Niemiec i Włoch na zawsze wyparta, powinna zwrócić się na Wschód i pomyśléć o polityce słowiańskiéj.“ Oryginalna ta idea tak niejednemu głowę zawróciła, że zupełnie zapomniano o mądrém powiedzeniu Andrassego i zaczęto w rzeczy saméj marzyć dla Austryi o polityce szerokiéj, programowéj. Nastręczył się tedy jeden z tych „wypadków“, w których nawet centralny rząd wiedeński pozwalał niby coś mówić o polityce słowiańskiéj. Wśród takich stosunków zjawia się Dunajewski.

Mąż ten wiedząc, że z Niemcami daleko nie zajdziemy, a z drugiéj strony przekonawszy się z przeszłości, że o prawdziwie federalistycznym ustroju Austryi nie może być mowy, bo ani Węgrzy, ani Niemcy w Czechach na taki system nie mogliby przystać, usiłował pójść drogą nową, polegającą na zabezpieczeniu każdéj narodowości prawidłowego rozwoju. Taki system nazywał się autonomicznym i przezeń Słowianie zyskiwali więcéj, niż Niemcy. Taafe, firmodawca gabinetu, podzielał zapatrywanie kolegi, zdaje się jednak, że nie czynił on tego ani pod jego wpływem, ani przez zbytek miłości dla Słowian, gdyż tych, jako Niemiec, zawsze nie lubił i nie lubi; Taafe chwycił się téj polityki, bo była ona jedynie możliwa wśród „wypadku“, który został spowodowany faktami powyżéj przytoczonemi. Skoro nie może być teraz ani federalizm, ani centralizm, niechże będzie autonomizm z pokostem słowiańskim.

Jeśli nas pozory nie mylą, to Dunajewski w to, co czynił, wierzył, podczas gdy Taafe śmiał się w duszy z idealizmu Polaka, poczytując go za „polityka z katedry“, *für einen Katheder-Politiker*. Austrya i polityka szeroka, słowiańska... Co za sprzeczność! Że Dunajewski nietylko wierzył w swoją mżonkę teoretyczną, lecz także starał

się w czyn ją wprowadzić, to przebijało w stanowczości, z jaką Niemców odsuwał, mówiąc, że bez nich w Austryi rządzić można. W rzeczy saméj téż rządził, ale nie długo, ledwie lat dziesięć, gdyż program jego jest idealny i w Austryi nie mógł być przeprowadzony. Przy ocenianiu stosunków austryackich, nie traćmy nigdy z oczu dwóch rzeczy zasadniczych: 1) że dynastya jest na wskroś niemiecka; 2) że narodowością najsilniejszą tak pod względem liczbowym, jak i kulturalnym są Niemcy. Kto sądzi, że ich potrafi usunąć, złamać, zdruzgotać, ten jest marzycielem. Cesarz mógł się na nich pogniéwać, gdy mu odmawiali pieniędzy potrzebnych na okupacyę Bośnii i Hercogowiny, ale cesarz o nich nigdy nie zapomni, bo jest przecie krwią z ich krwi i kością z ich kości. Prędzéj lub późniéj musiał się tedy z nimi pojednać. I nastąpiło to rychléj, niż niejeden przypuszczał, a nastąpiło wskutek nowego „wypadku“, który nawie państwa austryackiego nakazuje pod nowe wiatry żagle rozwinąć. Bismarck, twórca austro-niemieckiego sojuszu, runął, poczém młody cesarz zaczął w Petersburgu badać, azali mu się nie powiedzie zbliżyć do Rosyi. Co téż z nią się stanie, jeśli Niemcy na własną rękę porozumieją się z Rosyą? Czy więc nie byłoby lepiéj, gdyby Austrya, zamiast bawić się daléj w sztuczną przyjaźń z Hohenzolernami, z którymi Habsburgowie mają partyę do rozegrania, a których zmarły następca tronu, Rudolf, serdecznie nawet nienawidził, oto czy nie byłoby dla Austryi korzystniéj, gdyby ona pozyskała przyjaźń północnego swego sąsiada? A gdy to nastąpi, czy Prusy nie będą wtedy tak samo odosobnione, jak jest teraz Francya? Podróż arcyksięcia Ferdynanda do Petersburga zdawałaby się to przepowiadać, jak nie mniéj wycieczka cesarzowéj Fryderykowéj do Paryża, bo gdyby Austrya zbliżyła się do Rosyi, natenczas Prusy za cenę jakichbądź ofiar musiałyby szukać czucia z Francyą.

Zdaniem mojém, zarzucenie autonomiczno-słowiańskiego programu przez gabinet Taafego i zbliżenie się jego do Niemców, za czém poszło ustąpienie Dunajewskiego, pozostaje w ścisłym związku z ogólną konstelacyą polityczną. Ministra skarbu zwyciężyła *vis maior*. Ale gdyby nawet tak nie było, t. j. jeśli Dunajewski runął jedynie dlatego, że cesarzowi zrobiło się nareszcie żal Niemców, to i w takim razie okazuje się, że nie był on politykiem realnym, ponieważ marzył o rzeczy, która w niemieckiéj Austryi może być tylko słowem, ale nigdy ciałem. Austryą bez Niemców i wbrew nim rządzić nie można. Z Austryi państwo słowiańskie nigdy nie będzie. Mówiliśmy to nieraz dawniéj, dziś starą prawdę tylko powtarzamy.

Powyżéj cytowany Guttmann tak się o ustąpieniu Dunajewskiego wyraża:

„Dunajewski zrezygnował głównie dlatego, że był mężem charakteru. Odszedł z powodu różnic politycznych. Był on jednym z owych trzech czy czterech, którzy w r. 1879 utworzyli większość. Odtąd zastępował on zapatrywania téj większości w radzie korony, nawet w chwilach gdy zachodziło niebezpieczeństwo, aby się nie stała mniejszością. Jak skoro zaś nie mógł przemódz swojém tak często przekonywującém słowem—ustąpił. Było to więc działanie i zachowanie się dżentelmena. Nic łatwiejszego dlań było, jak zostać, a to za cenę swych przekonań politycznych. Bywali ministrowie, którzy za taką cenę chętnie ponosili tę ofiarę. Zapatrywanie się na tę rzecz ze stanowiska 20,000 guldenów rocznéj pensyi, ma także podstawę... My jednakowoż wdzięczni jesteśmy ustępującemu ministrowi, że nie stanął na tém stanowisku, lecz wiernym pozostał własnemu przekonaniu. Tém samém spełnił on rzecz, która powinnaby nawet jego polityków rozbroić. Sprawił w każdym razie to, że wwiódł etyczny moment do walki dzisiejszéj, albowiem przypomniał i okazał, że jest jeszcze coś wyższego ponad rozkosz posiadania władzy.“

Cesarz dymisyę Dunajewskiego przyjmując, dał mu „za zasługi położone na polu finansowém“ wysoki order Św. Szczepana, a równocześnie przeniósł go do izby panów. Według mnie, nigdzie wyraźniéj, niż tu, nie zamanifestowało się życzenie monarchy, by o polityce słowiańskiéj więcéj mowy nie było. Cesarz w piśmie swojém nawet nie przyznaje, by Dunajewski na polu rzeczywistéj polityki jakiekolwiek zasługi położył, a że nie chciał on także, żeby dymisyonowany minister marzył daléj o zupełném zaspokojeniu Słowian, więc przeniósł go tam, gdzie ludzie są skazani na śmierć polityczną.

Wypada tu jeszcze jeden szczegół zanotować. Kiedy na radzie ministrów, d. 22 stycznia, minister bez teki, Filip Zaleski głosował za zbliżeniem się do Niemców i krok swój motywował powiedzeniem: „Czynię to, ponieważ cesarz tego sobie życzy, a ja jestem jego sługą!“ wtedy Dunajewski rzekł: — „Ja, jako doradzca najj. pana, głosuję przeciwnie, gdyż to uważam za lepsze.“ — A więc i w ostatniéj chwili miał charakter.

Po jego ustąpieniu pytają wszyscy, co nastąpi? Na to jeszcze nie sposób odpowiedzieć. Dopóki rada państwa się nie zbierze, wszelkie kombinacye są przedwczesne i na domysłach tylko oparte.

III.

Może za dużo rozpisałem się o d-rze J. Dunajewskim, sądzę jednak, że obszerniejsza wzmianka słusznie mu się należała, z łona bowiem naszego nie prędko wydamy męża, któryby czy to w Austryi, czy gdziekolwiek indziéj, znów tyle, co ten ważył. Niemcy go nienawidzili, gdyż poczytywali go za swego nieprzyjaciela zasadniczego; Polacy nieraz nań sarkali, bo nie zawsze spełniał ich życzenia: w państwie rzadko kto oddawał mu całą sprawiedliwość. Ale mimo to pozostanie on mężem bardzo wybitnym, należącym do historyi, któremu kiedyś, gdy wszystko się wyjaśni, będzie się słusznie należała wyczerpująca charakterystyka.

Ustąpienie ministra Dunajewskiego pozostaje w ścisłym związku z rozwiązaniem rady państwa i rozpisaniem nowych wyborów. Zostały też one w tych dniach dokonane w całéj monarchii. Jak się stronnictwa w radzie państwa ugrupują, które frakcye złączą się, celem utworzenia większości rządowéj, nad tém, jako nad sprawą przyszłości, nie będę się w téj chwili zastanawiał. Obecnie obchodzą nas przedewszystkiém same wybory.

Daleko jeszcze było do rozwiązania parlamentu, gdy w Galicyi rozbiegła się wieść, że rząd układa się z Rusinami. W jakim celu? — wszyscy pytali, a nasi optymiści znaleźli na to zaraz odpowieź: „Dzieje się to dlatego,—mówili oni—że rząd chce nas pogodzić z Rusinami.“ No, a kiedyż to rządowi wiedeńskiemu na tém zależało? Hr. Taaffe kaptuje Rusinów dla siebie, ale nie dla nas. Ponieważ nie wiedział, jak wypadną wybory i czy delegacya polska, stanowiąca w ubiegłém sześcioleciu jego najsilniejszą falangę, nie powiększy szeregów opozycyi, postanowił więc szukać w rządzie sprzymierzeńców i w téj wędrówce wzrok jego padł także na Rusinów, którzy z Galicyi mogli mu dostarczyć 6 do 8 głosów. Konferencya namiestnika z przewódcami stronnictwa młodoruskiego nie pozostała bez skutku. Rząd przyrzekł im gorące poparcie podczas wyborów nietylko przeciw Polakom, lecz także przeciw partyi staroruskiéj; za to oni obowiązali się złożyć w sejmie deklaracyę, „że stoją twardo przy unii i przy dynastyi.“ Romańczuk w rzeczy saméj powiedział to w sejmie, episkopat ruski mu przyklasnął, starorusini, z nieprzejednanym Kowalskim na czele, uderzyli na alarm, rząd jednak nic sobie z tego nie robił, starostom kazał młodorusinów popierać i z urny wyszło ich 7, między tymi najważ-

niejsi: Romańczuk, Teliszewski i Barwiński. Jeżeli dodam ósmego Rusina, wybranego na Bukowinie, który do nich pewnie się przyłączy, to hr. Taafe sformuje frakcyę z ośmiu głosów złożoną, która niewątpliwie będzie go zawsze popierała. Jeżeli się zważy, że w ubiegłéj sesyi parlamentu istotna większość rządowa składała się tylko z 12-tu głosów, to tych 8 Rusinów bynajmniéj nie można lekceważyć, zwłaszcza że oni z innemi kółeczkami, które minister nie omieszka wciągnąć do werku machiny rządowéj, mogą przyczynić się do utworzenia większości wcale imponującéj. Rząd tedy wiedział co czynił, i takie postępowanie, z jego stanowiska, uważam za całkiem jasne i prawidłowe.

W poprzedniéj kadencyi Rusinów galicyjskich zasiadało w parlamencie 5, teraz będzie ich siedmiu. Koło polskie byłoby tedy słabsze o dwa głosy, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, że odzyskało głos jeden gdzieindziéj. Oto z okręgu brodzko-złoczowskiego posłował dawniéj generalny dyrektor kolei Karola-Ludwika, p. Sochor, który przed wyborami uroczyście przyrzekał, że wstąpi do koła polskiego, tymczasem ledwie wyszedł z urny, zdradził naszych i przeszedł do Niemców centralistów. Ten pan, acz potajemnie, znów kandydował, teraz jednak przepadł sromotnie, w jego zaś miejsce został wybrany adwokat lwowski, dr. Byk, który złożył solenne przyrzeczenie, że z kołem polskiém pójdzie zawsze ręka w rękę. Tak więc nowy ten poseł zastąpi jednego Rusina. W kadencyi ubiegłéj koło liczyło 58 głosów; teraz, z doliczeniem ks. Świeżego, wybranego na Szląsku, będzie miało 57 głosów. W każdym razie jest to falanga potężna, któréj żaden gabinet nie może lekceważyć.

IV.

Jak młodzi Rusini ze starymi, tak samo walczyli przy wyborach młodzi Polacy ze starymi. U nas nazywają się pierwsi opozycyą, drudzy konserwatystami. Że oba te stronnictwa, w każdym zdrowym organizmie państwowym, a nawet społecznym, być muszą, jest to rzecz tak dawno znana i przez wszystkich uznana, że bliżéj nad nią się rozwodzić byłoby bezpotrzebném czasu marnowaniem. Z drugiéj atoli strony nie da się zaprzeczyć, że na świecie są i takie organizmy polityczne, w których opozycya, jeśli ma pomódz, nie zaszkodzić, musi postępować bardzo roztropnie i nie powinna nigdy rzucać haseł nie-

bezpiecznych. Téj rozwagi opozycya nasza nie miała. Powiedziawszy sobie w r. 1889-ym, że rządy kraju powinny nareszcie do niéj należéć, zwołała pamiętny zjazd delegatów miast i miasteczek, na którym zażądała, prócz wielu innych rzeczy, także dwóch drobnostek: 1) powszechnego głosowania i 2) wyboru chłopów zamiast obywateli ziemskich. Czy pierwsze żądanie, w kraju mającym 72% analfabetów, ma sens jakikolwiek, niech na to odpowiedzą demokraci rozumni. Co do drugiego punktu programu opozycyjnego, to ośmielę się uczynić skromną uwagę, że w kraju, który, niestety, miał rok 1846-ty i dodziśdnia go nie zapomniał, rzucanie podobnych haseł pobudzających w chłopach nienawiść do obywatelstwa wiejskiego, jest rzeczą co najmniéj lekkomyślną, by więcéj nie powiedziéć...

Agitacya z r. 1889-go nie pozostała bez skutku. Włościaństwo ruszyło się gwałtownie w kilku powiatach i czterech własnych posłów wybrało do sejmu. W roku bieżącym podczas wyborów do parlamentu mogło być jeszcze gorzéj. W wielu miejscowościach kandydowali chłopi; w innych kusili się o mandat „synowie chłopów“ (sami się oni z tego chełpili), byle złamać szlachciców, panów! Ktokolwiek zna kraj, musi przyznać, że agitacya naszéj opozycyi z r. 1889 była dla dobra powszechnego w wysokim stopniu szkodliwą, a dla niéj saméj okazała się zgubną. Stronnictwo umiarkowane widząc, że ma do czynienia z nieprzyjacielem w środkach nie przebierającym, musiało wziąć się energicznie do własnéj obrony i temu to należy przypisać sromotną klęskę, jaką opozycya w roku bieżącym poniosła. Nietylko w okręgach wiejskich, nawet w miejskich straciła ona kilka mandatów. Przeciwnie, obóz konserwatywny wyszedł liczebnie wzmocniony. Nie byłbym jednak sumiennym sprawozdawcą, gdybym nie przyznał, że opozycya, formułując w tym roku swój program, bynajmniéj tak daleko w nim nie poszła, jak na pamiętnym zjeździe delegatów miast i miasteczek, coby świadczyło, że sama się opamiętała; kraj atoli nie zapomniawszy, co się działo przed półtora rokiem, nie chciał zaufać sztandarowi dzisiejszemu i stąd pogrom. *Das ist der Fluch der boesen That*—jak mówi poeta.

Dziwną także wydać się musiała każdemu nieuprzedzonemu namiętna agitacya opozycyi przeciw ludziom uznanym za postępowych. I tak, w Tarnopolu kandydował dr. Euzebiusz Czerkawski, jeden z najzdolniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek posiadała polska delegacya, człowiek wypróbowanych zasad demokratycznych, który stał niejednokrotnie na czele klubu lewicy. Nagle, gdy się tego najmniéj spodziéwano, opozycya stawia w Tarnopolu kandydaturę adwokata

lwowskiego, Jekelesa, człowieka bez żadnéj przeszłości politycznéj, o którym nawet nie wiemy, czy wszedłszy raz do delegacyi, nie przeniósłby się natychmiast do Wiednia, jak to już wielu jego współwyznawców dawniéj uczyniło. Ponieważ p. Jekeles szczyci się osobistą przyjaźnią niektórych członków opozycyi, więc czy nie można było śmiało przypuścić, że przeciw Czerkawskiemu stawał on do walki jedynie w imię szlachetnéj zasady *ôte toi que je m'y mette?* I przypuszczano jeszcze gorsze rzeczy. Oto ten i ów myślał, że opozycya przeistacza się w klikę karyerowiczów, którzy, chcąc wszystko sami zagarnąć, usuwają nawet demokratów wypróbowanych, jeśli ci nie są jéj ślepo oddani.

Na téj taktyce nie pięknéj i niepolitycznéj najgorzéj wyszedł znany poseł Stanisław Szczepanowski. Ubiegał on się o mandat równolegle z demokratą, p. Karolem Lewakowskim. Zwolennicy kandydatury tego drugiego rozsiewali pogłoskę, że Szczepanowski, należąc do kliki, walczy z Lewakowskim, bo ten jest niezawisłym. To w opinii miasta autorowi „Nędzy Galicyi“ najwięcéj zaszkodziło i dlatego upadł. Tymczasem zarzut to był niesłuszny.

Już po dokonanych wyborach, Stanisław Szczepanowski wydał list otwarty, w którym powiada jasno, czemu z Lewakowskim walczył we Lwowie. O ciekawym tym dokumencie będę mówił niżéj. Teraz muszę jeszcze zanotować kilka innych grzechów opozycyi. I tak, w Rzeszowie popiérała ona kandydaturę d-ra Zbyszewskiego, który w Galicyi tylko tém wsławił się i zasłużył, że należał do założycieli i dyrektorów osławionego ongi banku włościańskiego, który tysiące naszych chłopów puszczał rok rocznie o kiju żebraczym. Mówią także, że w Stanisławowie, skąd zdawien dawna posłuje znany zaszczytnie ekonomista, profesor Biliński, opozycya forytowała handlarza nierogacizną, Rubczaka, o którym nawet ludzie nie wiedzą, czy umié dobrze pisać i czytać. Nie da się również zaprzeczyć, że namiętna z jéj strony agitacya w Krakowie przeciw Leonowi Chrzanowskiemu, który od lat 20-tu walczy dzielnie w parlamencie, i prędzéj może być zaliczony do ludzi postępowych, niż zacofanych, agitacya, mająca na celu wysunięcie d-ra Weigla, nie świadczy ani o bystrości sądu naszéj opozycyi, ani o jéj takcie.

Niefortunne hasła rzucone przed półtora rokiem i błędne postępowanie w roku bieżącym, spowodowały też taką klęskę opozycyi, jakiéj nawet nie przewidywali jéj najnamiętniejsi przeciwnicy. W okręgach wiejskich konserwatyści zabrali jéj wszystkie mandaty dawniéj dzierżone, a przeszedł tylko jeden chłop, Potoczek, który do jéj grona

nie będzie także należał; w kuryi większéj własności, z któréj wychodzili jéj kandydaci, Wysocki i Szczepanowski, nie zdobyli ani jednéj pozycyi; nawet w miastach, jak np. w Rzeszowie i Lwowie wybory wypadły na ich niekorzyść. Rzeszów wybrał konserwatystę Jędrzejowicza, Lwów radykała Lewakowskiego, który oburzony za to, że opozycya namiętnie przeciw niemu agitowała, prawdopodobnie będzie teraz dziki. Korzystnie wypadły dla niéj wybory tylko w Przemyślu, gdzie z urny wyszedł młody ekonomista, dr. Witołd Lewicki, który ma piękną przyszłość przed sobą; w Tarnowie, gdzie wybrano d-ra Tadeusza Rutowskiego, także ekonomistę; nareszcie w Krakowie, który oddał głosy obu jéj kandydatom: Sokołowskiemu i Weiglowi. Pod Wawelem, jéj zwycięstwo było tedy zupełne. Jakiéj sile należy to przypisać? Gdybym na to pytanie chciał wyczerpująco odpowiedzieć, musiałbym chyba to powtórzyć, co trzy miesiące temu pisałem na tém tu miejscu. Aby tego nie czynić, poprzestanę na uwadze, że stronnictwo krakowskie, znane pod nazwą Stańczyków, samo sobie winno, jeśli we własném gnieździe jedną klęskę po drugiéj ponosi. Jego ekskluzywność, już nie konserwatyzm, lecz reakcyjność, niedokrwistość głównego organu, wreszcie zupełny brak organizacyi wśród mas, oto ciężkie grzechy tego stronnictwa, które dziś przeciw niemu się zwracają, choć dawniéj robiło ono w Krakowie, co chciało.

W poprzedniéj kadencyi opozycya w łonie polskiéj delegacyi liczyła około 10 głosów. Teraz, zdaje się, nie będzie ich miała więcéj niż 6 lub 7. Ale nie w tym ubytku należy, zdaniem mojém, upatrywać istotnéj klęski tego stronnictwa. Prawdziwém nieszczęściem jest dla opozycyi to, że z jéj szeregu ubyli demokraci szerszego, europejskiego kroju, jak Hausner, Szczepanowski, Wysocki, których nie zastąpi ani dr. Weigel, ani dr. Byk. Hausner umarł, dwaj drudzy nie zostali wybrani. To już nie porażka, to pogrom.

Wybory odbyły się mniéj więcéj spokojnie. Do wielkich awantur przyszło tylko w jednéj Kołomyi, gdzie z wiedeńskim rabinem, dr. Blochem, który acz obcokrajowiec, w poprzedniéj kadencyi należał do koła polskiego, wystąpił do walki Edmund hr. Starzeński. Ponieważ w tém mieście czerń żydowska stanowi główną masę wyborców, przeto podczas agitacyi pieniądz główną rolę tam odgrywał. I dzięki temu motorowi, poruszającemu łatwiéj, niż cokolwiek innego ludzkie namiętności, przyszło do takich awantur, o jakich w Galicyi dotąd przy wyborach nikt nie słyszał. Kilku ludzi zraniono, jednego na śmierć zabito. Z urny wyszedł Bloch. Ale choć wybory dawno skończone, miasto dotąd się nie uspokoiło, wzburzenie trwa daléj, bur-

mistrz zrezygnował ze swego stanowiska, strwożeni mieszkańcy udali się do namiestnika z prośbą o pomoc. Gotowo tam się jeszcze skończyć na ogłoszeniu stanu oblężenia.

Bilans wyborczy przedstawia się jak następuje: Rusinów 7, opozycyonistów 7, konserwatystów 50. Przewódcą koła będzie i w téj kadencyi niewątpliwie prezes poprzedni, poseł Apolinary Jaworski, który po śmierci Grocholskiego zajął to trudne stanowisko. W mowie, wygłoszonéj wczoraj w Złoczowie do swoich wyborców, tak scharakteryzował przyszłą politykę koła:

„Delegacya polska będzie nadal popierała rząd, jeżeli tenże dopomoże do rozwoju autonomii także pod względem ustawodawczym, a nadto jeśli będzie skutecznie popiérał tak materyalne, jak moralne interesy kraju. Delegacya będzie także popierała słuszne żądania swoich dotychczasowych sprzymierzeńców. Delegacya nie jest przeciwną pracy wspólnéj z lewicą (centraliści), ale wszelkiéj preponderencyi lewicy sprzeciwiać się musi. Lewica swoim programem nie przygotowała terenu do wspólnéj pracy; o niéj téż można powiedziéć, że się niczego nie nauczyła i niczego nie zapomniała. Jéj program, jako taki, uniemożebnia wspólną pracę, ale komentarz programu, zawarty w mowie Chlumetzkiego jest tego rodzaju, że możliwości porozumienia nie wyklucza“.

Wyborcy większéj własności obwodu złoczowskiego przyjęli mowę p. Jaworskiego z zapałem i zaszczycili go ponownym wyborem.

Delegacya zatém, w razie koniecznéj potrzeby, pójdzie z lewicą.

V.

Bardzo ciekawym dokumentem jest list otwarty Stanisława Szczepanowskiego do wyborców miasta Lwowa, dziś drukiem ogłoszony. Wyjmuję z niego kilka ustępów, mających znaczenie zasadnicze.

„Walczyłem z posłem Lewakowskim — mówi on zaraz na początku — ponieważ zakresem swojego umysłu, przedstawia się on raczéj jako spóźniony reprezentant wygasłéj już tromtadracyi lwowskiéj, a nie jako członek stronnictwa które chce działać na podstawie p o ł ą c z e n i a n a s z y c h t r a d y c y j h i s t o r y c z n y c h z ś w i a t o w ą u m i e j ę t n o ś c i ą p o l i t y c z n ą. Jedyną i zupełnie wystarczającą przyczyną, dla któréj przyjąłem kandydaturę we Lwowie, było moje głębokie przekonanie, że działanie posła Lewakowskiego

w Wiedniu było przeważnie szkodliwém dla sprawy publicznéj, a najszkodliwszém właśnie dla tego stronnictwa demokratycznego, do którego nominalnie należał. Jego dobre chęci i zamiary patryotyczne nie zmieniają tego faktu, bo tak patryotyzm jak odwaga mogą być użyte i nie w porę i nie w należytym kierunku. Pomiędzy moim przeciwnikiem a mną, była różnica tak wielka, jaka istnieje między polityką agitacyi i demonstracyi, dążącą do protestu i opozycyi, a polityką czynów, dążącą do osiągnięcia pewnych rezultatów i załatwienia pewnych spraw. Zaiste, trzebaby mieć umysł obrany z wszelkiego poczucia rzeczywistości, ażeby twierdzić, że w sejmie galicyjskim i w naszéj delegacyi w Wiedniu nie ma pola do polityki praktycznéj, do działania dodatniego. A co do mnie, wolę najmniejszy rezultat namacalny od największéj wrzawy, wolę postawić program dodatni i stać twardo przy nim, urzeczywistniając go choć częściowo, choć stopniowo, od najwymowniejszéj krytyki, rządu, wolę jedném słowem inicyatywę i rezultaty, od opozycyi i rozgłosu". Wykazawszy, że poseł Lewakowski nie miał żadnego programu, Szczepanowski tak mówi o swoim programie: „Krytykuję, ale nie ubliżam kołu, tymczasem w miarę sił moich pracuję nad wyrobieniem nowego kierunku. To też już przed dwoma laty przedstawiłem kołu w ogólnych zarysach projekt powrotu do zasadniczéj polityki autonomicznéj i starałem się wyjaśnić różnicę pomiędzy moim projektem a nieudałą rezolucyą galicyjską z przed 20-tu laty. Przedmiot nowéj organizacyi samorządu krajowego jest już na porządku dziennym, a staraniem naszego stronnictwa będzie, żeby z niego nie zszedł przed pomyślném załatwieniem. Stawiając moją kandydaturę we Lwowie, chciałem pozyskać poparcie stolicy kraju dla tego programu, bo toby mi było dostarczyło najlepszéj trybuny do propagowania tych zasad". Szczepanowski nie wątpi, że jego program, który nazywa autonomicznym, zyska z czasem bardzo licznych zwolenników nawet wśród samych konserwatystów. „W kraju, w sejmie i w radzie państwa—mówi on — głównie zaś w dawném centrum, a nawet w szeregach jeszcze bardziéj konserwatywnych, mamy dużo autonomistów z intencyi, chociaż lękają się oni każdéj śmielszéj inicyatywy autonomicznéj. Zraża ich brak zaufania do sił krajowych, wreszcie brak konkretnych programów, wniosków pozytywnych, brak poparcia opinii publicznéj, mimowolna odraza, którą czują do sposobu agitacyi politycznéj, przyjętego przez pewną część obozu demokratycznego. Jest mojém głębokiém przekonaniem, że mimo dobréj woli tego odłamu naszego społeczeństwa, on własnemi siłami samo-

rządu nie wytworzy i w stanowczéj chwili zawsze się cofnie. Połączenie z demokracyą doda mu decyzyi. My zaś bez współudziału i pomocy tych ludzi (umiarkowanych konserwatystów) nigdy nie będziemy w stanie wytworzyć większości. Natomiast z ich pomocą i za ich udziałem rezultat jest pewny, bo liczba zwolenników rządowych *quand même*, nigdy nie wynosiła w kole więcéj, niż 18-tu lub 20-tu i to w czasach największéj potęgi ministra Dunajewskiego, kiedy można sobie było robić iluzye, że on się stanie opatrznością finansową Galicyi.

Sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli dla ludzi mało objaśnionych ze stosunkami galicyjskiemi, program Stanisława Szczepanowskiego, jak on się z jego ostatniego listu wyłania, streszczę jeszcze w kilku słowach.

„Ponieważ podstawą każdego społeczeństwa jest jego byt materyalny i oświata, a zaś Wiedeń obchodząc się z nami po macoszemu, ani tych pieniędzy nam nie daje, których potrzebujemy, ani szkół naszych nie pozwoli nam nigdy uwolnić z pod panującego w nich ducha germańskiego, przeto miasto bawić się w wielką politykę, starajmy się raczéj zdobyć taką autonomię, któraby nam w ręce oddała krajową skarbowość i krajową oświatę.“

Jeżeli czytelnicy „Ateneum“ przypomną sobie, to odkąd mam zaszczyt zaprzątać ich uwagę mojemi listami, w poglądach na stosunki galicyjskie stałem zawsze na takiém samém stanowisku. Nawet trzy miesiące temu, pisząc o chybionym projekcie wielkich inwestycyi, którego jednym z głównych autorów był poseł Szczepanowski, ośmieliłem się powiedzieć, że wpierw niż o inwestycyach, Galicya powinna pomyśléć o autonomii skarbowéj. Zgadzamy się dziś tedy zupełnie z posłem Szczepanowskim. Ale nietylko ja jestem tego zdania. O ile znam kraj, nie wątpię, że olbrzymi zastęp prawdziwych konserwatystów podziela to zapatrywanie, jak je podzielał przed laty 20-tu, gdy w sławnéj rezolucyi sejmowéj domagał się także zupełnéj autonomii Galicyi.

Szkoda jednak niezmierna, że tego, co pan Szczepanowski ogłosił teraz w liście otwartym, a czemu każdy człowiek bezstronny przyklasnąć musi, nie wypowiedział równie otwarcie i jasno przed wyborami. Wtedy bylibyśmy usłyszeli ku wielkiéj naszéj radości, choć nie mniejszemu zdziwieniu, że w łonie naszéj opozycyi sejmowo-parlamentarnéj znajdują się już ludzie, którzy zrywają z warcholstwem i szkalowaniem; którzy politycznym swoim przeciwnikom nie zarzucają rozmyślnie złéj woli; którzy chcą budować, nie burzyć; którzy nie z r y w a j ą c z t r a d y c y ą, będą włościan oświecali, ale ich

przeciw obywatelstwu pewnie nie podburzą; którzy są nadto rozumni, żeby w Galicyi żądali powszechnego głosowania, a zanadto uczciwi, żeby w celach koteryjnych mogli walczyć z takimi szermierzami parlamentarnymi, jak Czerkawski i Chrzanowski. Jeśli więc w łonie opozycyi, prócz Szczepanowskiego, dla którego zdolności, zasad i charakteru, mieliśmy zawsze zupełny szacunek, znajduje się jeszcze więcéj posłów podzielających jego zapatrywania, natenczas musi ona sformułować program zupełnie jasny, jak jasnym jest ostatni list autora „Nędzy Galicyi“ i musi stanowczo zerwać ze swoją przeszłością. Wtedy stanie się ona stronnictwem zdrowém, nie mającém nic wspólnego ani z demokracyą kosmopolityczną, ani z socyalistami, i nie ulega wątpliwości, że znaczna falanga konserwatywnych autonomistów, widząc to, zabierze się z nią razem do wspólnéj pracy około podźwignięcia naszéj prowincyi.

Józef Rogosz.

d. 10 marca 1891 r.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

II.

Powieść w Stanach Zjednoczonych Ameryki. — jéj cechy ogólne. — Henryk James i celniejsze jego utwory,—Marion Crawford: *Mr. Isaacs* i następne powieści.

Jedyne dobre powieści, jakie wychodzą obecnie w języku angielskim, są pisane przez Amerykanów.“ Nic częstszego, jak taki wyrok krytyczny wygłaszany nawet przez kompetentnych sędziów. Jego ogólnikowość wszelako, oraz brak wszelkich wyjątków i zastrzeżeń musi odrazu wzbudzać pewne wątpliwości, co do słuszności téj oceny. Jeżeli jest niezaprzeczoną prawdą, iż wraz ze śmiercią George Eliot'a zniknęła ostatnia olbrzymia postać w długim szeregu powieściowych hegemonów angielskich, to nie wynika stąd bynajmniéj, ażeby nie było tam wciąż jeszcze talentów wybitnych, pierwszorzędnych. Przeciwnie, jest ich taka obfitość i taka różnorodność twórczości, że każdemu z nas łatwo jest znaleść odrazu duchy pokrewne. Mieliśmy już sposobność przedstawić czytelnikom kilku z mniéj znanych, a wysoce interesujących powieściopisarzy i widzimy przed sobą jeszcze inną, zastraszająco długą kolumnę. Nie ma się więc prawa, dla wyniesienia w górę powieści amerykańskiéj, czynić to kosztem angielskiéj. Jednakowość języka i wspólność pochodzenia nadają wprawdzie obudwom pewne cechy jednolite i pozwalają odkryć rodzinne pokrewieństwo, ale te nie posuwają się wszakże aż do zatracenia indywidualności w jednych lub drugich. Poprostu zdaje się nam to niepodobném, tak głęboko mają wyciśnięte na sobie piętno osobiste.

Powieściopisarze amerykańscy mają prawo być czytani i osądzani sami w sobie i nie potrzeba im bynajmniéj angielskich szczudel,

tak samo, jak angielscy nie mają racyi ubolewać nad przejściem ich źródeł twórczych na grunt amerykański. Nie ma między nimi sporu o miedzę graniczną i być nie może.

Piśmiennictwo amerykańskie w każdéj odrębnéj gałęzi ma już prawo uważać się jako samodzielne i dojrzałe, i w każdéj może już ze słuszną dumą wykazać mistrzów. Ograniczając się do powieści od razu stajemy—pomijając już tak potężne i tak ogólnéj sławy używające osobistości, jak Wachington Irving i Fenimor Cooper — przed całkiem nowoczesnemi a genialnemi osobistościami Edgara Poe i Nathaniela Hawthorne. Wystarczyłoby już wymienić ich tylko, aby wykazać, że oryginalny nastrój amerykańskiéj powieści istniał nie od wojny secesyjnéj dopiéro, jak się to wielu krytykom utrzymywać podoba, ale o wiele wcześniéj. Po téj epoce przełomu literatura powieściowa w Stanach Zjednoczonych wydała plon obfity, i ktokolwiek przywykł do wędrówek po krainie fikcyi, obierał sobie często jako przewodnika takich przedziwnych i wysokiéj oryginalności pisarzy, jak Bret Hart, Jerzy Cable, Karol Cradock, jak Miss Murphee, jak Aldrich, jak W. D. Howells. Ten ostatni nie jest już, jak są przeważnie powyżsi, nowelistą, ale powieściopisarzem o szerszych ramach i stawiany bywa zazwyczaj obok dwóch swych najwyżéj cenionych i najpoczytniejszych towarzyszy Henryka James'a i Maryona Crawforda.

Już pośpieszne to wyliczenie, pełne szczerb i po tarkwiniuszowsku wyższe ścinające kłosy, pokazać może, że jest tu dla sprawozdawczego przeglądu zasobne pole w pośród amerykańskich powieściopisarzy. Jest ono nawet za przestronne, ażeby było podobném przebiedz je w jednéj wycieczce. Odkładamy do innéj pory charakterystykę pierwszorzędnych nowelistów, a obecnie chcemy przedstawić czytelnikom tylko dwóch powieściopisarzy Henryka James'a i Maryona Crawford'a, właśnie dlatego, że są oni najwięcéj zbliżeni do naszéj europejskiéj modły i że w ich ojczyźnie często robiony im jest wyrzut iż są zanadto europejskimi, i że mogą istotnie być uważani, jako stanowiący przejście pomiędzy starym a nowym światem.

Trudno jest dać ogólną charakterystykę powieściopisarzy amerykańskich, któraby się do wszystkich zastosować dała, gdyż są pomiędzy nimi nader wybitne różnice. Mimo tego zauważono słusznie, że posiadają oni wszyscy bez wyjątku wdzięk, świeżość i bystrość spostrzegawczą. To, czego im brakuje pod względem siły i głębokości, zastąpione jest przez prawdziwą delikatność, umiejętność cieniowania i stopniowania; jeżeli nie zawsze jest w ich powieściach rusztowanie, szkielet podtrzymujący organizm całościowy, to są nieporównani

w epizodycznych scenach, w drugorzędnych obrazach i charakterystyce działających osobistości. Nie ma w ich utworach tego naturalnego popędu, téj szczerości wrażeń, które odznaczają angielskich ich kolegów, przez które chwytają oni czytelnika i każą sobie wybaczać brak całkowity artystycznéj strony w swych powieściach; Amerykanie, przeciwnie, są zbliżeni do Francuzów pod względem kunsztowności formy i nieraz brakuje im naturalności, naiwności. Widać zazwyczaj, że im idzie o wywarcie wrażenia, o zadziwienia czytelnika i nie wahają się być „*sensational*“, co jednak nigdy nie daje miejsca melodramatyczności. Powtarzamy jednak, że właśnie przy rozgałęzieniu i spotężnieniu powieści w Ameryce, niepodobna kusić się o sprowadzenie rozmaitych ich objawów do jednego mianownika i że należy stawiać każdego z ich przyczółkowych pisarzy przed spostrzegawczą kamerą. Jest np. w obrazkach powieściowych Bret-Harta, nazwanego Dickensem Kalifornii, nadzwyczajna świeżość i oryginalność typów swojskich, jest u Jerzego Cable, w jego scenach z życia kreolów talent odtwarzania postaci dotąd nigdy jeszcze nie spotykanych pod piórem powieściopisarzy. Są to, jak powiedział plastycznie krytyk jeden, owoce soczyste, choć cierpkie i orzeźwiające, choć widoczny na nich brak kultury.

Między nimi a wyrafinowaném piórem Aldricha albo Howellsa jest różnica namacalna, ale o ileż większą jest jeszcze, gdy im przeciwstawimy Henryka James! Tutaj mamy do czynienia z pisarzem nietylko do najwyższego stopnia wykształconym, nietylko stojącym na tym samym poziomie umysłowym, co najprzedniejsi z pisarzy europejskiego zachodu, ale nosi on nawet na sobie wskutek ścisłego z nimi pożycia i zbliżenia się niektóre z ich cech znamiennych. Fizyologowie zauważyli, że pomiędzy małżonkami wyrabia się nieraz po długoletniém pożyciu wspólném, cielesne podobieństwo. Tak samo stało się z Henrykiem James nie wskutek długich lat dziesiątków, przeżytych w Europie, gdyż pisarz to młody jeszcze stosunkowo, ale przez subtelne poczucie i wniknięcie w ducha europejskich zwyczajów i stosunków, w całą naszę atmosferę społeczną. Posuwa on to powinowactwo z wyboru aż do przyswojenia sobie tego pesymistycznego nastroju, w którym manifestuje się twórczość wyborowych talentów pisarskich francuskich, a w ostatnich czasach i angielskich. Daléj sympatyi posunąć nie można.

Henryk James jest synem amerykańskiego literata, otrzymał gruntowne uniwersyteckie wykształcenie w Harvard, zamieszkiwał w Bostonie i New. Cambridge, tych Atenach Stanów Zjednoczonych, zbliżył się do śmietanki umysłowéj i towarzyskiéj swego kraju, podró-

żował wiele i przebywał tak długo i tak często we Włoszech, Francyi i Anglii, że mu nieraz jego rodacy o ciaśniejszym poglądzie, wyrzucali wynarodowienie. Zarzut, jak to zaraz wykażemy, najzupełniéj niesłuszny. Ale trzeba przyznać, że nie tai się on ze swemi sympatyami dla ognisk najżywszéj cywilizacyi intelektualnéj europejskiéj i czuje się w kołach literackich Paryża i Londynu, w pracowniach malarzy, w gabinetach redaktorskich zupełnie na swoim gruncie. Gdy się czyta jego szkice z wycieczek i podróży, np. „*Portraits of Places*“, albo „*A liltle tour in France*“, można odrazu zrozumiéć, że ten umysł wysoko nastrojony i o wydelikatnionych organach inaczéj zapatruje się na starą Europę, aniżeli np. słynny jego rodak, nieporównany humorysta Mark Twain. Wystarczy przeczytać kilka kartek jego studyów literackich nad francuskimi współczesnymi pisarzami: *French poets and novellists*“, aby odrazu przeczuć, na jakich modelował się wzorach i że ideałem jego nie jest pisać dla hałaśliwéj gawiedzi, ale dla wyborowego kwiatu inteligencyi. Ten temperament na wskroś arystokratyczny, a wyrosły na gruncie *par excellence* demokratycznym ma w sobie coś egzotycznego, zaprzeczyć nie można, a jeżeli jest prawdą, jak powiedział Edmondo de Amicis, że wszystką twórczość umysłową należy postawić pod jednę z dwóch kategoryi natury, albo cywilizacyi, instynktów albo rozumowań, to bez wahania należy on do téj drugiéj. Europa na tak wdzięcznego wychowańca skarżyć się nie ma powodu.

Mimo nadzwyczajnéj staranności o formę i kunsztownego poloru, jaki każdemu swemu utworowi nadaje, Henryk James, stoi już przed literackim światem ze sporym zasobem kilkunastu tomów nowel i powieści. Widocznie nie jest to grunt jałowy i nie mozoli się nad ucieleśnieniem swych pomysłów. Jakikolwiek z jego większych lub mniejszych powieściowych utworów weźmiemy, czy dwie powieści wzajemnie się dopełniające: *The American* i *The European*, czy *Confidence* albo *Portrait of a lady*, czy *Madonna of the Future*, czy téż po prostu tę nowelę *Daisy Miller*, która mu wszechświatową pozyskała sławę i która w szczupłych swych ramach jest istotném arcydziełem, to wszędzie widzimy jako myśl przewodnią przeciwstawienie amerykańskich typów i charakterów typom i charakterom europejskim. Śmieszném jest po prostu oskarżenie o wynarodowienie: nikt lepiéj i gorliwiéj nie walczy za sztandar wielogwiaździsty, jak ten pisarz, który swoje, krajowe postacie, zwyczaje i idee kreśli z tak wybitną i tak stanowczą predylekcyą. Jest on kosmopolitą, ale tylko w tém znaczeniu, że zbiéra kwiaty na rozmaitych niwach, ażeby upleść z nich wieniec na cześć swego własnego społeczeństwa. Jako istotny *globe*

trotter przebiega on cały świat cywilizowany i w opowiadaniach swoich prowadzi czytelnika z jednego kraju do drugiego, z jednéj stolicy do drugiéj, wszędzie chwytając życie na uczynku, zaznaczając różnice charakterów, różne odrębności i specyalne prądy atmosfery moralnéj i duchowéj. Nic ciekawszego dla nas, jak te spostrzeżenia, czynione przez wyrafinowanego krytyka, który nigdy nie zapomina o różnicy cywilizacyi starego i nowego świata, nic bardziéj pociągającego, jak ta paleta o kolorycie harmonijnym, a tak odrębnym od tego, do któregośmy przywykli. Z tych studyów psychologii porównawczéj, międzynarodowéj, dowiadujemy się, jaka jest względna nasza wartość w oczach bystrego, a bezstronnego spostrzegacza i zaczerpnąć w nich możemy materyału do świadomości o nas samych tém snadniéj, że nigdy jego ironia nie przedzierzga się w sarkazm i karykaturę, i że się czujemy nie wobec oskarżyciela, ale wobec poufałego towarzysza.

Nie ma w powieściach i nowelach Henryka James ani zawikłanych intryg, ani nadzwyczajnych wydarzeń. Nie wiemy, czy posiada on wyobraźnię dość potężną, aby je stworzyć, ale jest widocznóm, że nie ku nim zwraca się jego magnesowa igiełka. Węzeł u niego luźny i wypadki, które opowiada, służą widocznie tylko do ujęcia w ramy uwag i spostrzeżeń, przeciągających przed jego umysłowym widnokręgiem. Są to studya posunięte do możliwych granic, ale studya nie zaś obrazy wykończone. Dotykając przedewszystkiém i powracając raz po raz do tych samych stron psychicznych, nie zatrzymując się nigdy przed ohydnemi scenami demoralizacyi indywidualnéj i społecznéj, w których się naturalizm lubuje, zawsze uczciwy, przyzwoity, szanujący i czytelnika i siebie, stylista pełen delikatnych rysów i kunsztonych półcieniów, które nieznośnemi czynią wszystkie barwy zbyt jaskrawe i wszelką przesadę, pisarz ten oddawna już znalazł swe miejsce wśród tych delikatnych pastelistów, co w prostéj linii schodzą od Marivaux aż do współczesnego Pawła Bourget.

Główny interes, jaki mają dla europejskich czytelników powieści Henryka James'a, polega, jakeśmy to dopiéro co wzmiankowali, na uwydatnieniu różnic duchowych istniejących pomiędzy Amerykanami a nami nawet w tych razach, gdy przy jednakowém wychowaniu, stanowisku majątkowém i tych warunkach, które Anglicy nazywają „*social standard*“ różnic tych z razu podejrzewać nie można. Przy tém zetknięciu się dwóch światów, odrębności stron obudwóch podnoszą się, zaostrzają, potęgują i wywołują w dziedzinie uczuciowości indywidualnéj istotne katastrofy. Ze wszystkich stron autor oświeca to zagadnienie i przy pomocy sytuacyi najrozmaitszych wykazuje, jak

trudno nam się zlać w jednę całość, skoro na dnie naszych społecznych organizmów leżą całkiem odmienne idee i zasady. Roderick Hudson opisuje wydarzenia Amerykanina we Włoszech, *Portrait of a lady:* przygody Amerykanki w Anglil; *the Europeans:* ma za przedmiot wykazać nieszczęścia, jakie spadają na zacnego demokratę *yankees'a*, gdy się ożenił z córką arystokraty angielskiego. Nie mamy miejsca, ani powodu wchodzić w szczegóły wszystkich tych powieści. Wystarczy zatrzymać się chwilę nad jedną z nich, *the American*, gdzie najjaskrawiéj to przeciwieństwo dwóch sfer jest skreślone i nad dwiema nowelami, *The international episode* i *Daisy Miller*, które służą jéj niejako za przegrywkę.

„Epizod międzynarodowy“ pokazuje cały talent autora pod względem delikatności analizy psychicznéj i jego nieprzezwyciężony wstręt do pospolitości, do rozwadniania zasadniczéj myśli w literackim rozczynie. Nietylko że tu nie ma ani jednéj postaci, ani jednego słowa zbytecznego, ale nawet sceny nieodzowne, te, które Franciszek Sarcey nazwał *„les scènes à faire“*, są pominięte i czytelnik z dalszego toku opowiadania może się ich tylko domyśléć. Świetny przedstawiciel najwyższéj arystokracyi brytańskiéj, młody, piękny, ale nie posiadający żadnéj umysłowéj wyższości, lord Lambeth, przyjmowany jest podczas swéj wycieczki do Stanów Zjednoczonych z serdeczną gościnnością w kole rodzinném magnata new-yorskiego, a jego siostra, Bessie Alden, czuje żywą sympatyę do niego, chociaż ona właśnie, wychowana w intelektualnych kołach Bostonu, góruje nad nim o całe niebo. Wyobraźnia jéj jest zaciekawiona na sam widok dziedzicznego członka izby lordów i urodzonego prawodawcy! Nie może zrozumiéć jego obojętności dla wielkich spraw, które mógłby rozstrzygnąć, i dla tradycyjnéj wielkości monarchii, któréj jest w jéj oczach przedstawicielem. Przy osobistém zetknięciu się z arystokratycznym światem Londynu, Bessie Alden spostrzega ujemne jego strony, ale jéj uczucia dla pięknego młodzieńca silniejsze jeszcze zapuszczają korzenie, tém bardziéj że widzi, iż jest kochaną. Dopiéro gdy się zapoznaje z matką i siostrą swego adoratora, gdy przeczuwa, ile dumy rodowéj, ile przesądów, ile uprzedzeń stanowią rdzeń ich natury, zdaje sobie sprawę, że małżeństwo to dałoby jéj tylko cierpienia i zawody i sama projekt ten zrywa. Oto wszystko: a jednak nie wahamy się powiedziéć, że kilkanaście kartek téj noweli starczy za całe tomy innych powieści, że znajdują się tam skrystalizowane na tle towarzyskiego życia, dwóch anglo-saksońskich stolic typy dwóch cywilizacyi, płynących z jednego źródła, a przedzielonych moralną głębiną, bezdenniejszą od oceanu.

„Daisy Miller“ idzie o jeden krok daléj, gdyż pokazuje, że gdy Amerykanin, jak tutaj p. Winterbourne, przebędzie lata w Europie i przesiąknie jéj zwyczajami i ideami, to przestaje nawet rozumiéć swoich własnych rodaków. Daisy Miller jest pochwyconym na uczynku typem młodéj Amerykanki, odważnéj, zuchwałéj, samodzielnéj, nie troszczącéj się o ceregiele i zwyczaje europejskie, idącéj instynktowo za popędami swéj natury, ale przeświadczonéj, że nikt z jéj kokieteryi i jéj flirtu nie poważy się wyciągnąć wniosku ujemnego o jéj czci kobiécéj. Widoczna sympatya ciągnęła tę naturę pierwotną, ale szlachetną mimo swych wybryków przeciwko towarzyskiemu taktowi i kodeksowi salonów, do jéj ziomka. I on także czuje żywy pociąg do téj istoty pełnéj dziewiczéj świeżości i wrażenności, ale jest już Europejczykiem, ulega wpływowi otoczenia, owe *„qu'eu dira-t-on?“* salonów staje się dla niego wyrocznią, nie śmié stanąć w obronie reputacyi niezasłużenie zaznaczanéj i usuwa się trwożliwie na bok. Dopiéro nad mogiłą Daisy Miller zaczyna pojmować, że życie jéj inném potoczyłoby się było korytem, gdyby był podał jéj swe męzkie ramię i wsparł chwiejne jéj kroki.

Rozproszone w wielu drobnych analitycznych rysach zapatrywania Henryka James zebrane są w szerszym, syntetycznym obrazie w powieści *The American.* I ta nawet nie jest w stanie nas przekonać, żeby autor umiał rozpinać sieć rozgałęzionéj intrygi, gdyż widocznie grzeszy nieprawdopodobieństwami tu i owdzie, i brak mu swobodnego, szerszego polotu, ale trzeba przyznać, że po jéj przeczytaniu nie ma już i nie może być najmniéjszéj wątpliwości, co do cech znamiennych dwóch światów, które nasz autor tak drastycznie przeciwstawia jeden drugiemu. Bohatérami powieści jest z jednéj strony syn własnych czynów, obywatel wielkiéj rzeczypospolitéj Krysztof-Newmann, a z drugiéj delikatna córka wielkiego francuskiego rodu z margrabiów de Bellegarde, hrabina Klara de Cintré. Z nadzwyczajną wyrazistością autor skreślił postać swego ziomka. W pełnym rozkwicie życia nie miał on dotąd sposobności zaznać jego słodyczy. Porwany w wir twórczéj, przemysłowo-handlowéj działalności, zarobił miliony dolarów i dopiéro teraz przybywa do Europy dla wypoczynku, dla obznajmienia się z życiem wyrafinowanego towarzystwa. Ani mu przez myśl przechodzi, żeby mógł ktoś nim lekceważyć i pomiatać, aby nie mógł stanąć na równi z każdym uczciwym człowiekiem. Poczucie własnéj siły i wartości powiązane z najzupełniejszą nieznajomością stosunków klasowych europejskich, naiwna wiara Daniela rzucającego się do walki z Goliatem stanowią malowidło przedziwne, nacechowane delikatną ironią i humorem. Skoro hrabina—taki kwiat cieplarniany,

delikatny i uroczy — oceniła szlachetność jego charakteru i chce mu oddać swą rękę, nie rozumie, nie podejrzewa nawet, ażeby była jaka przeszkoda pod słońcem, któraby ich rozdzielić mogła. Pełnoletnia wdowa, azaliż Klara de Cintré nie może rozporządzać swą ręką? Autor wprowadza nas do rodzinnego jéj koła, do wysoce dystyngowanego, zapleśniałego pałacu na przedmieściu St. Germain, i choć się miesza źdźbło karykatury do tego malowidła, niepodobna zaprzeczyć, iż są to typy żyjące, a nie maryonetki. Cześć dla tradycyi, dla imienia przodków nie wzdrygająca się nawet przed zbrodnią, solidarność pomiędzy rodzinami téj saméj kasty, wyssane z krwią przeświadczenie, że są oni czémś lepszém, czémś innémi, nie znosząca wyjątków pogarda dla *homines novi*, dla kupców, dla fabrykantów, dla tych, co zapracowali na wyrobienie sobie stanowiska w świecie: oto żywioły z jakimi się Newmann spotyka i których głębokich społecznych fundamentów nie podejrzéwa. Przechodzi przez krzyżowy ogień pocisków, nie domyślając się, że były to zatrute strzały. Dopiéro gdy w ostatniéj chwili słaba natura jego narzeczonéj ulega naciskowi matki i rodziny i odbiéra mu dane słowo, gdy się pomiędzy jego otwartą, szczerą duszą, ale wysoce naiwną a ziszczeniem jego ideału wznosi mur forteczny przesądów, w których nawet jego miliony nie są w stanie wykopać łomu, wtedy dopiéro otwierają mu się oczy i spostrzega, że świat amerykański, opierający się na jednostce i jéj produkcyjnéj wartości a świat europejski, dźwigający na sobie dziedzictwo wielowiekowego rozwoju historycznego, dziedzictwo nieraz ciężkie, ale niemniéj przeto nie do zrzucenia — mają inny kodeks moralny, że można znaleść pomiędzy nimi czasowy *modus vivendi*, ale że o zlaniu się ich, zespoleniu mowy być nie może, dopóki postępy demokracyi nie zmienią, nie odrodzą całkowicie organizmu starego.

Z kilku tych uwag, wypowiedzianych o *The American*, bojemy się, ażeby czytelnik nie wyprowadził fałszywego wniosku i aby nie sądził, że osnową téj powieści jest poprostu oklepana sprawa mezaliansów, albo pojedynek pomiędzy tarczą herbową, a workiem dukatów. Oryginalność utworu Henryka James polega na tém, że przedstawił on nieprzejednaną, tragiczną walkę zasad uosobionych w typach bezwarunkowo dodatnich, i że nie ma z niéj innego wyjścia, jak skruszenie indywidualności słabszych. Epoki przejścia i fermentu społecznego, do jakich należy nasza, miażdżą, jak pod wozem indyjskiéj Jaggeronauty, wszystkich tych, którzy się albo do orszaku zwycięzców nie wpisali, albo poprostu zawahali w wyborze. Pesymistyczne te, ale prawdziwe spostrzeżenia nasuwają się z powieściowéj twórczości amerykańskiego psychologa.

Jeżeli Henry James uważany być może jako węzeł, łączący świat amerykański z europejskim i jeżeli wziął on sobie za zadanie wykazać wzajemne ich na siebie oddziaływanie, to jego rodak, Marion Crawford uczynił krok daléj w swym kosmopolityzmie. Nic nie zdradza w nim Amerykanina. Trzeba znać jego pochodzenie, aby się tego domyśléć. Jest on w całém słowa tego znaczeniu *ein Weltbürger*. Urodził się wprawdzie gdzieś nad Mississipi, ale ten niezależny od jego woli wypadek nie wpłynął na jego umysłową formacyą. Zdaje się być wyzuty z wszelskiéj stronniczości dla tego lub owego organizmu społecznego i przebiegając je kolejno, rozpatruje się w nich z podziwu godną objektywnością. Od lat kilkunastu zamieszkał w Rzymie i stamtąd czyni wycieczki do wszystkich bliższych i dalszych krajów. Nie istnieje dla niego odległość tak, jak nie istnieją przeszkody do zbadania najoryginalniejszych objawów społecznych, pojawiających się wśród świata. Dziwnie to bystry spostrzegacz o analizie wiernéj i przenikliwéj, o subtelnéj umiejętności wnikania w fenomeny nadzwyczajne i wyjątkowe. Nie ma u niego śladu patetyczności, lecz przeciwnie, przeważnym rysem jego fizyognomii piśmienniczéj jest chłód i ton umiarkowany, z jakim przedstawia sceny nawet tragicznéj grozy.

Nie ma zapewne w dziedzinie beletrystycznéj innego przykładu równie szybkiego zdobycia sobie wszechświatowéj sławy, jak się to stało z Marionem Crawford. Jego debiut literacki sięga zaledwie 1882 roku. Ale co téż to był za debiut! *M. Isaacs*, romans nowoczesnych Indyi wywołał okrzyk podziwu nowością treści, ram i szczegółów. Od razu zrozumiał świat czytający, że skoro 27-letni młodzieniec był w stanie stworzyć dzieło takiéj dojrzałości, tak oryginalne, tak wielostronnych wymagające studyów, to będzie się od jego następnych prac można spodziewać przynajmniéj takiego samego arcydzieła. Nie możemy wprawdzie powiedziéć, ażeby autor był odtąd siebie samego przewyższył, bo w oczach naszych *M. Isaacs* zostaje dotychczas jego najdoskonalszym utworem, ale żadna z jego następnych powieści nie spadła do rzędu mierności, w każdéj są widoczne dowody giętkiego talentu, który z niezmordowaną, istotnie amerykańską energią i działalnością, przedsiębierze nowe studya, wtajemnicza się w nowe koła i warstwy towarzyskie. Pisze dużo, i co rok prawie jedna a nawet dwie jego powieści wychodzą na widok publiczny. I tak: w 1883 r. wydał „Doktora Klaudyusza“ i „*To Leeward*“, w r. 1884 „Śpiewaka rzymskiego“ i „Polityka amerykańskiego“, w r. 1885 „Zoroastra“, a następnie mieliśmy jedne po drugich *The lovely Parish*, *Saracinesca* i jego dalszy ciąg pod tytułem *San Ilario* i nareszcie *Greiffen-*

stein, oraz „Pawła Patoff“. Czy nam autor maluje świat arystokratyczny włoski czy jego artystyczne koła, czy nas prowadzi do głębin Indyi albo do przedwiekowéj Persyi, czy przedstawia typ amerykańskiego spekulanta politycznego albo też opowiada straszny dramat rodzinny niemiecki, czy przykuwa do przygód ruskiego dyplomaty w Konstantynopolu, wszędzie widać spostrzeżenia bezpośrednio czynione, koloryt miejscowy, mnóstwo drobnych rysów uwydatniających fizyognomie. Wyobraźnia jego jest żywa i umié nietylko stworzyć węzeł powieściowy nowy, ale zaplątawszy go pracowicie, rozwiązać niespodzianie. Akcya toczy się żywo, stanowczo, wszędzie dźwięczy ten męski, spokojny ale silny, dobry humor trzymany na wodzy przez takt. Co jednak przedewszystkiém uderza nas w tym powieściopisarzu—to zakres jego wiedzy filozoficznéj i ściśle naukowéj, oraz spożytkowanie tych czynników dla nadania beletrystycznéj swéj twórczości znaczenia i wartości, jakiéj tego rodzaju prace są zazwyczaj całkowicie pozbawione. Nie ma wątpliwości, że takiego wykształcenia pisarz obrał sobie powieść jako specyalność nie dla tego, że mu inne drogi są zagrodzone, ale dla tego, że ta forma najsnadniéj się daje nagiąć do zaspokojenia jakiegokolwiek rodzaju umysłowych potrzeb czytelników i że monopolizuje coraz więcéj uwagę wykształconéj publiczności.

Do téj ogólnéj charakterystyki Mariona Crawford wypadałoby jeszcze dodać specyalne jego znamię, a mianowicie widoczną skłonność do mistyczno-religijnych zagadnień, do magii, czarnoksięstwa, teozofii i t. d. Pokazuje to, iż bystry jego umysł chce sobie zdać sprawę nawet z czynników cywilizacyjnych, pokrytych mgłą tajemniczości, i że nie ogranicza swego horyzontu duchowego do opisywania tego codziennego, pospolitego życia, w którém dla nich nie ma miejsca. Gdy się do rzędu przedmiotów służących za tło i osnowę powieści wprowadzi Indye, Tybet, Persyą, azyatycką cywilizacyę nierozerwanie powiązaną z religijnymi mytami, to się wszystkie ich manifestacye usprawiedliwiają łatwo. Trudniéj wytłómaczyć sobie nadprzyrodzone pierwiastki działające w osobie Rexa, tego hejdelberskiego studenta, którego oryginalna postać dodaje wielkiego uroku jego ostatniéj powieści *Greiffenstein*: i tam jednak autor potrafił znaleść dla nich genezę prawdopodobną.

Nazwaliśmy *M. Isaacs* arcydziełem, i nie cofając tego orzeczenia, pragnęlibyśmy je określić, a raczéj zastąpić innèm, i powiedzieć, że jest ona unikatem. Od czasu, jak pisane są powieści, bez wątpienia nie napisano żadnéj podobnéj. Jest to poemat o lotném natchnieniu,

o skrzydlatym spirytualizmie, jest to traktat filozoficzny o gruntownych i ścisłych rozumowaniach, a jednocześnie jest tam zajmująca intryga powieściowa, wypadki codzienne, należące do sfery praktycznéj mimo fantastycznéj postaci bohatéra, jest nakoniec czynnik opisowy, etnograficzny, całkowicie nowy i oddany z mistrzowską artystyczną plastyką i z oryginalnością formy nadzwyczajną. Samo z siebie wynika, że połączenie tylu rozmaitych czynników robi z tego utworu coś całkiem nowego, dotąd nie spotykanego i można łatwo usprawiedliwić czytelników zwykłych powieści, jeżeli im się ta nie podoba, jeżeli ich zadziwia i staje, nawet po ukończeniu, jako nierozwiązalna zagadka.

Trudno jest zdać sprawę z osnowy tak skomplikowanego utworu. Gdy powiemy, że bohatérem jego jest Abdul-Hafiz-ben-Izak, Pers i mahometanin, młody człowiek, który w życiu awanturniczém, po wielu przygodach, co wbogaciły jego wiedzę i uszlachetniły charakter, jest milionerem i kupcem klejnotów w Delhi, nie dajemy czytelnikowi najmniejszego pojęcia o téj pięknéj, tajemniczéj, nadzwyczajnéj postaci, która łączy wiedzę i wyrafinowane obyczaje Zachodu z poezyą i mistycyzmem Wschodu. Podziwiać należy wyobraźnię autora, który taki typ był w stanie stworzyć i uczynić go prawdopodobnym — prawdopodobnym przynajmniéj, jak są bohaterowie byronowskich poematów. Trzeba ram i otoczenia Indyi, gdzie wszelka fantazya ma pole rozbujać się, aby tak wyjątkowéj osobistości tło dała niezbędne. Obraz, jaki nam daje autor tego kraju, różni się całkowicie od téj utartéj, oklepanéj a fałszyszemi kolorami oświecanéj Indyi, jaką w ślad za Mery'm tylu nas przesyciło autorów. Widzimy tu cywilizacyą i zwyczaje angielskie w zetknięciu ze światem tak odrębnym, tak potężnym w swéj apatycznéj drzémce, że nieodzownie nabieramy przekonania o następstwach tragicznych, jakie dla pierwszéj wywoła przebudzenie się drugiego i rzucą z siebie Indye ową naleciałość angielską, tak jak słoń ich lasów i puszcz zdusić może prostem zmarszczeniem swéj skóry dokuczliwego owada, gdy jego żądło poczuje. Typy i postacie indyjskie, jakie przesuwają się jak cienie na dalszych planach powieści, wzbudzają niezwykły interes. Autor zaznajamia nas z jednym z potentatów indyjskich z Maharadżą Baithopoora, pokazuje, jak pod okiem władz angielskich ich wróg Emir Afganistanu, Szyr Ali, jest ukrywany i tajemniczo uprowadzony przez swych religijnych sprzymierzeńców, ale najciekawszą postacią jest bez zaprzeczenia „adept“ buddyzmu Ram-Lal. Dużo nasłuchaliśmy się w tych czasach na Zachodzie o teozofii, o buddyzmie, a ognisko, któ-

rego Egeryą jest pani Bławatska, liczy w Londynie i Paryżu już pokczesne grono adeptów, ma swoję literaturę, swe obrządki, swych profesorów i propagatorów. Ale nigdzie nie można powziąć o moralnéj piękności téj religii wyższego wyobrażenia, jak z nauk i z przykładów dawanych przez teozofa Ram-Lal. Tajemnicze siły natury, któremi rozporządza, czary magii nie są przedstawione jako należące do istoty téj miary; etyka jéj natomiast odpowiada najszczytniejszym aspiracyom spirytualizmu.

Pominęliśmy mimowolnie całą anegdotyczną i romansową stronę powieści, a mianowicie miłość Izaaka do białéj córki Albionu, miss Westenhough, miłość rodząca się z przeciwieństw typów, ras, umysłowéj kultury, miłość, która swą czarodziejską potęgą potrafiła przeistoczyć z gruntu pogardliwe wyobrażenia, jakie miał wprzódy mahometanin o kobiécie-samicy, a która się kończy po zgonie narzeczonéj istotną apoteozą duchowego, pozagrobowego związku. Pominęliśmy także stronę obrazową, obyczajową, malownicze opisy himalajskich krajobrazów, polowań na tygrysy, życia towarzyskiego kolonii urzędowéj angielskiéj, tak samo, jak wiele innych szczegółów i postaci drugorzędnych. Ale czytelnik będzie już w stanie nawet z tych kilku uwag poznanych dojść do wniosku, że się tu miało przed sobą utwór całkiem niezwyczajny, wznoszący się znacznie po nad zwyczajną sferę powieściową, i usprawiedliwi ciepło, z jakiém o nim mówimy. Powieść heroiczna, napisana u schyłku XIX wieku przez młodego Amerykanina, ażaliż to nie kruk biały?

Nie mamy zamiaru przedstawiać równie szczegółowo następnych prac autora. Wszystkie, dzięki sławie, jaką sobie pozyskał przez „Izaaka“, znalazły natychmiast szerokie koło czytelników. Łatwość, z jaką Marion Crawfod pisze, jest zdumiewającą a kolejne przenoszenie się z jednego kraju do drugiego i wcielanie się w jego naturę, zdaje się być właściwością jego rodaków. Nie myślimy utrzymywać, ażeby wszystkie jego powieści były owocem nadzwyczajnego wysiłku i mozolnych studyów. Są pomiędzy niemi niektóre, jak „Śpiéwak rzymski“ albo „Ustronna parafia“, co zdają się być wypoczynkiem i udatną improwizacyą. Są za to inne, które pozwalają nam zaświadczyć, że autor wyższych aspiracyj się nie wyrzekł. W rzędzie tych ostatnich wymienić należy „Zoroastra“. Znaleść imię perskiego reformatora religijnego na tytułowéj stronie powieści, jest istotną niespodzianką. Mniéj ona jednak zadziwia ze strony p. Crawforda, który już w piérwszym swym utworze okazał znajomość wschodniego świata, i więcéj aniżeli to, bo gorącą, nieutajoną do niego sympatyą.

A idzie tu o prawdziwego Zoroastra, o odtworzenie staro-perskiego świata w VI-ym wieku przed naszą erą, za rządów Daryusza. Porównywano tę powieść do Salambo, Gustawa Flauberta, ale niepodobna nam odkryć pomiędzy niemi najmniejszego podobieństwa, przeciwieństwa za to są jaskrawe. Flaubert jest antykwaryuszem, archeologiem z jednéj strony, a z drugiéj nieporównanym, plastyczno-obrazowym stylistą. Lecz napróżno szukałoby się u niego dramatycznego interesu i życiowego tętna. Crawford choć nam daje wystarczające malowidło krajobrazów, gmachów, sprzętów, strojów i zwyczajów danéj epoki, choć możemy w ślad za nim odtworzyć sobie Ekbatanę, a następnie Suzę, widocznie przywiązuje do téj strony swego dzieła znaczenie drugorzędne, i nie archeologiem, ale malarzem charakterów i idei być mu się zapragnęło. Jego Zoroaster wychowaniec i syn przybrany starego judajskiego proroka Daniela, narzeczony księżniczki Nebushty, staje się prawą ręką i wodzem wojsk Daryusza. Gdy król Persów żeni się z kobiétą, którą on ukochał, wtedy ze świetnego i walecznego rycerza Zoroaster staje się anachoretą, filozofem, magiem. Ta druga część jego życia i działalności, gdzie jest twórcą i reformatorem religii, i która się kończy heroiczną śmiercią u stóp ołtarzy, napadniętych przez zbuntowane hordy, jest pełną dramatycznego interesu. Cztery osoby piewszego planu, Zoroaster i Daryusz, Nebushta i pierwsza żona króla Atossa są narysowane pendzlem wyrazistym i idzie się w ślad za walką, jaką ich namiętności i interesa wywołują z gorączkową ciekawością, któréj nikt zapewne nie uczuwał, upajając się melodyjnemi okresami Flauberta. Nie można zaprzeczyć, że jako romans historyczny, *Zoroaster* stoi pomiędzy najudatniejszymi, gdyż pozwala wcielić się w ducha epoki obranéj przez autora i ma przed sobą najpodnioślejsze zadania, jakie zaprzątały owoczesne umysły. Więcéj żądać od niego nie należy.

Z pomiędzy najlepszych powieści Mariona Crawford'a wyliczyć nakoniec można *Sarracinesca*, którego dalszy ciąg nosi tytuł *San Ilario.* Obracamy się tutaj w kołach arystokracyi włoskiéj w epoce niedawnéj, a jednak już tak dalekiéj: u schyłku rządów papieskich i przed zjednoczeniem Włoch w jedno mocarstwo. Nie szło autorowi o opisywanie wypadków politycznych, chociaż potrąca o nie i chociaż osobistości wpływowe, jak np. kardynał Antonelli, wprowadzone są ubocznie do akcyi powieściowéj, ale mimo tego rzuca on światło na rozwój idei i uczuć, które doprowadziły do krystalizacyi Włoch dzisiejszych. Urocza postać Corony Sarracinesca jest jedną z najpiękniejszych

kreacyj, jaką kiedykolwiek stworzył romansopisarz i posiada już prawdziwych fanatyków. Jéj to bezwątpienia powieść ta zawdzięcza swe rozpowszechnienie ogromne. Incydenta dramatyczne, intryga powikłana, a jasna mimo tego, charaktery tak wybitnie skreślone, że się zdaje znać ich poufale, a przedewszystkiém nadzwyczajna żywość i że tak powiemy natychmiastowość w opisach wypadków, stanowią cechę dodatnią téj powieści i można rzec, cechę ogólną wszystkich utworów Crawforda.

Zaledwie uspokojeni są czytelnicy co do losów téj patrycyuszowskiéj włoskiéj rodziny, którą autor odmalował *con amore*, aż tu fantazya jego twórcza, zamiłowana w kontrastach, przeniosła ich w *Greiffensteinie* do odludnéj rezydencyi barona niemieckiego. Mamy tu istotnie świat inny przed sobą i w krajobrazach, i w zwyczajach i w ideach leżących na ich dnie. Studenckie życie odmalowane zostało w rysach, których wierność stwierdzić może każdy, co jest obeznany z wszechnicami niemieckiemi, a zasady feodalnego szlachcica, atmosfera, w któréj się obraca i w któréj jest uwięziony, pochwycone zostały na uczynku. Dramat rodzinny, który się wśród baronów Greiffensteinów rozgrywa jest ponury i nie powiemy, ażeby prawdopodobieństwo było główną jego zaletą. Węzłem intrygi jest to, że jedna i ta sama kobiéta była jednocześnie żoną dwóch baronów Greiffensteinów, z których jeden był wygnańcem i którego powrót wykrywa jéj zbrodnię i wieloletnie podejście dobréj wiary drugiego brata. Autor posiada taką biegłość w opowiadaniu wypadków, że czytelnik na razie nie potrafi sformułować swych zarzutów i dopiéro one po odłożeniu na bok książki występują. Cel romansopisarza dopięty jest jednak: rozbudził naszę wyobraźnię, przeniósł w świat, który chciał nam pokazać, rzucił w umysł ziarna, któreby się tam były zapewne nie znalazły same.

Talent p. Mariona Crawford przy niezaprzeczonéj giętkości, jaką posiada, zdolny jest w przyszłości do niejednéj metamorfozy. W epoce naszéj u schyłku XIX-go wieku, gdzie sceptycyzm i pesymizm się rozpanoszył, romansopisarz taki, jak on, o stronie romantycznéj, o żyłce heroicznéj, nie wstrzymujący się przed opowiadaniem awantur i katastrof, zadziwia i niepokoi nawet w pierwszéj chwili. Ale gdy się całość jego dzieła obejmie myślą, gdy się stwierdzi powagę, z jaką się on na najważniejsze zagadnienia społeczeństw zapatruje, czuje się nieprzezwyciężoną sympatyę do tego pióra dziarskiego, a idealistycznego, pełnego barw i kolorytu, a nie lękającego się i metafizycznych spekulacyi.

Pomiędzy nim a jego ziomkiem, Henrykiem James, jest przeciwieństwo i metody i ideału powieściopisarskiego, przeciwieństwo jaskrawe. Ale ponieważ obaj posiadają talent niezaprzeczony, dzięki któremu owładnęli jeden wyborową intelektualną publicznością, a drugi wszystkiemi wyobrażeniami gorętszemi, można tylko powinszować piśmiennictwu amerykańskiemu, iż jednocześnie ma *arcades ambo.* A jest ich więcéj, wiele więcéj! O zależności powieści amerykańskiéj od angielskiéj mowy być nie może już obecnie.

T. N.

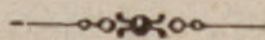




REFORMA WYKSZTAŁCENIA KLASYCZNEGO

WOBEC

POTRZEB NOWOCZESNYCH.[1]



I.

Nikt temu chyba nie zaprzeczy, że w ostatnich czasach coraz częściej spotykamy się z jednym i tym samym objawem, mianowicie z rozpowszechnieniem się przekonania, że wykształcenie klasyczne utraciło obecnie wielką część tego znaczenia, jakie miało, nie mówiąc już o średnich wiekach, przed stu, a nawet przed dwudziestu laty. Wszędzie spostrzegamy dążenia do zamiany wykształcenia klasycznego, dostarczanego młodzieży w średnich zakładach naukowych, na inne, więcej odpowiadające potrzebom dzisiejszego społeczeństwa. Na dowód, że zjawisko to nie jest odosobnione właściwém pewnemu tylko krajowi, ale ogólném w całéj Europie, możnaby przytoczyć wiele faktów. W Niemczech powstała w ostatnich czasach bogata literatura, domagająca się zmiany średniego wykształcenia w tym kierunku, do którego stronników należy zaliczyć i samego cesarza Wilhelma II, jak świadczy o tém mowa jego, miana przy otwarciu konferencyi szkolnéj w Berlinie w grudniu 1890 r. Jeżeli jednak w Niemczech kwestya ta pozostała jeszcze w dziedzinie teoryi, w innych krajach przystąpiono już do praktycznego jéj rozwiązania. W państwach skandynawskich reforma w tym duchu średnich zakładów naukowych już została przeprowadzona. Tak samo we Francyi

[1]) Ogólne wnioski z pracy większych rozmiarów pod tytułem: „Studya nad reformą gimnazyalną w Niemczech, Szwecyi i Francyi".

od 1872 r. objawiło się dążenie do reformy, dążenie zaś to doprowadziło do nader ważnych zmian w urządzeniu szkół francuskich po 1880 r. W Belgii średnie zakłady naukowe, t. z. atenea, zostały podzielone na trzy rodzaje mianowicie, *humanités greeques-latines*, z obydwoma językami starożytnemi, *humanités latines*, z językiem tylko łacińskim, i *humanités modernes*, bez żadnego języka starożytnego. We Włoszech, obok gimnazyów i liceów z wykształceniem klasycznem, utworzono przeważnie na mocy prawa z 5 listopada 1876 r., szkoły i instytuty techniczne z sześcioletnim kursem nauk, bez języków starożytnych.

W Hiszpanii w szkołach, odpowiadających naszym gimnazyom, języka greckiego wcale nie wykładają [1]. W Portugalii, na mocy prawa z 28 lipca 1884 r. język grecki wykładany jest dodatkowo tylko w trzech liceach centralnych [2]. W Węgrzech, w ostatnich już czasach (w 1890 r.), sejm uchwalił prawo, uznające język grecki w szkołach za nie obowiązkowy. Jeżeliby zaś stronnicy klasycznego wykształcenia, chcieli w obronie upadającego systematu powoływać się na kolegia angielskie, w których napozór utrzymał się dawniejszy, średniowieczny systemat wykształcenia, oparty wyłącznie prawie na językach starożytnych, okoliczność ta nie może stanowić dowodu przeciwko twierdzeniu, że dążenie do ograniczenia wykształcenia klasycznego stało się obecnie ogólnem w Europie. W innych bowiem warunkach życia znajduje się społeczeństwo angielskie, a w innych wogóle europejskie. Prawda, że studenci uniwersytetów angielskich zajmują się jeszcze nietylko wierszowaniem łacińskiem, ale nawet i greckiem, stąd jednak nie można wyciągnąć żadnego wniosku na korzyść wskrzeszenia tych zajęć. Nie podobna bowiem porównywać uniwersytetów angielskich, w których młodzież arystokratyczna wraz z pewną ilością szczodrze uposażonych stypendystów, *scholars*, raczéj przepędza przyjemnie czas, aniżeli się uczy, z liceami francuskiemi, w których winny przygotować się do życia praktycznego dzieci trzeciego stanu.

Istnieje w Anglii klasa ludzi, posiadająca największą część własności ziemskiéj, żyjąca dostatnio z swoich dochodów, nie potrzebująca oddawać się żadnemu powołaniu zarobkowania i przeznaczająca się wyłącznie do życia politycznego [3]. Klasa ta może i teraz jeszcze oprzéć swe studya na językach klasycznych, chociaż i ona powinna

---

[1]) Annuaire de législation étrangère. XVI année, str. 421.

[2]) Bréal. Quelques mots sur l'instruction publique en France. 1886, str. 221.

[3]) Simon. La réforme de l'enseignement secondaire. 1874, str. 38.

umiéć coś więcéj, jeżeli chce znać i czuć potrzeby społeczeństwa i utrzymać się na stanowisku klasy przodującéj w narodzie. Stąd jednak nie można brać żadnéj miary dla ludów kontynentalnych, znajdujących się w innych zupełnie warunkach bytu. Zresztą i w Anglii dokonywa się coraz głębsza reforma społeczna, która powoli robi coraz większy wyłom w wykształceniu klasyczném, wprowadzając do niego nowe nauki, wymagane przez potrzeby nowszego społeczeństwa.

Czém objaśnić powyższe zjawisko, fakt, któremu niepodobna zaprzeczyć, że wobecnéj chwili wszędzie dążą do reformy wykształcenia średniego, polegającéj głównie na ograniczeniu wykształcenia klasycznego i zaprowadzenia nowego, opartego na innych podstawach? Czy zjawisko to należy uważać za przemijające, czy téż stałe, które istniéć będzie tak długo w społeczeństwie, dopóki nie doprowadzi do wymaganéj reformy?

Stronnicy wykształcenia klasycznego chcieliby widziéć w tém zjawisku zaciemnienie wogóle pojęć w nowszém społeczeństwie o pedagogiczném znaczeniu języków klasycznych. Wyrażają oni obawę, że ograniczenie w tym względzie wywrze niekorzystny wpływ na oświatę narodową, na wykształcenie młodszych pokoleń, że doprowadzi do upadku nauki wogóle. Obawiają się, aby młodsze pokolenia nie przesiąknęły zbytecznemi dążeniami utylitarnemi, ze szkodą moralnego charakteru. Dążenia do reformy przypisują w części temu, że stronnicy jéj nie potrafią odczuć dostatecznie piękności literatury klasycznéj, w części zaś zbytniéj pobłażliwości rodzicielskiéj.

Nie sądzimy, żeby z zapatrywaniami temi można się było zgodzić. Przeciwnie, jesteśmy zdania, że z jednéj strony dążenie do reformy ma inne, daleko głębsze przyczyny, że z drugiéj, nawet najszersze przeprowadzenie jéj nie sprowadzi obaw, obecnie wyrażanych. Jesteśmy przekonani, że reforma ta wcześniéj lub późniéj musi nastąpić, i to nie ze względów okoliczności czysto pedagogicznych, w właściwém tego słowa znaczeniu. Zdaniem naszém, bronić wykształcenia wyłącznie klasycznego, możnaby jeszcze wtedy, gdyby sprawa wykształcenia wogóle, a więc wskutek tego i urządzenia zakładów naukowych, była kwestyą wyłącznie pedagogiczną. Tak jednak nie jest. Wywierają bowiem na nią wpływ i inne okoliczności nietylko pedagogiczne, bezporównania nawet od nich silniejsze. Nie ulega wątpliwości, że pojęcie o wykształceniu, jego celach, nie są niezmienne i nieruchome, ale że ulegają pewnym zmianom z postępem czasu, z rozwojem stosunków społecznych. Wskutek tego organizacya szkół, urządzenie ich, musi iść za postępem politycznym i socyalnym społeczeństwa.

Okoliczności, wypływające ze zmiany stosunków społecznych, z ewolucyi, jaką społeczeństwo samo przeżyło, są tak silne, tak potężne, że stanowią dostateczną rękojmię, iż reforma ta nieuchronnie musi nastąpić. Nic przeciwko niéj nie poradzi, ani upór zagorzałych wielbicieli literatury klasycznéj i wykształcenia klasycznego, ani niechęć lub obojętność przeciwników wszelkiego postępu. Nawet rozporządzenia prawodawcy, celem podtrzymania upadającego systematu, mogą tylko na jakiś czas odroczyć jego upadek, ale nie zdołają zapobiedz mu stanowczo. Okoliczności te, choćby chwilowo były powstrzymane, w końcu przeważą i doprowadzą do reformy. Każdy, kto tylko nieco głębiéj sięgnął w historyą ludzkości, w wewnętrzny rozwój jéj dziejów, musi przyznać, że w różnych okresach rozwoju, jeżeli nie całą ludzkość, to przynajmniéj ucywilizowaną jéj część, nurtują pewne wielkie, potężne prądy cywilizacyjne, wywierające stanowczy wpływ na wszystkie stosunki społeczne. Stosunki te wcześniéj lub późniéj muszą się zreformować pod ich wpływem. Tak samo jest z wykształceniem, ze szkołami. I one także ulegają wpływowi tych prądów. Prądy zaś te są, zdaniem naszém, tak potężne, że płynąć przeciwko nim byłoby bezużytecznėm zaślepieniem. Nurtują one tak głęboko całe społeczeństwo, tak wszechstronnie oddziaływają na rozwój jego stosunków, że nie mogą pozostawić nietkniętemi nietylko urządzenia szkół średnich, ale i wykształcenia wogóle. Ponieważ zaś tu prądy coraz bardziéj oddalają nas od świata starożytnego, coraz bardziéj popychają nas ku nowéj, nieznanéj przyszłości, można więc wnosić, że i reforma w tymże duchu nastąpić musi. Te same prądy, które wywołują potrzebę reformy, wymagają także kategorycznie, żeby reforma w tym, a nie w innym kierunku nastąpiła. Domagają się one koniecznie ograniczenia wykształcenia klasycznego i zaprowadzenia systematu wykształcenia odpowiadającego potrzebom nowożytnego społeczeństwa.

Jakież są te prądy, kierunki, tak potężny wpływ wywierające na społeczeństwo, że pod ich naciskiem nie będzie się mogło ostać nawet to klasyczne wykształcenie, które od tylu wieków przywykliśmy uważać za konieczne, za jedyne? Prądy te, kierunki, powiedzmy z góry, są dwojakie. Jedne socyalne czyli polityczne, drugie ekonomiczne. Unoszą one na swoich falach dzisiejsze społeczeństwo, które nieraz bezwiednie nawet poddaje się im, idąc w narzuconym sobie kierunku. Nadają one wszystkim stosunkom społecznym takie formy, kształty, jakie im odpowiadają; one téż domagają się natarczywie zmiany systematu wykształcenia średniego. Stąd téż kwestya reformy gimnazyalnéj nie jest wyłącznie sprawą pedagogiczną, ale tak-

że socyalną i ekonomiczną. Jeżeli dawniéj można było rozprawiać ze spokojem iście akademickim o wykształceniu umysłowém, jakie odpowiada najlepiéj narodowi, obecnie już tak być nie może. Dziś do kwestyi pedagogicznéj dołączyły się i sprawy socyalne i ekonomiczne, od których pomyślnego rozwiązania zależy byt, przyszłość i pomyślność lub klęski społeczeństwa. Wskutek tego w kwestyi téj winni miéć głos nietylko pedagogowie z powołania, jak było dotychczas, ale socyologowie i ekonomiści. Dla wyjaśnienia tego, wypadnie nam obszerniéj się nad tém zastanowić.

Nikt zdaje się nie zaprzeczy, że wykształcenie, a zatém i zakłady naukowe, mające go dostarczać, zależą od stanu, w jakim się znajduje społeczeństwo, od warunków jego bytu. Dla tego téż mamy taką rozmaitość form, w jakich wykształcenie to ukazywało się w rozwoju historycznym ludzkości. Każda epoka co innego pojmowała przez wykształcenie, każda co innego za jego cel uważała. Każda téż epoka wytwarzała takie formy urządzeń szkolnych, jakie zdawały się jéj najwłaściwszemi do osiągnięcia tego celu, jakie najlepiéj potrzebom jéj odpowiadały. Formy jednak, które się przeżyły, i już nie odpowiadały potrzebom społeczeństwa, ani utrzymać się, ani témbardziéj, wskrzesić się nie dały i nie dadzą. O prawdzie téj na każdym kroku przekonywa nas historya.

Zachwycamy się z oddali, przez mgłę wieków, wykształceniem greckiém, tak głębokiém pod względem filozoficznym, tak pięknėm pod względem estetycznym, tak harmonijném przez to, że zwracało ono uwagę zarówno na duchową, jak i fizyczną stronę człowieka. Lubimy przypominać sobie Platona, filozofującego z uczniami po ogrodach Akadema, igrzyska, te turnieje, na których współzawodniczyły wszystkie ludy Grecyi nietylko w gimnastyce, ale w poezyi i sztukach pięknych i wiele, wiele innych rzeczy. Ale ani wykształcenie, ani środki używane wtedy, już się wskrzesić nie dadzą. Było ono wytworem warunków, w jakich społeczeństwo greckie znajdowało się, a zarazem i odpowiadało jego potrzebom. Warunki te jednak są nam zupełnie obce. Wiadomo, że cały ustrój polityczny, socyalny, ekonomiczny Grecyi spoczywał na instytucyi, któréj wskrzesić niepodobna, mianowicie na niewolnictwie. Wolni obywatele, uprzywilejowani pod względem politycznym i ekonomicznym, mogli tak się kształcić, jak się wtedy kształcili, na placach publicznych, w rozmowie z filozofami, bo za nich pracowali niewolnicy. Bez niewolnictwa Grecya, jak to przyznają nawet jéj filozofowie, nigdy nie doszłaby do tego stopnia cywilizacyi, na jakim ją podziwiamy. Ta jedna już okoliczność czyni nam

niemożliwém używać takich środków wykształcenia, jakich używali Grecy.

Przejdźmy do średnich wieków, epoki feudalizmu. Znajdujemy wtedy społeczeństwa podzielone na stany, ściśle jeden od drugiego oddzielone. Dwa stany uprzywilejowane posiadały wtedy wszystkie prawa i przywileje, rządziły wszystkiém. Stanami temi była arystokracya ziemska i duchowieństwo. Mieszczaństwo, stan średni zajmowało wtedy jeszcze bardzo podrzędne stanowisko; z stanem zaś wiejskim, włościanami, jeszcze się wcale nie liczono. Był to inwentarz ludzki, *cheptel humain* [1]), stanowiący bezwarunkową własność panów feodalnych. I między klasami jednak uprzywilejowanemi nie było wtedy, że się tak wyrażę, równouprawnienia. Pierwszeństwo zawsze należało do duchowieństwa, bo przez całe średnie wieki aż do odrodzenia nauk i reformy religijnéj, całe społeczeństwo unosił i ożywiał prąd religijny; przeważały więc sprawy religijne, sprawy duchowieństwa. Władza świecka, jakkolwiek mogła być silna, w końcu ustępowała władzy duchownéj. Próby nieposłuszeństwa nie zawsze kończyły się dla niéj pomyślnie. Klątwa zmuszała nawet najoporniejszych do posłuszeństwa, do wędrówki do Canossy. Władza świecka była właściwie tylko wykonawczynią rozporządzeń władzy kościelnéj, duchownéj. Tak samo i w życiu prywatném przeważał charakter religijny. Dość sobie przypomnieć, jaką rolę grały wtedy wszystkie święta, uroczystości, ceremonie kościelne, ażeby się o tém przekonać. Wszyscy, od największego i najpotężniejszego władcy, pana feodalnego aż do człowieka, stojącego na najniższym szczeblu hierarchii socyalnéj, brali w nich najżywszy udział.

Łatwo zrozumiéć, jakiém być musiało w takiém społeczeństwie wykształcenie i jakie musiały być jego cele. Arystokracya lenna, ówczesna szlachta, nie potrzebowała jeszcze wtedy nauki książkowéj. Szkołą przyszłych panów lennych, całéj ówczesnéj arystokracyi, był dwór panującego, albo zamek jakiegoś potężnego seniora. Ćwiczenia i praktyki wojenne, turnieje, to były praktyczne szkoły, w których kształciła się na dworach tych ówczesna szlachta. Mieszczaństwo, kupiectwo i rzemieślnicy, poprzestawali na wiadomościach, jakich mogli nabyć praktycznie w sklepie albo w czeladniéj. Co najwyżéj wystarczała im szkółka miejska, w któréj mogli się nauczyć czytać i pisać. Włościanie, chłopi obywali się zupełnie bez oświaty. Pozostawał tylko jeden stan, potrzebujący wykształcenia naukowego, książkowego, a stanem tym było duchowieństwo. Oczywiście, że

---

[1]) Molinari. L'Évolution économique du XIX siècle. 1880. str. 349.

duchowieństwo to starało się o takie tylko wykształcenie, jakiego samo potrzebowało. Dla tego wszystkie jego starania były skierowane jedynie do wyuczenia łaciny, wszystkie szkoły zaś to tylko miały wyłącznie na celu. Stąd język łaciński zdobył sobie wyłączne panowanie w życiu publicznem, prywatnem, w nauce, w szkołach, w codziennem nawet użyciu ludzi, uważających się wtedy za wykształconych. Szkoły zatem ówczesne musiały być tak urządzone, aby dostarczały wykształcenia jedynej klasie ludzi, potrzebującej go wtedy, to jest duchowieństwu, głównem zaś ich zadaniem musiało się stać wyuczanie uczniów łaciny.

Wskutku odrodzenia nauk i reformacyi zaszła pewna pod tym względem zmiana, polegająca na tem, że wykształcenia, nauki, zaczęła szukać arystokracya i szlachta. Nie mogła ta zmiana pozostać bez wpływu na wykształcenie samo i zakłady naukowe.

„W XVI wieku, jak się wyraza Frary, było uorganizowane wykształcenie klasyczne, które dotychczas zachowaliśmy, język zaś łaciński stał się podstawą wykształcenia liberalnego. Ludzie byli oślepieni świetnością świata starożytnego, który im odkryto. Gorączka wiedzy opanowała wszystkich tych, którzy dążyli do otrzymania zaszczytnego stanowiska w społeczeństwie,— szlachtę i duchowieństwo, dworaków i prawników“ [1]). Pragnienie to wiedzy mogło być zaspokojone tylko u jednego źródła, mianowicie u autorów greckich i rzymskich, inna bowiem jeszcze nauka nie istniała. Dlatego system wykształcenia klasycznego datuje się właściwie dopiéro od odrodzenia nauk i reformacyi. Wtedy powstało owo piękne wykształcenie klasyczne, że się tak wyrażę, bezinteresowne, bo nie przygotowujące prawie do żadnego praktycznego zawodu, żyjące tylko w świecie ideału, bo karmiące się wyłącznie odległą przeszłością, której wskrzesić nie było w stanie. Poprzednio w średnich wiekach, nie umiano nawet po grecku; mówiono wprawdzie i pisano po łacinie, wiadomo jednak, jaka to była łacina. Wskutek dopiéro powstania wykształcenia klasycznego, zaczęto studyować greckich autorów w oryginale.

Od początku atoli powstania swego, wykształcenie to było przywilejem tylko znakomitéj mniejszości narodu, było ono, właściwie mówiąc, arystokratycznem. Niższe sfery społeczne były od niego odsunięte. Cechę tę charakterystyczną należy uważać za wspólną całéj Europie. Na poparcie tego można przytoczyć wiele dowodów. Tak np. Paulsen przytacza rozporządzenia, wydane w Niemczech

[1]) Le question du latin. 1887, str. 34.

jeszcze w XVIII wieku, które wprost zabraniały dzieciom niższych klas społecznych uczęszczać do uniwersytetów i wyższych szkół z takiém właśnie wykształceniem. Tak np. w Prusach rozporządzenia z 1708 i 1718 r., w Gotha w 1718 r., w Hessyi w 1721 r., w Brunświku w 1722 r. i t. p. Heskie rozporządzenie zabraniało mieszczanom i włościanom odciągać swoje dzieci od zwykłych rzemiosł (*von den gemeinen Hanthierungen*) i pracy ręcznéj, przez kształcenie ich naukowo, za pomocą czego mogłyby się podnieść do stanu *honoratiorum*. Wogóle wydawano wtedy przepisy, mające na celu za pomocą ścisłych egzaminów, powstrzymać dzieci niezamożnych rodziców od nauki.

Taki sam arystokratyczny charakter wykształcenia średniego, z kierunkiem, jak naówczas wyłącznie klasycznym, potwierdzają i pisarze francuscy. Ferneuil [1]) powiada „że wykształcenie było wtedy dostarczane uprzywilejowanéj mniejszości narodu, żyjącéj w próżnowaniu lub oddającéj się zawodom liberalnym. Mieszczaństwo, stan trzeci nie doszedł jeszcze późniejszego swego znaczenia (a cóż mówić o chłopach). Nie było zresztą wtedy takiéj jak teraz rozmaitości powołań przemysłowych i handlowych, ani nauki, które miały do nich przygotowywać. Jasném więc jest, że wykształcenie oparte wyłącznie na studyach klasycznych, mogło wtedy wystarczać potrzebom społeczeństwa, że znajomość mniéj lub bardziéj głęboka języka łacińskiego i greckiego, wydawała się nawet mieszczaństwu honorową, wyróżniającą je od innych warstw społecznych". Dla tego téż i dzieci wyższego mieszczaństwa, t. z. *noblesse de robe*, kształciły się w tym kierunku. „Kto wchodził do kolegium, miał w przyszłości albo nosić szpadę, albo starać się o *beneficium* duchowne, albo kupić sobie urząd. W społeczeństwie francuskiém, jakie utworzone zostało przez naszych królów, nie było miejsca dla pracy produkcyjnéj. Kto nie był szlachcicem, księdzem, sędzią, adwokatem, albo urzędnikiem, za nic się nie liczył" [2]).

Można nawet powiedziéć, że ten charakter arystokratyczny, jaki kolegia z wykształceniem klasyczném nabyły w owym czasie, utrzymał się pomimo wszelkich zmian do obecnéj chwili. Tak np. Hahn [3]), zastanawiając się nad kosztami średniego wykształcenia we Francyi, podnoszącemi się znacznie wskutek koniecznéj potrzeby domowéj pomocy uczniom, doszedł do wniosku, że wykształcenie to jest monopolem zamożnych, a nawet tylko bogatych klas narodu. W kraju je-

---

[1]) La réforme de l'enseignement en France. 1881.

[2]) Frary. l. c. str. 41.

[3]) Das Unterrichtswesen in Frankreich. 1848, str. 362.

dnak, chełpiącym się swoją równością obywateli w obliczu prawa, wygląda to dosyć arystokratycznie.

Co więcéj, są i tacy, którzy twierdzą, że wykształcenie klasyczne utrzyma i nadal ten charakter arystokratyczny, który otrzymało w spadku z przeszłości, ma się rozumiéć, o ile samo zostanie utrzymane. Tak np. Boissier, mówiąc o przyszłéj organizacyi szkół, w których byłyby uwzględnione nowe wymagania, domaga się pomimo to, utrzymanie zakładów naukowych z wykształceniem czysto klasyczném. Do zakładów tych, będących, jego zdaniem, instytucyami arystokratycznemi chodziłaby młodzież, wybór społeczeństwa, mająca czas i upodobanie do nabycia takiego wykształcenia [1]).

Tak samo i w innych krajach, wogóle mówiąc, wykształcenie klasyczne było dostępne tylko dla sfer arystokratycznych społeczeństwa. W Anglii było ono właściwém *gentry*, arystokracyi gruntowéj, w innych krajach wstępowanie dzieci niższych klas społecznych do zakładów naukowych z wykształceniem klasyczném, było nawet wprost zabraniane. Wolno było wstępować do nich tylko dzieciom szlachty, a co najwyżéj, tytułem ustępstwa, i urzędników. Zresztą ustępstwo to w owych czasach nie miało wielkiéj praktycznéj doniosłości, wskutek tego, że i urzędy państwowe, przynajmniéj wyższe, były wtedy dostępne tylko dla klasy uprzywilejowanéj, to jest szlachty.

Na podstawie tego możemy dojść do wniosku, że od XVI-go do końca XVIII-go wieku wykształcenie klasyczne pozostawało w zgodzie z ówczesnym stanem społeczeństwa. Odpowiadało ono ówczesnym potrzebom wyższych arystokratycznych sfer społeczeństwa, wskutek czego jednak i samo było arystokratycznėm.

Od końca XVIII w. zaczęła powstawać głęboka zmiana pod tym względem, że pierwotna harmonia między stanem społeczeństwa i jego wykształceniem coraz bardziéj zacierała się i znikała. Społeczeństwo poszło daléj w swoim, niczém nie powstrzymanym, historycznym rozwoju, na polu rozwoju politycznego i ekonomicznego, systemat zaś wykształcenia pozostał ten sam, co i dawniéj. Rozdział między jednėm i drugim nietylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie, codzień staje się większym. Przepaść staje się coraz głębszą, grożąc najzgubniejszemi następstwami, jeżeli dysharmonia ta dosyć wcześnie nie będzie usunięta.

---

[1]) Boissier. „Le nouveau plan d'études.“ „Revue de deux Mondes.“ Sept., 1880, str. 104.

II.

Zastanówmy się teraz nieco bliżéj nad przyczynami téj dysharmonii między obecnym stanem społeczeństwa i wykształceniem klasycznóm.

Kiedyś, bardzo dawno, czytając Tocqueville'a, uderzyło mnie zdanie jego, że prąd demokratyczny obecnie jest coraz silniejszy, że społeczeństwo ludzkie coraz bardziéj się demokratyzuje [1]. Od tego czasu zastanawiałem się nad tém, czy prawdziwém było to zdanie, czy budowa arystokratyczna społeczeństwa, istniejąca przez całe średnie wieki nie da się utrzymać, czy miejsce jéj ma nieodwołalnie zastąpić inna, demokratyczna. Dochodziłem do coraz silniejszego przekonania, że słowa Tocqueville'a były prawdziwe, że społeczeństwo, wśród którego obecnie żyjemy, staje się coraz bardziéj demokratycznóm. Przekonanie zaś to zewsząd i u wszystkich znajduje potwierdzenie.

Rozważając te stosunki we Francyi, Simon [2]) powiada: „I myśmy mieli przed rewolucyą szlachtę, która uważała za ujmę dla siebie zajmować się jakąś profesyą; pracować było dla niéj poniżeniem. Szlachta, pochodząca ze znakomitych rodów, trzymała się dworu, na którym otrzymywała urzędy, zależne bardziéj od łaski, niż od osobistéj zasługi; inni szli do wojska, w którém kupowali sobie jakąś chorągiew lub kompanię, i zaczynali uczyć się swego rzemiosła wtedy dopiéro, kiedy się w ten sposób zabezpieczyli. Inni szli do sądownictwa, jak wyższa burżuazya, w celu dostania się do parlamentu, który dla wielu był tylko ozdobą i sposobnością wmięszania się trochę do polityki. Inni wreszcie, w bardzo małéj liczbie, pozostawali na swoich gruntach, uprawiali swoje ziemie, zbiérali biblioteki, zajmując się bezinteresownie naukami. Ale to społeczeństwo jest już od nas bardzo odległe. Wielkie majątki ziemskie coraz bardziéj znikają. Obecnie nie można się utrzymać w pierwszym rzędzie w świecie interesów, jak tylko przez zdolność i pracę. Większość tych, którzy zajmują się polityką ma jakiś uboczny zawód, zapewniający pewne stanowisko. Prawie wszyscy zmuszeni są mieć jakieś zajęcie lub wykonywać jakąś profesyę, nietylko dlatego, ażeby się z nimi liczono, ale dlatego, żeby zaspokoić swoje potrzeby i utrzymać się na stanowisku.“ A cała ta zmiana wyniknęła stąd, że społeczeństwo nawskroś arystokratyczne XVIII jeszcze wieku, stało się demokratycznóm.

---

[1]) De la démocratie en Amérique, 1837, vol. I, str. 2. — [2]) La réforme de l'enseignement sécondaire, 1874, str. 39.

Taki sam prąd demokratyczny kierował, ożywiał i przerabiał powoli społeczeństwa i innych krajów Europy. Z arystokratycznych stawały się one demokratycznemi. Te, które nie zdemokratyzowały się jeszcze zupełnie, znajdują się w epoce przejścia. Ale pomimo to i one ulegają ogólnemu prądowi demokratycznemu. Nawet Anglia, klasyczna ziemia arystokracyi, nie uchroniła się od niego. I ona także coraz bardziéj demokratyzuje się, idąc pod niektóremi względami jeszcze daléj, jak najdemokratyczniejsze kraje Europy. Rzeczywiście, aż do reformy parlamentu z 1832 r., Anglia była najarystokratyczniejszym krajem w Europie. Od téj chwili jednak w politycznym ustroju jéj społeczeństwa zaczęła się dokonywać ogromna zmiana. Następne reformy z 1867 i 1884 r. poszły jeszcze daléj, zaprowadzając prawie powszechne głosowanie. Tak samo samorząd hrabstw i miast uległ w ostatnich czasach radykalnéj reformie w kierunku demokratycznym. Do tego doszło, że i kobiéty dopuszczone zostały do niektórych przynajmniéj wyborów, że rząd sam dostarcza farmerom irlandzkim środków pieniężnych na nabycie gruntów od landlordów angielskich, na wywłaszczenie arystokracyi. Tak samo w Rosyi, kto zasnął 18 lutego 1861 r. w społeczeństwie arystokratycznėm, przebudził się nazajutrz w zupełnéj demokracyi. W Królestwie Polskiém demokratyzacya społeczeństwa zaczęła się, jeżeli nie wcześniéj, to w każdym razie od konstytucyi z 1807 r. i wprowadzenia kodeksu cywilnego francuskiego w 1808 r. Ale ustrój arystokratyczny społeczeństwa był podtrzymywany pomimo to innemi prawami, jak np. prawem o szlachectwie z 1836 r., wskutek których szlachta, arystokracya miała zapewnione uprzywilejowane stanowisko. Dopiéro późniéj, zwłaszcza przez ukaz z 1864 r. o uwłaszczeniu włościan, społeczeństwo to zostało z gruntu zdemokratyzowane.

Na podstawie tego możemy przyjść do wniosku, że jednym z prądów, kierujących obecnie społeczeństwem, jest prąd demokratyczny. Pod jego wpływem urabiają się i kształtują wszystkie stosunki społeczne. Przyznajemy, że prawda tu może być nieprzyjemną dla niektórych, mianowicie dla klas uprzywilejowanych. Na to jednak rady nie ma, gdyż cofnąć się do średnich wieków niepodobna, a na fakty oczywiste zamykać oczu nie można. I te klasy więc z prądem tym pogodzić się winny. Prąd ten wymaga także, ażeby wykształcenie i zakłady naukowe ukształtowały się stosownie do jego wymagań. Tymczasem w społeczeństwach nowoczesnych demokratycznych, albo coraz bardziéj demokratyzujących się, utrzymał się systemat wykształcenia klasyczny, który, jak widzieliśmy wyżéj, odpowiadał potrzebom społeczeństwa arystokratycznego, bo sam był arystokratycznym. To téż

jest przyczyną dysharmonii, przeciwieństwa między społeczeństwem i szkołami, przyczyną tego, że społeczeństwo coraz usilniéj domaga się reformy zakładów naukowych, a zarazem rękojmią, że reforma ta musi nastąpić, bo dysharmonia taka długo utrzymać się nie da.

Zwolennicy wykształcenia klasycznego na to odpowiedzą, że pomimo demokratyzowania się społeczeństwa, szkoły i systemat kształcenia w nich mogłyby pozostać te same. Jeżeli bowiem szkoły te były dawniéj dobremi, mogą być takiemi samemi w przyszłości. Jeżeli w nich wykształciło się tyle poprzednich pokoleń, z których każde dołożyło coś do skarbów wiedzy, kultury, to mogą one te same usługi oddawać i przyszłym pokoleniom. Zdanie takie wszakże byłoby błędem, mogącym pociągnąć za sobą najzgubniejsze następstwa. Każdy, kto głębiéj wnika w istotę rzeczy i obserwuje fakty życiowe, przyzna niezawodnie, że nie ma pomyłki i błędu pedagogicznego, któreby się nie odbiły ciężko na życiu narodu. Wskutek tego, błędów takich należy się najstaranniéj wystrzegać. Cóż dopiéro mówić o takim kapitalnym błędzie, jak zastosowanie systematu wykształcenia, datującego z jednéj epoki, do społeczeństwa drugiéj epoki, która wskutek tego znajduje się w innych zupełnie warunkach życia, czuje inne potrzeby i inaczéj musi się starać o ich zaspokojenie. Są wypadki, w których *il faut marcher sous peine de mort avec son siècle* [1]), a do takich wypadków należy przedewszystkiém wykształcenie. Zatrzymanie systematu wykształcenia arystokratycznego, w społeczeństwie demokratyczném byłoby błędem, który miałby najzgubniejsze może skutki dla téj właśnie klasy narodu, dla któréj powstało, któréj potrzeby tak długo zaspokajało.

Dla przekonania się o tém, zastanówmy się przedewszystkiém nad wpływem, jaki zdemokratyzowanie się społeczeństwa wywarło na stosunki ekonomiczne klas uprzywilejowanych.

Wiadomo, że w wiekach średnich, kiedy społeczeństwo miało ustrój arystokratyczny, było ono podzielone, że się tak wyrażę, na warstwy. Na wierzchu piramidy socyalnéj znajdowały się klasy rządzące, uprzywilejowane, szlachta, arystokracya i duchowieństwo, u dołu byli mieszczanie i włościanie, podwładni, zależni. Szlachta, arystokracya, oprócz tego, że miała najwięcéj praw, najlepiéj także była zabezpieczona pod względem ekonomicznym. Ona bowiem posiadała największą część własności gruntowéj, którą uprawiała za pomocą swoich niewolników albo poddanych. Druga część gruntów należała do duchowieństwa, które je w takiż sam sposób uprawiało.

---

[1]) Frary, str. 10.

Wtedy środki utrzymania tych dwóch klas, dzielących między sobą rząd społeczeństwa, składał się z kilku głównych źródeł. Najprzód należał do nich dochód z ziemi, będącéj ich własnością, któréj obrobienie nic ich nie kosztowało, bo było ciężarem i obowiązkiem ich poddanych. Drugiém źródłem były podatki i powinności różnego rodzaju, które klasy te otrzymywały od innych klas ludności. Do tego rodzaju źródeł utrzymania tych klas, możnaby jeszcze zaliczyć udział w dochodach państwowych. Udział ten miał miejsce tym sposobem, że tylko arystokracya, szlachta, wraz z duchowieństwem była dopuszczona do płatnych urzędów państwowych, do których inne klasy albo wcale nie miały przystępu, albo w bardzo ograniczonych rozmiarach. Trzeciém wreszcie źródłem dochodu i utrzymania tych klas, zwłaszcza arystokracyi wiejskiéj, były korzyści odnoszone z wojny, w postaci łupu wojennego, którym się dzielono, kontrybucyi wojennych, powiększenia terytoryum państwa i t. p.

Od chwili jednak zdemokratyzowania się społeczeństwa, a nawet właśnie wskutek tego, zaszła głęboka pod tym względem przemiana. Arystokracya gruntowa utraciła bowiem wszystkie prawie dochody, jakie miała w wiekach średnich i jakie zapewniały jéj byt, jéj istnienie jako klasy uprzywilejowanéj, rządzącéj i przodującéj w narodzie.

Przedewszystkiém arystokracya przez wyswobodzenie włościan, nadanie poddanym nietylko wolności osobistéj, ale i własności uprawianych przez nich gruntów, utraciła swój ludzki inwentarz, który dotychczas uprawiał jéj własność ziemską, zaopatrywał jéj potrzeby, a nawet dostarczał usług osobistych. Wskutek téż tego arystokracya utraciła monopol swojéj własności ziemskiéj. Wiadomo, że przekształcenie to nie wszędzie dokonało się w jednakowym czasie, jednakowym sposobem, albo w takim samym zakresie. Wszędzie jednak wcześniéj, czy późniéj źródło dochodów arystokracyi z jéj niewolników lub poddanych wyschło, własnością zaś gruntową była zmuszona podzielić się z innemi klasami społeczeństwa. Ponieważ zaś średniowieczny porządek społeczny trzymał się w gruncie rzeczy na poddaństwie, tak jak starożytny na niewolnictwie, instytucye arystokratyczne na skutek zniesienia poddaństwa utraciły racyą bytu.

Tak samo źródło utrzymania arystokracyi, która wyciągała z dochodów państwowych przez udział swój w rządzie, za pomocą pensyi, albo zupełnie zniknęło, albo uległo znacznemu ograniczeniu. Nastąpiło to także wskutek tego zdemokratyzowania się społeczeństwa, zaprowadzenia instytucyi reprezentacyjnych i dostania się niższych klas do udziału w zarządzie sprawami publicznemi. „W miarę

tego, jak ludność miejska bogaciła się przez handel i przemysł, i dzięki swéj organizacyi korporacyjnéj nabiérała więcéj siły oporu, zmuszała coraz bardziéj arystokracyą rządzącą do liczenia się z nią. Powoli zdobyła ona prawo uchwalania podatków. Nietylko klasa, która pierwotnie posiadała bez kontroli monopol rządu, była zmuszona płacić część, przypadającą od niéj, na utrzymanie i obronę państwa, ale co więcéj, była zmuszona podzielić się dochodem, stąd pochodzącym, z coraz większą ilością osób, należących do innych klas społecznych" [1]). Wskutek tego prądu demokratycznego, równającego stany, dopuszczającego wszystkich obywateli do korzystania z równych praw, nie ma w dzisiejszém społeczeństwie żadnych miejsc, posad, stanowisk, które albo przechodziłyby dziedzicznie, albo stanowiłyby własność pewnych rodzin, albo które mogłyby zająć tylko osoby, należące do pewnéj klasy społecznéj. Obecnie wszędzie, albo prawie wszędzie, wszystkie urzędy są otwarte dla wszystkich, polityczne, wojenne, kościelne, sądowe, administracyjne. Wszystkie te urzędy, które dawniéj były dziedzicznemi, jeżeli nie indywidualnie, to przynajmniéj klasowo, w tém znaczeniu, że mogły być zajęte tylko przez ludzi, należących do pewnéj klasy, obecnie są zajmowane bądź drogą wyboru przez samych obywateli, bądź drogą mianowania przez władzę państwową, ale przez wszystkich obywateli kraju.

Wreszcie i trzecie źródło, z którego arystokracya czerpała swe utrzymanie—wojna, prawie zupełnie wyschło. Korzyści, jakie arystokracya odnosiła z podziału łupów, gruntów i ludności, zamienionéj na niewolników albo poddanych, całkowicie zniknęły.

„Jedyna korzyść, którą może stąd wyciągnąć, jest pewien odpływ jéj członków na posady wojskowe lub cywilne do podbitych krajów. I ta jednak korzyść zwykle bywa tylko chwilową, przynajmniéj w krajach z europejską cywilizacyą, w których ludność zwyciężona i przyłączona z czasem dopuszczana bywa na równi ze zwycięzcami do zajmowania urzędów państwowych" [2]).

W ten sposób wskutek zdemokratyzowania się społeczeństwa, została zagrożona egzystencya sama klasy uprzywilejowanéj, arystokracyi, pod względem ekonomicznym. Wszystkie źródła jéj utrzymania albo zupełnie zniknęły, albo znacznie zmalały przez dopuszczenie do korzystania z nią i innych klas narodu. Dochody téj klasy powiększyły się tylko pod jednym względem. Wskutek bowiem rozwoju handlu i przemysłu, powiększenia się znacznego ludności, po-

---

[1]) Molinari. l. c. str. 351. — [2]) Tamże.

większyło się też zapotrzebowie tak saméj ziemi, własności gruntowéj, jak i płodów przez nią wydawanych. A zapotrzebowanie to doprowadziło do znacznego podwyższenia się cen tak jednéj, jak i drugich. Dochody te klasa ta może nawet jeszcze powiększyć przez lepsze zagospodarowanie swéj własności ziemskiéj, wyciągnięcie z niéj większego zysku za pomocą gospodarstwa maszynowego, sztucznych nawozów, zastosowania wynalazków chemii do rolnictwa i t. p.

Wszystko to jednak dowodzi, że klasa ta musi się starać o odpowiednie do swych nowych warunków bytu wykształcenie. Dawniéj mogła poprzestawać na wykształceniu klasycznėm, które jéj do niczego, właściwie mówiąc, nie uzdolniało, bo wiedziała, że grunta jéj kto inny darmo uprawi, że w każdym razie będzie mogła, nawet z tém wykształceniem, poświęcić się płatnéj służbie państwowéj, w któréj nie spotka się z konkurencyą innych klas. Obecnie wszakże wszystkie te stosunki albo się radykalnie zmieniły, albo się powoli zmieniają. W zawodzie urzędniczym, spotykając konkurencyą innych klas, musi się starać o lepsze uzdolnienie, jeżeli chce wyjść z walki téj zwycięzko. Samo nawet państwo wystawia różne warunki uzdolnienia do zajęcia różnych posad, którym kandydaci winni odpowiedzieć. Tak samo klasa ta, chcąc powiększyć dochód swój z ziemi, musi się starać o stosowne uzdolnienie. Uzdolnienia tego jednak widocznie nie może nabyć za pomocą wykształcenia klasycznego, idealnego, bezinteresownego, którego całém zadaniem jest zagłębienie się w przeszłości, w tém co było, ale nie jest. Klasa-ta pod karą śmierci *sous peine de mort*, musi się starać o takie wykształcenie, któreby ją zaznajamiało z warunkami współczesnego życia, i uzdolniało do walki konkurencyjnéj z innemi klasami, któreby ją przygotowywało do różnych zawodów życiowych. Podkopana w dawnych źródłach egzystencyi, klasa ta musi się starać o inne, ale źródła te może zdobyć tylko za pomocą wykształcenia, odpowiadającego nowemu jéj stanowisku, nowym warunkom bytu, jeżeli się chce utrzymać na stanowisku, nie mówię już, klasy uprzywilejowanéj, ale klasy przodującéj w narodzie. W przeciwnym razie, grozi jéj nieuchronny upadek. Oby to nie był *vox clamantis in deserto.*

Do takich następstw, zdaniem naszém, może doprowadzić klasę uprzywilejowaną, arystokracyą, pozostawienie dawnego, średniowiecznego, arystokratycznego systematu wykształcenia, wtedy kiedy całe społeczeństwo, ulegając prądowi demokratycznemu, radykalnie się przekształciło.—Zobaczmy obecnie, jaki wpływ wywarłoby pozostawienie tego wykształcenia na klasy produkcyjne. Dlatego jednak winniśmy się nieco obszerniéj zastanowić nad warunkami, w jakich

znajdowała się dawniéj i znajduje się obecnie produkcya wogóle, nad tym prądem ekonomicznym, któremu ulega obecne społeczeństwo.

Wiadomo, że przez całe wieki średnie cała produkcya ekonomiczna znajdowała się w ręku korporacyi rzemieślniczych i kupieckich. Ogólném i naturalném wtedy dążeniem wszystkich było łączenie się w korporacye. I klasy produkujące nie pozostały obcemi temu ruchowi, i one łączyły się w korporacye, najprzód, żeby zapewnić bezpieczeństwo swoich osób i majątków, a następnie, ażeby zabezpieczyć na swoję korzyść wyłączny zbyt swoich produktów w pewném miejscu, na pewnym rynku handlowym. Wskutek tego, że wogóle rynek ten był ograniczony granicami każdéj posiadłości feudalnéj [1]), wynikła potrzeba ograniczenia liczby przedsiębiorstw, samodzielnych majstrów, którzyby go zaopatrywali i mieli na nim zbyt zapewniony. Z tego też powodu było koniecznem ograniczyć produkcyą każdego, oznaczyć sposób postępowania, jakość produktów i cenę. W przeciwnym razie, równowaga między zaofiarowaniem i zapotrzebowaniem byłaby naruszona, albo na korzyść producentów, którzy zdołaliby obniżyć koszta produkcyi, za pomocą zastosowania ulepszonych sposobów produkcyi, trzymanych w tajemnicy, albo przez pogorszenie jakości produktów. Korporacya broniła się przeciwko temu niebezpieczeństwu, bądź przepisując sposób produkowania, bądź stanowiąc, przynajmniéj w niektórych wypadkach, że produkcya winna odbywać się publicznie, w oczach wszystkich. Każdy rynek był zastosowany do rozmaitych korporacyi, które go obsługiwały, ponieważ zaś rynek ten, wskutek nieznacznego wogóle wtedy przyrostu ludności, podlegał bardzo nieznacznym zmianom, przeto korporacyom udawało się ustanowić równowagę między produkcyą i konsumpcyą, a także między samymi producentami. Porządek ten odpowiadał wogóle istniejącemu wówczas małemu przemysłowi i małym rynkom przez niego obsługiwanym. Porządek ten dawał przedsiębiorcom przemysłu, majstrom, rzemieślnikom i kupcom bezpieczeństwo i pewność zbytu. Każdy z członków korporacyi dostawał przypadający mu udział w rynku, należącym do korporacyi, a do tego mógł się z pokolenia w pokolenie zastosować i personel przemysłowy. Cenę stanowił zwyczaj. Gdzie zaś zwyczaj nie wystarczał do umiarkowania wygórowanych wymagań producentów, tam władza miejscowa stanowiła taksę, mającą zabezpieczyć interesy nabywców bez szkody producen-

[1]) W dalszych co do tego wywodach idziemy za Molinarim. l. c., str. 224 i nast.

tów [1]). Nie zawsze władzy udało się odpowiednio umiarkować cenę. W każdym razie wmięszanie się jéj zastępowało do pewnego stopnia brak innego regulatora, to jest konkurencyi, w oznaczaniu ceny pierwszych potrzeb do życia. Korporacye były urządzone hierarchicznie. Należeli do nich nietylko majstrowie, ale i robotnicy, czeladnicy. Ograniczenie rynków sprawiało, że liczba robotników przystosowywała się do potrzeb rynku. Wskutek tego korporacye oznaczały starannie ilość uczniów, których majstrowie mogli przyjmować na naukę. Warsztaty przechodziły albo drogą spadku z ojca na syna, albo dochodziło się mistrzostwa za pomocą nauki, terminowania przez pewien przeciąg czasu. W każdym razie liczba ich była ograniczona. Majster nie mógł przyjmować uczniów, jeżeli nie miał sklepu lub warsztatu od ulicy, nie mógł téż przyjąć więcéj jak jednego lub dwóch uczniów, nie licząc własnych synów [2]). Ponieważ korporacye uważały za swoję własność ten rynek, na którym miały zapewniony zbyt swoich produktów, dlatego każda z nich pilnowała, aby druga nie weszła jéj ze swemi produktami w drogę. Stąd wynikały spory bez końca między korporacyami, produkującemi podobne do siebie przedmioty. Tak samo korporacye broniły się od konkurencyi zagranicznéj, nie dopuszczając na swój rynek przywozu towarów z obcych krajów. Nie robiły one nawet różnicy między konkurentami zagranicznymi i krajowymi, broniąc się i od tych ostatnich, jeżeli nie byli miejscowymi. Wreszcie korporacye, urządzając tak swoje stosunki, starały się nietylko o zabezpieczenie dobrobytu materyalnego swych członków, ale i o stronę ich moralną. Dlatego np. nie przyjmowały do siebie członków, żyjących w nieprawych związkach, nie wykonywających punktualnie obowiązków religijnych, oddających się pewnym nałogom, np. pijaństwu albo grze hazardownéj; zabraniały życia nad stan, zbytków w jedzeniu i odzieży, jedném słowem wszystkiego, coby mogło przyczynić się do upadku ekonomicznego lub moralnego członków.

Urządzenie takie przemysłu wywołało w XVIII w. gwałtowne napaści ze strony ekonomistów. Jeżelibyśmy jednak cofnęli się do wieków średnich, do XII np. wieku, kiedy ono było na szczycie u narodów najbogatszych i najucywilizowańszych, musielibyśmy przyznać, że było doskonale zastosowane do stanu ówczesnego przemysłu i społeczeństwa. Takie urządzenie ekonomiczne społeczeństwa, wypływa-

---

[1]) I według Milla dopiéro od niedawnego czasu konkurencya stała się zasadą regulującą stosunek między producentami i konsumentami. Dawniéj zwyczaj był takim regulatorem. J. S. Mill. „Principes d'économie politique", L. II, Ch. IV. — [2]) Molinari, l. c., str. 227.

jące z małego przemysłu, zapewniało społeczeństwom, wśród których się rozwinęło, *maximum* dobrobytu i pomyślności, na który pozwalał ówczesny stan przemysłu wogóle. Wprawdzie bogactwo było bardzo nierówno rozdzielone między jednostkami, należącemi do różnych klas i warstw społecznych. Wszędzie jednak znajdowano konieczny warunek dobrobytu, bezpieczeństwo i pewność. Warunek ten był urzeczywistniony w klasach wyższych (arystokracyi) przez dziedziedziczność; w klasach średnich, przemysłowych, przez zamknięte korporacye, dziedziczność i przyswojenie pewnym korporacyom odpowiednich rynków zbytu; w klasach niższych (włościan) przez całkowite zawłaszczenie człowieka przez innych. W klasie przemysłowéj korporacye starały się o utrzymanie równowagi między ludnością korporacyi i jéj środkami istnienia. Tak samo w niższych sferach feudalny pan starał się o zastosowanie ilości rąk do potrzeb gospodarczych, o to żeby jego niewolnicy lub poddani byli zdrowi i silni. Pokolenia następowały po pokoleniach, oddane téj saméj pracy, bez widoków wprawdzie poprawy swego losu, ale z tą przynajmniéj pewnością, że w zamian za pracę, zastosowaną do ich sił, otrzymają dostateczne pożywienie [1]. Według tego urządzenia społeczeństwo dzieliło się wówczas głównie na dwie klasy, nierówne co do ilości i jakości. Jedna wyższa, która rządziła i broniła społeczeństwo, wypełniając funkcye, potrzebujące rozwoju sił umysłowych i moralnych. Druga niższa, zajmująca się pracami, potrzebującemi przedewszystkiém siły fizycznéj, do pracy, którą obecnie, w części przynajmniéj, wykonywają maszyny, silniejsi, zdolniejsi u góry, słabsi, mniéj zdolni, u dołu. Ponieważ zaś doświadczenie pokazywało, że przymioty i zdolności przekazywały się dziedzicznie, wskutek tego za najlepsze urządzenie społeczeństwa uważano takie, w którém każdy byłby zatrzymany w swojéj sferze, nie mogąc przejść do innéj, byle tylko miał zapewnione środki egzystencyi. Dopóki postęp cywilizacyi nie zmniejszył ogromnéj odległości między funkcyami klas wyższych i niższych, przez zastąpienie pracy fizycznéj pracą mechaniczną, dopóty nie było ani możliwém, ani pożyteczném otworzyć wszystkim przystęp do wszystkich zajęć. Ambicya podniesienia się na wyższe stanowisko wtedy, kiedy w każdéj klasie była bardzo ograniczona liczba miejsc, pogorszyłaby tylko położenie mas, wydając społeczeństwo na łup anarchii.

Nie można powiedzieć, żeby takie urządzenie społeczeństwa, z podziałem na klasy panujące i podległe, w którém każdy był przykuty dziedzicznie do swojéj funkcyi albo pracy, urzeczywistniało wiek

[1] Molinari, l. c., str. 237.

złoty. Bezwątpienia wszystkie klasy cierpiały, wskutek bądź wadliwości swoich poszczególnych urządzeń, bądź okoliczności zewnętrznych. Tak np. często ulegały one głodowi, straszniejszemu w owe czasy z tego powodu, że rynek, na którym można się było zaopatrzyć w środki żywności, był nader ograniczony, że brak był zupełny środków komunikacyi. Cierpiały z wad, które się rozwijały w klasach wyższych wskutek panowania, a w klasach niższych wskutek ciągłéj zależności. W każdym razie, jak historya pokazała, urządzenie to, nietylko przetrwało tysiące lat, ale nawet mogłoby trwać i daléj, gdyby nie nastąpiła ewolucya ekonomiczna, która zburzyła doszczętnie te stosunki i wywołała potrzebę nowego urządzenia społeczeństwa [1]). Nie ulega wątpliwości, że od pewnego czasu przechodzimy przekształcenie społeczeństwa radykalniejsze i ogólniejsze, powszechniejsze aniżeli wszystkie wypadki polityczne w przeszłości. Od pewnego czasu dokonywa się bowiem reforma ekonomiczna, która musi wywrzéć nieobliczone w następstwach skutki, i wpływ na wszystkie stosunki, już nie oddzielnych narodów, ale całéj ludzkości.

Ewolucya ta, reforma ekonomiczna polega tu przedewszystkiém na tém, że kiedy przez tysiące lat i materyał produkcyi i sposoby produkowania pozostawały te same, lub ulegały tak nieznacznym zmianom, że można było uważać je za pozostające w zupełnym zastoju, obecnie i jedno i drugie dąży do radykalnego przeobrażenia. Niepodobieństwem jest oznaczyć dokładnie początku téj ewolucyi, tak jak wogóle nie można tego zrobić względem żadnéj wielkiéj reformy. Nie ulega tylko wątpliwości, że początki jéj można zauważyć już przed kilku wiekami, chociaż dopiéro w bieżącém stuleciu nabrała ona szczególniejszéj siły. Jak nie można oznaczyć początku, nie można téż oznaczyć, jak długo ona jeszcze potrwa. Można tylko powiedziéć w przybliżeniu, kiedy nastąpi jéj koniec, mianowicie wtedy, kiedy mały przemysł, który wyłącznie panował prawie do ostatnich czasów, zniknie i ustąpi miejsca tak zwanemu wielkiemu przemysłowi, to jest kiedy wszystkie operacye produkcyjne, wykonywane dotychczas za pomocą siły fizycznéj człowieka, będą wykonywane albo za pomocą sił mechanicznych, albo za pomocą czynników fizycznych, kierowanych tylko przez inteligencyę człowieka.

Przyjrzyjmy się bliżéj temu, jak się ta ewolucya dokonywała i obecnie jeszcze dokonywa, tudzież do jakich następstw musi koniecznie doprowadzić.

Za czasów małego przemysłu, wszystkie prawie produkty rolne

[1]) Molinari, l. c., str. 240.

i przemysłowe były albo konsumowane na miejscu przez tych, którzy je wytworzyli, albo zamienione na inne lub na gotówkę tylko na najbliższych miejscach zbytu, na sąsiednich rynkach. Rzemieślnik przygotowywał tylko tyle produktów, ile spodziewał się sprzedać na miejscu, kupiec zaś kupował taką tylko ilość towarów, jaką spodziewał się sprzedać na miejscu lub w najbliższém sąsiedztwie. Odleglejsze zamiany miały miejsce tylko względem przedmiotów małéj objętości, a wielkiéj wartości, które, przy utrudnionych ówczesnych środkach komunikacyi, mogły wytrzymywać koszta transportu. Towary te zresztą były dostępne tylko dla klas zamożniejszych. Obecnie jednak najbiédniejszy nawet człowiek wskutek olbrzymiego rozwoju handlu, konsumuje przedmioty, pochodzące z odległych części świata. Za czasów panowania małego przemysłu, handel odległy w ciągu wielu wieków nie miał wielkiego znaczenia, czerpał produkty z tych samych miejscowości i prowadził je temi samemi drogami, ulegając bardzo nieznacznym pod tym względem zmianom. Od niepamiętnych czasów drogie towary wschodnie, jak np. jedwab, perły, pachnidła, szły drogą lądową lub przy brzegach morskich, z Chin, Indyi Wschodnich, w niewielkiéj stosunkowo ilości, do kilku głównych składowych punktów w Europie, gdzie były zamieniane na produkty miejscowe. Stan ten zmienił się wskutek rozmaitych odkryć i wynalazków. Najprzód wynalazek busoli dozwolił skrócić drogę morską; następnie nowoodkryte kraje, jak np. Ameryka, zaczęły w coraz większéj ilości przysyłać nowe przedmioty, poszukiwane chciwie przez konsumentów, np. cukier, kawę, herbatę, tytoń i t. p. Późniéj ułatwione środki komunikacyi, koleje żelazne i statki parowe, zmniejszyły odległość między różnemi krajami i obniżyły koszta transportu. Napróżno narody starały się przyswoić na wyłączną swoję własność rynki w krajach nowoodkrytych, napróżno oddawały eksploatowanie ich uprzywilejowanym towarzystwom, lub zabraniały przywozu towarów, mogących konkurować z miejscowemi. Pomimo to wszystko wyłom w starym porządku handlowym i przemysłowym został zrobiony i coraz bardziéj się rozszerzał. Towary zamorskie coraz bardziéj się upowszechniały, wymagając jednocześnie z tém znacznego powiększenia produkcyi miejscowéj na wywóz, bądź dla zaspokojenia potrzeb tych krajów, bądź europejczyków, którzy się do nich udawali. To powiększenie zapotrzebowania wymagało powiększenia produkcyi, na które korporacye ówczesne z egoistycznych względów niechętnie patrzały. Powiększenie się zysków z przemysłu i handlu doprowadziło do utworzenia się na przedmieściach nowych zakładów przemysłowych, które nie poddawały się korporacyom. Zakłady te uwalniały się od starych

ograniczeń, i chętnie wprowadzały nowe, ulepszone sposoby produkcyi, za pomocą których spodziewały się powiększyć swe zyski, przez zmniejszenie kosztów wyrobu.

Wynalazek maszyn parowych, motorów mechanicznych, w XIX wieku dobił, że się tak wyrażę, poprzedni systemat t. zw. małego przemysłu. Przemysł ten nie mógł walczyć z swoim rywalem, bez pozbycia się ograniczających go urządzeń, z drugiéj strony konieczność powiększenia ilości robotników burzyła ostatnie więzy, które przymocowywały ich, bądź do ziemi właścicieli gruntowych, bądź do małych pracowni rzemieślniczych. Nadzieja większego zysku przyciągała ich do przemysłu nowego, przy którym obok tego korzystali jeszcze z wolności, jakiéj nie używali ani na ziemi feudalnych właścicieli, ani w cechach rzemieślniczych. Wskutek tego sami nawet mogli się stać z robotników przedsiębiercami. Wszystkie te okoliczności razem wzięte, doprowadziły w końcu do zniszczenia korporacyi przemysłowych, do zniesienia rynków zbytu im przyswojonych, na których opierały swe istnienie, do zaprowadzenia wolności pracy, przemysłu i handlu. Tak runęła w części przynajmniéj stara organizacya społeczeństw, żyjących z małego przemysłu, z chwilą, kiedy organizacya ta przestała odpowiadać ich potrzebom. Wskutek tego wszystkie gałęzie pracy zaczęły się olbrzymio rozwijać, ludność znakomicie wzrosła, w stosunku nieznanym zupełnie w wiekach średnich, a bogactwo powiększyło się stokrotnie. Nowa organizacya wielkiego przemysłu, działającego głównie za pomocą maszyn, nie wykształciła się jeszcze ostatecznie; w każdym razie już i teraz widać, że opiera się ona na wolności przedsiębierstw i stowarzyszeń, i na otworzeniu rynków zbytu dla wszechświatowéj konkurencyi.

Ta ewolucya ekonomiczna, która zaczęła się już w wiekach średnich, nabrała szczególnéj siły w XIX-ym wieku. Najprzód wpłynęło na rozwój jéj odkrycie nowych rynków zbytu. Wiek XIX-ty dokończył tego, co zaczęło się w XVI-ym, mianowicie zdobycie świata przez Europejczyków. Jeszcze w początkach bieżącego stulecia Ameryka Północna, dostępna dla kultury europejskiéj, kończyła się niedaleko brzegów Atlantyku, kolonie hiszpańskie nie miały znaczenia, Afryka była zamkniętym, nieznanym czarnym kontynentem, Azya była zaledwie otwartą w Indyach, Chiny i Japonia były niedostępne, Australia zaś wcale niezamieszkałą. Obecnie mało jest w świecie miejsc, do których nie dostawałyby się towary i idee europejskie. Narody europejskie, rywalizujące między sobą, rzucają się z współzawodnictwem na wszystkie okolice, gdzie mogą założyć swe panowanie lub otworzyć drogę do eksploatacyi. Zewsząd handel sprowadza bądź surowe

materyały, bądź wyrobione produkty, dostarczając w zamian za to swoje tam, gdzie ich okaże się potrzeba.

Następnie wynalazek maszyn, wielkie odkrycia techniczne, charakteryzujące wiek XIX-ty, zmieniły z gruntu naturę produkcyi, zastępując pracę ręczną, wyłącznie istniejącą za czasów małego przemysłu, pracą maszyn. Dlatego też produkcya sama stała się bez porównania szybszą, i zyskała możność dostarczania niesłychanéj przedtem ilości produktów. Ażeby ocenić, jaki przewrót dokonał się wskutek tego w stosunkach produkcyi, dość wspomniéć, że maszyna parowa o sile jednego konia robi obecnie tyle, w tym samym przebiegu czasu, co przedtém dziesięciu ludzi. W różnych gałęziach przemysłu różnica w szybkości produkcyi dochodzi do bardziéj jeszcze zdumiewających rozmiarów. Tak np. w mieleniu zboża różnica między epoką nowego i wielkiego przemysłu ma się jak 1 do 150. Jeszcze większy stosunek jest w przędzalniach. Tak np. zdolna robotnica w trykotażach mogła ręcznie zrobić 80 oczek na minutę, maszyna może ich zrobić w tymże czasie 480,000, czyli że praca robotnicy ma się do pracy maszyny, jak 1 do 6,000. Na uszycie koszuli męzkiéj zdolna robotnica potrzebuje 14 godz. 26 minut czasu. Tę samą robotę zrobi maszyna do szycia w ciągu 1 godziny i 16-tu minut, gdyż robotnica robi tylko 23 ściegów na minutę, maszyna zaś może ich zrobić 640 [1]).

Nie ulega wątpliwości, że na przewrót ten wywarły ogromny wpływ ulepszone środki komunikacyi, koleje żelazne i statki parowe, poczty i telegrafy. Wszystkie one zmniejszyły koszta transportu, obniżały cenę towarów, wpływały na pomnożenie się liczby obrotów handlowych, rozszerzały je na wszystkie strony świata. Od chwili zastosowania pary do kolei żelaznych i parostatków cena przewozu towarów dąży do ciągłego obniżenia. Produkty najcięższe i najwięcéj zajmujące miejsca, których dawniéj nie opłacało się przewozić, obecnie wysyłane są do najodleglejszych części świata. Indye i Ameryka dostarczają zboża, bawełny, nafty, Australia wełny, z Anglii węgle kamienne, maszyny, rozchodzą się wszędzie, Szwecya dostarcza żelaza i t. p. Dosyć jest jakiéjś nowéj kolei albo kanału, żeby stworzyć nowy prąd, burzący dawniejsze, utarte stosunki handlowe, zniżyć cenę pewnych produktów, zniżyć przemysły miejscowe. Z drugiéj strony chemia i mechanika wysilają się nad nowemi wynalazkami, mającemi obniżyć koszta produkcyi i uprzystępnić masom narodu nabycie przedmiotów, które dawniéj były dostępne tylko dla bogatych.

---

[1]) Molinari, l. c., str. 6.

Wskutek wszystkich tych okoliczności i produkcya i handel wzrosły do niesłychanych przedtém rozmiarów. Handel zamienny międzynarodowy z miliarda franków na początku XVII-go wieku, podniósł się do 10 miliardów w początkach XIX w., a obecnie doszedł do 80 miliardów. Spodziewać się można, że z czasem produkcya i zamiana jeszcze bardziéj się powiększy, i dojdzie do tego, że będzie ją można liczyć na setki, a może na tysiące miliardów [1]).

Tak potężny rozwój wszystkich stosunków ekonomicznych nadał kwestyom ekonomicznym pierwszorzędne znaczenie. Wskutek tego nietylko stosunki wewnętrzne każdego kraju, ale i międzynarodowe uległy głębokiéj zmianie. Wskutek tego kwestye polityczne, intrygi dworskie i rywalizacya osób, kombinacye dyplomatyczne, wszystkie te wpływy, które przez tyle wieków przeważały w stosunkach państw między sobą, wywierają coraz mniéj wpływu na losy świata. Kwestye ekonomiczne zajęły ich miejsce. Dlatego słusznie można powiedziéć, że dzisiejszy dyplomata powinien być lepiéj może przygotowany do dyskutowania traktatu handlowego, jak traktatu politycznego. Kwestye kolonialne, która nabrały tak wielkiego znaczenia w stosunkach międzynarodowych w ostatnich czasach, są niczém inném, jak kwestyami ekonomicznemi. Państwa europejskie dążą obecnie gorączkowo do powiększenia swoich kolonii, np. kosztem podziału między sobą Afryki, ażeby zapewnić sobie większy rynek do zbytu swoich produktów, a przez to i większe korzyści ekonomiczne. Sprawy ekonomiczne nabrały obecnie takiéj wagi, że ludy mogą prowadzić z sobą walkę, nie dobywając z pochwy oręża. Wiadomo bowiem, że dwa narody za pomocą wojny celnéj mogą daleko łatwiéj zrujnować się, daleko większe wyrządzić sobie szkody, jak przez wojnę, prowadzoną przy pomocy armat i prochu bezdymnego [2]).

Ten prąd ekonomiczny jest drugim prądem, o którym mówiliśmy wyżéj. Wraz z prądem demokratycznym nadaje on obecnie kierunek rozwojowi całego społeczeństwa. Tak zaś staje się silnym, tak przeważny wpływ wywierającym na losy ludzkości, że z tego powodu prawdopodobnie będziemy nazywać wiek XX-ty, kiedy prąd ten jeszcze bardziéj się rozwinie, wiekiem rozwoju ekonomicznego, tak jak XIX-ty wiek można nazwać wiekiem wielkich odkryć technicznych, XVIII-ty—wiekiem filozoficznym, a XVI—wiekiem humanizmu.

Duszą tego potężnego prądu ekonomicznego, ożywiającego

[1]) Molinari, l. c., str. 319. — [2]) Leclerc, „L'émigration chinoise et les relations internationales.“ „Revue des deux Mondes“, 1889 1 Avril, str. 650.

i unoszącego na falach swoich w niewiadomą przyszłość nowożytne społeczeństwo, jest wolność przemysłowa i konkurencya. W tém téż polega największa różnica między społeczeństwami, w których utrzymała się jeszcze organizacya małego przemysłu, i społeczeństwami, w których zaczęła się już era wielkiego przemysłu, lub w którym przemysł ten doszedł do pewnego stopnia rozwoju. W pierwszych panował rząd monopolu na korzyść zamkniętych korporacyi przemysłowych, mających swoje ograniczone rynki zbytu. Wskutek tego nie było wtedy żadnéj prawie konkurencyi. Przemysłowcy pewnéj miejscowości nie mogli konkurować z drugimi, nie obawiali się téż z ich strony konkurencyi. Nawet między przemysłowcami téj samej miejscowości nie mogło być konkurencyi, władza bowiem ustanawiała ceny produktów, a nieraz i sam sposób produkcyi. Przeciwnie, pod rządem wielkiego przemysłu, konkurencya nabrała stanowczego znaczenia. Zaprowadzenie wolności przemysłu obudziło konkurencyą nietylko pomiędzy przemysłowcami jednéj i téj saméj ograniczonéj miejscowości, np. pewnego miasta, lub pewnego kraju, ale i pomiędzy przemysłowcami różnych krajów. Obecnie już istnieje konkurencya międzynarodowa, wszechświatowa. Tym sposobem konkurencya stała się dźwignią wszelkiego postępu ekonomicznego, ona bowiem wywoluje potrzebę nowych, ulepszonych sposobów produkcyi, powiększa ilość produktów, reguluje zbyt, decyduje o kierunku nowych dróg handlowych i t. d. [1]).

Oczywistém jest, iż taki potężny ruch ekonomiczny nie może pozostać bez wpływu na stan samego społeczeństwa. Widoczném jest, że społeczeństwo, w którém wielki przemysł został zainaugurowany, lub doszedł do pewnego stopnia rozwoju, musi się stosownie do niego urabiać i kształcić. Niepodobieństwem téż jest przewidzieć obecnie na pewno formę, jaką społeczeństwo ludzkie przybierze na skutek owéj ewolucyi ekonomicznéj, tém bardziéj, iż jeszcze nigdzie ewolucya ta nie została ukończoną. W każdym razie z tego co było, lub co jest, można stawiać pewne hypotezy na przyszłość. Molinari, zastanawiając się nad tą kwestyą obszernie, doszedł do wniosku, iż oprócz reformy w właściwém znaczeniu, ekonomicznéj, ewolucya ta pociągnie za sobą dwa następstwa, szczególniéj ważne dla przyszłego ustroju społeczeństw. Następstwami temi są rozciągnięcie solidarności między ludami na całą ludzkość i uogólnienie walki o byt.

Co do pierwszego Molinari sądził, iż jeżeli w społeczeństwie, urządzoném odpowiednio do potrzeb małego przemysłu, dobra lub zła działalność pojedyńczych członków wywierała — pomyślny lub niepo-

---

[1]) Molinari, l. c., str. 456.

myślny wpływ na innych tylko w granicach pewnéj miejscowości, miasta lub państwa, inaczéj być musi w społeczeństwie, urządzoném stosownie do wielkiego przemysłu, dążącém do opanowania całéj ziemi i ustanowienia między wszystkiemi ludźmi pewnego związku i wspólności interesów. Pod tym rządem nie może być społeczeństw odosobnionych, żyjących własném tylko życiem, których członkowie nie mają nic wspólnego z innemi; będzie tylko społeczeństwo powszechne, w którém każda jednostka może wpływać na inne. Stąd powstanie prawo wszystkich bronić się przeciwko szkodliwym działaniom jednostek, tudzież obowiązek każdego postępować w sposób, najbardziéj odpowiedni interesom wszystkich. Stąd wypływa potrzeba kodeksu powszechnego prawa i moralności, wyższego nad wszelkie poszczególne kodeksy, które przez niego z czasem będą zastąpione [1]). Że takim jest odległy cel pochodu ludzkości, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Dowodzą tego starania o urządzenie w jednakowy sposób na drodze prawodawstwa międzynarodowego rozmaitych stosunków, które dotychczas były urządzane rozmaicie i odmiennie w każdém państwie przez prawodawstwo krajowe. Do nich należą np. poczty, telegrafy, stosunki sanitarne, handlowe, rybołóstwo, żegluga morska, miary, wagi, system monetarny i wiele innych. Dowodzi tego, zdaniem naszém, jeszcze bardziéj ta wspólność idei, przekonań, coraz silniéj objawiająca się w całym ucywilizowanym świecie, w skutek któréj np. idea, przyjęta przypuśćmy w prawie karném lub inném pewnego narodu, natychmiast się dostaje do prawodawstw innych krajów, jeżeli tylko okazała się dobrą i duchowi czasu odpowiednią.

Co do drugiego sądził Molinari, że walka o byt, która pod rządem małego przemysłu objawiała się tylko pod postacią wojny, pod rządem wielkiego przemysłu, uniwersalnéj konkurencyi, rozciągnie się do wszelkich gałęzi działalności ludzkiéj. Wielki przemysł udoskonala sposoby produkcyi, tworzy inne warunki bytu, urządza wielką powszechną pracownię tworzenia bogactw. Ale każde pokolenie musi się starać o pomieszczenie swoich członków w téj pracowni. Widocznêm téż jest, iż pod wpływem uniwersalnéj konkurencyi, nie może być w téj pracowni przywilejów. „Wszystkie miejsca, wszystkie zawody będą przystępne dla wszystkich, bez różnicy rasy i narodowości, ale pod warunkiem, ażeby posiadali zdolność fizyczną, moralną i umysłową z wiadomościami potrzebnemi do ich wykonania. W takiém społeczeństwie nikt nie będzie mógł uchylić się od walki o byt, nikt nie będzie mógł chować się za przywiléj kasty, narodowości, a nawet

[1]) Molinari. l. c. str. 459.

płci; nikt nie będzie mógł zasklepić się w synekurze; nikt, jednem słowem, nie będzie mógł żyć na koszt drugiego. Każdy będzie musiał dać innym równoważnik tego, co od nich otrzyma. Arena jednak będzie otwarta dla wszystkich, i każdy będzie mógł otrzymać udział odpowiedni do jego wniosku i wartości jego usług" [1]).

Nie ulega wątpliwości, że przyszłe społeczeństwo, którego obraz w ten sposób maluje Molinari, jest bardzo od nas odległe. Niemniéj jednak jest pewném, że społeczeństwo dąży do tego celu wolno, ale bezustannie. Pochód do niego zaczął się w głębokiéj starożytności, wtedy, kiedy człowiek przez wynalezienie pierwszego, grubego narzędzia, wywyższył się nad inne zwierzęta. Początek ery wielkiego przemysłu nadał mu nowy i potężny do tego popęd. Kiedy nastąpi jego koniec, niewiadomo, w każdym razie niewątpliwą jest rzeczą, iż wielki przemysł z powszechną konkurencyą wywiéra potężny wpływ na społeczeństwo i urabia jego stosunki stosownie do swoich wymagań. Obecnie społeczeństwo znajduje się w epoce przejściowéj, wszystko jednak wskazuje, że stosunki, wytworzone pod rządem małego przemysłu dążą do jakiejś głębokiéj reformy [2]).

Zobaczmy znów, jaki wpływ wywiéra lub wywrze ta ewolucya ekonomiczna na wykształcenie wogóle i na środki, za pomocą których nabyć je można, to jest szkoły. Pod tym względem należy przedewszystkiém zwrócić uwagę na to, że wszelka praca, za pomocą któréj człowiek zdobywał środki swego istnienia, pierwotnie była wyłącznie fizyczną, inteligencya zaś brała w niéj bardzo słaby udział. Praca fizyczna i zręczność, wprawa muskułów, przeważały w całym ciągu epoki małego przemysłu. I wtedy bezwątpienia potrzeba było pewnego wysiłku inteligencyi, zawsze jednak praca fizyczna, ręczna, grała główną rolę. Wtedy téż dla wykształcenia przyszłych producentów wystarczało zajęcie ich praktyczne w warsztacie. Od czasu powstania wielkiego przemysłu zaszła pod tym względem ogromna zmiana. Wszędzie przemysł ten dąży do zastąpienia pracy fizycznéj człowieka pracą maszyn, albo środków technicznych, i pozostawiania człowiekowi tylko obowiązku kierowania i nadzorowania ich działalności. Widocznem jest więc, iż wielki przemysł wymaga daleko więcéj, jak mały wykształcenia umysłowego. Można zaś to powiedzieć nietylko o kierownikach téj pracy, przedsiębiorcach, dyrektorach zakładów przemysłowych, ale i o prostych robotnikach. Im bardziéj skomplikowanych maszyn używalibyśmy do produkcyi, tém inteligentniejszych musimy użyć do obsłużenia ich robotników.

[1]) Molinari. l. c. str. 461. — [2]) Tamże, str. 464.

Widocznem jest jednak, jakiego i pierwsi i drudzy potrzebują dla przyszłych swych zajęć wykształcenia. Widocznem jest także, że wykształcenie klasyczne nie odpowiada potrzebom ani jednych, ani drugich. Choćby nawet przyszli producenci, kierownicy przemysłu, doszli w szkołach do takiéj biegłości w języku greckim, że potrafiliby zadeklamować znośnie na scenie Antygonę Sofoklesa, pomimo to wykształcenie klasyczne nietylko im nie pomoże, ale nawet przeszkodzi do zdobycia potrzebnych wiadomości do zapewnienia sobie egzystencyi, lub dalszego postępu w przemyśle. Tém bardziéj klasa ta potrzebuje innego wykształcenia, że przy coraz silniejszéj, wskutek wyżéj wymienionych przyczyn, olbrzymiéj, wszechświatowéj konkurencyi, wcześnie powinna zaopatrzyć się w stosowne uzdolnienie, ażeby módz wystąpić do walki z nadzieją zwycięstwa. Z drugiéj strony należy zauważyć, że pod wpływem prądu demokratycznego, klasy produkujące, dawniéj upośledzone, podniosły się w hierarchii społecznéj i zrównały się z klasami dawniéj kierującemi społeczeństwem, że kierownicy produkcyi, sami stali się klasą kierującą społeczeństwem. Nowe to stanowisko téj klasy nakłada téż na nią nowe obowiązki. Klasa bowiem kierująca o tyle tylko ma racyą bytu, o ile udowodni swe uzdolnienie do rządzenia sobą i innemi. Uzdolnienia tego może nabyć tylko przez coraz lepsze zrozumienie potrzeb *współczesnego społeczeństwa*, i *wielkich interesów ludzkości*. Widocznem jest jednak, iż nie może go nabyć za pomocą wykształcenia klasycznego, którego głównem zadaniem jest poznanie tylko przeszłości, i to nie całéj ale tylko pewnego jéj ułamku.

III.

Wobec tego wszystkiego, co się wyżéj rzekło, należy dojść do wniosku, że dwa prądy kierujące nowożytnem społeczeństwem, prąd demokratyczny i ekonomiczny, coraz bardziéj oddalają się od wykształcenia klasycznego, coraz głębszą wykopują przepaść między niem a stanem współczesnego społeczeństwa, jego potrzebami i kierunkami. W saméj rzeczy wykształcenie to, które dawniéj odpowiadało potrzebom klas uprzywilejowanych, arystokracyi, obecnie, nietylko, że przestało im odpowiadać, ale przedwcześnie grozi im ruiną i prowadzi do ostatecznego upadku. Tak samo nie posiada ono żadnego znaczenia dla klas produkcyjnych, albo stanowi przeszkodę do dalszego ich rozwoju. Do czegóż więc jest potrzebne? Komu korzyść przynosi? Obecnie, można powiedzieć, potrzebne jest ono tylko dwom kategoryom uczniów. Najprzód tym, którzy sami zamierzają

się poświęcić nauczaniu języków klasycznych; następnie tym, których położenie materyalne pozwala nie troszczyć się o przyszłość, nie zajmować się żadną pracą produkcyjną. Ale ilość tak pierwszych jak i drugich jest nader ograniczona, stanowi nieznaczny wyjątek. Widoczném też jest, że z systematu wykształcenia, zaspakajającego potrzeby tylko nieznacznéj mniejszości, nie można zrobić ogólnéj zasady i narzucać ogromnéj większości, która go wcale nie potrzebuje.

Wniosek powyższy może być w równéj mierze zastosowany tak do pojedyńczych jednostek, jak i do całych narodów. Jak pojedyńczy człowiek potrzebuje wykształcenia, któreby go przygotowało odpowiednio do zdobycia sobie stanowiska w świecie, do spełnienia przyszłych jego obowiązków, jako ojca rodziny, jako człowieka, mającego jakiś zawód, specyalne zajęcie, jako członka społeczeństwa, tak i narody całe muszą być odpowiednio wykształcone, żeby się utrzymać na swém stanowisku wśród innych. Jak jednostka, nie posiadając odpowiedniego wykształcenia, ma podkopaną egzystencyą, nie może dojść do poważnych rezultatów w życiu, nie może wytrzymać konkurencyi z innemi, lepiéj uzdolnionemi, a w skutek tego silniejszemi, tak samo i całe narody bez odpowiedniego wykształcenia, przygotowania nie mogą się obronić od zgubnych następstw swéj słabości, nie zdołają zapewnić sobie korzystnego położenia w téj powszechnéj konkurencyi z innemi. Jak jednostce, tak przeto i całym narodom grozi zubożenie wśród ogólnego bogacenia się, i co za tém idzie upadek.

Na dowód, że powyższe słowa nie są czczemi tylko frazesami, pozwolę sobie przytoczyć jeden, zdaniem naszém, dosyć wymowny przykład. Wiadomo wszystkim, że obecnie w Europie rolnictwo przechodzi przez kryzys, dotkliwie dający się we znaki, i że kryzys ten pochodzi w znacznéj części z tego, że Europa zasypywana jest zbożem amerykańskiém, wskutek czego cena zboża europejskiego musiała uledz znacznemu obniżeniu. Tak przykry fakt przedewszystkiém dla tych krajów europejskich, w których rolnictwo stanowi główną gałęź produkcyi, objaśnia się tém, że Stany Zjednoczone północnéj Ameryki, zdołały podnieść od 1857 do 1887 r. wartość swéj produkcyi rolnéj z 8,375 milionów franków do 19,355 milionów [1]), i były w stanie zarzucić swém zbożem rynki zbożowe europejskie. Przeciwnie narody europejskie nie potrafiły podnieść w takim samym stosunku swéj produkcyi i wytrzymać konkurencyi z Ameryką. Nie będziemy tu

---

[1]) Vavigny. L'Amérique à l'Exposition Universelle. Revue des deux Mondes. 1889, 15 Octobre, str. 846.

twierdzili, że wyłączną przyczyną tego zjawiska było lepsze techniczne przygotowanie Amerykanów, gdyż przyczyny tego były rozmaite. Nie ulega jednak wątpliwości, iż i ta okoliczność była wielkiego pod tym względem znaczenia i wpływu. Łatwo jednak pojąć, jakim skutkiem grozi powtórzenie się takiego objawu i w innych gałęziach przemysłu, dla narodów, które dotychczas w tych gałęziach celowały, i w nich miały zabezpieczone ważne źródła swego istnienia i dobrobytu.

Faktów podobnych nie można lekceważyć, tém bardziéj, iż konkurencya, która dawniéj wcale prawie nie istniała, wobec rozwoju ekonomicznego, coraz większego nabiéra znaczenia; staje się nietylko międzynarodową, ale i wszechświatową. Przyjdzie czas, kiedy cała kula ziemska będzie jednėm ogromnėm targowiskiem, na którėm do konkurencyi będą mogli stanąć wszyscy, poddając się wszystkim jéj warunkom, a więc i zgubnym skutkom, wypływającym z słabszego uzdolnienia. I teraz już konkurencya ta tak się rozszerzyła, że nietylko narody współubiegają się z narodami, ale rasy z rasami. Narody chcą zrównoważyć swoje niedostateczne uzdolnienie wysokiemi cłami protekcyjnemi, które jednak z czasem okażą się niedostatecznemi; rasy chcą walczyć z rasami zapomocą niedopuszczania do konkurencyi tych, które uważają za groźnych rywalów. Tak np. wiadomo jak surowe prawa wydane zostały w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki i w Kanadzie w celu niedopuszczenia osiedlenia się w nich robotników chińskich rasy żółtéj. A prawa te wywołane zostały obawą, że robotnik chiński, zdolny i tani, będzie niebezpiecznym konkurentem dla miejscowych robotników. Podobnie i w Australii, kolonie angielskie w ten sposób zabezpieczyły się od tak niebezpiecznéj konkurencyi. Zabezpieczenie to jednak można uważać tylko za chwilowe, gdyż z czasem i Chińczycy, do których kraju wstępu europejczycy domagają się za pomocą armat, będą się domagać, na mocy prawa wzajemności, dopuszczenia i swoich poddanych do krajów europejskich, wtedy dopiéro ta konkurencya przedstawi się w całéj swojéj grozie. Niebezpieczeństwo téj konkurencyi rasy żółtéj w przemyśle przedstawia się już nie jednemu daléj patrzącemu ekonomiście. Tak np. Leroy-Beaulieu twierdzi, że trzeba było zaprosić na konfeerencyą berlińską, ustanawiającą 8 godzin pracy, Chińczyków i Japończyków z powodu możliwéj z nimi konkurencyi. Ekonomista ten boi się, żeby narody te, zaopatrzone w nasze wiadomości techniczne i nasze maszyny, nie pokazały za kilkadziesiąt lat narodom europejskim, co mogą ludy, które nie zatraciły jeszcze tradycyi pracy. W saméj rzeczy ludy te mogą się stać groźnemi konkurentami dla przemysłu, a wskutek tego

i dla całego ekonomicznego bytu ludów kultury europejskiéj z powodu, że mają taniego, zdolnego i wytrwałego robotnika [1]).

Wobec tego wszystkiego dochodzimy do wniosku, że zarówno jednostki jak i całe narody winny się starać o odpowiednie na drodze wykształcenia uzdolnienie do owéj walki konkurencyjnéj, która ich czeka. Uzdolnienia tego jednak nie da wykształcenie klasyczne. Stąd téż pochodzi, że wszystkie narody żywo obchodzi sprawa reformy, bardziéj odpowiadająca ich obecnemu stanowi i potrzebom. Dla wszystkich wogóle jest ona kwestyą kultury, dla niektórych nawet kwestyą bytu. I dla tego sądzimy, że im wcześniéj ona nastąpi, tém lepiéj będzie dla społeczeństwa. Jakkolwiek ze wszech miar reforma taka byłaby pożądaną, nie sądzimy wszakże, aby mogła wkrótce nastąpić. Przyczyny tego są rozliczne.

Pierwszą może jest ów wrodzony ludzkości konserwatyzm, co nie pozwala ideom prędzéj przedostawać się w głąb społeczeństwa i żeby zmienić powoli jego usposobienie i przekonanie. Bywa on do tego stopnia silny, że ogromna większość ludzi nie zadaje sobie nawet trudu poddać krytyce istniejące urządzenia, choćby one ich potrzebom nie odpowiadały, choćby im nawet przynosiły szkody lub narażały na niebezpieczeństwa. Poprzestają oni na tém, co jest, choćby to było złe, nawet w ich przekonaniu, nie starając się o coś lepszego. I oni jednak nic przeciwko reformie nie poradzą; i oni będą uniesieni prądami, ożywiającemi i kierującemi nowożytne społeczeństwo. Następna przyczyna polega w tém, że sama reforma przedstawia pewne trudności w przeprowadzeniu. Może być urzeczywistniona albo za pomocą pewnych faktów, że się wyrażę, negacyjnych, albo stanowczych. Pierwsze mogą być nader łatwo wykonane. Tak np. wystarcza jedno rozporządzenie, ażeby zrobić język grecki nieobowiązkowym, albo obowiązkowym tylko dla tych, którzy jak filologowie do dalszych potrzebują go zajęć. Innego rodzaju reformy są trudniejsze do przeprowadzenia. I tak gdyby było postanowione, że lingwistyczne wykształcenie uczniów ma się zaczynać od nowych języków, i że te winny stanowić podstawę. W tym razie trzeba będzie bowiem przedewszystkiém postarać się o odpowiednią ilość stosownie przygotowanych nauczycieli. A wiadomo nam, że gimnazyalna reforma w Szwecyi, polegająca właśnie na pierwszeństwie języków nowych, nie przynosiła

[1]) Leroy-Beaulieu, R. d. d. M. 1890, str. 668. Zarobek męskiego robotnika w Japonii za 12—14 godzin pracy dziennéj w rolnictwie, nie przechodzi 30 centymów (12 kopiejek), w przemyśle od 45—60 centymów (18 — 24 kop.). Kobiéta zarabia tylko 32½ cent. (13 kop.). A trzeba przypomnieć sobie, że oba te kraje liczą 440 milionów ludności, przewyższają przeto o wiele ludność całéj Europy.

z początku odpowiednich rezultatów, właśnie z powodu braku należycie uzdolnionych nauczycieli.

Należy zwrócić uwagę i na to, że wszelka reforma pedagogiczna napotyka wielkie przeszkody i z tego powodu, że choćby plan jéj był najlepiéj obmyślany, zawsze wykonanie musi być powierzone tym samym nauczycielom. Nie można się jednak dziwić, że ludzie ci opierając się na dawnéj tradycyi, będą albo w większéj części obojętni dla reformy, albo wprost jéj nieprzychylni. Widoczném jest, że wielu z nauczycieli, zwłaszcza języków starożytnych, którzy przez długie lata w wykształceniu klasyczném przyzwyczaili się widziéć jedyny środek rozwoju umysłowego, którzy znajdują w niém upodobanie i którym miłość własna nawet przeszkadza do wyrzeczenia się dawnych ideałów, będą jéj najsilniejszymi przeciwnikami. Ta miłość własna będzie im przeszkadzać do przyznania, że wykształcenie klasyczne, jeżeli nie jest zupełnie bezpożyteczne, to przynajmniéj nader wątpliwéj wartości, że korzyści jego nie stanowią dostatecznego wynagrodzenia za tyle lat najpiękniejszego wieku młodzieży. Jak jednak opór lub tajona niechęć może być silna, dowodzi ta okoliczność, że we Francyi reforma Forboula, zaprowadzająca za Napoleona III systemat tak zwanéj bifurkracyi, rozbiła się tylko o głuchą niechęć stanu nauczycielskiego. Był on jéj przeciwnym nie tyle ze względów pedagogicznych, bo nie była tak złą, jak o niéj mówiono, ale raczéj ze względów politycznych. Widziano w niéj środek rządu cesarskiego do poniżenia uniwersytetu i dla tego upadła. Tak samo i obecnie reforma z 1880 r. napotyka najważniejszą przeszkodę w starych metodach, których stan nauczycielski nie może się wyrzec.

Ale pomimo to wszystko reforma ta nastąpi. Wykształcenie bowiem, dostarczane w średnich zakładach, nie może uniknąć wpływu tych praw, według których rozwijała się i rozwija ludzkość. Długo pozostawało ono na tém samém stanowisku, w stagnacyi, kiedy wszystko koło niego postępowało naprzód. Dotychczas ta inercya nie przeszkadzała mu żyć, ale skończy się to, kiedy rozpowszechni się jeszcze więcéj przekonanie, że nie oddaje tych usług, których społeczeństwo ma prawo od wykształcenia średniego, od gimnazyów wymagać. Przyjdzie więc czas, kiedy wykształcenie klasyczne będzie zmuszone ustąpić miejsca w y k s z t a ł c e n i u n o w e m u, wymaganemu przez potrzeby społeczeństwa nowożytnego.

A teraz jeszcze kilka słów o niém na zakończenie.

Jedną z ważniejszych składowych części tego nowego wykształcenia są języki nowożytne, mające w przyszłości odegrać tę rolę, jaką dotychczas odgrywały języki klasyczne w wykształceniu średniém.

Należy jednak zwrócić uwagę, że i w tym względzie przesada może przynieść więcéj szkody, niż pożytku. Niektórzy bowiem, oceniając ich ważność, chcieliby za wiele, chcieliby, ażeby uczniowie w gimnazyum uczyli się kilku języków. Przesada w tym kierunku jest naturalnym wypływem tego, że w dotychczasowém wykształceniu głównie zwracano uwagę na lingwistyczną jego stronę i dla tego przedewszystkiém uczono języków. Tylko w nowszych czasach, w skutek powstania kierunku realnego, zaczęto zwracać bardziéj uwagę na stronę naukową. Może ona doprowadzić do tego, że uczniowie, mając się uczyć za wiele języków, żadnego z nich dobrze umiéć nie będą, że w głowie ich powstanie prawdziwa wieża Babel. Tymczasem każdy bezwątpienia zgodzi się na to, że lepiéj jest umiéć dobrze choćby tylko jeden język obcy, dla poznania rozwoju drugiego narodu, aniżeli początki lub niedokładną znajomość kilku, z których żadnego pożytku osiągnąć nie można.

Kwestya ta jest nader ważna z dwóch powodów. Najprzód dla tego, że przeciążanie pamięci uczniów zbyt wielką ilością form gramatycznych będzie im przeszkadzało do osiągnięcia wyższego stopnia rozwoju umysłowego. Nie każdy uczeń ma zdolności lingwistyczne Mezzofantiego, wskutek czego, nie mogąc podołać trudnościom językowym, będzie zmuszony zaniedbać rozwój umysłowy w innym kierunku. Następnie kwestya ta jest nader ważną i dla tego, że od niéj zależy w znacznéj części pomyślny rozwój wyższych zakładów naukowych, a nawet nauki wogóle. Pod tym względem śmiało powiedziéć można, iż jeżeli wyższe zakłady naukowe, uniwersytety, nie przynoszą tych korzyści, jakich mamy prawo od nich wymagać, jeżeli rezultaty uniwersyteckiego nauczania nie są zadawalniające, to winę tego w znacznéj części należy przypisać niedostatecznéj znajomości przez studentów języków nowych. Uczniowie z gimnazyum przychodzą do uniwersytetów z bardzo małą znajomością języka greckiego, którego starają się jak najprędzéj zapomniéć, z niewielką tylko znajomością łaciny, z któréj mogą zrobić nader ograniczony użytek w przyszłych swoich zajęciach naukowych, ale z zupełną prawie nieznajomością języków nowych. Tymczasem gdzież przyszły lekarz, matematyk, przyrodnik, a nawet prawnik, winien szukać nauki, po którą przyszedł do uniwersytetu, jeżeli nie w dziełach nowych autorów? jakim sposobem może tę naukę znaleść, jeżeli klucza do niéj nie posiada, jeżeli nie znając języków nowych, nie potrafi czytać tych autorów i rozumiéć? Dla tego za konieczny warunek przyszłego nowego wykształcenia należy uważać przynajmniéj znajomość jednego obcego nowego języka, ale taką, żeby była rzeczy-

wistą pomocą do przyszłych naukowych zajęć w uniwersytecie lub innym wyższym zakładzie naukowym. W średnich wiekach, kiedy dzieła naukowe pisano w jednym tylko języku łacińskim, kiedy kto tylko chciał dojść do wyższego wykształcenia, musiał przedewszystkiem postarać się o dokładną znajomość łaciny, było to warunkiem niezbędnym. W nowych czasach nikt prawie nie pisze naukowych książek po łacinie, do nauki zaś, wykształcenia, można dojść za pomocą różnych języków. Stąd zatém wypływa, że dokładna znajomość przynajmniéj jednego z nich stała się obecnie koniecznością.

A wreszcie czyż można zapomniéć o tém, że dotychczasowe średnie zakłady naukowe, mając na celu wyłącznie lingwistyczne lub naukowe wykształcenie, prawie zupełnie zaniedbywało stronę moralną, kształcenie uczniów i pojęć moralnych. Jeżeli jednak zaniedbanie to mogło być wybaczaném w dawnych szkołach, nie możnaby go darować w nowych. Nowe wykształcenie bardziéj jeszcze niż dawne potrzebuje zwracać uwagę na stronę moralną człowieka, na wykształcenie *der schönen freien Menschlichkeit und edlen Geistesbildung*, jak się wyrażał Humboldt. A przyczyną tego jest właśnie ów rozwój ekonomiczny, charakteryzujący współczesne społeczeństwo, ta powszechna konkurencya, będąca jego następstwem, która mogłyby zagrażać najpoważniejszemi niebezpieczeństwami, jeżeliby nie były hamowane i powstrzymywane moralnemi względami. Brak pewnych wiadomości wyniesiony ze szkół może być bardzo dobrze uzupełniony, nawet po ich ukończeniu. Przeciwnie, braku pojęć i uczuć moralnych, nie nabytych w młodości, nic już nie potrafi zastąpić. Dla tego téż nowe wykształcenie winno się starać nie tyle o to, żeby ze szkół doskonali filolodzy lub biegli wychodzili realiści, ile szlachetni i cnotliwi ludzie.

Antoni Okolski.





Xawery Liske.



W dniu 27 lutego b. r. zakończył żywot pełen pracy i zasług wytrawny badacz i znawca dziejów, znakomity profesor i twórca, bodaj czy nie jedynéj, w całém tego słowa znaczeniu, szkoły historycznéj u nas, jeden z najwyżéj cenionych wydawców źródeł naszych dziejów, a także w najpiękniejszém tego wyrazu rozumieniu obywatel wzorowy: charakter jednolity a jak łza czysty, gorący miłośnik wszystkiego, co piękne, zacne i dobre, obrońca każdéj sprawy godziwéj odważny i śmiały, wielu zbawiennych rzeczy inicyator. Śmierć przedwczesna rozwiązała tragiczną walkę jego silnéj woli i potężnego umysłu z chorobą od lat wielu niweczącą ciało, walkę, w któréj tak długo ta jego wola była zwycięską, że nikt prawie z licznego grona przyjaciół, z szerokiego koła uwielbiających go uczniów, śledzących ze współczuciem i niepokojem postępy choroby, nie przypuszczał tak rychłego końca: przywykliśmy tak do widoku jego cierpień i męki, a czuliśmy tak głęboko potrzebę jego dalszéj pracy, jego dalszego przewodnictwa, że w tém poczuciu zapominaliśmy, iż należy mu się już oswodzenie od mąk i odpoczynek, i pragnęliśmy, by żył jeszcze, tak był mimo swéj niemocy potrzebnym.

Szczegóły żywota ś. p. Liskego tudzież owoce jego pracy naukowéj znane są czytelnikom „Ateneum“, które niedawno temu podało treściwy życiorys zmarłego [1]). Nie będziemy tedy wszystkich szczegółów tych powtarzać, wystarczy przypomnieć najważniejsze tylko dane jego życia, na których tle staje się jego działalność a zarazem jego indywidualność więcéj zrozumiałą, które, choć niejakie światło

[1]) Ob. zesz. za luty r. b. str. 411—412. (Przyp. red.).

rzucają na jego wyrobienie się do tego kształtu duchowego, jakim się odznaczał w społeczeństwie.

Urodzony w Wielkiém Księstwie Poznańskiém (w r. 1838). Kształcił w gimnazyum w Lesznie a ukończywszy je (w r. 1859) wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu w Wrocławiu. Nauki na czas niejaki przerwał i wtedy nabawił się zarodów choroby, któréj ostatecznie uległ. Następnie słuchał wykładów na uniwersytetach w Berlinie i Lipsku, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii (r. 1867). Dalsze dwa lata poświęcił badaniom i poszukiwaniom źródeł, dotyczących naszych dziejów, w bibliotekach i archiwach pruskich, a równocześnie ogłaszał cały szereg prac własnych tudzież zaznajamiał obcy świat uczony z ruchem naukowym na polu historyi u nas, przez recenzye i sprawozdania, w pismach fachowych niemieckich umieszczane. Prace jego pomieszczały też i pisma w kraju wychodzące. Jedna z jego krytyk, a mianowicie ocena „*Monumentów Poloniae*“, zwróciła na młodego recenzenta uwagę sędziwego ich wydawcy, Augusta Bielowskiego. Uderzony trafnością jego spostrzeżeń, postanowił pozyskać tę siłę dla Lwowa, w którym on wówczas skupiał koło siebie pracowników historyi, i za jego staraniem poruczył wydział krajowy Liskemu wydawnictwo „Aktów grodzkich i ziemskich“ (r. 1869). W chwili, gdy Liske, czyniąc zadość temu wezwaniu do Lwowa przybywał, habilitował się na tymże uniwersytecie i rozpoczął wykłady z dziejów powszechnych. Dalsze koleje życia, godności, jakie piastował, są znane, o tém zaś jak pojmował swe obowiązki, jak je wypełniał, mimo, że choroba od lat prawie dziesięciu przykuwała go do łoża boleści, wspomnimy poniżéj.

Od natury obdarzony zdolnościami wybitnemi, przywykły do obserwacyi skrupulatnéj, któréj się nauczył, oddając się z zamiłowaniem studyom nauk przyrodniczych, rozporządzając znacznym zasobem wiedzy nabytym w szkołach, przejął się metodą krytycznego badania i postanowił przyswoić ją polskiéj nauce, a nie mając podówczas innéj sposobności ku temu, usiłował spełnić to zadanie w swych pracach, już od pierwszéj począwszy. Jasność i trzeźwość myśli, stanowczość zdania opartego na wszechstronném zbadaniu źródeł i poddaniu wiadomości, w nich zawartych, ścisłéj i sumiennéj krytyce, wreszcie w częściach polemicznych silna argumentacya, świadcząca o zupełném owładnięciu przedmiotu, — oto znamienne cechy prac historycznych zgasłego profesora. Można do tego dodać jeszcze jedno znamię charakterystyczne, ze względu zwłaszcza na czas w którym te prace a szczególnie pierwsze powstawały: wszyst-

kie mają przedmiot ściśle ograniczony i zamknięty, poświęcone są badaniu pewnych drobnych epok, nie obejmują szerokiego zakresu, są w ścisłém tego słowa znaczeniu monograficznemi opracowaniami. Było to wówczas, kiedy Liske zaczynał pracować, nowością w naszéj historyografii, a jakkolwiek nowością dla postępu wiedzy bardzo korzystną, to jednak połączoną z nieprzyjemnemi następstwami dla tych, co ją wprowadzali, czytający bowiem ogół przywykły do dzieł o obszerniejszych tematach i epokach, dających autorowi sposobność do roztoczenia przed czytelnikiem barwniejszego obrazu przeszłości, rozwinięcia imponujących oryginalnych poglądów na nią, nie mógł zasmakować w suchych i ścisłych pracach monograficznych mozolnie zbierających fakta i rekonstruujących małe zaledwo obrazki. Uważano to za oschłość i gubienie się w drobiazgach, nudne i pedantyczne i—nie bardzo chętnie czytano. Mówimy oczywiście o ogóle publiczności. Może były wreszcie i inne jeszcze powody, dla których prace Liskego nie znajdowały łaski u téj publiczności: forma zewnętrzna ich nie była dość udatną, język i styl dość wypolerowanym, znać w nich, że autor długo mówił i pisał, że się uczył w obcym języku; a nakoniec autor nie chciał nigdy i nie umiał olśnić czytelnika frazesem, udramatyzować rzeczy swéj dla efektu. Wszystkie pozornie ujemne strony nie uszczuplają jednak wartości naukowéj tym pracom i każdy historyk musi się liczyć z wypowiedzianém w nich zdaniem. Ceniąc je, jak na to zasługują, większą daleko wagę przywiązujemy do działalności Liskego, jako krytyka prac historycznych. Doskonale do tego rodzaju działalności przysposobiony, wyposażony umysłem na wskroś krytycznym, oryentujący się w przedmiocie, dzięki znajomości źródeł i literatury, bardzo łatwo, umiał znaleść i podnieść w sposób właściwy zalety pracy, o któréj pisał, zarówno jak wytknąć dosadnie jéj błędy. Praca jego na tém polu nie jedno mylne pojęcie usunęła, nie jedną zawiłą kwestyę rozwiązała a wywołując nieraz polemikę (jak np. w sprawie metody wydawania dyplomataryuszy), przyczyniła się do ustalenia pewnych zasad, odtąd w nauce wyznawanych. Poniekąd słusznie robiono niektórym recenzyom Liskego zarzut zbytniéj surowości, zbyt namiętnego wystąpienia, nazwaliśmy go poniekąd słusznym, jest bowiem takim, ze względu na formę i ton, które mogły były być łagodniejsze, nie ze względu jednak na treść zarzutów, które w nich Liske podniósł, zarzutów faktycznych kwestyi dotyczących, a dotąd jeszcze naukowo i przedmiotowo nierozsądzonych. Do prac na tém polu przez zmarłego podjętych należą także krytyczne sprawozdania, w których zaznajamiał uczony świat zagraniczny z treścią i zaletami najnowszych publikacyi naszéj

literatury historycznéj, mających znaczenie także dla zagranicy. Nie podobna nam tu wdawać się w rozbiór choćby najogólniejszy tych krytycznych poglądów, ogłaszanych w języku niemieckim przeważnie a nadto w języku duńskim i szweckim, wystarczy powiedzieć, że znaleźć w nich można treściwie zreasumowany sąd krytyki o publikacyach wspomnianych, a zarazem sąd o nich samego Liskego zawsze trafny, nieraz zupełnie oryginalnie jakąś sprawę rozwiązujący (np. sprawę czasu napisania memoryału Ostroroga, w „*Sybels Hist. Zeitschrift*).

Odrębny rodzaj działalności Liskego stanowi jego praca wydawnicza. Wiedząc, jaką podstawą rozwoju współczesnéj historyografii niemieckiéj, jest cały szereg wydawnictw, ogłaszających krytycznie przeróżne źródła dziejowe, pragnął od dawna pójść za tym przykładem u nas i wyrażał potrzebę podjęcia takich wydawnictw już w pierwszych początkach zawodu swego pisarskiego. Wspomnieliśmy powyżéj, jak został powołany na wydawcę aktów grodzkich i ziemskich, od r. 1869 do ostatnich dni życia nad têm wydawnictwem pracował gorączkowo z natężeniem sił wszystkich; patrząc nań wśród téj pracy, odnosiło się wrażenie, że ona łagodzi jego cierpienia chorobą wywołane. W łóżku przysuniętém pod okno dla lepszego światła, otoczony księgami archiwalnemi, porównywał odpisy z oryginałami, rozstrzygał wątpliwości paleograficzne, objaśniał tekst, zajmował się nawet korektą druku, niestrudzenie do chwil ostatnich. Materyał ten, ciekawe, nowe, zawarte w nim szczegóły, stanowiły ulubiony temat jego rozmów, tak ukochał to wydawnictwo całą siłą gorącéj duszy. W ten sposób opracował czternaście tomów (od t. II do XV włącznie), wydał zaś trzynaście, wydania bowiem tomu czternastego (w zbiorze XV t.) nie doczekał, jakkolwiek bowiem opracował go zupełnie a nawet i wydrukował w przeważnéj części, to jednak nie skończono przed jego śmiercią całości i pozostaje jeszcze w druku parę arkuszy.

Nie tu miejsce poddawać ocenie doniosłość tego wydawnictwa; znają je pod tym względem czytelnicy „Ateneum“, z szczegółowych sprawozdań i krytyk, które to pismo ogłaszało z chwilą ukazania się prawie każdego z tych tomów. Przypominamy więc tylko, że obejmują one wielkiéj wagi materyały do dziejów tak zewnętrznych jak przeważnie wewnętrznych Rusi Czerwonéj, a zarazem pierwszorzędnego znaczenia materyały do historyi prawa polskiego. Pierwszą część wydawnictwa (tomy II—IX włącznie), obejmuje dyplomataryusz i o ile dotąd wiadomo, zebrano w nim wszelkie dokumenta

pochodzące z czasu wieków średnich, które tylko były dla wydawcy dostępne, a nie szczędził on trudu, by zebrać wszystko, co do chwili rozpoczęcia wydawnictwa rozrzucone było po bibliotekach prywatnych i publicznych, archiwach miejskich, klasztornych i kapitulnych. Dokonane starannie, z zachowaniem ścisłéj na zachodzie wyrobionéj metody, wydawnictwo to, wraz z publikacyami wzorowemi dra Piekosińskiego, sprawiło przewrót w sposobie ogłaszania dyplomatów i pod tym względem zrównało nas z zagranicą. Część druga wydawnictwa (tomy XI—XV) zawiera zbiór ksiąg sądowych sanockich i halickich, przemyskich i przeworskich, tudzież lwowskich. Zbiór ten, lubo nie dokończony do tego stopnia, jak było zamiarem zmarłego, jest dziś najbardziéj wyczerpującym, najobszerniejszym ze wszystkich, jakie dotąd posiadamy a jako wydawnictwo zabytków praktyki sądowéj, sądownictwa zarówno spornego jak niespornego, zapełnił dotkliwą lukę, jaka istniała w wydawnictwie źródeł prawa polskiego, które do niedawna (z wyjątkiem usiłowań Helcla) ograniczało się do publikacyi pomników ustawodawstwa. Dziś dzięki Helclowi, Liskemu, ks. Lubomirskiemu, Ulanowskiemu i Lekszyckiemu, braku tego nie ma, a posiadając w ich wydawnictwach cenny materyał, uzupełniający zakres wiedzy prawniczéj, możemy sobie bodaj w tych epokach, których one dotyczą, stworzyć całokształt instytucyi prawnych. Zbiór Liskego zaś ma tę zaletę przed pracami wymienionych wydawców, że z jednéj strony jest terytoryalnie jednolitym, obejmuje bowiem duży kompleks ziem, z sobą sąsiadujących, z drugiéj zaś strony, że zbiór ten jest zupełnym, że nic w nim nie opuszczono i że chronologicznie sięga najdaléj, bo aż po ostatnie lata XV, a nawet do początku XVI wieku. Zasługa Liskego niespożyta w tém, że najpierw, jakkolwiek nie prawnik, odczuł, idąc za śladem Helcla, potrzebę publikacyi takiego właśnie materyału, że go z wysiłkiem sił i zdrowia tak dalece posunął, iż dziś następcom jego w téj pracy po przełamaniu największych trudności, po wskazaniu jak tego rodzaju materyał ma być wydawanym, zostało łatwe zadanie prowadzenia rzeczy daléj wskazanym przezeń torem.

Jaka to była praca, jakiéj wytrwałości wymagała, dać może miarę ten fakt, iż poprostu trzeba było pierwotne księgi odtwarzać, złożone były bowiem z poszczególnych zeszycików, a czasem nawet arkuszy, które bez ładu oprawiono, dopiéro z polecenia rządu austryackiego z początkiem bieżącego stulecia, bez znajomości rzeczy, bez względu na treść i czas pochodzenia; daléj fakt, iż każdą z zapisek uporządkowanych chronologicznie, trzeba było rozważyć co do jéj

treści o ile kwalifikowała się do podania w całości lub w wyciągu, a wreszcie, że odcyfrowanie ich nastręczało nie małe trudności paleograficzne z powodu nieczytelności pisma i zniszczenia papieru przez czas i wilgoć. A zapisek takich wydał Liske i dla nauki ocalił pokaźną cyfrę: 19417. Jeśli dodamy, że w tomie X tego samego wydawnictwa objął Liske 7446 dokumentów, oblatowanych w grodzie lwowskim a podanych w streszczeniu dokładném, tudzież, że ogółem w tomach II—IX wydał bądź po raz pierwszy, bądź powtórnie ale w poprawnym tekscie, 1161 dokumentów publikowanych *in extenso*, to może damy czytelnikom miarę jego pracy i zasługi, jako wydawcy, pracy tém cenniejszéj i zasługi tém większéj, iż jak już wspomnieliśmy, wydawnictwa te utorowały u nas drogę nowym zasadom udoskonalonéj metody wydawniczéj. Zasady te: wierne oddanie tekstu dyplomatów z wszelkiemi jego charakterystycznemi cechami, zbadanie autentyczności dokumentu ścisłe, oznaczenie czasu pochodzenia sumienne, nie ustąpią już nigdy miejsca dawnemu dyletantyzmowi.

Na zakończenie niniejszego wspomnienia zostawiliśmy sobie charakterystykę Liskego, jako profesora i człowieka. Właściwie wypadałoby może tym polom jego działania, jako najważniejszym, jako tym, na których najwięcéj zasług położył, największą część poświęcić. Obawa, że nie zdołamy opanować uczuć osobistych uwielbienia i wdzięczności, krępuje piszącego tak, iż ograniczyć się musi do jaknajtreściwszéj tylko charakterystyki.

Wspomnieliśmy już powyżéj, w jakich warunkach objął Liske wykład dziejów powszechnych na uniwersytecie we Lwowie. Już te warunki same zjednały mu słuchaczy od razu, niemniéj jak sława gruntownego badacza przeszłości, z jaką tu przybył. Wykłady opracowane starannie, zaznajamiające uczniów z najnowszemi wynikami badań na polu nauki dziejów i drogą, po któréj się do nich dochodzi, wywołały zainteresowanie się żywe przedmiotem w pośród młodzieży. Prelekcye cechowały te same znamiona, któreśmy powyżéj mówiąc o pracach Liskego podali: jasność i trzeźwość przedstawienia, treściwość i nieco sucha forma zewnętrzna, która jednak dzięki formie wygłoszenia nie raziła. Rzecz dziwna, Liske nie wykładał lecz czytał, a czytał nerwowo i szybko, ale odczyty jego nie były nigdy monotonne, utrzymać umiał ciągle uwagę słuchających w natężeniu przez intonacyę głosu, w któréj słuchający czuli, jak profesora samego przedmiot zajmuje i ożywia, i dawali się temu zajęciu porywać. Reszty dokonywalo osobiste zetknięcie się, przy ćwiczeniach w semina-

ryum historycznėm, którego zmarły był kierownikiem. Z Niemiec zapewne, gdzie sam, jak z wdzięcznością zawsze przyznawał, doznał wiele od swych profesorów, przywiózł pojęcie obowiązków nauczycielskich bardzo szerokie i umiał zawsze odpowiedzieć temu wzorowi w całéj pełni: był nietylko wzorem w pracy i przewodnikiem w niéj, był także przyjacielem i opiekunem swych uczniów. Miał dziwny dar poznawania zdolności ich i zamiłowań w krótkim czasie: dla każdego umiał znaleźć odpowiednie pole pracy, umiał do niéj zachęcić serdecznėm słowem, dobrą wskazówką; mimo, że w sądzie o robotach uczniów był zawsze surowym i bezwzględnym, nie zniechęcał nim przecież ale dodawał bodźca do dalszéj pracy w imię sumienności i bezstronności historycznéj. Dzielił się z niemi całą swą wiedzą: udatne wypracowanie ucznia cieszyło go jakby własne, chętnie udzielał materyałów, które sam zebrał, tematów, nad któremi sam kiedyś pracował, wyrzekając się w ten sposób miłości własnéj. A iluż dopomógł, ilu ułatwił odbycie studyów, wyrabiając stypendya, dostarczając sposobności zarobku, ilu podniósł, dopuszczając ich do obcowania z sobą? To téż jakkolwiek nie było mu danėm doczekać późniejszego wieku — miał tę pociechę i chwałę, że kilku uczniów swoich widział w ostatnich latach życia w rzędzie kolegów swych w uniwersytecie, że cały zastęp ich pracował uczciwie i rzetelnie w kierunku przezeń wskazanym, w miarę sił i zdolności dla korzyści nauki, że wreszcie całe to grono uczniów, starszych i młodszych z okresu dwudziestoletniéj działalności profesorskiéj otaczało go prawdziwa czcią i wdzięcznością. Wyrazem tych uczuć było założenie w piętnastoletnią rocznicę działalności Liskego towarzystwa historycznego we Lwowie i jego organu „Kwartalnika“, przez uczniów, którzy wiedzieli, że nie potrafią lepiéj uczcić profesora, niż stworzeniem dlań szerszéj i nowéj podstawy działania i organu, o którym zawsze marzył, wyrazem dalszym—praca ich tak w towarzystwie, jak piśmie a wreszcie uroczysta owacya podczas ostatniego zjazdu historycznego. Liske odpłacał im to miłością prawdziwie ojcowską a skończył ten piękny stosunek słowami wyrzeczonemi w godzinie śmierci: „błogosławię wszystkich uczniów“.

U wstępu nazwaliśmy zmarłego obrońcą każdéj rzeczy godziwéj odważnym i śmiałym, wielu zbawiennych rzeczy inicyatorem, a poprzéć to możemy przypomnieniem jego wystąpienia w r. 1867 przeciw ks. Bismarckowi, po znanéj mowie jego w parlamencie pruskim, tudzież jego skutecznéj obrony żywotności lwowskiego uniwersytetu przeciw atakom prof. Suessa i centralistów wiedeńskich; przypomnie-

niem udziału w założeniu Koła Literackiego we Lwowie, w niesieniu pomocy Zagrzebowi, gdy miasto to zniszczało wskutek trzęsienia ziemi, w zorganizowaniu drugiego zjazdu historyków, a wreszcie w myśli, którą na tym zjeździe rzucił, utworzenia w całym kraju, gdzie tylko się znajdą chętne ku temu żywioły, ognisk życia naukowego, myśli, którą w rzeczywistość zamienić będą się starać jego następcy, bo jemu nie starczyło już czasu.

Przedwcześnie zaiste wydarła nam śmierć męża, który czynem dowiódł, że słowa pierwszego dziejopisa naszego Długosza: „*unusquisque tanti in patriam debitor est, quantum ingenii sui* [illegible] *possunt exsolvere*“ — nie są czczym frazesem, bo ile sił starczyło, powinności swoje wypełnił.

Dr. Henryk Sawczyński.





Franciszek Miklosich.



I.

Najznakomitszy przedstawiciel filologii słowiańskiej, Franciszek Miklosich [1]), umarł w Wiedniu dnia 7-go marca r. b. w 78-ym roku życia, pełnego nadzwyczajnych zasług na polu naukowém i niespożytéj sławy. Przez śmierć jego nietylko filologia słowiańska, którą prawie przez pół wieku dźwigał na swych barkach, lecz językoznawstwo wogóle niepowetowaną ponosi stratę. Nietylko bowiem tę naukę, któréj bezpośrednio poświęcił wytrwałą i nader skuteczną pracę długiego żywota, Miklosich podniósł do takiéj wysości, o jakiéj twórca filologii słowiańskiéj J. Dobrovský nawet marzyć nie mógł, lecz i dla lingwistyki porównawczéj zrobił bardzo wiele, dostarczywszy jéj obfitego materyału językowego, zbadanego krytycznie.

W r. 1844-ym, w którym Miklosich po raz pierwszy wystąpił z pracą naukową, filologia słowiańska, pomimo cennych prac J. Dobrowskiego (1753—1829), A. Wostokowa (1781—1864), B. Kopitara (1780—1844) i innych, była zaledwie w zawiązkach i dziś, po upływie niespełna pół wieku, wypełnionego pracą tego niepospolitego uczonego, jakotéż licznych jego bezpośrednich i pośrednich uczniów, nauka ta, uprawiana nietylko we wszystkich krajach słowiańskich, lecz tak-

---

[1]) Tak się podpisywał zmarły uczony, według dawnéj ortografii jeszcze z czasów przed reformą pisowni południowosłowiańskiéj, dokonanéj przez Ludowita Gaja. Rodacy Miklosicha piszą dziś: Miklošič (Fran), Kroaci: M i k l o š i ć, u nas przyjęła się pisownia: M i k l o s i c z, choć ze względu na słoweńskie M i k l o š i č odpowiedniejszą byłaby pisownia polska: M i k l o s z y c z.

że w Niemczech, we Francyi, w Anglii, w Danii i w Szwecyi, poszczycić się już może obfitym bardzo plonem i cennemi zdobyczami. Liczne katedry uniwersyteckie w różnych krajach europejskich, jako też wydawnictwa i czasopisma naukowe pracują nad dalszym rozwojem tej najmłodszej z filologii nowożytnych (po germańskiej i romańskiej). W znacznej już dziś liczbie badaczów języków słowiańskich, Miklosichowi bezsprzecznie należy się pierwsze miejsce. Żaden inny uczony slawista nie posiadał wiedzy tak rozległej z zakresu nietylko wszystkich języków słowiańskich, lecz także innych indoeuropejskich, a nawet języków nienależących do szczepu indoeuroejskiego, np. madziarskiego, żaden inny nie pracował tak wszechstronnie na wszystkich polach językoznawstwa słowiańskiego.

Urodził się Fran [1]) Miklosich 20 listopada 1813 r. w Radomerszczaku (Pichelberg), około miasteczka Lutomierza (Luttenberg) w południowej Styryi, zamieszkałej przez Słoweńców. W r. 1817 rodzice Miklosicha, ojciec Jerzy i matka Marya z Zobowiczów, przenieśli się do pobliskiego Lutomierza, gdzie syn ich uczęszczał do szkoły elementarnej. W jesieni 1824 r. jedenastoletniego chłopca oddał ojciec do szkół łacińskich w Warażdynie, w dwa lata zaś później do gimnazyum w Maryborze. Po ukończeniu szkół w r. 1830-ym, Miklosich udał się do stolicy Styryi dla poświęcenia się tamże studyom filozoficznym. W Gracu, chciwy wiedzy student, zetknął się z kolegami z różnych krajów słowiańskich; poznał się tam także z niektórymi Polakami, z których jeden, hr. Władysław Ostrowski, wpłynął nawet poniekąd, jak zobaczymy, na dalsze losy Miklosicha.

Już w r. 1837 w styczniu, na podstawie świetnie zdanego pierwszego rygorozum filozoficznego, jeszcze przed uzyskaniem stopnia doktora filozofii (w jesieni r. 1837), poruczono Miklosichowi wykład filozofii w uniwersytecie gradeckim. Na tem stanowisku pozostał Miklosich do końca lipca 1838 r.

Ale jakoś pomimo tak wczesnego rozpoczęcia zawodu uniwersyteckiego, w którym później miał sobie zapewnić nieśmiertelną sławę, nie podobała się Miklosichowi otwierająca się przed nim karyera uniwersytecka. W jesieni r. 1838 udaje się na wydział prawny do Wiednia, a ponieważ już w Gracu przez lat 3 obok filozofii studyował był prawo, już w r. 1840 uzyskał stopień doktora praw na uniwersytecie wiedeńskim.

---

[1]) W jęz. słoweńskim — Franciszek. Wiadomości o życiu M. czerpię z dziełka Antoniego Trstenjaka p. t. „Fr. Ks. vitez Miklošič“ (nadbitka z „Matice Slovenske“ za r. 1883, 8-vo, str. 53).

Jak Grimm, Kopitar, Sreznievskij i inni jeszcze uczeni lingwiści, także najsławniejszy filolog słowiański próbował zawodu prawniczego, wstąpił jako młody doktór filozofii i praw do kancelaryi adwokackiéj d-ra Michała Bacha, ojca późniejszego ministra Aleksandra. Lecz niebawem za pośrednictwem hr. Wł. Ostrowskiego, zwolennik „Temidy“ poznaje się z rodakiem swoim sławnym Kopitarem, kustoszem nadwornéj biblioteki wiedeńskiéj. Kopitar, poznawszy niepospolite wiadomości i zdolności lingwistyczne Miklosicha, który już wtedy obok gruntownego wykształcenia filologicznego posiadał także znajomość języków włoskiego, francuskiego i angielskiego, z łatwością go nakłonił do porzucenia zawodu adwokackiego, któremu w Wiedniu zaczął się oddawać i wstąpienia do służby w bibliotece nadwornéj (1844 — 1862) i poświęcenia się zarazem zupełnie pracy naukowéj. W bibliotece nadwornéj, bardzo zasobnéj w materyały do filologii słowiańskiéj, Miklosich jął się z zapałem pracy naukowéj, a ponieważ Kopitar zaszczycał go swoją przyjaźnią i opieką, niezawodnie z bliskiego stosunku z tym uczonym Miklosich wiele skorzystał, jak sam się do tego późniéj przyznawał, wyrażając się o Kopitarze: „Był on w pewnéj mierze nauczycielem moim.“

Kopitar pragnął w Wiedniu stworzyć ognisko dla studyów nad językami słowiańskiemi i starał się o założenie w uniwersytecie wiedeńskim katedry: „*linguae slavicae antiquissimae communis et ecclesiasticae.*“ Gorące to życzenie miało się spełnić, ale dopiéro w pięć lat po śmierci Kopitara. W tym roku, w którym Miklosich wstąpił jako skryptor do cesarskiéj biblioteki nadwornéj (1844), umarł Kopitar. Miklosicha w tymże roku dotknęła jeszcze druga bardzo bolesna strata, śmierć matki.

Ojciec porównawczego (lepiéj: historycznego) językoznawstwa, Franciszek Bopp, wydawał wtenczas swoje dzieło p. t.: „*Vergleichende Grammatik des Sanscrit*, *Zend*, *Armenischen*, *Griechischen*, *Lateinischen*, *Lithauischen*, *Altslavischen*, *Gothischen und Deutschen*“ (3 tomy, 1833—1852). Miklosich już był w lingwistyce wykształcony do tego stopnia, że mógł podać krytykę dzieła tego w „*Wiener Jahrbücher*“ (1844, tom 105, str. 43—70). W téj pierwszéj pracy Miklosich dał się poznać, jako powaga na polu językoznawstwa słowiańskiego, wystąpił téż w niéj zarazem z gotowym programem, według którego zamierzał nadal naukę tę rozwijać.

W następnym roku wyszło pierwsze samodzielne dzieło Miklosicha p. t.: „*Radices linguae slovenicae veteris dialecti*“ (Lipsk, 1845, str. 147); na długo było ono prawie jedyném źródłem, tyczącém się języków słowiańskich dla uczonych etymologów niemieckich. Na pod-

stawie 16 rękopisów języka starosłowiańskiego (w redakcyi bułgarskiéj, serbskiéj i ruskiéj) i dwu wydań biblii (z lat 1581 i 1816), Miklosich podał w tém dziele przeszło 1,200 wyrazów pierwotnych języka starosłowiańskiego, dodając do nich przekład grecki i łaciński i porównanie z innemi językami indoeuropejskiemi. Równocześnie rozpoczął Miklosich krytyczne wydawnictwo pomników języka starosłowiańskiego [1]). Jeszcze w r. 1845-ym ukazała się w Wiedniu pierwsza z licznych prac jego na polu wydawniczém: „*S. Joannis Chrysostomi homilia in ramos palmarum slovenice latine et graece. Cum notis criticis et glossario*“ (8°, str. VIII + 72), w dwa lata późniéj: „*Vita S. Clementis, episcopi bulgarorum, graece.*“ Wydanie to poświęcone było cieniom Kopitara. W tymże roku (1847) wyszły jeszcze: „*Vitae Sanctorum. E codice antiquissimo paleoslovenice cum notis criticis et glossario*“ (8°, str. 54).

Rok 1848-my tak ważny w dziejach wewnętrznego rozwoju monarchii austryackiéj oderwał Miklosicha na czas krótki od pracy naukowéj. Rodacy z południowéj Styryi obrali go posłem do parlamentu austryackiego, którego członkiem był Miklosich w Wiedniu, a następnie w Kromierzyżu aż do chwili „*bis man uns alle auseinander trieb*“, jak się sławny uczony wyraził do młodego rodaka swego d-ra M. Murki [2]).

Jako członek parlamentu austryackiego, Miklosich poznał się z ministrem hr. Stadionem, który myślał o utworzeniu katedry filologii słowiańskiéj w uniwersytecie wiedeńskim, a poznawszy znakomitą wiedzę i wybitne zdolności Miklosicha, upatrzył go sobie na pierwszego profesora tego przedmiotu. Dnia 30-go kwietnia 1849 roku Miklosich otrzymał nominacyą na profesora nadzwyczajnego języków i literatur słowiańskich, a ponieważ wkrótce potém powołał go uniwersytet wrocławski, już w roku następującym minister hr. Thun,

---

[1]) Za ojczyznę języka, na który apostołowie słowiańscy, Cyryl i Metody, przetłómaczyli Pismo św., Miklosich uważał dawną Panonią, czyli siedziby dzisiejszych Słoweńców, dlatego ten język nazywa starosłoweńskim (*altslovenisch — lingua palaeoslovenica*). Inni uczeni, zwłaszcza niemieccy i czescy nazywają go starobułgarskim i w Bułgaryi szukają jego ojczyzny, inni wreszcie nazywają go cierkiewnosłowiańskim (*Altkirchenslavisch*) ze względu na jego używanie w liturgii u Słowian wschodnich. Język starosłowieński ze względu na starożytne formy, jest bardzo ważny dla badaczów języka słowiańskiego, podobnie jak np. język gocki dla germanistów.

[2]) Por. M. Murko: „Franz Miklosich“ w odcinku niemieckiéj „Presse“ z 17 marca r. b.

pragnąc tak już wówczas znakomitą siłę naukową zatrzymać w Austryi, mianował go profesorem zwyczajnym.

Teraz rozpoczął Miklosich zawód nauczycielski, do którego obok gruntownéj wiedzy, zdobytéj sumienną, samodzielną pracą, niepospolitych zdolności i wielkiego zamiłowania, wniósł jeszcze wielki zasób energii umysłowéj, pozwalającéj mu pokonać wielkie trudności, jakie mu się z początku musiały nasuwać. Aby słuchaczom, którzy z różnych krajów słowiańskich zaczęli się gromadzić w Wiedniu, dać materyał naukowy, trzeba było opracowywać krytycznie teksty słowiańskie, pisać podręczniki, jako to: gramatyki i słowniki. Miklosich, wydawszy już przedtém „*Radices*“ i kilka tekstów słowiańskich, zaraz w r. 1850 ogłosił 3 podręczniki dla swoich uczniów: 1) *Formenlehre der altslovenischen Sprache*“ (8°, str. 73). Książka ta z podręcznika, jakim była pierwotnie, w drugiém wydaniu (1854) została znacznie powiększona (VIII + 179 str.) i otrzymała charakter ściśle naukowy; 2) *Lautlehre der altslovenischen Sprache*“ (8°, 52 str.), krótkie zestawienie fonetycznych właściwości języka starosłowiańskiego, przeznaczone głównie dla uczniów autora; 3) „*Lexicon linguae slovenicae veteris dialecti*“ (8°, str. XIV + 204), słownik języka starosłowiańskiego, poświęcony księciu Michałowi Obrenovićowi. Z tych pierwszych dzieł Miklosicha, mających jeszcze poniekąd charakter podręczników uniwersyteckich, wymagających objaśnienia i uzupełnienia wykładem ustnym, powstały późniejsze wielkie dzieła naukowe Miklosicha, stanowiące epokę w językoznawstwie słowiańskiém.

W tym czasie wydawał on także czasopismo zbiorowe „*Slavische Bibliothek*“ (1851, 1858), które oprócz prac redaktora pomieszczało także prace różnych innych uczonych słowiańskich w ich własnym języku. Był tam także artykuł napisany po polsku przez St. Słotwińskiego: „Wspomnienia historyczne z podróży po Węgrzech.“

Ale i ces. Akademia umiejętności w Wiedniu już wcześnie Miklosicha zaliczyła w poczet swoich członków. W r. 1848 (1 lutego) zamianowała go swoim członkiem korespondentem, 28 lipca 1851 r. członkiem rzeczywistym. W uniwersytecie Miklosich był trzykroć dziekanem wydziału filozoficznego (w latach: 1851, 1856 i 1865), w r. zaś 1864-ym piastował godność rektora uniwersytetu wiedeńskiego, w akademii był sekretarzem wydziału filologicznego.

Był także przewodniczącym rządowéj komisyi egzaminacyjnéj dla kandydatów na nauczycieli gimnazyalnych (1854—1879).

Zasługi naukowe Miklosicha, jego skuteczna praca w uniwersytecie i w Akademii umiejętności, jego liczne i znakomite prace nauko-

we zjednały mu oprócz sławy jednego z najwybitniejszych uczonych europejskich, różne godności i zaszczyty. Był członkiem wielu towarzystw naukowych (między innemi Akademii krakowskiéj), w r. 1862-im został zamianowany dożywotnim członkiem Izby panów, w r. 1864 otrzymał dziedziczne szlachectwo austryackie, a po wielu innych odznaczeniach otrzymał wreszcie tytuł rzeczywistego tajnego radcy.

W r. 1883-im uczony świat wiedeński obchodził uroczyście 70-tą rocznicę urodzin sławnego uczonego. Wybito na jego cześć złoty medal, akademicka młodzież słowiańska w Wiedniu, z wyjątkiem Kroatów, grupujących się w stowarzyszeniu „Zvonimir", zgotowała mu serdeczną owacyą [1]), a rodacy jego urządzili wielką uroczystość ludową w Lutomierzu. Wyszły także z okazyi téj rocznicy dzieła naukowe, poświęcone sławnemu badaczowi języków słowiańskich, jak np. dzieło romanisty Hugona Schuchardta: „*Slawo-deutsches und Slawo-italienisches. Dem Herrn Franz v. Miklosich zum 20 November 1883*" (Grac, 1884) i Wagnera: „*Miklosich und die magyarische Sprachwissenschaft. Festschrift zum Jubiläum des Herrn Universitätsprofessors Dr. Franz Xaver Ritter von Miklosich in Wien*" (Preszburg, 1883).

W roku następnym (1884), przekroczywszy już siedmdziesiąty rok życia, musiał Miklosich, choć niechętnie, ustąpić z katedry uniwersyteckiéj, z któréj przez lat 35 głosił ulubioną swoję naukę, poleciwszy jeszcze uniwersytetowi na swego następcę uczonego Kroata, d-ra V. Jagića, ówczesnego profesora uniwersytetu petersburskiego. Nie przestał jednak pomimo podeszłego wieku pracować naukowo i wydał jeszcze w ostatnich latach życia kilka prac, z których najważniejszą jest wydany w r. 1886 etymologiczny słownik języków słowiańskich (*Etymologisches Wörterbuch der slavischen Sprachen*). Interesował się też żywo dalszemi losami katedry języków słowiańskich w Wiedniu, zwłaszcza zaś utworzoném przez Jagića seminaryum filologiii słowiańskiéj.

Śmierć na zawsze przerwała jego pracę naukową. Rozprawy o polowaniu sokołami w wiekach średnich nie zdołał już wykończyć i niezawodnie wiele jeszcze innych prac rozpoczętych, lub materyałów przygotowywanych (np. materyały do rozprawy o nieautentyczności rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego) znajdzie się w papierach po nim pozostałych.

---

[1]) Kroaci zarzucają M., że część mieszkańców Kroacyi na podstawie danych językowych zalicza do Słoweńców. Jak bezpodstawnie Kroaci stronili od uroczystości na cześć M. dowodzi M. Murko w broszurze p. t. „Miklošič in Hrvati" (Lublana. 1883).

II.

W powyższym zarysie biograficznym podana jest dość szczegółowa wiadomość o pierwszych pracach Miklosicha, które utorowały mu drogę do uniwersytetu i akademii. Nie podobna tu w ten sposób przedstawiać całéj działalności naukowéj tego najpłodniejszego może z nowoczesnych autorów dzieł gramatycznych [1]). Prace najznakomitszego badacza języków słowiańskich wychodziły przeważnie po niemiecku, niektóre po łacinie, po kroacku i po francusku, w ojczystym swoim języku wydał podręcznik szkolny, wypisy słowieńskie przeznaczone dla uczniów wyższych klas gimnazyalnych, p. t. *„Slovensko berilo“*, 4 tomy, z których niektóre doczekały się wydań powtórnych.

Głównem i najważniejszém dziełem Miklosicha jest jego porównawcza gramatyka języków słowiańskich w 4 tomach (*Vergleichende Grammatik der slavischen Sprachen*, Wiedeń 1852—1875). Wiedeńska akademia umiejętności przyczyniła się do wydania tego pomnikowego dzieła. Na posiedzeniu z dnia 28 stycznia 1848 r., znany romanista F. J. Wolf uczynił wniosek ogłoszenia nagrody za napisanie najlepszéj gramatyki słowiańskiéj. Wniosek ten, poparty przez Szafarzyka i Palackiego i poetę Fr. Grillparzera, utrzymał się pomimo opozycyi niektórych akademików.

Na posiedzeniu z dnia 26 lutego 1851 r. akademia przyznała Miklosichowi nagrodę w kwocie 1000 złr., za dzieło p. t. *„Vergleichende Lautlehre der slavischen Sprachen“* (Wiedeń, 1852; 2 wyd. znacznie powiększone w r. 1879); III tom tego dzieła, zawierający w sobie naukę o odmianach (fleksyą) wyszedł w r. 1856; IV obejmujący porównawczą składnię języków słowiańskich, wyszedł w ciągu lat 1868—74 (2 wyd. w r. 1883); wreszcie po przeszło 20-latach pracy przygotowawczéj ukazał się w r. 1875, II tom całego dzieła p. t. *„Vergleichende Stammbildungslehre der slavischen Sprachen“*; drugie wyda-

---

[1]) O ile mogę przejrzéć bogatą bibliografię dzieł M. wyszło ich w formie osobnych książek około 30, niektóre z nich w kilku tomach i w kilku wydaniach; w formie rozpraw umieszczonych w publikacyach akademii wiedeńskiéj około 50; w 2 tomach „Slavische Bibliothek“ 11, w pismach akademii południowo-słowiańskiéj 5, oprócz tego recenzye i drobniejsze przyczynki w „Wiener Jahrbücher der Literatur“, w berlińskim „Archiv für slav. Philologie“ — w encyklopedyi Erscha-Grabera, w wiedeńsk. „Zeitschrift für die österr. Gymnasien“, w „Beiträge zur vergleichenden Sprachforschung“ (Kuhna-Schleichera) w „Revue de linguistique et de philologie comparée“ w „Oesterreichische Revue“ i i.

nie t. II, p. t. „*Vergleichende Wortbildungslehre der slavischen Sprachen*“ wyszło w r. 1876. W tomie I i III, każdy z języków słowiańskich opracowany jest z osobna, tak, że stanowią one poniekąd zbiór specyalnych gramatyk wszystkich języków słowiańskich. Najszczegółowiéj opracowany jest język starosłowieński, inne rożnie, według tego, na jakich pracach przygotowawczych autor mógł się oprzéć.

W tomie II i IV, w nauce o tworzeniu się tematów i w składni, wszystkie języki traktowane są łącznie i porównawczo, nie stanowiąc już luźnych gramatyk poszczególnych języków, połączonych tylko wspólnym planem, jak tomy I i III [1]).

W gramatyce porównawczéj podziwiać należy olbrzymi materyał nagromadzony i objaśniony umiejętnie. Styl Miklosicha jest nadzwyczaj zwięzły i prosty. Nie lubił on nic nieznaczących wyrazów i zwrotów. To téż nad każdym jego wyrazem należy się zastanawiać, bo nie jest on bez znaczenia. Unikał Miklosich długich wywodów teoretycznych, sprawy sporne częstokroć tylko mimochodem poruszał, tak, że czytelnik przystępujący do studyowania jego największego dzieła, tak bogatego w treść, powinien już miéć przygotowanie naukowe, jeżeli wszystko chce należycie zrozumiéć. Dokładniéj i obszerniéj rozwinął autor swoje teorye w całym szeregu monografii poświęconych poszczególnym częściom gramatyki.

Sumiennie spożytkował on badania swoich porzedników, a gdzie ich nie było, tam sam mozolną pracą zdobywał sobie cegiełki do wspaniałéj budowy.

Zwłaszcza porównawcza składnia Miklosicha ma doniosłość olbrzymią. W dziele tém przedstawił on właściwości składniowe języków słowiańskich tak jak one się rzeczywiście znajdują w języku bez względu na to, czy uchodzą za poprawne czy téż za barbaryzmy. Oparł się szczególnie na języku ludowym, upatrując w nim najwięcéj charakteru rodzimego.

Podzielił naukę swoją o składni słowiańskiéj na dwie części, na naukę o znaczeniu klas wyrazów (części mowy) i na naukę o znaczeniu form wyrazów. Podział ten wynika z jego definicyi składni, na którą się wszelako nie wszyscy uczeni zgadzają. W składni Miklosicha nie ma mowy o zdaniu złożoném, co również wynika ze sposobu jego zapatrywania się na składnią.

W praktycznych gramatykach, nawet w takich, które w wysokim stopniu uwzględniają badania naukowe, jak np. w wybornéj gra-

---

[1]) W „Pracach filologicznych“ (I, 572) p. A. A. Kryński podaje szczegółowo, które ustępy porównawczéj gramatyki Miklosicha dotyczą języka polskiego.

matyce czeskiéj prof. Gebauera (Praga, 1890), zasada Miklosicha nie znalazła zastosowania.

Drugiém pomnikowém dziełem Miklosicha jest jego słownik języka starosłowieńskiego p. t. „*Lexicon palaeoslovenico-graeco-latinum emendatum auctum*“ [1]) (Wiedeń, 1862—65, 8-o, str. XXII+1171). Słownik ten oparty na wszystkich pomnikach języka starosłowieńskiego (spis ich podaje M. na str. V—XXI) obejmuje cały zasób języka starosłowieńskiego wszystkich odcieni dyalektycznych. Dla objaśnienia, autor do każdego wyrazu dodał jego znaczenie greckie i łacińskie, gdzieniegdzie także materyał porównawczy. Dzieło to, niezmiernego znaczenia nietylko dla filologii słowiańskiéj, lecz wogóle dla językoznawstwa indo-europejskiego, z wielkim zapałem powitał sławny A. Schleicher, ale nie doczekał się ukończenia całego słownika. W r. 1886 pomnożył jeszcze Miklosich swoje zasługi na polu leksykografii wydaniem etymologicznego słownika języków słowiańskich.

Już wyżéj w zarysie biograficznym wspomniano o niektórych wydaniach pomników języka starosłowieńskiego, dokonanych przez Miklosicha. W pracy téj nie ustawał on późniéj i dostarczył filologii słowiańskiéj bardzo cennego materyału językowego w licznych wydaniach pomników [2]).

Miklosich zajmował się także bardzo gruntownie badaniem wyrazów obcych, tych wymownych świadków dawnéj kultury, wykazujących wzajemny do siebie stosunek różnych narodów i wzajemne ich na siebie oddziaływanie, tak, że cała dzisiejsza nasza cywilizacya przedstawia się jako owoc wspólnéj pracy wielu narodów. Wyrazy obce w językach słowiańskich przedstawione są w trzech obszernych rozprawach, umieszczonych w „Pamiętnikach wydziału historyczno-filozoficznego akademii wiedeńskiéj [3]). Bardzo ważna jest zwłaszcza

[1]) Jestto niejako nowe wydanie „Lexicon linguae slovenicae veteris dialecti“ z r. 1850, powiększone o prawie 1006 str. („emendatum auctum“). Uczony A. Ch. Vostokov przed M. wydał „Słownik cerkiewno-słowiańskiego języka w Petersb. (1858—1861), w którym jednak nie uwzględnił wszystkich pomników jęz. starosłow.

[2]) Wymienię tu niektóre: „Monumenta linguae palaeoslovenicae e codice Suprasliensi“ (1851). „Apostolus e codice monasterii Šišatovac. palaeoslovenice“ (1853). „Chrestomathia palaeoslovenica“ z dodatkiem: „Monumenta frisingensia“ (1854). „Lex Stephani Dušani“ (1856). „Evangelium S. Matthaei palaeoslovenice e codicibus“ (1856). „Monumenta serbica spectantia historiam Serbiae, Bosnae, Ragusii“ (1858). „Chronica Nestoris“ (1860). „Vita S. Methodii (1870).

[3]) „Die Fremdwörter in den slav. Sprachen“ (t. XV. z r. 1867). „Die christliche Terminologie der slav. Sprachen“ (t. XXIV z r. 1875). „Die türkischen Elemente in den südost- und osteuropäischen Sprachen“ (1884).

rozprawa o terminologii chrześciańskiéj w językach słowiańskich, w któréj jest zebrany i objaśniony obfity zasób wyrazów z języka hebrajskiego, greckiego i łacińskiego, które za wpływem chrześciaństwa dostały się do słowozbioru języków słowiańskich. Większe jeszcze znaczenie mają prace Miklosicha, poświęcone zbadaniu żywiołów słowiańskich w językach narodów sąsiadujących ze Słowianami, madziarskim, rumuńskim, albańskim i nowogreckim.

Badaniami swojemi[1]) Miklosich udowodnił nadzwyczajny wpływ języków słowiańskich na madziarski i rumuński, wykazawszy około 1000 wyrazów słowiańskich w języku madziarskim, przeszło 1000 w języku rumuńskim. Mniejszy stosunkowo wpływ wywarli Słowianie na język grecki, objawia on się w 100 z górą wyrazach słowiańskich, jakie Miklosich znalazł w języku dzisiejszych Greków. Wyrazy te odnoszą się przeważnie do kultury materyalnéj np. βέδρον = wiadro, κλούτσα = klucz, κοσσία = kosa, μοτίκα = motyka, ὄκνα = okno. To też Miklosich hipotezę Fallmerayera, jakoby dzisiejsi Grecy właściwie byli Słowianami, znacznie ograniczył. W kilku rozprawach Miklosich wykroczył znacznie po za zakres swojéj nauki. Ogłosił np. kilka rozpraw o języku rumuńskim, które zjednały mu wielkie uznanie u romanistów, większą jeszcze sławę zyskały liczne jego prace poświęcone zbadaniu narzeczy i wędrówek cyganów europejskich. Wyniki swoich badań ogłosił Miklosich w Pamiętnikach wydz. histor.-filoz. akademii wiedeńskiéj, a przedstawił on w nich niejako całą filologią cyganów europejskich, jeżeli się tak można wyrazić, gdyż wydawał ich pieśni opracował ich język pod każdym względem [2]).

Nietylko językiem, ale także poezyą i wogóle kulturą Słowian

---

[1]) „Die schlavischen Elemente im Rumunischen“ („Pamiętn. w. histor.-filoz. ak. um. wiedeńskiéj“ t. XII, XX). „Die slav. Elemente im Magyarischen (XXI), im Albanischen“ (XIX). „Die Form entlehnter Verba im Albanischen und einigen anderen Sprachen“ (XX). „Die slav. Elemente in den Mundarten der Zigeuner“ (XXI). „Die slav. Elemente im Neugriechischen“ (w sprawozd. akad. wiedeńsk. t. LXIII).

[2]) „Die slav. Elemente in den Mundarten der Zigeuner Europa's“ (XXI). „Beiträge zur Grammatik und zum Lexicon der Zigeunermundarten“ (XXII). „Die Wanderungen der Zigeuner“ (XXII). „Märchen und Lieder der Zigeuner der Bukowina (XXIII, XXV). „Beiträge zur Kenntnis der Mundart der Zigeuner in Galicien, in Sirmien und in Serbien“ (XXV). „Vergleichung der Zigeunermundarten“ (XXVI, XXVII). „Lautlehre der Zigeunermundarten“ (XXX). „Stammbildunslehre der Zigeunerm.“ (XXX). „Formenlehre der Zigeunerm.“ (XXXI). „Syntax d. Zigeunerm.“ (XXXI).

zajmował się Miklosich w swoich pracach. Już jego rozprawa: „*Die slavischen Monatsnamen*“, w któréj autor objaśnia nazwy miesięcy nietylko w językach słowiańskich, lecz także w innych językach europejskich, wkracza w historyę kultury. W badaniach nad słowiańskiemi nazwami osób i miejscowości, które wywołały liczne naśladownictwa, między innemi i u nas, i dostarczyły materyału historycznego do wiadomości o krajach zamieszkanych niegdyś przez Słowian a dziś niemieckich, Miklosich zwracał także uwagę na etnografią. Poezyą ludową, zwłaszcza południowo-słowiańską zajmował się chętnie i gorliwie. Świadczą o tém rozprawy o ludowéj poezyi epicznéj Kroatów i Serbów (*Beiträge zur Kenntnis der slavischen Volkspoesie. Die Volksepik der Kroaten — die Epik der Serben*); jeszcze pod koniec roku zeszłego ogłosił rozprawę p. t.: „*Die Darstellung im slavischen Volksepos.*“ Ciekawą jest także jego rozprawa: „*Die Blutrache bei den Slaven*“ (1887) i przyczynek do mitologii słowiańskiéj o rusałkach (*die Rusalien*).

Dotknęliśmy zaledwie wszechstronnéj działalności wielkiego uczonego. Dzieła Miklosicha jeszcze na długie czasy będą niewyczerpaném źródłem dla badaczów języków słowiańskich. Apostoł slawistyki, jak Miklosicha nazwał jeden z jego wielbicieli, uczony Słowieniec A. Trstenjak, wykładał jasno i płynnie. Nie wdając się w jałową polemikę, przedstawiał językowe fakta, ujęte w krótką dogmatyczną formę i, nie ubiegając się o błyskotliwy sposób wykładu, przedmiotem samym umiał zająć słuchaczów, którzy zewsząd gromadzili się koło sławnego mistrza, by się kształcić pod jego bezpośrednim kierunkiem. Ale wpływ Miklosicha sięga nierównie daléj. Ma on uczniów wszędzie, gdzie się poważnie zajmują slawistyką. Przyznają to bez ogródki nawet tacy uczeni, którzy w szczegółach nie zgadzają się na wyniki badań Miklosicha. August Leskien, profesor języków słow. w Lipsku, podając ocenę głosowni starosłowiańskiéj Miklosicha (*Archiv für slav. Phil.*, IV, 142), wyraża się, że w Europie zachodniéj wszyscy slawiści, jakotéż ci badacze, którzy okolicznościowo zajmują się językami słowiańskiemi, najważniejszą część swéj znajomości języków słowiańskich zawdzięczają Miklosichowi, a następca Miklosicha na katedrze uniwersyteckiéj w podobny wyraża się sposób: „toć my wszyscy wogóle wstępujemy w jego ślady, gdyż my wszyscy bez wyjątku uczyliśmy się od niego, albo z jego książek“ (*Arch. f. slav. Phil.*, IV, 483).

Wiadomo powszechnie, jak dobroczynny wpływ wywarły badania Miklosicha na polskie prace gramatyczne. Wszak gramatyki prof. Małeckiego dlatego tak były cenione, że ich autor oparł się na

badaniach mistrza slawistyki. Tak więc wpływ Miklosicha sięga dziś nawet do szkółek wiejskich.

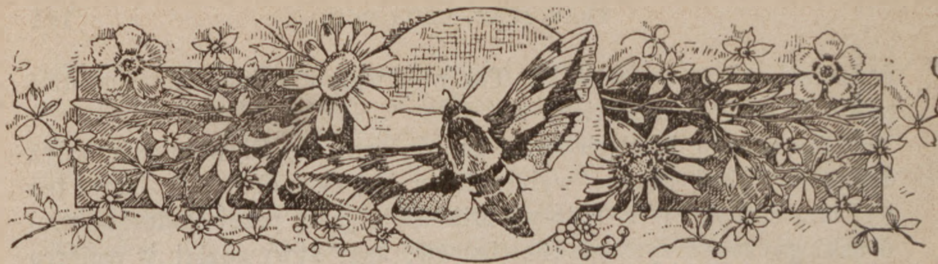
Zarzucano Miklosichowi, że nie czuł się Słowianinem, gdyż dzieła swe pisał prawie wyłącznie w językach obcych. Zarzut ten jest niesłuszny. W r. 1848-ym Miklosich, jako przewodniczący wiedeńskiego stowarzyszenia Słowieńców, brał żywy udział w polityce swego narodu, później domagał się wprowadzenia języka ojczystego do szkół słowieńskich i jeszcze w r. 1883 w „Pamiętniku akademii wiedeńskiéj“ wyrzekł z gorzkim żalem: „*Selbst im neunzehnten Jahrhundert lernten und lernen Tausende von slavischen Kindern den Katechismus deutsch, ohne einen einzigen Satz zu verstehen.*“ Pisał dzieła swoje po niemiecku, gdyż język słowieński mało jest znany u innych Słowian, a zresztą pisał dla uczonych wszystkich narodowości, więc chodziło mu o język powszechnie zrozumiały.

Jak niektóre narody słowiańskie czują szczególniejszą dla Miklosicha wdzięczność, tak inne nie mogą się pozbyć pewnéj do niego niechęci. Czesi długo nie mogli mu zapomnieć, że nie uznawał autentyczności pewnych rzekomo bardzo starożytnych rękopisów, które dziś sami uważają za falsyfikaty; Kroaci z politycznych względów nie chcieli się zgodzić na niektóre naukowe zdobycze Miklosicha, a nawet Bułgarzy czuli do niego pewien żal z powodu, iż Miklosich nie uznawał Bułgaryi za ojczyznę języka apostołów Cyryla i Metodego.

Żale te i niechęci, wynikające z pobudek politycznych, wobec takiego olbrzyma wiedzy, jak Miklosich, powinny zniknąć i nie mogą téż uszczuplić w niczém jego zasłużonéj sławy. Dzieła tego niepospolitego uczonego nazawsze będą najlepszym dla niego pomnikiem i po śmierci autora szerzyć będą naukę, któréj on poświęcił całe życie.

Jan Bystroń.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

II.

O zamieszkalności światów.—Dawniejsze rojenia a poglądy spółczesne.—Fizyczna budowa planet. — „Komórka" krzemowa. — Badania astronomiczne w obserwatoryum Licka.—Fotografia nieba.—Fotografia widma słonecznego w barwach.—Luminiscencya, fosforescencya.—Najtańsze źródło światła.

Czy po za granicami nikłej naszej planety istnieją żywe twory? Czy owe liczne ciała niebieskie, krążące we wszechświecie, mogą być siedliskiem dla istot podobnych do człowieka? Podobne do powyższych pytania należą do tych, które uparcie w nauce i fantazyi ludzkiej powracają, nigdy się nie starzejąc. Dla nauki nowoczesnej stanowią one *curiosa*, którym zbytnio badacze się nie oddają. Lecz umysł nie wyćwiczony samodzielnie w pozytywném badaniu, nie umiejący jasno formułować pytań zadawanych przyrodzie, łatwo przekracza granice, które chwilowy stan wiedzy zakreśla, buja w bezmiernych przestworach, nie znajdując punktu oparcia, i wreszcie albo zrozpaczony zniechęca się do dalszego myślenia, albo też dziwnie łatwo, lecz i naiwnie rozstrzyga wszystko, co mu rozkołysana fantazya nasuwa. A niechaj ktoś tylko z powołanych w kwestyi podobnej głos zabierze, niechaj wskaże choćby tylko słabą możliwość jej rozwiązania, wnet śród całych mas gotowa wiara się znajdzie i wysnuwaniu przenajróżniejszych wniosków nie ma końca. Przykłady takiego entuzyazmu bardzo są liczne, można je zacytować choćby z najświeższych czasów.

Wiek, w którym żyjemy, tak z gruntu przeistoczył nasz sposób zapatrywania się na zjawiska przyrody, że należy dobrze poznać prą-

dy nauki nowoczesnéj, aby wyrozumiéć, dlaczego pierwszorzędni uczeni ubiegłych stuleci, uczeni, którzy pracą swą przygotowali bieżące „stulecie przyrodnicze“, nie wzdragali się przed rozstrzyganiem kwestyi, wobec których zupełnie byli bezsilni. Huyghens (1629 — 1695) uważał za rzecz najzupełniéj zrozumiałą, że wszystkie planety są zamieszkałe, że zatém na wszystkich planetach istnieją niezbędne warunki życiowe, powietrze i woda. Nader łatwo usuwa on trudności, wynikające z odległości planet od słońca. Woda na planetach owych posiada według niego inne własności, niż nasza; na Merkurym wre dopiéro w niezmiernie wysokich temperaturach; na Saturnie nie zamarza w zimnie tak znaczném, o jakiém my pojęcia nawet miéć nie możemy. Z wielkości Jowisza w stosunku do naszéj ziemi wnosić należy, że atmosfera na nim niezmiernie jest gęsta, tak że my ludzie ziemscy możebyśmy w niéj pływać mogli, lecz mieszkaniec Jowisza czuje się tam najzupełniéj dobrze. Huyghens szeroko rozwodzi się o przypuszczalnych własnościach „inteligencyi“ Jowiszowéj i w pomysłach swych niczém nie ustępuje Kircherowi, który, opętany ideą antropomorfizmu, wprawdzie nie przyznaje, ażeby prócz człowieka istniéć mogły inne rozumne stworzenia, lecz z całą dokładnością kreśli przebieg rozmaitych zjawisk na innych planetach. Prowadzony przez geniusza, a zaplątany w sieci astrologii, opowiada on, jak to na Merkurym wszystko żywo, „rtęciowo“ się dzieje. Na Wenerze znów znajduje wszystko piękném i miłém: cała planeta kąpie się w łagodném różowém świetle, zewsząd upajające tchną wonie, lekkie zefiry igrają, mieszając się z szmerem strumyków, dokoła wszystko jaśnieje w blasku złota i drogich kamieni. Pełen fantazyi uczony Fontenelle (1657 — 1757) również po swojemu opisuje życie na planetach. Lecz pozostawmy tych pisarzów w spokoju i przenieśmy się w bliższe czasy.

Żyjący w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia astronom Gruithuisen, jakkolwiek jest współczesnym istotnego postępu nauk astronomicznych, niemniéj nader dziwaczne wygłasza poglądy. Prócz słońca, wszystkie inne ciała niebieskie naszego układu planetarnego są, według niego, zamieszkałe. W niezmiernie drobnostkowym swym opisie Gruithuisen nawet nie zapomina o uroczystościach, święconych przez mieszkańców Wenery. Jeśli zwrócimy jeszcze uwagę na poglądy Kanta w zajmującéj nas tu sprawie, to wyczerpiemy tém te ważniejsze zapatrywania, z któremi radzilibyśmy zapoznać się temu, kto kwestye naukowe przywykł badać w ich ciągłości dziejowéj.

Pozostawiając zaś na uboczu pytania o sposobie powstawania życia, zwróćmy się do najogólniejszych jego warunków, aby w świetle

dzisiejszéj wiedzy astronomicznéj dojrzéć, o ile warunki te na innych planetach istnieją. Otóż najprostsza forma życia nie jest możliwa bez trzech warunków: wody, atmosfery i temperatury w pewnych określonych granicach.

Astronomia rozmaitemi posługuje się środkami w celu badania fizycznéj budowy ciał niebieskich. Bezpośrednia obserwacya za pomocą lunet pozwala rozpoznawać powierzchnię planety i jéj zmiany. Ze zmian tych po większéj części wnioskować można o istnieniu lub nieobecności atmosfery. Tego samego celu dopinają spostrzeżenia, w których badamy, jak gwiazdy rozmaite zostają zakrywane przez księżyc lub planety. Notując czas, kiedy gwiazda jaka znika za ciałem niebieskiém, należącém do naszego układu planetarnego, lub wyłania się z po za téj zasłony, możemy obliczyć, czy ciało zakrywające jest otoczone gazową, załamującą światło powłoką. Teoretyczna astronomia oblicza odległości planet od słońca, fizyka uczy nas, jaka ilość promieniowania słonecznego przypada na każdą planetę, stosownie do jéj odległości od słońca. Wreszcie czas obiegu i nachylenie osi obrotu dają w związku z powyższém pojęcie o stosunku pór roku. Fotometrya wykazuje, jaka ilość promieni, otrzymywanych od słońca, zostaje przez powierzchnię planety odbita, dając w ten sposób możność wnioskowania o pewnych własnościach powierzchni planet. Najważniejszym wszakże w czasach ostatnich środkiem stał się spektroskop, który analizuje skład chemiczny ciał niebieskich, wykazując podobieństwa i różnice w stosunku do naszéj ziemi.

Księżyc nie ma atmosfery ani wody, temperatura zaś na jego powierzchni najprawdopodobniéj waha się w granicach przeszło 200 stopni Celsyusza. Żadnego przeto z trzech niezbędnych warunków życia na nim nie ma. Ciekawém jest natomiast, jak na księżycu znikanie jednego z owych warunków życiowych pociągnęło za sobą ustanie innych. Nie mamy powodu do powątpiewania, że kiedyś księżyc posiadał swoją atmosferę. Lecz nieznaczna naszego satelity masa, która z jednéj strony była przyczyną jego szybkiego ostygania, z drugiéj doprowadziła do tego, że niezbyt może gęsta jego atmosfera pierwotna stopniowo rozpraszała się w przestrzeni wszechświata. Im wszakże mniejszém jest ciśnienie, tém łatwiéj odparowuje woda, a zatém i ta ostatnia wraz z atmosferą zginęła. Zupełny zaś brak atmosfery pociąga za sobą, że promienie słońca bez przeszkody przenikać mogą aż do powierzchni, która w ciągu dnia księżycowego, trwającego 14×24 godzin, do niezmiernie wysokiego stopnia ogrzewać się musi. Podczas równie długich nocy na księżycu, powierzchnia jego bez przeszkody promienie ciepła swego wysyła w przestwory wszechświata

i oziębia się znów do temperatury, może niezbyt różnéj od absolutnego zera.

Nie wiele wiemy o budowie fizycznéj Merkurego. Zdaje się, że jest on otoczony atmosferą nieznacznéj gęstości, w któréj zawarta jest para wodna. Ponieważ planeta ta około siedmiu razy silniéj jest oświetlana przez słońce, aniżeli ziemia, przeto woda zapewne znajdować się tam będzie w stanie pary, a i granice temperatury muszą być nieodpowiednie dla życia tego rodzaju, co ziemskie. Lecz nowe badania Schiaparelliego rzucają pewne światło na zajmującą nas sprawę. Z badań tych wynika, że okres obrotu Merkurego równy jest okresowi jego obiegu, tak że zwraca on ku słońcu zawsze jednę i tę samę stronę. Na téj stronie oczywiście temperatura bardzo będzie wysoka, kiedy z przeciwnéj panować musi znaczne zimno. Lecz pomiędzy dwoma temi krańcami znajdować się musi wąski pas przejściowy, w którym może właśnie nasze trzy warunki życia są ze sobą połączone.

Na Wenerze również intensywność ciepła słonecznego bardzo jest jeszcze znaczna i w pasie gorącym w każdym razie nieznośna dla nas. Lecz planeta ta otoczona jest potężną atmosferą, zawierającą parę wodną. I woda w ciekłym stanie prawdopodobnie téż się tam znajduje. Górne części atmosfery wypełnione są gęstą warstwą chmur, które nigdy nie pozwolą oku naszemu przeniknąć do właściwéj powierzchni Wenery, a również stanowią tamę dla promieni słońca. Znacznie więcéj, aniżeli połowa, promieni słonecznych zostaje przez tę warstwę odbita i przypuszczać przeto należy, że wogóle na powierzchni planety nie jest przekroczona najwyższa granica temperatury, w jakiéj życie organiczne jest możliwe. Że zaś prócz tego i atmosfera tam istnieje i woda, zatém nie mamy poważnych powodów do powątpiewania o zamieszkalności Wenery.

Co się tyczy Marsa, to zdaje się, że tu warunki jeszcze są pomyślniejsze. Rozpoznać na nim można wyraźny podział powierzchni na wodę i ląd, atmosfera jego posiada własności prawie zupełnie zgodne z własnościami naszéj ziemskiéj, — nietylko zawarta jest w niéj para wodna, lecz badania spektroskopowe pozwalają nawet wnosić, że głównemi jéj składowemi częściami są tlen i azot. Chmury już to zakrywają jego powierzchnię przed wzrokiem naszym, już téż znikają, by w innych wypłynąć miejscach. Jakkolwiek temperatura na Marsie, z jego większą odległością od słońca, znacznie jest niższa aniżeli na ziemi, to jednakże różnica ta nie jest tak wielka, aby należało wykluczać możność istnienia materyi organicznéj w gorącym i umiarkowanym pasie téj planety. Gorący pas na Marsie odpowiada w przybliżeniu co do klimatu swego umiarkowanemu pasowi naszemu. Może-

my ostatecznie z całém przeświadczeniem wypowiedzieć, że Mars odpowiednią jest siedzibą dla materyi organizowanéj tego rodzaju, jaka istnieje na ziemi.

Planety Jowisz, Saturn, Uran i Neptun mają wszystkie atmosfery, i to nawet dość potężne; zawarta jest w nich para wodna, oraz nieznane nam bliżéj ciało, odznaczające się silném pochłanianiem pewnych promieni czerwonych. Gaz ten w niewielkiéj stosunkowo ilości znajduje się na Jowiszu, w znacznie większéj natomiast na Saturnie i Uranie. Na tém ostatniém ciele niebieskiém, zdaje się, że atmosfera wogóle już bardzo mało jest podobna do ziemskiéj; jest w niéj co prawda para wodna, lecz silne smugi absorpcyjne nieznanego nam pochodzenia, przecinają mniéj łamliwą część widma. Atmosfery i najprawdopodobniéj wodę posiadają więc te planety, lecz co do temperatury odpowiedniéj dla życia, sprawa trudniejszą jest do rozwiązania. Może w zwrotnikowych częściach Jowisza temperatura nie jest jeszcze zbyt niska, zwłaszcza, gdy pomyślimy, że z powodu nader gęstéj, wypełnianéj chmurami atmosfery, promieniowanie ciepła w przestrzeń międzygwiazdową bardzo jest utrudnione. Lecz im bardziéj od słońca się oddalamy, tém oczywiście mniéj mamy ciepła, i jeśli co do Saturna wątpliwość jeszcze być może, to natomiast pewném jest, że na Uranie i Neptunie promienie słońca nie wystarczają na to, aby umożliwić trwałe istnienie materyi organizowanéj.

Lecz oto jeszcze jedna okoliczność wstrząsa wszelkiemi naszemi odnośnemi przypuszczeniami, dotyczącemi wszystkich planet dalszych od słońca, począwszy od Jowisza. Pewne spostrzeżenia przemawiają za tém, że np. Jowisz wogóle jeszcze nie ostygł, że właściwie jego jądro znajduje się jeszcze w ognistopłynnym, a może nawet gazowym stanie, że nie jest ono otoczone zastygłą skorupą, na któréj życie zalęgnąćby się mogło. Za przypuszczeniem tém przemawiają nietylko bezpośrednio i spektroskopowo spostrzeżone zjawiska, lecz i nieznaczny ciężar właściwy tych planet: Saturn ma ciężar właściwy w przybliżeniu ten sam, co i korek. Głównie właśnie ta okoliczność utrudnia wyrobienie sobie właściwego pojęcia o budowie fizycznéj tych planet. Lecz z drugiéj strony możnaby mniemać, że jedna z krańcowych planet, przypuśćmy Uran, do tego już oziębiła się stopnia, że posiada przynajmniéj ciekłą powierzchnię, która wszakże wskutek przewodnictwa ciepła z wnętrza, utrzymuje się przez pewien okres czasu w temperaturze odpowiedniéj dla istot żywych, kiedy tymczasem samo promieniowanie słoneczne nie wystarczyłoby już do tego celu.

Oto jest wszystko, co w téj sprawie dzisiejsza wiedza astronomiczna wypowiedzieć jest w stanie. Nie zapominajmy, że określając

warunki istnienia życia, mamy na myśli materyę żywą, znaną nam na ziemi. Ta żywa materya składa się z niewielu stosunkowo pierwiastków chemicznych, pomiędzy któremi węglowi, wodorowi i azotowi pierwszorzędne miejsce przypisać trzeba. Życie ziemskie przedewszystkiém ściśle jest związane z trwałém istnieniem pewnego ugrupowania materyi węglowéj. Czyżby przypuszczać nie można, że w warunkach odmiennych od tych, jakie na naszéj planecie panują, inny jaki pierwiastek w charakterystycznych swych związkach nie mógł się stać podścieliskiem życia? Sądzono przed laty, że domysł ten się sprawdzi. Krzem jest pierwiastkiem, najbardziéj ze wszystkich innych podobnym do węgla. Otóż, podobnie jak w ciałach organizowanych, wszystko składa się z komórek, tak i przy pomocy wielu związków kwasu krzemnego, można wytworzyć „komórki", które w oczach naszych rozwijają piękne kształty roślinnych utworów. Czytelnik rozumié doskonale, że analogia ta bardzo jest daleka, nie pozwalająca w najsłabszym choćby stopniu wysnuwać jakichkolwiek poważniejszych wniosków, lecz samo doświadczenie dość ciekawe, aby je tu przytoczyć.

Większa część związków kwasu krzemnego z metalami w wodzie jest nierozpuszczalna; niektóre tylko, a zwłaszcza tak zwane szkło wodne, czyli krzemian potasu istnieje w formie rozpuszczalnéj w wodzie. Gdy do rostworu takiego dodamy drobną ilość rozpuszczalnéj soli takiéj, jak np. chlornika miedzi lub azotanu srebra, zajdzie wymiana chemiczna, tak że utworzy się z chlornikiem miedzi krzemian miedzi i rozpuszczalny chlorek potasu. W chwili, gdy pierwsze ślady owéj dodanéj do szkła wodnego soli się rozpuszczają, już rozpoczyna się owa przemiana i cząsteczka soli zostaje wskutek tego otoczona niezmiernie cienką błonką nierozpuszczalnego krzemianu. Poprzez tę błonkę zachodzi wymiana cieczy, t. zw. endosmoza, zjawisko, któremu i w życiu roślin i zwierząt pierwszorzędne przypada znaczenie. W tym razie endosmoza tak się odbywa, że więcéj cieczy przenika do wnętrza błonki naszéj „komórki" krzemowéj, aniżeli odwrotnie na zewnąrz. Stąd ciśnienie wewnątrz wzrasta, aż wreszcie staje się tak znaczném, że w jakiémś miejscu błonka się przerywa i kropelka cieczy—rostworu soli metalicznéj—wycieka. Kropelka ta skutkiem zachodzącego natychmiast procesu chemicznego znów nową otacza się błonką i proces tego przerywania się błonki i wytwarzania coraz nowych komórek powtarza się do chwili całkowitego rozkładu soli wewnąrz pierwszéj błonki. Widzimy, jak w ciągu kilku minut wytwarza się powoli utwór rurkowaty, niezmiernie napozór podobny do jakiegoś niskiego gatunku roślinnego. Jest to piękne doświadczenie,

lecz nic więcéj. O jakiémś głębszém podobieństwie do procesów życiowych nie może tu być mowy.

Powracając jeszcze na chwilę do sprawy zamieszkalności ciał niebieskich, muszę przypomniéć, że w rozważaniach naszych mieliśmy na uwadze jedynie tylko nasz układ słoneczny. Lecz liczba słońc na firmamencie mierzy się na miliony; słońca te, gwiazdy stałe, dzięki nowszym postępom w badaniach astronomicznych, poznajemy coraz lepiéj. I one mają zapewne swoje planety,—a na tych ostatnich czyżby życie istniéć nie mogło? To pytanie nie może dziś wchodzić w zakres poważnych rozumowań naukowych. Pozostawmy je na uboczu, a przyjrzyjmy się innym postępom badań astronomicznych.

W Ameryce Północnéj, na górze Hamiltona, przed laty kilku zbudowano obserwatoryum astronomiczne, którego nadzwyczajna wyniosłość obiecywała wiele cennych rezultatów. Oczekiwania nie zawiodły. Jakkolwiek prof. E. S. Holden, dyrektor tego obserwatoryum Lick'a (nazwisko ofiarodawcy, który własnym kosztem zbudował i wyposażył ten nowy przybytek nauki), skarży się na olbrzymie trudności, jakie mieszkańcy tak wysokiego miejsca mają do zniesienia, jednakże widać, że niska temperatura, w któréj spędzają oni życie, nie oziębia ich zapału badawczego.

Olbrzymia luneta tego obserwatoryum tak jest urządzona, że może być użyta do trzech rozmaitych metod badania astronomicznego. Przedewszystkiém służy do bezpośredniéj obserwacyi powierzchni planet, do mierzenia odległości podwójnych gwiazd i t. p.; następnie może być przemieniona w olbrzymią fotograficzną kamerę o długości 60 stóp, i pozwala w ten sposób utrwalać za pomocą czułych na światło płyt obraz skupień gwiazd i mgławic; wreszcie pozwala badać ciała niebieskie spektroskopowo.

Za pomocą spektroskopu jesteśmy w stanie rozstrzygać dwa zupełnie różne od siebie pytania. Przez porównanie widma gwiazdy z widmami rozmaitych pierwiastków ziemskich możemy stwierdzić, z czego składa się atmosfera ciał niebieskich, a powtóre możemy się posługiwać spektroskopem w celu określenia, z jaką szybkością dana gwiazda zbliża się ku ziemi lub od niéj oddala. O tém drugiém zadaniu spektroskopu nieco tu powiemy.

Gdy łódź umocowana jest i spokojnie stoi w kierunku do fal, przepływających w strumieniu, wówczas co sekundę przepływa wzdłuż niéj pewna określona liczba fal; lecz gdy łódź ta posuwa się szybko w tym samym kierunku, co i fale, oczywiście mniéj niż poprzednio fal przepłynie w sekundę u jéj boków. Gdy gwiazda jakaś jest nieruchomą w naszém polu widzenia, wówczas w widmie jéj zauważymy ciem-

ne prążki w pewnych ściśle określonych miejscach. Lecz gdy porusza się ona, oddalając od nas i nie tracimy jéj z pola widzenia, natenczas pewna ciemna smuga obserwowana przez nas przesunie się na widmie, ponieważ fale dłuższą już mają drogę do przebieżenia. Przesuwanie to odbywa się w jednym kierunku (od fioletu do czerwonéj części widma), gdy gwiazda od nas się oddala, w przeciwnym, gdy się gwiazda ku ziemi zbliża. Z wielkości przemieszczeń ciemnych linii sądzić można o szybkości tego ruchu gwiazd. Trudno w kilku słowach dokładnie skreślić teoryą tego zjawiska, jeszcze trudniéj objaśnić w szczegółach praktyczne wykonywanie badań. W takich razach rezultatami osiągniętemi zadawalniać się musi czytelnik. A pod tym względem powiedziéć trzeba, że badania prowadzone w obserwatoryum Licka usunęły błędy dotychczasowych spostrzeżeń nad ruchem gwiazd ku ziemi i od ziemi i wprowadzają do nauki nowe liczby, ścisłością swą przewyższające dotychczasowe.

W pracowni astronomicznéj Licka przedsięwzięto takie badania, dotyczące ruchu całego naszego układu słonecznego w przestrzeni wszechświatowéj. Opiérają się one na powyższych spostrzeżeniach ruchu gwiazd w kierunku ku ziemi i od ziemi.

O mgławicach, jakkolwiek przypuszczano, że muszą one ruch posiadać, jednakże dotąd nie dowiedziono tego żadném spostrzeżeniem. I tę kwestyę rozstrzygnięto w obserwatoryum Licka, a wszystko to opiéra się na metodzie spektroskopowéj.

Nie od dziś wiadomo, jak potężnym środkiem pomocniczym stała się fotografia w badaniach astronomicznych. Pozwalając przy pomocy niezmiernie czułych płyt utrwalać obrazy nader słabo świécących gwiazd, fotografia rozszerza coraz bardziéj widnokrąg poznawanego przez astronomów świata. Dzięki zabiegom najpoważniejszych astronomów spółczesnych, utworzyło się międzynarodowe stowarzyszenie w celu możliwie dokładnego zdjęcia fotografii nieba, a prace w tym kierunku we wszystkich niemal obserwatoryach na kuli ziemskiéj raźno postępują.

Do wydoskonalenia fotografii w czasach ostatnich przykładają rękę pierwszorzędni fizycy. To téż na polu tém osiąga się rezultaty, o których niezbyt dawno pozwalano sobie zaledwie marzyć. Jedną z najpiękniejszych w tym względzie zdobyczy jest praca prof. G. Lippmanna w Paryżu, który na posiedzeniu akademii paryskiéj w d. 2 lutego doniósł, iż udało mu się szczęśliwie dopiąć tego, czego napróżno tylu przed nim poszukiwało, mianowicie otrzymać fotografię bezpośrednią barw widma słonecznego.

Usiłowanie w celu otrzymania barwnych fotografii podejmowane

były już dość dawno temu. Począwszy od r. 1848-go, znany fizyk E. Becquerel otrzymywał obrazy barwne na warstwie odpowiednio spreparowanego podchlorka srebra. Wymagało to wszakże wystawienia (eksponowania) płyt zbyt długiego, a co najważniejsza, obrazy zacierały się, gdy je następnie na wpływ światła wyniesiono. Rezultat ten zatém, jakkolwiek dość poważny, nie mógł, pomimo starań Nièpce'a i Poitevina, wyjść po za granice doświadczeń laboratoryjnych. Inna metoda, mniéj co prawda pod względem teoretycznym zadawalniająca, lecz obliczona na zastosowanie praktyczne, była ogłoszona w r. 1869 przez Ducrosa i Ducos de Haurona. Wychodząc z założenia, że wszystkie odcienie barwne mogą być rozłożone na trzy zasadnicze barwy: czerwoną, żółtą i błękitną, badacze ci brali trzy klisze z każdego przedmiotu, stopniowo eliminując każdą z tych trzech barw. A więc, zdejmowano pierwszą kliszę, umieszczając pomiędzy obiektywem a ciemnią przyrządu fotograficznego, szkło zielone lub ciecz zieloną. W ten sposób na szaréj warstwie otrzymywano— przynajmniéj teoretycznie—wszystkie promienie pochodzące od przedmiotu za wyjątkiem promieni czerwonych. Ciemne punkty kliszy odpowiadały tym miejscom przedmiotu, które nie zawierały barwy czerwonéj, zaś punkty jasne przedstawiały wszystkie czerwone lub zawierające czerwień części. Następnie eliminowano pozostałe dwie barwy (żółtą i błękitną) za pomocą przezroczystych ekranów: fioletowego i pomarańczowego. Z tych trzech obrazów odjemnych (negatywów) przyrządzano następnie dodatnie (pozytywy) i nakładano je kolejno na białéj przezroczystéj powierzchni. W ten sposób otrzymywano coś analogicznego do zwykłéj chromolitografii, lecz szczegóły w tym obrazie odznaczały się większą delikatnością. Sposób ten wszakże nie może być nazwany doskonałym. Już to samo, że posługiwać się tu musimy sztucznemi barwnikami (na ekranie), czyni tę metodę bardzo niedokładną. Takie barwniki handlowe jak karmin, żółty barwnik chromowy lub błękit pruski względną tylko mają czystość barwy, a ekrany zabarwione niemi w sposób niedostateczny filtrują przez siebie barwy dopełniające, co w metodzie powyżéj pierwszy stanowi warunek dokładności. Obraz w ten sposób otrzymany nie ma właściwych sobie barw, lecz, jak słusznie powiada Becquerel, barwy fantazyjne. Daléj nakładanie na siebie obrazów przedstawia niezmierne trudności i prawie uniemożliwia ścisłość wykonania.

Fotografie, przedstawione obecnie przez prof. Lippmanna, który wprost zwrócił się do widma słonecznego, nie wykazują błędów dawniejszych podobnych fotografii, a choć w szczegółach metoda tego fizyka nie jest jeszcze ogłoszona, to jednakże zasada fizyczna, na któréj

się opiéra, a z którą Lippmann nas zapoznaje, warta jest przypomnienia. Dodamy tylko, że już w 1868 r. Zenker pomyślał o wyzyskaniu téjże zasady interferencyi światła dla otrzymywania fotografii w barwach, lecz rezultaty jego szczęśliwemi nie były.

„Postawiłem sobie za zadanie—powiada Lippmann — otrzymać na płycie fotograficznéj obraz widma z jego barwami w ten sposób, ażeby obraz ten mógł stale pozostać utrwalony i nie zmieniać się przy wystawieniu na działanie najsilniejszego światła. Udało mi się rozwiązać to zadanie przy pomocy zwykłych używanych obecnie w sztuce fotograficznéj środków, zmieniłem tylko nieco fizyczne warunki samego doświadczenia. Oto istotne dwa warunki, niezbędne do otrzymania barw: 1) nieprzerwana ciągłość czułéj warstwy i 2) obecność odbijającéj powierzchni na tylnéj stronie téj warstwy. Mówiąc o ciągłości, rozumiem brak ziaren; trzeba koniecznie, ażeby jodek srebra, bromek srebra lub podobna czuła substancya były w ten sposób rozdrobnione wewnątrz błonki albuminu, żelatyny lub innego przezroczystego, a biernego ciała, aby nie tworzyły ziarn widocznych w mikroskopie. Jeżeli się ziarna znajdują, powinny mieć wymiary znikająco małe w porównaniu z długością fal światła. Wykluczoném jest przeto stosowanie obecnie używanych emulsyi. Warstwa ciągła jest przezroczysta, wskazuje tylko słabą, błękitną opalescencyę. Jako podłoża używałem albuminu, kolodyonu i żelatyny, jako czułych substancyi jodku i bromku srebra; wszystkie te kombinacye dają dobre rezultaty. Suchą płytę umieszcza się w ramkach, wypełnionych rtęcią; rtęć ta tworzy odbijającą światło płytę w zetknięciu z czułą warstwą. Eksponowanie, rozwijanie i utrwalanie odbywa się tak, jak gdybyśmy chcieli otrzymać czarny negatyw widma; rezultat wszakże jest inny: gdy klisza jest gotową i wyschła, ukazują się na niéj barwy. W przechodzącém świetle otrzymana klisza jest negatywem, t. j. każda barwa jest w niéj przedstawiona barwą dopełniającą. W świetle odbitém klisza jest pozytywem, i widzimy na niéj właściwe widma barwy w nader wyraźny sposób. Aby otrzymać doskonały pozytyw, trzeba obraz rozjaśnić, a niekiedy wzmocnić, co osiąga się, jak zwykle, przez zastosowanie kwaśnych cieczy. Utrwala się obraz przy pomocy podsiarkonu sodu i troskliwego obmywania; przekonałem się, że po tych manipulacyach barwy fotografii nie zmieniają się pod wpływem najsilniejszego światła elektrycznego.

Teorya całego procesu jest prosta. Światło wpadające, które wytwarza obraz w ciemni, ulega interferencyi z temi promieniami światła, które odbijają się od powierzchni rtęci. Wskutek tego we wnętrzu czułéj warstwy tworzy się cały układ frendzli, t. j. jasnych

maximów światła i ciemnych *minimów*. Na płytę działają tylko *maxima* jasności; skutkiem operacyi fotograficznych *maxima* te odznaczają się tém, że w ich miejscu osiadają mniéj lub więcéj światło odbijające grudki srebra. Czuła warstwa podzieloną zostaje przez te delikatne osady na szereg nader cienkich płytek, których grubość wynosi tyle, co odległość pomiędzy dwoma *maximami*, czyli pół fali wpadającego światła. A zatém cieniutkie te płytki dokładnie taką mają grubość, jaka jest potrzebna do odtworzenia padającéj barwy (odpowiedniéj długości fal) przez odbicie. Barwy, które widzimy na kliszach, są barwami podobnemi do tych, które ukazują się nam w bańkach mydlanych i powstają na zasadzie tych samych, co i te ostatnie, zjawisk fizycznych.“

Bardzo niedawno temu poważni uczeni sądzili, że otrzymywanie bezpośrednie barwnych fotografii należéć będzie zawsze do mrzonek, których nauka nigdy nie urzeczywistni. To, czego dziś naucza Lippmann, wymownie przeczy owym poglądom i niewątpliwie pociągnie za sobą wiele przeobrażeń nietylko w zakresie praktycznéj sztuki fotograficznéj. Jeżeli malarz już dzisiaj, chcąc wiernie kopiować naturę, nie może wyrzec się pomocy fotografii, to wobec możności otrzymywania naturalnych barw i utrwalania ich na długie czasy w wierném odbiciu, tém mniéj będzie w stanie polegać wyłącznie na świadectwie swego wzroku. Powstrzymujemy się od dalszych wniosków o stosunku fotografii barwnéj do dzieł sztuki malarskiéj, jakkolwiek wnioski te same się pod pióro nasuwają. Tyle napewno przepowiedziéć można, że na rozwój sztuki malarskiéj wogóle ten nowy postęp wiedzy techniczno-fizycznéj olbrzymi wpływ wywrzéć będzie musiał.

Całkowite widmo słoneczne, jak wiadomo, z trzech składa się części: z niewidocznéj dla naszego oka części pozaczerwonéj (ultraczerwonéj, która zawiera jedynie promienie cieplikowe, daléj z widocznéj barwnéj części (promienie światła i ciepła), zawartéj pomiędzy fraunhoferowskiemi liniami *A* i *H*, oraz z części niewidocznéj pozafioletowéj, zawierającéj promienie o energii chemicznéj. Wszystkie nasze sztuczne źródła światła są zarazem źródłami ciepła, nie potrafimy bowiem takich wytworzyć drgań eteru, któreby jedynie były falami świetlnemi. Z jednéj więc strony w naszych sposobach oświetlania zupełnie zbyteczną jest wielka strata energii cieplnéj, z drugiéj ta wydajność ciepła nawet szkodliwie działa wówczas, gdy celem naszym jest otrzymywanie wyłącznie tylko światła. Największą jest strata energii w źródłach światła o niskiéj temperaturze, jak np. w świécy, lampach naftowych, a nawet i w gazie oświetlającym; wynosi ona tutaj zazwyczaj około 99%. W światłach o wysokiéj temperaturze, jak

np. w świetle Drummonda lub łukowém świetle elektryczném, strata ta jest mniejszą, lecz zawsze jeszcze wynosi więcéj niż połowę całkowitéj zużytéj energii promieniowania.

Istnieje jednakże pewien sposób wytwarzania światła, w którém świeceniu nie towarzyszy odpowiednie podniesienie temperatury. Znakomity fizyk E. Wiedemann nazywa ten rodzaj świecenia ogólnie luminescencyą. Gdy świecenie to zostaje wywołane przez padające światło, nazywamy je wówczas fotoluminescencyą, gdy sprowadzają je wyładowania elektryczne—elektroluminescencyą, gdy procesy chemiczne stanowią bodźce—chemiluminescencyą, gdy występuje ona skutkiem ogrzania np. fluspatu, termoluminescencyą i t. d. Zależnie od tego, czy fotoluminescencya trwa krócéj czy dłużéj, odróżniamy ją jako fluorescencyą lub fosforescencyą. Ten właśnie ostatni rodzaj świecenia, fosforescencyą, napotykamy w rozmaitych okolicznościach zarówno w świecie martwym, śród minerałów, jak i w świecie żywym, u pewnych owadów, ryb, mięczaków, bakteryi i t. d.

Z niedawnych badań amerykańskiego uczonego Langleya i asystenta jego Veryego dowiadujemy się właśnie, że owad, zwany świecielem, *Pyrophorus noctilucus*, rozwiązuje zadanie dostarczania najtańszego źródła światła, t. j. wytwarza światło bez współczesnego zbytecznego wydzielania ciepła.

Owad ten posiada trzy zbiorniki światła, dwa na piersi i jeden na brzuchu. Spektroskop wykazuje, że światło świeciela składa się głównie z promieni zielonych i żółtych; dokładniejsze obserwacye przekonywają, że widmo jego przedłuża się jeszcze nieco ku barwie błękitnéj i ku pomarańczowéj. Przekonano się daléj drogą bardzo subtelnych pomiarów, że widmu temu brak zupełnie widocznych czerwonych promieni ciepła.

Jak nieznaczném jest wydzielanie ciepła przez świecące organy Pyrophorusa, wykazują następujące liczby. Jeżeli za jednostkę ciepła (małą ciepłostkę) przyjmiemy tę ilość, jakiéj potrzeba dla ogrzania 1 grama wody o 1 stopień Celsyusza, to wynika, że Pyrophorus w ciągu 10 sekund wydaje w promieniach ciepła 0,0004 ciepłostek na powierzchnię kwadratowego centymetra, tak że jego organ brzuszny, będący najjaśniejszą plamą całego owadu wypromienia w 10 sekund tylko o 0,000007 ciepłostek. Ta ilość ciepła ogrzała tylko o 0,0000023 stopnia Celsyusza termometr rtęciowy o średnicy 1 centymetra. Liczby te zarazem dają pojęcie o trudności podobnych pomiarów.

Ostateczny rezultat tych badań streścić można w następujących zdaniach. Przyroda wytwarza to najtańsze światło z wydatkiem energii około 400 razy mniejszym, aniżeli my to potrafimy uczynić za

pomocą świécy. Jest to wogóle najekonomiczniejszy sposób otrzymywania światła, daleko pozostawiający po za sobą nawet światło elektryczne. Ponieważ zaś zoologowie i fizycy przypuszczają, że światło świeciela nie jest związane z jego procesem życiowym (?), lecz jest wynikiem tylko pewnych zjawisk chemiczno-fizycznych, przeto mamy prawo spodziéwać się, że kiedyś przemysłowi naszemu uda się także podobnie tanie światło otrzymać.

W wielu razach jeszcze, gdy przemysłowi ludzkiemu chodzić będzie o możliwie ekonomiczne wyzyskanie złożonych w przyrodzie zapasów energii, zwracać się będzie musiał po naukę i wskazówki do natury saméj. Przykład z opisanym tu owadem nie jest pierwszym, ani ostatnim.

Maksymilian Flaum.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie. Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Napisał M. Heilpern. Wydanie ozdobione 25 drzeworytami w tekście. Nakładem księgarni T. Paprockiego. 1891.

Cel książki wskazuje dopiéro tytuł trzeci, objaśniający, że podaje ona wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Napis naczelny—tajemnice przyrody—umieszczony widocznie gwoli wymaganiom wydawcy tylko, nie ma żadnego znaczenia. Za otwarciem książki wszakże, uderzyć może czytelnika niezgodność jéj treści i z tym trzecim tytułem, w porządku bowiem materyału zapowiedzianéj systematyczności trudno się napozór dopatrzéć. Pierwsze wykłady (wszystkich jest sześćdziesiąt) poświęcone są nauce o barwach, daléj idą wykłady o kształtach ciał, o twardości, o ciężarze, o kruchości, o rozpuszczalności, palności, przewodnictwie i t. d. Ład ten, dziwny napozór, tłómaczy się tém, że za podstawę całego swego wykładu wziął autor mineralogię, a na jéj tle podaje wiadomości z fizyki i chemii, wplata ustępy poświęcone zoologii i botanice, potrąca o kosmografię. Rozpoczyna zaś od zapoznania uczniów z cechami, po których minerały odróżniać można; dla tego też na samym początku mówi o barwach, jako o charakterze ciał najbardziéj uderzającym. Jest tu więc pewien systemat, chociaż nie istotny wykład systematyczny nauk przyrodniczych, jaki się wyrobił wraz z rozwojem nauki i z podziałem jéj na oddzielne gałęzie. Wykład swój przeznacza autor dla dzieci w wieku lat 11—13, t. j. mniéj więcéj dla uczniów klasy drugiéj lub trzeciéj, i uważa go za dalszy ciąg tak zwanéj „nauki o rzeczach“ i jakby za propedeutykę do późniejszego, należytego wykładu nauk przyrodniczych.

Niewątpliwie, dopóki program szkolny nie obejmuje w klasach niższych elementarnego i treściwego, ale pełnego i całkowitego kursu nauk przyrodniczych, pożyteczne być mogą choćby i wiadomości mniéj więcéj luźne, z różnych działów wiedzy przyrodniczéj powyrywane. W każdym wszakże razie wykład taki potrącać zawsze będzie o trudność doboru i układu materyału odpowiedniego, oraz takiego uporządkowania, aby nie mówiono o rzeczach, które bez poprzednich wiadomości zrozumiałe być nie mogą. W istocie téż, jak sądzi sprawozdawca, o szkopuł ten nieraz przyszło się potykać autorowi. Już samo rozpoczęcie kursu od nauki o barwach nasuwa wątpliwości, zarówno ze względów naukowych jak i pedagogicznych. Jakżeż wyjaśnić choćby najpobieżniéj istotę barw dzieciom, które nic nie wiedzą o odbijaniu, załamywaniu i rozszczepianiu światła? Autor radzi sobie łatwo, mówiąc, że barwy, jakie widzimy, gdy pluskamy i podrzucamy wodę, stojąc plecami do słońca, lub w bańkach mydlanych, pochodzą stąd, że promienie słoneczne „odbijają się w wodzie i wówczas stają się różnokolorowe“. W nawiasie dodaje autor, że wyrazu „załamanie promieni“ dzieci pojąć nie są w stanie. Czyż jednak jakakolwiek zasada pedagogiczna upoważnia do podawania dzieciom fałszywych wiadomości dla tego, że należytych pojmować jeszcze nie mogą? Wiadomości i wyrazy chwytane w dzieciństwie, najsilniéj się umysłu naszego czepiają i trudno się z nich potém otrząsnąć; lepiéj więc chyba nic nie mówić, jeżeli dobrze mówić nie można. Mówiąc zresztą uczniowi, że promienie przez odbicie w wodzie stają się różnokolorowe, rzuca mu w istocie rzeczy nauczyciel puste tylko słowa, zamiast wprawiać umysł jego do dokładnego zgłębiania rzeczy. Jeżeli jednak jest to uczeń uważny, pozna łatwo fałsz w słowach swego mistrza, bo przy odbijaniu promieni światła od zwierciadła i od wody barw przecież nie dostrzega. Zresztą, nie można też łatwo przystać na zdanie autora, że dzieci 12—13-letnie nie mogą zrozumiéć wyrazu załamanie, zjawisko to można im przecież bardzo pr[illegible]i wykazać doświadczeniami.

Wykład o barwach uderzył też sprawozdawcę pewną rozwlekłością, zapuszczaniem się w zbytnie szczegóły, co znów wskazuje, że metoda przez autora obrana, utrudnia zachowanie równomierności wykładu. Widzimy to np. zestawiając z lekcyami o barwach pobieżny wykład o ciężarze ciał, o ciężkości; wskazując wagę uczniowi, tłómaczy mu ją autor w ten tylko sposób, że jedna połowa drążka waży tyleż co druga, a wskutek tego żadna połowa wagi nie przechyla się bardziéj od drugiéj. Tyle wszakże wié już niewątpliwie i małe dziecko, uczeń na lekcyi nic się nowego o wadze nie dowiedział,

w klasie drugiéj lub trzeciéj, uczniom 12 lub 13-letnim niepodobna mówić o wadze, nie wyłożywszy im poprzednio warunków równowagi drążka.

Podobnych przykładów dostarczyłyby nam i dalsze karty książki, byłoby wszakże rzeczą zbyteczną je tu rozbiérać. Uwagi powyższe nie mają stanowić bynajmniéj krytyki, jestto raczéj polemika z autorem, czy wykład złożony z mniéj lub więcéj luźnych ustępów z różnych gałęzi wiedzy przyrodniczéj, przynieść zdoła istotną korzyść naukową i pedagogiczną. Jak w ogólności na sprawy pedagogiczne poglądy mogą być różne, dowodzi np. to, że sprawozdawca nie zgadza się z autorem i sądzi, że propedeutyką do nauk przyrodniczych, może być tylko treściwy wykład każdéj z tych nauk oddzielnie, nie zaś pomieszany wyciąg ze wszystkich. Jest to, jakbyśmy wykład historyi w klasach niższych traktowali w obrazach, przeskakując od Aleksandra do Napoleona, od Sobieskiego do Karola Wielkiego albo do Cezara. Mogą to być zapewne obrazki bardzo ładne, ale mają znaczenie zaledwie powiastek do czytania; jeżeli ma się nauka rozpocząć, jeżeli dzieciom chcemy dać choćby najpobieżniejsze pojęcie o historyi, trzeba ją traktować krótko, ale systematycznie. W naukach przyrodniczych istotna systematyczność jest tém konieczniejszą, że różne ich gałęzie, chociaż wszystkie mają za przedmiot znajomość przyrody, stanowią w istocie nauki zgoła odrębne, splatać je w tkaninę jednorodną, choćby najprostszą, niepodobna. Jednemu téż nauczycielowi trudno jest, i w niższych nawet klasach mówić o wszystkich działach wiedzy przyrodniczéj. Nie dla tego, by jeden człowiek nie mógł sobie przyswoić szczupłego zasobu wiadomości, jaki tu jest potrzebny, choć nieraz zapewne fizyk może pobłądzić w kwestyi botanicznéj, albo zoolog nie poradzi sobie z pytaniem z kosmografii, trudność ważniejsza wypływa stąd, że każda z tych nauk ma odrębną metodę i innym ma służyć celom pedagogicznym. Matematyk nie będzie w pierwszéj lub drugiéj nawet klasie dobrym nauczycielem gramatyki, bo umysł jego do innego traktowania przedmiotu, do innego biegu myśli nawyknął. Tak samo—wypowiadam tu oczywiście swój pogląd tylko — nie będzie fizyk dobrym nauczycielem historyi naturalnéj; ani botanik nie potrafi należycie wykładu fizyki przeprowadzić, bo nauka, któréj się poświęcał, nazwyczaiła go do pewnego, właściwego sobie traktowania przedmiotu. Uczeń klas wyższych może dawać korepetycye z geometryi i z łaciny, nauczyciel należycie wykształcony doświadczałby istotnych trudności w nauczaniu przedmiotów odrębnych. Z tych wszystkich względów sądzę, że wykład zbity z powyrywanych kawałków mineralogii, fizyki, chemii, zoologii, botaniki

i kosmografii, nie może odpowiadać wymaganiom klasy drugiéj lub trzeciéj; jeżeli w klasach tych ma być zaprowadzony wykład nauk przyrodniczych, powinny to już być oddzielne wykłady różnych tych nauk, których niełatwo mógłby się jeden nauczyciel podjąć.

Różniąc się wszakże z autorem co do poglądu na „systematyczność wykładu nauk przyrodniczych“, nie uważając zatém za właściwy doboru i układu materyału naukowego, sprawozdawca wyrazić musi uznanie dla zalet pedagogicznych książki. Lekcye nie są prowadzone przez opowiadanie nauczyciela, nie narzuca on uczniom wiedzy gotowéj, ale raczéj podtrzymuje ich uwagę przez zręczny ciąg pytań i prowadzi ich tak, że sami na należytą odpowiedź wpadają. Droga taka nauczania jest dla wieku młodszego niewątpliwie bardzo odpowiednia, dla tego téż książka może być bardzo użyteczną dla nauczycieli i nauczycielek, o ile poszukują wskazówek co do prowadzenia wykładu nauk przyrodniczych. Mniéj będą wdzięczni autorowi, gdzie poprzestaje on na samych pytaniach, a nie daje odpowiedzi, jak to ma miejsce np. z pytaniem: „Jak się tworzy grad?“ Pytania, przyznajemy to przecież chętnie, są bardzo pożyteczne w takiéj książce elementarnéj, odpowiedzi wszakże są potrzebniejsze, one to bowiem są właściwym jéj celem.

— Jak się tworzy grad? — zapytał profesor studenta na egzaminie.

— Ach, panie profesorze — odpowiada zmieszany stundent — wiedziałem to dobrze, a w téj chwili zapomniałem.

— Co za szkoda — wykrzykuje profesor — pierwszego widzę człowieka, który to wiedział, i trzeba nieszczęścia, że ten właśnie zapomina!

Podobneż pominięcie odpowiedzi znajdujemy i w innych miejscach, gdzie może dla nauczyciela najpotrzebniejsze byłyby wskazówki, jak rzecz daną wyłożyć, jak to w szczególności widzimy w ustępach, tyczących się kosmografii. Autor sądzi, że rzeczy te znane są uczniom z początkowéj nauki geografii, ale zapewne nauczyciel geografii z lepszém prawem może co do podobnych kwestyi odwołać się do nauczyciela nauk przyrodniczych, a jeżeli kwestye te traktuje, to zapewne zbyt pobieżnie.

Są to wszakże usterki drobne; ważniejszy zarzut wywołać muszą błędne wiadomości i tłómaczenia, jakie w książce napotykamy. Błędy te wypływają po części stąd, że autor dla rzekomego udostępnienia wykładu, jakeśmy to już wyżéj widzieli, odwołuje się do wyjaśnień fałszywych, po części z przeoczenia, a poczęści wreszcie, po-

twierdzają poprzednią naszą uwagę, że nauczycielowi, wykładającemu wszystkie działy wiedzy przyrodniczéj, trudno się tu lub owdzie od usterek uchronić.

Tak np. jak mogło się dostać zdanie (str. 61): „Jedne ciała spadają prędzéj, z większą siłą, inne wolniéj, z mniejszą siłą“. Przecież od czasów Galileusza wiemy, że wszystkie ciała spadają z jednakową szybkością, a zasada ta stanowi jedną z głównych podstaw całéj mechaniki i fizyki. Albo (str. 62), takie wyjaśnienie pływania ciała: „korek ma tak mały ciężar, że jego ciśnienie nie może przebić wody; woda jest cięższa od korka, spada silniéj od niego i musi się zawsze znaleść niżéj niż korek“. Czyż dla udostępnienia dzieciom nauki, mamy je utrzymywać na poziomie wiedzy aż przedarchimedesowéj? Na str. 63 czytamy, że „dym, para, gazy i t. p. wypływają w powietrzu w górę, układają się nad powietrzem, gdyż są od niego lżejsze“.

Na str. 98 dowiadujemy się, że „woda, spadając z obłoków, rozpuszcza w sobie trochę kurzu“; na str. 91, że „lód, aby się stopił, potrzebuje bardzo małego ciepła“, gdy właśnie ciepło topliwości lodu jest bardzo znaczne, a temperatura tylko topliwości jest niska. Czyż może dalej wystarczyć tłómaczenie takie, że „choć śnieg jest zimny, ale sól ma tę własność, że oziębia śnieg jeszcze mocniéj“, a co ma powiedzieć nauczyciel, jeżeli dziecko widziało, że za dorzuceniem soli do lodowni, lód prędzéj się topi, i pytanie to mu rzuci. Na stronie 183 dowiaduje się dziecko błędnie, że białko i krochmal tworzą się z połączenia kwasu węglowego, wody i popiołu; na str. 181, że popiół i gazy, ulatujące z ciała palącego się, ważą razem tyle, ile ważyło to ciało przed spaleniem — gdy przecież ważą więcéj. Na str. 257 znajdujemy: „Jeżeli dzień jest chłodny, wówczas para zaczyna już skraplać się nad samą ziemią i tworzy mgłę, jeżeli para wodna unosi się wysoko w górę, tworzy obłoki i chmury“. Czyż tłómaczenia te zadowolnić mogą uczniów, którzy przecież zapytają, dla czego nie mamy mgły przez całą zimę, co za różnica między obłokami a chmurami? Gorzéj wszakże daleko na str. 279, gdy czytamy, że „ile tylko może się powietrza przy powierzchni ziemi zmieścić, tyle się ku niéj ciśnie“; jest to przecież zupełna niedorzeczność. Nie można mówić, że ciężar powietrza „obliczono“ (str. 279), bo może to budzić w dzieciach fałszywe pojęcie, że rachunkiem osiągnąć można to, co jest jedynie wynikiem doświadczenia; tak samo nie można mówić (str. 282), że „każde ciało rozgrzane staje się lżejszém“, boć ciężar ciała nie zmniejsza się przez podwyższenie temperatury, — wyjaśnienie dokładniejsze jest tu niezbędne. O działalności lunet ma autor przesadne bardzo pojęcie, gdy mówi (str. 289), że „przez dobre szkła można powierzchnię księ-

życa rozpatrzéć tak, jakby była od nas odległą tylko o dwie mile"; jest rzeczą wątpliwą, jak to wykazuje Newcomb, czyli księżyc za pośrednictwem lunety był kiedykolwiek widziany tak dobrze, jakby mógł być widziany okiem nie uzbrojoném z odległości 500 kilometrów, zatém przeszło 70 mil. Również jest błędném, że na księżycu widzimy wyraźnie góry i doliny, bo o tych nierównościach wnosimy tylko z rozkładu cieni; tém mniéj zaś na planetach widziéć możemy zagłębienia i wyniosłości (str. 292). Dobrze jest nauczyć dzieci, że gwiazdy stałe są słońcami, skądżeż wszakże wiadomo autorowi, że wszystkie planety około swych słońc obracają się z zachodu na wschód (str. 294), jak to ma miejsce w naszym układzie słonecznym. Tak samo ryzykowném jest powiedziéć dzieciom, że drobne planety między Marsem a Jowiszem krążą w około słońca po jednéj prawie drodze, gdy rozległość pasa, zajętego przez te asteroidy, przechodzi trzykrotnie przeszło odległość ziemi od słońca. — Ostatnie wykłady poświęcone są wnioskom i poglądom ogólnym na przyczyny zjawisk i pożytki z ich badania; śród uwag jasnych i dobrych znajdujemy wszakże zdanie tak dziwaczne (str. 307): „słońce stanowi główną, ostateczną przyczynę bardzo wielu zjawisk. Taka główna, ostateczna przyczyna wielu zjawisk nazywa się siłą. ...Ale oprócz słońca są jeszcze inne siły, a z tych najważniejszą jest ciężkość." Czyż to nie zagmatwa pojęć dziecka, gdy mu mówimy, że słońce jest siłą, a ciężkość także siłą, ale różną od słońca?

Niewątpliwie, przeważna liczba powyższych błędów i niejasności wypływa z dążności autora do udostępnienia nauki dzieciom. W autorze pedagog góruje nad przyrodnikiem. Uznajemy chętnie wymagania pedagogiki i rozumiemy, że nauka do nich naginać się powinna; ale nie zgodzimy się nigdy, by dążność do udostępniania prowadzić miała aż do rozbratu między nauką a pedagogiką.

Usterki te uwłaczają oczywiście wartości książki, która, jak widzieliśmy, ma i istotne zalety. Do zalet jéj policzyć jeszcze należy, że jest pisana językiem dobrym i że posługuje się należytém słownictwem naukowém, co w książkach obecnie wydawanych nie zawsze się przytrafia. Trudno téż oczywiście, by pisarz polski w jakiémkolwiek, choćby najelementarniejszém dziele nie utworzył jakich wyrazów nowych, i pod tym jednak względem autor jest bardzo umiarkowany, w książce bowiem jego znajdujemy dwa tylko nowo ukute wyrazy. Mówi on mianowicie „świetliwo" (str. 128) na oznaczenie materyału oświetlającego, jak paliwo; maszynę zaś odśrodkową nazywa „wirownicą."

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Po czterech latach i jednym kwartale, tygodnik literacki **Życie**, przestał wychodzić dla braku dostatecznéj liczby prenumeratorów. Jest to istotny i ważny ubytek w naszém czasopiśmiennictwie. Chociaż bowiem każde u nas pismo nie-specyalne zajmuje się literaturą piękną, żadne jednak nie brało jéj pod uwagę tak bacznie i wielostronnie jak „Życie“. Kto zechce się dokładniéj zapoznać z ruchem estetyczno-literackim lat ostatnich, ten znajdzie w rocznikach „Życia“ obfitą, że nie powiem wyczerpującą, pod tym względem informacyę. Nie wyznawało ono żadnéj ściśle określonéj doktryny, nie zacieśniało téż koła spółpracowników; owszem starało się pozyskać ich jaknajwięcéj, ażeby módz jaknajwszechstronniéj zobrazować nietylko teoretycznie, ale i przykładowo różnorodne kierunki, jakie w poezyi wybitniejszych cywilizacyjnie narodów się ukazywały. Wprawdzie samoistnych, własnych poglądów nie wyrobiło, a przynajmniéj nie sformułowało; lecz usiłowało pilnie śledzić ruch zagraniczny, szczególniéj francuski, i zdawać z niego sprawę szczegółową. Zmieniała się kilkakrotnie redakcya tego pisma, stąd pochodzi różnica w sposobie redagowania i w niektórych opiniach, ale hasłu piękna zawsze ono było wierne. Oprócz wielu artykyłów, powieści i poezyj w tekście, różnéj oczywiście wartości, ale zawsze odbijających prądy najświeższe, „Życie“ położyło niemałą zasługę wydawnictwem „Arcydzieł literatury“, wśród których zasługują szczególniéj na osobną wzmiankę trzy znakomite przekłady: Shelleya „Prometeusz rozpętany“ przez Feliksa Jezierskiego, „Antologia prowansalska“ przez Edwarda Porębowicza i Heinego „Atta Troll“ przez Maryę Konopnicką i „Nowa wiosna“ przez Czesława. Są to trwałe nabytki naszego piśmiennictwa, któremi chlubić się można. Nie myślę oczywiście twierdzić, żeby „Życie“ przez cały ciąg swego trwania nie popełniało błędów czy w wyborze, czy w sposobie traktowania przedmiotu, czy wreszcie w zaniedbaniu pod względem stylowym i językowym; ale zaznaczyć winienem, że służyło obranéj sprawie bez oglądania się na zyski, bez pogoni za celami spekulacyjnemi, i że w skardze redakcyi, pomieszczonéj w ostatnim numerze (13-ym r. b.), jakoby nie przyszła u nas jeszcze pora na systematyczną pracę w zakresie krzewienia dobrego smaku literackiego, jest dużo, bardzo dużo słuszności. Lubimy czytać powieści, poezya mniéj już nas zajmuje, a rozprawy o zasadach piękna, wywody estetyczne, krytyki nie jaskrawe, ale sumiennie zdające sprawę z wartości utworów, zajmują naprawdę tych tylko, którzy bezpośrednio w tych

rzeczach są zainteresowani. Brak chęci do zastanowienia, to szkopuł, o który rozbijają się wysiłki ludzi myślących

---

— **Oksana**, *Włodzimierz Wysocki* (Kijów i Odessa, nakł. Koreywy, 1891). Chyba na każdym, nawykłym do wytworów lub wyrobów naszych miejscowych sił poetyckich, musi uczynić wrażenie czegoś nadzwyczajnego taki poemat, jak „Oksana“. Wiersz jego pozostawia wiele do życzenia, język często kuleje, barbaryzmów nie brak, ale ledwo się to wszystko zauważa, tak wiele prawdziwego uczucia i żywéj prawdy w tych pełnych prostoty, szczerych pieśniach. „Oksana“ wszystkiém przemawia do serca czytelnika: i świeżością i barwnością swych obrazów, i prawdą dramatyczną i opisową scen, i pewném skończeniem charakterów, (Oksana jest nawet typem skończonym) i wreszcie tłem, na którém zarysowują się te charaktery. Bohaterka, któréj imię nosi cały poemat, przypomina z pewnych względów Blankę z „*Le roi s'amuse*“; jest ona uwiedziona i mści się dobrodziejstwem na swym kochanku, którym ma powody gardzić. Tylko co za siła charakteru w téj córze Ukrainy. Sceny, gdzie ona, po swym upadku, przejęta wstydem, gniewem i wstrętem dla uwodziciela, który jako panicz z chłopką nie swojéj wiary ożenić się nawet nie może, odpycha go i wypędza z chaty; — gdzie rozcina krępujące go powrozy, by go następnie nakarmić i wypuścić; gdzie żegna więźnia na drogę ostatecznéj nędzy i trudu, dając mu jako jałmużnę chleb, kilka miedziaków i korale — wszystkie swoje skarby, — sceny te, powtarzam, są prawdziwemi perłami.

— *Alfred de Musset.* **Poezye**, przełożył B. L. (Paprocki. 1891). Celem zbiorku niniejszego poezyj Musseta jest, według słów tłumacza, zaznajomienie naszéj publiczności z młodzieńczą twórczością tego poety, którego wszystkie niemal główne utwory już zostały spolszczone, przez mniéj lub więcéj powołanych do tego zadania wielbicieli jego geniuszu. Pozostawiając czytelnikowi pracę zformułowania sobie odpowiedzi na pytanie, czy lub w jakim stopniu p. B. L. osiągnął cel „uwydatnienia“ charakteru twórczości chociażby nawet „młodzieńczéj“ wybranego przez siebie autora, przejdę wprost do określenia wartości jego pracy. Stara to już prawda, że doskonałość przekładu wymaga, aby tłumacz był podobnym i równym poniekąd twórcy oryginału, co zaś do podobieństwa lub równości pomiędzy charakterami

twórczości p. B. L. i poety francuskiego, którego pesymizm nawet tchnie jakąś tkliwością, a opisy scen rozkoszy — smutkiem, poety, wytwornego nawet w swym cyninizmie, to chyba o tém mowy być nie może. Przekład uderza jednak swą starannością i dążeniem do wierności, to też jeśli się napotyka tu i owdzie jaka niedokładność, należy ją przypisać nie niedbałości tłumacza, lecz prędzéj niezupełnej znajomości języka francuskiego, jak naprzykład w wypadku wcale nie jedynym w swoim rodzaju, kiedy p. B. L. wiersz: *Il est à moi ce beau col* (= szyja) *qui se penche*... tłumaczy: Mój ten pomięty jéj kołnierzyczek... (Ten sam utwór zawiera w sobie prócz tego fatalny wiersz: „Trzask w atłasowym budzi gorsecie“). Mogę jednak przyznać, że tłumacz, jeśli nie oddaje całéj wytworności myśli i języka oryginału, wpada rzadko w trywialność, a wszędzie prawie znać w jego pracy zrozumienie i odczucie tekstu, to też niektóre z przekładów jego (jak np. „Co to jest poezya“) są bez zarzutu, o wszystkich jednak, szczególnie większych, toż samo powiedzieć się nie da.

= **Echo muzyczne, teatralne i artystyczne** pod red. *Aleksandra Rajchmana*, w I kwartale r. b. mieści następujące artykuły: Życiorysy z portr.: H. Modrzejewska, Niels Gade, O. Feuillet, H. Sudermann, Fr. Streit, Wł. Szymanowski, Meissonier, L. Fulda, C. Montaland, E. Mascherzeni, W. Taubert, W. Jahn, L. Delibes, L. F. J. Herold, Fr. Grillparzer, A. Millet, F. Locroy, W. Korotyński, K. Czerny, K. Chaplin, J. Reszke-Kronenberg, M. Nowakowska, J. Marszewski, H. Toeplitz, T. de Banville, N. Janothówna. Rozprawy: „Orkiestra i ludzie“ p. Z. Noskowskiego i „Sztuka aktorska“ p. Coquelin'a, „Listy o sztukach piękn“. p. W. P. Poezye: „Opowiadanie“ Gomulickiego, „Z chmurnych dni“ A. Pileckiego, „Z poezyj epigramatycznych“ Goethego, przeł. L. Jenike, „Wezwanie“ Konopnickiéj, „Na *Père Lachaise*“ J. Waśniewskiego, „Pieśń bez echa“ Konopnickiéj. Powieści i utwory dram.: „Wdowa z Efezu“ Mellerowéj, „Ćma“ Gawalewicza, „Oderwany listek“ Carm. Silvy, „Chwast“ H. Bornier, „Mała“ Edw. Cadel, „Podstęp Anny“ J. Scharfenort, „Echo“ W. Gomulickiego, „Scherzo“ Méyeta, Jéj „Bajka“, „Komedya w dramacie“ Cabanel'a, „Moja fotografia“ monolog Coquelin'a, „Przyjaciel królewny Liliputów“ Poczwarki, „Serenada“ obr. dram. Rapackiego (syna), „Bezik“ Cadola, „Imaginacya“ J. Lemaitre'a, „Z nędz tego życia“ J. Rejtracha. Przegląd lit. utworów: Rodziewiczówny, Syrokomli, Musset'a, Lange'go, Soleckiéj, Gawalewicza: „Drugie pokolenie“. Przegląd art.: „Dwa salony“ Gersona, Konkurs malarski, Pomnik kard. Cza-

ckiego, „Angelus“ Millet'a, Międzynarodowa wystawa obrazów w Berlinie, Pomniki Żółkowskiego i Królikowskiego, „Miscelanea“ p. W. Marrené, Tow. Zach. sztuk pięku., Ze stolicy Galicyi, „Leopoliana“ p. Aisa, „Cracoviana“ p. K. Nitmana, Muzeum Rotha w Genewie, Janothówna p. S. Klecz. Przegląd teatr. i muzycz. bieżących nowości w kraju i za granicą, Bibliografia muzyczna, Budżet teatrów warsz. 1891, Sztuki polskie w teatrze chorwackim, Fraszki i satyry, Korespondencye z Medyolanu, Madrytu, Wiednia, Paryża, Berlina, Londynu, Odessy, kronika, repertuar, felieton.



NEKROLOGIA.

† **Lubecki Rudolf**, ur. 1844 r., po ukończeniu nauk poświęcił się stanowi duchownemu, a odznaczył się działalnością swoją jako proboszcz w Kotorzu na Górnym Szląsku, będąc prawdziwym przyjacielem i opiekunem ludu. Pisał wiele dla oświecenia ludu, redagował i wydawał liczne pisemka treści religijnéj u Miarki w Mikołowie. Był też autorem licznych pieśni, przeważnie religijnych i występował często jako mówca na zebraniach ludowych. Niedawno ogłosił broszurę antysocyalistyczną p. t. „Socyaliści się zbliżają!“ Zmarł w Kotorzu 20 lutego r. b. z powszechnym żalem parafian.

† **Witkowski Władysław**, rodem z gub. lubelskiéj, urodzony około r. 1823, odebrawszy wykształcenie gimnazyalne, dopełniał je na kursach dodatkowych w Warszawie oddając się matematyce. Przebywał potém lat kilka na Kaukazie. Za powrotem do kraju został inżynierem zarządu komunikacyi i wydał kilka dzieł treści matematycznéj: „Nowy rachunek funkcyi granicznych i jego zastosowanie“ (Warszawa, 1865, str. XXIV, 268), „O porach roku w naszym klimacie i o ważności przysłów meteorologicznych“. „Zasady muzyki“ (Warsz. 1887). Zmarł w Lublinie 18 marca r. b.

† **Lubelski Wilhelm**, syn lekarza, urodzony w Płocku r. 1832, nauki gimnazyalne pobierał w Warszawie i Piotrkowie, uniwersyteckie w Dorpacie, gdzie w r. 1857 ukończył wydział lekarski; następnie kształcił się jeszcze w klinikach wiedeńskich i paryskich, a za powrotem do Warszawy otrzymał od rady lekarskiéj, stopień doktora medycyny w końcu r. 1859 i odtąd z wielkiém zamiłowaniem oddając się swemu zawodowi, biorąc czynny udział we wszystkich sprawach, dotyczących zdrowotności publicznéj, lecząc częstokroć zupełnie bezinteresownie, zwłaszcza członków kolonii francuskiéj w Warszawie, uczestnicząc we wszystkich zjazdach lekarskich, z których zdawał zwykle sprawozdania, Podczas ostatniéj wystawy paryskiéj, obrany

prezesem honorowym kongresu lekarskiego, zaznajomił zebranych z pracami i postępami na polu hygieny u nas. Był jedną z najpopularniejszych postaci w Warszawie. Prace jego naukowe są: „Kilka słów o leczeniu złudzeń zmysłowych“ (Warsz. 1859), „O bólu twarzowym“ (Warsz. 1861), „Kilka słów o medycynie greckiéj przed Hypokratesem“ (t. t. r.), „Sprawozdanie z oddziału kobiét epileptycznych w szpitalu Dzieciątka Jezus, za rok 1861 i z lat późniejszych“, „Małżeństwo pod względem fizyologii i hygieny, z dołączeniem uwag dyetetycznych nad wychowaniem niemowląt“ (podług Debay'a, 1862, str. 380), „Jak pielęgnować zdrowie“ (1869), „*Le cholera à Varsovie*“ Paryż, 1879). Zmarł w Warszawie na zapalenie płuc 21 marca r. b.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński*** —Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Апрѣля 1891 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-szym 1891 r.

1. **Młynarstwo zbożowe,** opracował *Stanisław Małyszczycki,* inżenier-mechanik. Tom I, 728 stron druku in 8-o, z 180 drzewor. w tekście i 9 tabl. w oddzielnym atlasie. Warszawa, nakł. „Arkonii“, skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa, 1890 (cena z atlasem rs. 6).
2. *A. Lange.* **Pogrzeb Shelley'a.** Warszawa, skład główny w księg. T. Paprockiego. 1890, 8-o, str. 34.
3. **Duchy czarnego boru** czyli kamienne serce. Warszawa, druk J. Jeżyńskiego, 1890. 8-o, str. 50 z obrazk.
4. **Ratowanie bydlęcia** odętego, napisał *K. Dulęba.* Warszawa, druk J. Jeżyńskiego, 1890, 8-o, str. 16.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

